

De. II. 1.

TOM CCLIII

ROK 64

SERYA 9

ZESZYT 760

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

L U T Y.

1904

TOM I. — ZESZYT 2.

WARSZAWA.

Redakcja i Administracja: Krakowskie Przedmieście 5.

1904

2

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

04

TREŚĆ ZESZYTU.

	Stron.
1. Z HISTORII STANÓW GALICYJSKICH, — przez d-ra Bronisława Łozińskiego	201
2. A GDY W GŁĘB DUSZY WNIKNIEMY... Powieść współczesna (dalszy ciąg), — przez Gabryelę Zapolską	226
3. WŁADYSŁAW SYROKOMLA, — przez A. Drogoszewskiego	252
4. NACZELNICY ZIEMSCY W KRAJU PÓŁNOCNO-ZACHODNIM, — przez B. Z. Bouffała	276
5. GDZIE ARNO PŁYNIE, — przez Wojciecha Dzieduszyckiego	287
6. MAX NORDAU, — przez Władysława Jabłonowskiego	327
7. ECHA Z WYSTAWY HERALDYCZNEJ W MITAWIE, — przez Gustawa Manteuffla	341
8. PIŚMIENNICTWO:	
<i>Aleksander Kraushar</i> : Towarzystwo Królewskie Przyjaciół Nauk. Księga III. Czasy Królestwa Kongresowego. Czterolecie drugie. 1820 — 1824. (Warszawa, 1904), — przez A. R.	366
<i>General Szilder</i> : Cesarz Mikołaj I. Jego żywot i panowanie T. I (z 252 ilustracyami), 1903, — przez A. R.	372
<i>Józef Wiśniowski</i> : Współczesna liryka polska. (Sprawozdanie dyrektora gimn. w Jaśle, r. 1903), — przez M. Mazanowskiego	380
<i>El (Kazimierz Laskowski)</i> : Melodye. Warszawa Gebethner i Wolff, Kraków, G. Gebethner i Sp., 1903, 12-o, str. 200, — przez Henryka Gallego	383
<i>Wacław Gąsiorowski</i> : Rok 1809. Powieść historyczna z epoki napoleońskiej. Tom I i II. Lwów. Nakł. „Słowa Polskiego“, 1903, 8-o, str. 364 i 268, — przez Henryka Gallego	385
<i>Marya Konopnicka</i> : Na jagody! Książeczka leśna. Warszawa. Nakładem J. Lisowskiej, — przez Z. D.	387
9. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Ankieta „Kuryera Warszawskiego“. — Stulecie kodeksu Napoleona u nas. — Biblioteki prowincjonalne dla Galicyi. — Z ruchu współdzielczego. — Sekeya im. Moniuszki. — Polska akademja artystyczna w Rzymie	389
10. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	407



De. II. 1.

Z HISTORII STANÓW GALICYJSKICH.

I.

Sejm stanowy, którym Austria po pierwszym rozbiore Rzeczypospolitej uszczęśliwiła „rewindykowaną“ Galicyę, ta instytucya, stanowiąca już wtedy anachronizm w dziedzicznych prowincjach państwa, karykaturalna w całym swoim ustroju, zwłaszcza na gruncie galicyjskim, z niezagłuszonem jeszcze echem dawnych sejmików, skazana od pierwszej chwili na bardzo rzadko odgrywaną rolę potulnej, polityczno-dekoracyjnej asystencyi dla gubernatorów lwowskich miał w całej swojej działalności jedną tylko chwilę rozgłosną, prawdziwie historyczną, gdy w r. 1848 członkowie jego, uniesieni wstrząsającym całą Austryą prądem wolnościowym, na zaproszenie gubernatora Franciszka hr. Stadioną, odpowiedzieli abdykacją w lapidarniej uchwale, albo raczej w jednomyślnym okrzyku: niema sejmu! *) Po za tą chwilą z historii galicyjskich Stanów, ze stanowiska interesu politycznego, zasługują jeszcze na wspomnienie niektóre momenty, nie z samej działalności, lecz z długiego, za kulisami sejmu rozegranego procesu organizacyi i reorganizacyi, jako następstwa wypadków i przejść wypełniających cały okres czasu od zaboru Galicyi do ustalenia się stosunków po kongresie wiedeńskim. Zbiegał się więc ten proces z szybko po sobie następującymi przewrotami europejskimi, wśród których granice posiadłości polskich w trzech mocarstwach rozbiornych ciągle się chwiały. Wśród tych przewrotów granice rewindykowanej Galicyi przedewszystkiem ulegały zmianom, które wraz z ich przyczynami wojennemi odbijały się silnie na owym procesie organizacyi i reorganizacyi Stanów galicyjskich tak w Wiedniu, jak we Lwowie, w sposób rzucający światło na konstelację stosunków i na nastrój społeczeństwa polskiego w Galicyi i po za Galicyą, a ponieważ nawet, mianowicie w r. 1815, na stosunki mocarstw rozbiornych.

*) *Biblioteka Warszawska* z r. 1901 — tom III str. 105 — 137 i 411 — 446 (szkic: „*Epilog Stanów Galicyjskich*“).

Co do składu sejmu stanowego, opierającego się nie na wyborze, lecz na stanowisku społecznem i opłacaniu minimum podatkowego, oraz co do jego zakresu działania, streszczającego się w „najpokorniejszem“ słuchaniu postulatów rządowych, które stanowiły rozkaz apodyktyczny, i na „najuniżeńszem“ lub „najpokorniejszem“ przedstawieniu życzeń adresowych, poprzednio przez przewodniczącego gubernatora za dopuszczalne uznanych — odsyłamy czytelnika do powołanego wyżej szkicu.

Wtłoczenie krewkiego aż do granic swawoli, ale gromem rozbiorowym w apatyę polityczną pogrążonego organizmu polskiego, w te ciaśno przykrojone ramy konstytucyi stanowej — dokonane zostało za rządów cesarzowej Maryi Teresy, w trzy lata po zajęciu Galicyi, bez ostentacyjnych akcesoryów ważnego aktu politycznego, lecz niejako w formie aktu administracyjnego, mającego, jako naturalna konsekwencya aneksyi, zrównać Galicyę z innymi prowincjami monarchii, albo raczej wcisnąć ją na konstytucyjne łożo Prokrusta ówczesnej Austrii.

Cesarz Józef II zaraz po objęciu rządów (1782), skierował swoją gorącą reformatorską także na mizerną konstytucyę stanową Galicyi, oczywiście nie z dążności do zwolnienia pęt włożonych życiu politycznemu, nawet nie z jakimkolwiek celem zasadniczego znaczenia. Chodziło tylko o pewne, małoznaczne zmiany, co do udziału duchowieństwa w kierunku cokolwiek ścieśniającym ten udział. Za to jednak ogłoszenie tej drobnej zmiany we Lwowie, odbyło się w taki sposób pompatyczny, jak gdyby chodziło o jaki wiekopomny akt konstytucyjny.

Cesarz Józef II, którego rządy tak dotkliwie zaciężyły na Galicyi naporem germanizacyjnym, uciskiem podatkowym i bezwzględnością reformatorską w zakresie stosunków kościelnych, liczył na wrażliwość temperamentu polskiego na formy i zaraz na wstępie swoich rządów (1781) uderzył w tę stronę, tworząc w Wiedniu osobną galicyjską gwardyę szlachecką, która nie stanowiła oddziału siły zbrojnej państwa, lecz korpusik dekoracyjny, przeznaczony do popisywania się swoją zewnętrzną okazałością przy uroczystościach dworskich. Na czele tej gwardyi postawił generała ziem podolskich Adama ks. Czartoryskiego i przepisał jej osobny uniform, w którym kontuszowe reminiscencye łączyły się z dodatkami, obliczonymi, według konceptu austriackiego, na żądę teatralnej sensacyi u wiedeńczyków, tak skłonnych do gapienia się przy każdej uroczystości dworskiej, nawet przy takiej drobnej okazji, jak codzienna zmiana straży wojskowej u bramy cesarskiego pałacu. Nie zawiodły cesarza Józefa II rachuby co do wiedeńczyków, którzy do syta nagapili się zaraz przy

pierwszem wystąpieniu szlacheckiej gwardyi galicyjskiej w jej roli dekoratorskiej. Za to co do społeczeństwa polskiego w Galicyi, cesarz od pierwszej chwili nie mógł wątpić o tem, że przerachował się na lekceważącym traktowaniu jego charakteru narodowego, że mimo jego okrzyczanej płochosci, świadomość godności narodowej i pamięć wielkiej przeszłości zbyt jest głęboką, aby takie efektowne drobiazgi sprawić miały pożądane wrażenie.

Ktoby się tego spodziewał, że dziś, w 120 lat po tym fakcie, wśród stosunków zupełnie odmiennych, znajdzie się polski historyk 10-letniej zaledwie egzystencji szlacheckiej gwardyi galicyjskiej, ubolewający nad tem, że społeczeństwo polskie w Galicyi nie poszło od razu na lep tego Józefińskiego umizgu, utrzymujący nawet, że był to błąd polityczny, który pozwolił zmarnieć dobrej sposobności do zdobycia dla Galicyi takiej pozycyi w monarchii habsburskiej, jaką Węgry zajmują! „Gdyby nasi wpływowi przodkowie mieli zmysł polityczny — tak opiewa ta dziwna reprimenda historyczna — gdyby byli umieli pogodzić się z losem i ośwładnąć ówczesne przychylnie nam i przyjazne usposobienie, gwardya galicyjska stałaby do dzisiaj pod bronią w Wiedniu, a kraj nasz zyskałby już wówczas te same prawa i przywileje, co Węgry“. *)

*) *Józef Wawel-Louis: Okruszyny historyczne*, zebrane po dawnych aktach, archiwach i dziennikach — Kraków 1898 (str. 5—6).

Autor ten, którego rachunek z krytyką historyczną, poniekąd w zaległość popadł, w czasie swojego urzędowania przy najwyższym trybunale sądowym i kasacyjnym w Wiedniu, zbierał, z wszelkiego uznania godną skrzętnością w zbiorach archiwalnych i w bibliotece nadwornej, materiały nieznanne, do pierwszego okresu rządów austriackich w Galicyi. Z zebranego materiału powstał cały szereg szkiców, cennych głównie dla zawartości swojej. W opracowaniu zebranego materiału Wawel-Louis kierował się dziwną skłonnością do wydobywania i podnoszenia wszystkiego, co uchodzić może za jaśniejszy promień, w tej, tak z resztą ponurej, dobie dziejowej. W tej skłonności swojej — mówimy o skłonności, wykluczając próżną żądzę oryginalności — posunął się Wawel-Louis nieraz tak daleko, że w przeciwieństwie do obrazów, skreślonych o tej dobie zgodnie przez innych historyków, a nawet w przeciwieństwie do współczesnych pamiętnikarzy (np. Fr. Karpińskiego), daje wprost do zrozumienia, że w tych obrazach prawda historyczna jest zamglona uprzedzeniami, że mianowicie więcej na ówczesnym społeczeństwie polskim, niż na rządzie ciąży wina długiej rozterki. Czy Wawel-Louis patrzył na wszystko pod kątem dzisiejszego tak odmiennego systemu rządowego w Galicyi i wskutek tego już w przeszłości wyszukać pragnął jego zawiązki,

Jak na uniformie galicyjskiej gwardyi szlacheckiej nie żałowano sobie w Wiedniu kolorowych i złocistych sznurów, szlif, wypustek, pasów i t. p., tak przy pompacyjnej instalacji Stanów poświęcono tyle prochu na salwy i tyle butelek na galowe biesiady, jak gdyby chodziło o zapisanie tej uroczystości nietylko głęboko w pamięci uczestników uraczonych, lecz w ogóle w tradycyi przyszłych pokoleń. Gdybyśmy szczegółowy opis tych uroczystości znaleźli w jakim współczesnym pamiętniku, położylibyśmy go na karb naiwnego zachwytu świadka, który olśniony niewidzianą dotąd paradą, a może i przy tem dobrze uraczony, nie myślał już o niczem więcej, ani o przeszłości, ani o przyszłości. Ale mamy przed sobą wydobyty przez założyciela biblioteki Ossolińskich z archiwum wiedeńskiego oryginał relacji przez ówczesnego gubernatora galicyjskiego hr. Brigido d. 18 wrze-

czy przy przygodnem tylko badaniu z amatorstwa, a nie z planu umiejętności zakreślonego, przypadek nasuwał mu pod rękę tylko same rzeczy, dogadujące tej skłonności, czy wreszcie, co może najwięcej zbliża się do prawdy, obie przyczyny złożyły się na taki rezultat—tego domysłem rozstrzygać ani chcemy, ani możemy. Tego jednak pominąć niepodobna, że taką metodą przy nierównie większym, wprost nawet wybitnym, talencie pisarskim i sprycie kombinacyjnym, niehamowanym ani zbytkiem dobrej wiary, ani skrupulatnością naukową, inny (niemiecki) historyk biurokratycznego autoramentu, Maurycy br. Sala, zdołał nawet dzieje krwawych wypadków galicyjskich z r. 1846, przedstawić w jasnym dla rządu austriackiego świetle. Przygodne tylko badania archiwalne w Wiedniu, śnać nie zawiodły Wawela-Louisa do tajników kancelaryi nadwornej, z kądem wprowadzie historycy *à la* Sala mogą także wydobywać potrzebny dla swojej tendencji materiał, z kądem jednak historyk polski, nie zdoła przy najlepszej chęci wysnuć węzła łączącego dzisiejszy system rządowy Austrii, w Galicyi, z postępowaniem jej pierwszych po aneksyi urzędników, zwłaszcza w dziale politycznej administracyi. Częstkę materiału, ten dział objaśniającego, posiada Zakład Ossolińskich we Lwowie, w oryginalnych aktach i odpisach, dzięki jego założycielowi i jego wpływowemu stanowisku, w Wiedniu zdobytych (Rps. Nr. 525 w dwóch wielkich tomach), a już z tego materiału przekonać się można, że nawet w Wiedniu, gdy za czasów Leopolda II odbywały się poufne konferencye nad konstytucyjnymi dezyderatami szlachty galicyjskiej (1790), uznano system reprezentowany w Galicyi przez pierwszych urzędników-przybłądów, za główne źródło panującego niezadowolenia.

Z niewyzyskanych dotąd w zupełności aktów tego rękopisu Zakładu Ossolińskich, głównie czerpany był materiał do niniejszego szkicu. (Przyp. autora).

śnia 1782 r., bezpośrednio do cesarza Józefa II wystosowanej. Zasługuje ona na przytoczenie w całości, chociażby tylko jako *curiosum* nieobojętne dla charakterystyki tych czasów.

„Plac przed kościołem po-jezuickim—pisze hr. Brigido—zajęły z trzech stron, oprócz batalionów lwowskiej załogi, dwa umyślnie na tę uroczystość sprowadzone oddziały szwoleżerów, a z czwartej strony placu ustawiło się mieszczaństwo w grupach cechowych ze sztandarami. Przed kościołem stała także część załogi. Pierwszy sekretarz gubernialny Feldhofer i sekretarz prezydyalny Wenger jechali w jednym powozie naprzód z dokumentem przywileju stanowego, za nimi wszyscy radcy gubernialni i fiscus królewski, a w końcu ja sam w sześciokonnej karecie, dokoła trzech stron placu przez wojsko obsadzonych aż pod kościół, z kądem naprzeciw mnie wyszli dwaj komisarze i zgromadzona szlachta. Poprzedzony przez personel gubernialny, udałem się przed wielki ołtarz, zasłonięty od góry do dołu czerwonym adamaszkiem z herbem Galicyi w środku. Ściany kościoła były także osłonięte taką samą materią ze złotymi bortami. Po prawej stronie wielkiego ołtarza, ustawiony był tron, obity czerwonym aksamitem ze złotymi bortami. Pod tronem stał tak samo ozdobiony fotel, a u góry zawieszony był portret cesarski. W środku kościoła przed wielkim ołtarzem, stał na podniesieniu pokrytem czerwoną materią adamaszkową, stół, takąż materią pokryty, z krzesłem dla mnie. Po lewej stronie na boku stał drugi stół dla królewskiego fiscusa i obu sekretarzy. Na chórze powyżej organów umieszczony był orzeł cesarski, a podłoga była całkowicie tapetami wyłożona.

„Szlachta narodowa zajęła miejsca w kościele bez różnicy, chór i boczne miejsca były przeznaczone dla innej szlachty obojga płci, gości cywilnych i wojskowych oraz dla honoracyorów wszelkiego rodzaju, którzy bardzo licznie pośpieszyli na tę uroczystość i przez strażę, ustawioną u wszystkich drzwi, wpuszczani byli do kościoła, o ile to bez obawy przykrego ścisku możliwym było. Na przeznaczonym dla mnie stole złożono przywileje stanowe, a gdy zajęłem krzesło dla mnie ustawione, fiscus i obaj sekretarze stanęli przy drugim stole. W krótkości przedstawiłem szlachcie dobrodziejstwo, jakie na nią z zaprowadzenia Stanów spływa, a potem kazałem pierwszemu sekretarzowi Feldhoferowi odczytać głośno przywilej. Po nim fiscus odczytał głośno i dobitnie treść przysięgi, złożonej się mającej, a sekretarz prezydyalny Wenger przypomniał, że zgromadzona szlachta ma trzy palce do góry podnieść i za mną powtarzać formułę przysięgi, którą też potem wygłosiłem i którą za mną wszyscy powtórzyli. Teraz ozwała się pierwsza salwa karabinowa, dana przez wojsko pod kościołem ustawione, a zarazem salwa z dział na wałach. Potem wy-

głosiłem krótką przemowę, na którą imieniem całej szlachty odpowiedział łaciński arcybiskup Kicki, dobrze ułożonem podziękowaniem. Po tej mowie szlachta w całym komplecie udała się do kościoła katedralnego, dokąd i ja udałem się w takim samym otoczeniu i w takim samym porządku, jak do kościoła pojezuickiego. Podczas podniesienia ozwała się druga salwa karabinowa i działowa, a gdy arcybiskup Kicki zaintonował „Te Deum“, dano trzecią salwę.

„Po skończonem nabożeństwie w ten sam sposób odjechałem do mojego mieszkania, gdzie odbył się obiad dla znakomitszych osób ze szlachty, dla biskupów, szefów samodzielnych urzędów, generałów i oficerów sztabowych, razem około 40 osób. Podczas obiadu trzy razy t. j. przy toastach na pomyślność Najjaśniejszego Pana, najdostojniejszego domu cesarskiego i Stanów, zagrzmiało 44 dział wśród wesolego odgłosu podwójnego chóru trąb i kotłów. Na przyjęcie szlachty wynajęto dom Korytowskich, w którym zastawiono sześć stołów dwa po 60 a cztery po 20 nakryć. Wieczorem odbyła się u mnie kolacja na 40—50 osób, a potem w domu Korytowskich bezpłatna reduta, na którą szlachta, radcy i oficerowie mieli wstęp wolny, a inni znamienitsi urzędnicy nie szlacheckiego pochodzenia, członkowie magistratu i mieszczañstwo za biletami. Pokoje piętrowe, w których znajdowała się muzyka, były na tańce przeznaczone, a na dole podawano każdemu chłodniki, zimne potrawy i wino.

„Następnego dnia, 12 września, były u mnie znowu, obiad i kolacja, a w domu Korytowskich zastawiono powtórnie sześć stołów na 200 osób, dnia 13 września oprócz obiadów urządziłem wieczorem przyjęcie, na którem przybywających ugościłem chłodnikami różnego rodzaju.

„Dnia 14 września odbyło się pierwsze zgromadzenie Stanów, na którem wybrano deputatów do wydziału, sekretarza stanowego i archiwaryusza. Potem były obiady, u mnie i w domu Korytowskich, a wieczorem spalone zostały, przez umyślnie na tę uroczystość wprowadzonego, wiedeńskiego pirotechnika Stuwera, ognie sztuczne, którym wszyscy przypatrywać się mogli. Dla dam i szlachty urządzono osobną galeryę, z której wygodniej można było oglądać to przedstawienie. Wreszcie 15 września po obiadach, danych tak samo, jak poprzednio, i po kolacyi u mnie, zakończono pięciodniowe uroczystości ponowną, bezpłatną redutą. Proszonym na obiady członkom Stanów i reszcie szlachty oraz oficerom sztabowym, rozdałem u siebie, każdemu własnoręcznie, a w domu Korytowskich przez komisarzy przy każdym stole posadzonych, małe złote i duże oraz mniejsze srebrne monety pamiątkowe. Tylko znakomitsi magnaci i szefowie otrzymali duże, złote medaliony“.

Końcowy punkt całego programu przyjęć gubernatorskich, bezpłatna reduta, stanowił niejako symboliczny finał tej maskarady konstytucyjnej, która byłaby kompletną, gdyby w powyższej relacji hr. Brigida znajdował się jeszcze ustęp o tłumach ludności, witających entuzjastycznemi okrzykami rządowych i stanowych matadorów za każdym ich pompatycznym pojawieniem się na ulicy. Niema jednak takiego ustępu w relacji gubernatorskiej, czego zapewne nie należy położyć na karb zapomnienia lub skromnej dyskrecyi. Hr. Brigido był nadto poważnym, a do tego i prawym, żeby to chciał wprost zmyśleć dla przypodobania się swojemu monarsze, chociaż podczas festynów gubernatorskich, zwłaszcza podczas obliczonych na rozweselenie społeczeństwa, pewnie nie obeszło się bez tłumu gapiów, w których bez kontroli wmówić można było wezbrane uczucia lojalności i zachwyty dynastycznego. Hr. Brigido był w ogóle wstrzemięźliwym w opisywaniu hałaśliwych uroczystości stanowych, z czego jak niemniej z innych szczegółów, mianowicie ze znacznych wydatków, oczywiście ze skarbu państwa pokrytych, i z wysłania pirotechnika wiedeńskiego do Lwowa, wnosić można, że był nie autorem, lecz tylko ścisłym wykonawcą, podyktowanego mu w Wiedniu programu festynowego.

W inny jednak sposób, za pomysłem i wpływem hr. Brigida, skompletowana została cała ta maskarada konstytucyjna. Grono członków zebrania stanowego, prędzej na własny rachunek niż z jego upoważnienia, wystosowało do cesarza Józefa II, zaraz po zakończeniu uroczystości instalacyjnych, adres dziękczynny, pełen uwielbienia dla monarchy, tak samo, jak pełną przesady była cała ta uroczystość. Historyk upatrujący w utworzeniu galicyjskiej gwardyi szlacheckiej dla parady dworskiej w Wiedniu, ujawnienie dążności do wyniesienia Galicyi na równe Węgrom stanowisko konstytucyjne, mógłby snadnie w tym adresie znaleźć dowód, że także i w ówczesnym nastroju szlachty polskiej w Galicyi, przeblęła świadomość tej dążności, wraz z pełnem zaufaniem do przyszłych rządów Austrii w Galicyi. Oto brzmienie tego adresu, napisanego po francusku, a podpisanego przez Andrzeja hr. Zamoyskiego, Ignacego hr. Cetnera, Antoniego hr. Krasickiego, Michała Wielhorskiego, Józefa Bratkowskiego i Samuela Lewickiego:

„Od czasu przejścia pod rządy dostojnej dynastyi austryackiej aż do tej chwili szlachta Galicyi i Lodomeryi nie mogła jej złożyć innych dowodów swojego oddania i przywiązania, jak tylko swoją powolnością, uległością i ślepem posłuszeństwem (*l'obéissance la plus aveugle*). Wprawdzie nagła zmiana rządu, z początku przeraziła umysły ludności zawsze bardzo przejętej, a nawet zentuzjazmowanej swoją wolnością, wprawdzie pierwsze rozporządzenia wzbudziły

w niej pewną trwogę, a nawet przestrasz paniczny, co stanowi naturalny i nieunikniony skutek wszelkiej nowości, następstwa jednak zaczęły rychło rozpraszać obawy i odsłaniać realne korzyści, które stanowczo zapewnia rząd uważający za swoją podstawę, dyrektywę i cel dobro każdej jednostki i szczęście całego kraju. Odkąd naród poznał Waszą Cesarską Mość, odkąd spostrzegł, że jego monarcha chce wysłuchać życzliwie i bez różnicy wszystkich swoich poddanych oraz przyjmować dobrotliwie ich zażalenia, odkąd naród uczuł skutek ojcowskiej troskliwości W. C. M. w sprawie monopolu soli, wszystkie jego obawy znikły, a w ich miejsce wstąpiła nadzieja najlepsza. W końcu ustanowienie Stanów przekonało nas, że bez predylekcyi dla dawnych poddanych, W. C. M. korzyści nowych poddanych zalicza do swoich najszczęśliwszych zajęć. Zapewniając uszczęśliwienie wszystkim klasom ludności W. C. M. daje poznać całemu światu, że nie chce mieć niewolników w żadnym kraju swoim. Czyż można sobie wyobrazić motyw silniejszy, aby przywiązać nas wszystkich węzłami nierozzerwalnymi do naszej ojczyzny i do naszego monarchy? Hasło monarchy, który zaznacza początek rządów swoich aktami ludzkości, szlachetności i podniosłości ducha, może tylko podniecić gorliwość każdego poddanego, a wzbudzając w nim cześć, miłość i zaufanie tak go nastroić, aby niezawodnie stał się zarówno wiernym poddanym, jak i pożytecznym obywatelem. Uznajemy wszystkie te korzyści. Przejęci najżywszą i najszczęśliwszą wdzięcznością ośmielamy się prosić W. C. M. o pozwolenie, aby przynajmniej dwaj nasi współobywatele mogli bez kosztów dla Stanów zanieść do stóp tronu nasze serca przepełnione miłością, wiernością, przywiązaniem i najzupełniejszym poświęceniem. Ogłoszenie przywilejów zawartych w ostatnim dyplomie, stanowić będzie w naszych annałach epokę na zawsze pamiętną. Pragniemy tego, aby akt ten, uwydatniający tak dobrze w naszych oczach podniosłość duchową W. C. M. i wnoszący fundamenta dla szczęśliwości nowego ludu W. C. M., został wydrukowany i opublikowany całemu narodowi w tym celu, aby każdy mógł nieustannie żywić w sercu swoim obowiązki wierności i pobudki wdzięczności.“

Jakiż to smutny obraz zgnębienia, upadku na duchu, jednym słowem, zupełnej prostracyi, przedstawia się w tym adresie! O biedzie i potrzebach kraju niema ani słówka, a gęstą mgłą frazeologii adresowej osłonięto lakoniczną tylko wzmiankę o pierwszych rozporządzeniach rządu austriackiego w Galicyi, które wzbudziły „pewną trwogę, a nawet przestrasz paniczny“ i zaraz potem autorowie adresu, jak gdyby okazać chcieli, że ten przestrasz, jeszcze ich nie opuścił w chwili pisania adresu, nazywają to wszystko tylko

„naturalnym i nieuniknionym skutkiem wszelkiej nowości i rozplywają się w uwielbieniu całego postępowania Józefa II. Wprost już na śmieszność zakrawa ostatni ustęp, gdzie, jakby o jaką wielką łaskę, autorowie adresu proszą o pozwolenie, aby dwaj współobywatele mogli własnym kosztem pojechać do Wiednia i powtórzyć u stóp tronu całą w adresie zawartą frazeologię dziękczynną. Co stanowi obowiązek każdego rządu w ogóle, t. j. jak najszersza publikacja wszystkich ustaw i rozporządzeń, a tem więcej takich aktów konstytucyjnych, jakim wrzekomo był nowy dyplom stanowy, to w adresie przedstawione jest jako pragnienie, którego spełnienie miałyby oczywiście być poczytane za nowy dowód monarszej łaskawości i w konsekwencji może za pretekst do—nowego adresu dziękczynnego.

W kilka lat później świeży prąd polityczny, który z sejmu warszawskiego, przygotowującego konstytucję majową, mimo czujności kordonowej dostał się do Galicyi, jakby cudowną siłą pokrzepił i ożywił ducha publicznego w całym polskim społeczeństwie Galicyi. Z innego jeszcze powodu sytuacja uległa tutaj zupełnej zmianie. Do następcy zmarłego Józefa II, do cesarza Leopolda II, którego wstąpienie na tron, poprzedziły wielką otuchę wzbudzające wiadomości o zapowiadającym się nowym systemie rządów, pospieszyła do Wiednia już bez poprzedniego błagania o pozwolenie i nie na własną rękę, lecz za zgodą całego obywatelstwa polskiego, nowa deputacja galicyjska z nowym adresem albo raczej memoriałem i z projektem nowej konstytucyi dla Galicyi, projektem szczegółowo opracowanym, oryginalnym i zupełnie odmiennym od szablonu stanowego, reklamującym dla Galicyi stanowisko odrębne, pod niejednym względem wybitniejsze od tego, jakie w monarchii Węgry zajmowały. Jakże odmiennie od adresu brzmi memoriał wręczony w 1790 r. cesarzowi Leopoldowi II, a podpisany przez Stanisława ks. Jabłonowskiego, Mikołaja hr. Potockiego, Józefa Maxymiliana hr. Ossolińskiego, Jana hr. Bąkowskiego, Piotra Zabilskiego i Jana Batowskiego.

Dla zaznaczenia wielce charakterystycznego kontrastu między poprzednim a tym nowym adresem, przytoczymy tutaj tylko urywkowe ustępy, które stanowią formalne *desaveu* tego wszystkiego, co przedtem o rządach austryackich wypowiedziano w adresie józefińskim, które zatem jako tym razem szczere wynurzenie, uważać należy za wierny wyraz opinii całego obywatelstwa o całym dotychczasowym postępowaniu rządów austryackich w Galicyi.

„Bez przesady można powiedzieć—mówi nowy adres—że Galicya, która dawniej Wisłą, Bugiem i Sanem wywoziła wielką część swoich produktów na targi nad Bałtykiem, popadła obecnie w zależność od sąsiadów, nawet co do warunków egzystencyi, a pozbawiona

zupełnie handlu wywozowego sprowadza artykuły żywności z Polski, inne przedmioty zaś potrzebne do codziennego życia z innych prowincji monarchii, wskutek czego znany jej jest tylko najgorszy rodzaj handlu, t.j. handel przywozowy. Rolnictwo, ta silna podstawa bogactwa krajowego w państwie, a jedyne źródło bogactwa w kraju rolniczym, zupełnie upadło w Galicyi. Jej ludność zmniejsza się widocznie z dnia na dzień, pieniądź odpływa z niej ku zagranicy, odsetki od kapitału idą w górę, wartość dóbr spada, a z tych, co w chwili rewindykacji uchodzili za majątnych, dziś zaledwie niektórzy dobrze się mają. Kapitałiści, którzy pragnęli zostać właścicielami ziemskimi, zaraz po nabyciu majątków ziemskich znaleźli się wobec grozy bankructwa. Wysokość podatków przewyższa czysty dochód opodatkowanych, a ciężary pośrednie pozbawiają ich nawet tego, co jest do życia potrzebnem. Wszystko jest obłożone ciężarami, nie wyjmując kapitałów ulokowanych po za krajem pod osłoną innego rządu. Narodowość polska unicestwiona, zamiast być częścią integralną monarchii, stała się poddaną narodu panującego. Obywatel usunięty od wszelkiej funkcji w administracji, stał się obcym we własnej ojczyźnie, nie może ani dostąpić zaszczytu służenia krajowi, ani znaleźć sposobu dopełnienia najwyższych obowiązków wobec kraju i swojego monarchy. Nie wiele braknie, żeby interesa prywatne, tak samo jak publiczne, dostały się w ręce obcych przez zaprowadzenie w trybunałach sądowych języka, którego nie z własnej winy nie znamy. Stany są tylko cieniem, przedstawiającym faktycznie unicestwioną narodowość, a wskutek błędnej organizacji nie są nawet w stanie u stóp tronu wyrazić żalów i zwątpienia całego narodu... Wolność naturalna i obywatelska, prawa nienaruszalne człowieka i obywatela, są skrępowane więzami wielu przepisów, które bądź to temu, kto w kraju rodzinnym popadł w niełaskę uniemożliwiają szukanie lepszego losu po za jego granicami i opuszczenie społeczeństwa, w którym czuje się nieszczęśliwym, bądź krępują właściciela w rozporządzeniu mieniem, zdobytem w pocie czoła. Nawet notorycznie nieposzlakowani ludzie drżą na myśl prawa karnego, gdyż błędy, uchybienia i przestępstwa są pomieszane ze zbrodniami i dotknięte takim samym rodzajem kary, wcale niestopniowanej według głosu opinii. W stosunkach domowych nie istnieje już ta łączność interesów, która niegdyś wzmacniała węzły rodzinne. Dziedzic widzi w włościaninie człowieka ciągnącego korzyści z jego strat, a włościanin upojony jest nadzieją, że zabierze resztę uprawnień dziedzica. Ów węzeł władzy, który utrzymywał wszystkich poddanych, jednych przez drugich, w zawisłości od władzy najwyższej, za pomocą którego szef ustroju politycznego silnie oddziaływał nawet na klasy naj-

więcej od centru akcji oddalone, został zerwany. Niemniej smutnem jest to, że zaufanie, mające łączyć członków państwa z rządem, zostało od chwili, gdy on nie dopełnił wielu zobowiązań zaciągniętych wobec poszczególnych obywateli, tak zachwiane, iż nawet najkorzystniejsze jego propozycje przyjmowane są z nieufnością. Ustawy dawne pozostają bez mocy, a ponieważ nowe nie są wcale zastosowane do fizycznych i moralnych potrzeb kraju, ani nie zostały dotąd pod innymi względami skrupulatnie ze stosunkami rozważane; gdy za jednym zamachem obalono dawne urzędnia; jak wiele przyczyniać się musi do dowolności niższych organów brak ścisłości w rozporządzeniach, mnogość zakazów rozmaitych i niestałość systemów! Najlojalniejszy obywatel nie zdoła uniknąć tego, żeby się nie stał winnym jakiego przekroczenia. Władza wykonawcza nie jest wprawdzie dość silną, aby utrzymać w mocy ustawę szkodliwą dla całego kraju, ale aż nadto jest silną, gdy chodzi o jej przeparcie na udrczenie jednostki. Jest to niewątpliwie najsmutniejsze położenie społeczeństwa, jeżeli ustawa, mająca jak tarcza zasłaniać spokojnego obywatela, zostaje przeciw niemu skierowana, jakby broń zaczepna, jeżeli urzędnicy powołani do wykonania najwyższej woli, przez interpretację ustaw uzurpują dla siebie niejako władzę ustawodawczą, gdy wreszcie sami urzędnicy mogą nadto jeszcze zaostriąć surowość rozporządzeń dokuczliwością osobistych charakterów. To też w takim stanie rzeczy, istotnie jesteśmy wystawieni na despotyzm urzędników cyrkularnych i wydani na pastwę tłumu komisarzy. Nawet sądownictwo powiększa brzemień ciężarów. Nie rozwija ono dostatecznej siły, aby zabezpieczyć własność i wolność obywateli, aby osłaniać i bronić niewinnych. Przemozna w kraju jurysdykcya polityczna przygniata powagę sądownictwa... Nasze dolegliwości wzrastają nieustannie, a sprawa pańszczyzniana doprowadziła je do szczytu... Taki jest smutny, ale prawdziwy obraz naszego położenia. Tylko mądrość Waszej Cesarskiej Mości może ustrzedz wiernych poddanych od ruiny grożącej z anarchii, której na pastwę jesteśmy oddani.“

O galicyjskim projekcie konstytucyjnym z r. 1790, o obradach prowadzonych w tej sprawie w najwyższej warowni biurokratyzmu austriackiego, w kancelaryi nadwornej, częściowo i chwilowo przy udziale deputatów galicyjskich i o upadku projektu, z przedczesnym zgonem cesarza Leopolda II, posiadamy monografię wyczerpującą co do żądań sformułowanych w poszczególnych punktach projektu.¹⁾ Czy-

¹⁾ Prof. dr Stanisław Starzyński: Projekt galicyjskiej konstytucyi 1790 r. Charta Leopoldina—Lwów, 1893 r.

telnika, chcącego poznać w całości ten bardzo ciekawy akt polityczny z doby porozbiorowej, musimy odesłać do tej monografii. Tutaj zaznaczymy tylko, że dzisiejsze pokolenie polityczne, które tak wiele rozprawia o planie wyodrębnienia Galicji, a nie zdobyło się jeszcze dotąd na pozytywny, w szczegółowym sformułowaniu postulatów i sposobu ich wykonania, wykończony projekt, powinno być oględne i pobłażliwe w wydawaniu sądów o tym akcie z przed 115 lat, mianowicie o jego nieskładności, do pewnego stopnia nawet naiwności ze stanowiska postulatów, które dzisiejsza nauka o państwie stawia co do stosunku władzy ustawodawczej do wykonawczej i t. p. Zresztą w całkowitą wykonalność tego projektu nie wierzyli zapewne sami twórcy. W każdym razie jednak mogli spodziewać się, że życzliwym dla Galicji intencjom cesarza Leopolda II dostarczyli pożądanego substratu do takiego unormowania ustroju konstytucyjnego tej prowincji, jakie w danych warunkach najlepiej odpowiedziałoby tak narodowym aspiracyom społeczeństwa polskiego, jak i interesowi państwa pod względem utrwalenia rządów w najświeższym nabytku terytoryalnym.

Akcy deputatów galicyjskich w Wiedniu, ożywiła nadzwyczajnie polityczne życie w ówczesnym społeczeństwie polskiem Galicji. Pozawiażywały się pod okiem dość liberalnie na cały ten ruch patrzącego gubernatora hr. Brigida, komitety obywatelskie w stolicy i w kraju, toczyły się na nich ożywione obrady i prowadzona była między ich członkami obfita korespondencya, jednym słowem rozbudziło się chwilowo takie życie polityczne, jakiego nie było jeszcze w Galicji od chwili jej przyłączenia do Austrii, jakiego nie można było nawet oczekiwać po martwocie józefińskiego okresu, kiedy to „powolna, uległa i ślepo posłuszna“ szlachta streszczała swoje adresowe dezyderaty w błagalnej prośbie o—opublikowanie dyplomu stanowego! Z pism i listów przechowanych z tej doby, w rękopiśmiennych zbiorach lwowskiego Zakładu Ossolińskich, powziąć można nawet korzystne wyobrażenie o rozbudzonym, za wpływem jednoczesnej akcji sejmu czteroletniego, zmyśle politycznym w nowowstępujących na widownię działaczach publicznych. Z wielką ostrożnością np. rozbięra jest poruszona wówczas, nietylko w kraju lecz także i w Węgrzech myśl, aby z tytułu rewindykacyjnego wysnuć żądanie przyłączenia Galicji do królestwa węgierskiego. Późniejsze wypadki, nie mówiąc już o najświeższych, wykazały słusność tej ostrożności i nieufności.

Deputaci galicyjscy w Wiedniu trafnie ocenili potęgę biurokracyi i dla tego z największą usilnością dążyli do tego, aby ona nie stała między nimi a cesarzem Leopoldem II, z którego ust na au-

dyencyi usłyszeli wiele oświadczeń zachęcających. Z drugiej strony znowu, biurokracya, opierająca całą potęgę swoją na odgradzeniu murem chińskim poddanych od monarchy, widziała, że gdyby co do Galicyi powiódł się zamach na tę podstawę jej wszechmocy, to z poniesionej klęski, albo wcale, albo nie rychło mogłaby się podźwignąć. Gdy cesarz zdawał się być skłonny do uwzględnienia życzeń deputatów, aby dwaj z ich grona pozostali w Wiedniu i uczestniczyli w obradach komisyjnych kancelaryi nadwornej nad wniesionym projektem konstytucyjnym, jędra biurokratyczna rzuciła się z całą zaciekłością przeciw temu żądaniu. W ówczesnych protokołach wiedeńskiej kancelaryi nadwornej mieści się zjadliwe oświadczenie w tej mierze. Komisya uznaje w tem oświadczeniu „usunięcie galicyjskich deputatów od wszelkiego dalszego wpływu na załatwienie spraw krajowych, rzeczą jaknajdobitniejszej konieczności i jak najwyższej wagi“ i tak mówi dalej: „Niemożna sobie wystawić nic więcej poniżającego dla tronu, nic zgubniejszego, jako przykład dla innych prowincyi, jak samo wejście w rozprawę z deputatami galicyjskimi w sposób formalny... Propozycye ich są tego rodzaju, że dziwić się należy, iż one w ogóle powstać mogły... Naród jest spokojny i spokojnie oczekuje decyzji Waszej Cesarskiej Mości o przyszłej konstytucyi krajowej. Przyjmie ją też z uczuciem wdzięczności i uległości, jeżeli tylko rozmyślnie nie zostanie przeszkoda w tej mierze postawiona. A dopuszczenie deputatów do obrad, niezawodnie wywołałoby ten skutek zgubny. Już w pierwszej chwili, zanim jeszcze co w znanej sprawie postanowiono, gdy dopiero toczyły się rozmowy między referentem galicyjskim a hr. Ossolińskim, korespondencya deputatów z różnemi osobami w Galicyi sprowadziła nieprzyjemności. Raz obiegała po kraju lista urzędników, których oddalenia deputaci wyjednać mieli, a z których wielu zaniepokojonych o swoją przyszłą egzystencyę, popadło w bezczynność w służbie, drugi raz znowu rozsiewano inne baśnie, zawsze obliczone na rozluźnienie węzłów posłuszeństwa. Czegóż dopiero możnaby oczekiwać po legalnej interwencji deputatów w obradach kancelaryi nadwornej? Każda poczta rozwozić będzie wiadomości o ich patryotycznej walce z ministerstwem. Wskutek tego wszystkie głowy na nowo się rozgorączkują, wzrośnie nieufność szlachty wobec rządu, a wreszcie według naturalnej dyspozycyi u ludzi, których oczekiwanie zwrócono w naprężeniu ku rzeczom nadzwyczajnym, uwaga powszechna zwróci się nie na przyznane, lecz na odrzucone żądania“.

Zaniepokojonej biurokracyi przyszły w pomoc wypadki dziejowego znaczenia: przedwczesny zgon cesarza Leopolda II, po dwuletniem zaledwie panowaniu, i zwrot niepomysłny konstytucyjno-rege-

neracyjnej akcji sejmu warszawskiego. Z cesarzem Leopoldem II poszły do grobu nadzieje i szanse, że Galicya otrzyma jeżeli nie konstytucyę w zakroju, jaki jej deputaci lwowscy zakreślili, to przynajmniej w najgorszym razie takie udoskonalenie ustroju stanowego, aby społeczeństwu polskiemu dane były warunki normalnego życia i rozwoju pod względem narodowym i ekonomicznym. Cesarz Leopold II, żywił dobre intencye dla Galicyi, a nadto liczył się z tem, że akcyą sejmu czteroletniego mogłaby w danym razie zachwiać rządy austriackie w Galicyi. W jego następcy, cesarzu Franciszku I, motyw pierwszy był wykluczony, a motyw drugi, wobec wypadków, jakie się za kordonem rozgrywać zaczęły, wychodził z rachuby politycznej. Nadto od zachodu zachmurzył się widnokrąg, tak, że w przewidywaniu wielkiej i długiej zawieruchy wojennej, uwaga dotąd na sprawy wewnętrzne zwrócona, zupełnie osłabnąć musiała.

Rozwiały się wszystkie nadzieje Galicyi łączone z projektem konstytucyjnym z r. 1790, ale całkiem na marne nie poszła ta akcyą. Związana genetycznie z akcyą sejmu czteroletniego, stanowiła ona, jak to już zaznaczyliśmy, ożywczy prąd polityczny, który omdlewające w dusznej atmosferze józefińskiego okresu społeczeństwo polskie w Galicyi, pokrzepił w poczuciu narodowem i wzmocnił w świadomości i energii sił, a tem samem zahartował do znoszenia dalszych przejść i dolegliwości.

II.

Po cesarzu skłonnym i zdolnym do traktowania spraw konstytucyjnych z szerszego widnokręgu politycznego, wstąpił na tron Habsburgów cesarz, który formalną czuł odrazę już nietylko do treści, lecz nawet do samego brzmienia wyrazu: konstytucya. Lekarz przyboczny cesarza Franciszka I, br. Stifft, opowiadał — a opowiadanie to dosłownie zapisali współcześni pamiętnikarze — że gdy raz w rozmowie z cesarzem podnosił jego zdrowie i w ogóle silną konstytucyę organizmu, usłyszał z ust cesarskich te słowa, wypowiedziane z pewną indygnacją: „Co też pan mówisz! Jesteśmy starzy znajomi i dobrze z sobą, ale panie Stifft, tego słowa niechcę nigdy od ciebie słyszeć. Mów pan, że mam wytrwałą naturę, albo — niech już i tak będzie — dobrą kompleksyę, ale dobrej konstytucyi nigdzie niema. Żadnej konstytucyi nie mam i nigdy jej mieć nie będę“.

Po cesarzu, uczuwającym niemile nieznośne więzy biurokracyjnej metody rządów i jej zapory na każdym kroku, a tem samem skłonny do liberalnego wyemancypowania się z tradycyjnej martwoty, zasiadł na tronie austriackim monarcha, który w tej metodzie był rozmiłowany. Cesarz Franciszek I, z wielką pasją zagrzebywał się w aktach, jak skostniały biurokrata i nie mając świadomości, jak dalece opóźnia tem tok spraw i jak wiele tem szkody państwu i interesowanym poddanym wyrządza, chępił się swoją drobiazgową pracowitością biurokratyczną; mówił często, wprawdzie żartobliwie, ale z pewnym odcieniem dumy, że mogłoby być bardzo użytecznym hofratem“.

Dla cesarza-hofrata nawet bez tych wypadków, które, jak powiedzieliśmy, ubiły galicyjski projekt konstytucyjny, nie miały on żadnego znaczenia. Cesarz-hofrat byłby się nawet chętnie obszedł bez kuszyci Stanów kreacyi józefińskiej, gdyby chodziło było tylko o sam interes Galicyi. Nie było to jednak rzeczą obojętną dla państwa, żeby jedna tylko Galicya, pomiędzy wszystkimi prowincjami, miała być Stanów pozbawiona. Mogłoby to bowiem było uchodzić za stan odrębności w tem znaczeniu, że Austria nie ustaliła się jeszcze w najmłodszej prowincyi swojej i jest chwiejną co do sposobu rządzenia. Takiego pojmowania rzeczy nie należało nawet z pozorów dopuścić w porze tak burzliwej, gdy zmienne koleje wojenne miały się tak silnie odbijać na granicach państwa, zwłaszcza na granicach posiadłości polskich.

Brak sejmu stanowego, albo raczej brak wydziału stanowego, jako jego stale urzędującego organu wykonawczego, który sejm z łona swojego za zatwierdzeniem cesarskiem na sześć lat wybierać miał a do którego nielicznych i niedoniosłych atrybucyi, należało także „najuniżeńsze“ czy „najposłuszniejsze“ odpowiadanie na zapytania gubernialne co do zamierzonych w Wiedniu nowych projektów lub urządzeń—uczuwały niejednokrotnie władze centralne, niezłomne w szablonowej metodzie traktowania kwestyi tego rodzaju, a tem samem przywiązujące wagę nawet do takiej niejako dekoracyjnej instytucyi. Wydziały te mogły być piątem kołem u wozu, ale nie to nie znaczyło, jeżeli biurokracya przyzwyczaiła się do — jazdy wozem o pięciu kołach!

Kiedy z innych prowincyi otrzymywano na zawołanie takie opinie wydziałów stanowych i na nich dało się oprzeć fikcyę biurokratyczną, że się posiada substrat potrzebny do wszechstronnego uwzględnienia stosunków i potrzeb każdego kraju, z Galicyi nie można było wydobyć takiego materiału. A właśnie dla utrzymania fikcyi powyższej, materiał galicyjski był najpotrzebniejszy w takich razach z te-

go powodu, że referent bez popełnienia krzyżującego absurdu, nie mógł co do Galicyi, jako najmłodszej prowincyi państwa, wysnuwać tak samo, jak to, co do innych prowincyi byłoby możliwem, analogii z reszty materiału, np. z operatu czeskiego lub styryjskiego. Trzeba więc było polegać na samej relacyi gubernatora, a ponieważ w pierwszym okresie rządów austryackich w Galicyi gubernatorowie często się zmieniali i jako zupełnie obcy krajowi nie łatwo i nie prędko zdolali się orientować, przeto relacye ich opóźniały się i stanowiły kruchą podstawę.

Kiedy w r. 1802 rząd centralny pod naciskiem wszystkich tych okoliczności, zamierzył wreszcie zwołać galicyjski sejm stanowy, głównie dla wyboru wydziału stanowego, pokazało się, że zastosowanie patentu józefińskiego z r. 1782, wydanego dla ówczesnej z pierwszego podziału Polski, przyznanej Austrii—Galicyi, do prowincyi powiększonej nabytkami nowemi z trzeciego podziału, nie da się przeprowadzić, bez poprzedniego rozwiązania niektórych kwestyi wątpliwych, albo raczej bez wydania nowego dyplomu stanowego. Toczyły się nad tem obrady w kancelaryi nadwornej, a ponieważ zdania wypowiedziane w tej mierze przez gubernatora galicyjskiego i przez członków tej kancelaryi, nie były zgodne, przeto przedłożono rzecz całą do decyzji cesarzowi, który na samym akcie takie napisał postanowienie: „Kancelarya nadworna ma mi najpóźniej do ośmiu dni oznajmić, czy nie byłoby to najstosowniejsze wyjście, jeźlibym zastrzegł sobie wskazanie sześciu deputatów wydziału po części z wschodniej, po części z zachodniej Galicyi i ustanowił ich z dożywotnią funkcją. Jeźliby przeciw takiemu postępowaniu przemawiały ważne względy, należy mi je dokładnie przedstawić“.

Z tej decyzji cesarskiej jasno się okazuje, że najpierw cała konstytucya stanowa uważana była nawet tam, z kąd wyszła, za czczą tylko formę, skoro najważniejsza atrybucya sejmu stanowego, wybór deputatów wydziałowych, mogła być tak łatwo zignorowana; że powtóre, w ciągu kilku lat zaginął już na dworze wiedeńskim wszelki ślad rokowań, wywołanych życzliwemi dla Galicyi dyspozycjami cesarza Leopolda II, skoro cesarz Franciszek I, zamierzał wcale nie oglądać się na to, jakie wrażenie sprawi w społeczeństwie polkiem takie doraźne zeskamotowanie nawet tej, dotąd posiadanej odrobiny konstytucyi czy iluzyi konstytucyjnej.

Kancelarya nadworna, odpowiadając na polecenie cesarskie nad wszelkie spodziewanie zajęła stanowisko odporne, uznając niestosowność takiej nominacyi deputatów, jaką cesarz wybór ich przez sejm zastąpić zamierzał. Był to niezawodnie dowód przewagi skrupułów nad powolnością biurokratyczną dla skinień monarszych, ale nie skru-

pułków konstytucyjnych, ani skrupułów podyktowanych względami na opinię i interesa społeczeństwa polskiego. Kancelarya nadworna ugięła się zawsze pod ciężarem tylu skrupułów czysto biurokratycznej natury, że na takie, jak powyższe, już w jej sumieniu absolutnie miejsca nie było. W jej obecnych deliberacjach przeważał ten wzgląd formalistyczny, że przedewszystkiem należy nowym dyplomem rozciągnąć józefińską konstytucyę stanową na zachodnią Galicyę, świeżo do państwa przyłączoną, a dopiero potem, po formie zwołać sejm i pomyśleć o wyborze stałego wydziału. Skoro zaś raz stało na tem, że ma być wydany nowy dyplom, powstała zaraz dalsza kwestya, czy i jak w nowym dyplomie zmienić należy niektóre postanowienia dawnego. Na ten temat zawiązano korespondencyę z gubernatorem galicyjskim i po wysłuchaniu jego opinii, rozpoczęto dalsze deliberacye. Wlokły się one całe lato a ich rezultat archiwalny łącznie z ciągłą w tym czasie korespondencyą z gubernatorem galicyjskim, stanowi monumentalny okaz ociężałości biurokracyi austriackiej. Cesarz Franciszek I nie tylko nie starał się przełamać jej szybką decyzyę, lecz owszem sam niejako zachęcający przykład dawał swoją notoryczną skłonnością do zaprzętania się drobiazgowymi szczegółami, kosztem omijanych, lub ciągle odraczanych ważniejszych kwestyi.

W rozwlekłych obradach osobno do tej sprawy ustanowionej komisji kancelaryi nadwornej nie chodziło oczywiście o to, jak należy uzupełnić lub zmienić józefińską konstytucyę stanową w tym celu, aby ona ile możności odpowiadała parlamentarnym tradycjom i aspiracyom społeczeństwa nowo nabytej prowincyi, lecz o to, aby zwiększoną Galicyę w jaknajprostszy sposób i w jak najkrótszej drodze wcisnąć niewolniczo w kusy szablon konstytucyjny, dziedzicznych krajów monarchii. Szeroko omawiano w tych obradach sposób, w jaki nowy galicyjski sejm ma być złożony. Postanowienie dyplomu józefińskiego, że o prawie zasiadania szlachty w sejmie, rozstrzyga cenzus podatkowy (75 złr. podatku dominikalnego), wydało się obradującym niepodobnem do utrzymania w mocy, gdyż w takim razie nie byłoby w całym kraju sali tak przestronnej, aby w niej zasiąść mogli wszyscy uprawnieni ze wschodniej i zachodniej Galicyi. Musiała się zatem nie z dobrej woli, lecz siłą konieczności wyłonić myśl, żeby uprawniona do sejmowania szlachta wybierała z każdego obwodu po kilku członków ze swojego grona, ale zaraz odezwał się zarzut, że podobne zjazdy wyborcze szlachty, przypominałyby dawne sejmiki polskie. Widmo sejmików wystarczyło, żeby myśl tę uznano niewykonalną. A do tego i sama idea wyborów zastraszać musiała skostniałych biurokratów. Zaczęło się zatem przemyśliwanie nad biurokra-

tycznymi sposobami takiego określenia cenzusu podatkowego, aby on bez wyborów mógł wystarczać za tytuł do zasiadania w sejmie, bez obawy, że zbyt wielu będzie powołanych do sejmowania.

Wszystkim tym, lata trwającym deliberacyom i korespondencyom informacyjnym, kres położyła katastrofa wojenna z r. 1809, po której Galicya austryacka tak się skurczyła, że kancelarya nadworna mogła ochłonąć z obawy—o brak sali na pomieszczenie sejmu stanowego! Teraz już łatwiejszem stało się przystosowanie dyplomu józeffińskiego do nowej, skurczonej Galicyi, ale na Europę i Austryę spadła wkrótce potem znowu, taka zawierucha wojenna, że wszystkie sprawy wewnętrzne musiały zejść na plan ostatni.

Dopiero w r. 1815 weszła w Wiedniu znowu na porządek dzienny sprawa konstytucyi galicyjskiej, ale już wśród zupełnie zmienionej sytuacji. W dobie tych wielkich wypadków dziejowych, które poprzedziły kongres wiedeński, rozszerzył się także widnokrąg polityczny austryackich mężów stanu w tej sprawie, a nadto, zamysły cesarza Aleksandra I, co do utworzenia Królestwa Polskiego, obudziły niepokój. To też już w początku r. 1815 ówczesny gubernator galicyjski hr. Goess, z własnej inicjatywy wystąpił z memoryalem, w którym przedstawiając swoje pomysły co do załatwienia tak długo przewlekanej galicyjskiej sprawy konstytucyjnej, nazwał dotychczasową politykę rządu w Galicyi „małymi środkami w porównaniu z wielkim celem“. Cel ten bowiem „polega nie na samem tylko przestrzeganiu porządku i spokoju, lecz głównie na tem, aby ta wielka i ważna część składowa monarchii austryackiej, została z nią jaknajściślej połączona i nierozrwalnymi węzłami, wśród możliwych wypadków w przyszłości, zjednoczona“.

Hr. Goess posiadał zmysł polityczny i miał wcale jasny pogląd na sytuację. To też w memoryale swoim, trafnie zwrócił uwagę rządu wiedeńskiego na fakt, że w danej chwili po upadku Napoleona i wśród zachodów kongresu około rekonstrukcyi zachwianego w całej Europie ustroju stosunków państwowych i międzynarodowych, Austrii nadarza się, jak nigdy przedtem, dobra sposobność do trwałego pozyskania sympatyj Polaków i ustalenia swojego panowania w Galicyi. Dopóki świeciła gwiazda Napoleona, urok jego imienia i historyczne sympatyje Polaków dla Francyi, zwracały ku niej wszystkie myśli, uczucia i nadzieje narodu. „Chociaż—pisze dalej hr. Goess—wśród zmienionych stosunków Rosya obecnie stara się objąć rolę Francyi i przybrać pozory państwa opiekuńczego z myślą wskrzeszenia Polski, to jednak z codziennej obserwacyi i nadchodzących relacyi, już dziś stwierdzić to można, że nigdy nie zostanie wzbudzone w Polakach, tak stałe i ofiarne zaufanie, jak dotąd dla Francyi i ce-

sarza Napoleona, jakby ono prawdopodobnie znowu odżyło w razie rozbudzenia nowej nadziei. Można powiedzieć, że i teraz jeszcze cesarz Napoleon posiada nierównie więcej serdecznych zwolenników, aniżeli cesarz Aleksander... Chodzi tedy przede wszystkim o to, aby dzisiejszą chwilę odpowiednio wyzyskać, a przynajmniej nie pozostać w tyle za interesowanymi państwami sąsiednimi". To też hr. Goessowi wydaje się to „ważnem, aby przynajmniej zamiar wydania i wykonania konstytucyi w Galicyi, objawiony został ze strony rządu austrackiego prędzej, aniżeli Rosya i Prusy uczynią to w swoich ziemiach polskich, wskutek czego zabiegi Austrii wydawałyby się tylko naśladownictwem sąsiednich mocarstw".

Przestrożę, że Austriya w postępowaniu wobec Polaków nie powinna pozostać w tyle za Rosyą i Prusami powtarza jeszcze raz hr. Goess w swoim memoryale, dodając, że byłoby pożądanem wziąć zamiary tych państw „pod uwagę i starać się, aby do nich zastosowane były dyspozycye austriackie co do Galicyi, przynajmniej pod względem formy. Formy bowiem wywierają w ogóle wpływ na ducha polskiego narodu, który do zewnętrznej formy przywiązuje wielkie znaczenie i daje się zadowolić nazwami i pozorami często łatwiej aniżeli rzeczywistością przyznanami prawami i dobrodziejstwami, jeżeli tylko przestrzega się przytem ściśle sprawiedliwości i postępowania nie obrażającego poczucia honoru". Ta, nie pozbawiona uprzedzeń, charakterystyka społeczeństwa polskiego, powtarza się jeszcze i później. Nazywa bowiem hr. Goess naród polski wprost „płochym i lekkomyślnym, choć zarazem żywym i intelektualnie uposażonym".

Hr. Goess miał na myśli jakiś rodzaj „reprezentacji narodowej", gdyż używa tej nazwy, zaleca uwzględnienie uczuć i w ogóle właściwości charakteru społeczeństwa polskiego, w którym, „przywiązanie do narodowości stanowi rys najwybitniejszy", a w końcu zaznacza, że plan „przekształcenia Polaków w krótkim czasie na Niemców i gorliwych patriotów austriackich, byłby czczem a nawet niebezpiecznem urojeniem". Należy najpierw przywiązać Polaków do Austrii tak, aby nie oglądali się na inne części Polski po za Galicyą, a potem dopiero będzie można pozyskać w nich takich dobrych poddanych austriackich, jakimi są poddani innej narodowości od wieków z monarchią austriacką połączonych.

Projektu konstytucyjnego delegacji galicyjskiej z r. 1790 hr. Goess nie myślał wznowić, chociaż po ogólnych wstępnych uwagach memoryału wniosek taki wydawałby się naturalnym i chociaż sądząc z całego tonu tego memoryału, pewnie nie podzielał wszystkich wątpliwości, w swoim czasie przez kancelaryę nadworną przeciw temu projektowi podniesionych. Chodziło jednak o to, żeby z jednej strony

Austria nie zaangażowała się wobec Polaków zanadto, a z drugiej strony jeszcze przed ogłoszeniem urządzeń konstytucyjnych dla ziem polskich pod berłem pruskim i rosyjskim zmanifestowała swoje intencje dla Galicyi, w sposób, zapobiegający wyprzedzeniu jej przez ewentualne, petersburskie i berlińskie zabiegi o pozyskanie sympatyj polskich.

Zaproponował tedy hr. Goess, aby, skoro kongres wiedeński zamknie swoje obrady nad sprawami polskimi i dokona „nowej arondacji“ Galicyi, cesarz Franciszek objawił to wyraźnie, że zamyśla „nadać krajowi temu konstytucyę, odpowiadającą jego stosunkom i potrzebom“, a tymczasem poleca zwołanie ciała reprezentacyjnego, wybranego w tym celu, w sposób prowizorycznie *ad hoc* oznaczać się mający. Wybory te proponował hr. Goess w ten sposób przeprowadzić, aby każdy właściciel dóbr dominikalnych, z krajowej szlachty, opłacający najmniej 150 złr. podatku z posiadłości swojej, przesłał właściwemu staroście spis 24 obywateli z równą kwalifikacją podatkową, jako kandydatów do tego ciała reprezentacyjnego. Starostowie mieli wszystkie te spisy przedłożyć gubernium, któremu, przy udziale ośmiu w tym celu umyślnie dobranych najznakomitszych obywateli (3 z duchowieństwa, 4 ze szlachty i jednego z honorowego mieszczaństwa) przypadałoby niejako zadanie krajowej komisji wyborczej, t. j. obliczanie wszystkich głosów. Na podstawie tego obliczenia miała odejść do Wiednia propozycja z 108 kandydatami (po 6 na każdy z 18 obwodów), na których padła największa liczba głosów.

Cały ten oryginalny proceder wyborczy nie dawał pewnej rękojmi, że do reprezentacji dostaną się istotnie najpopularniejsi obywatele, gdyż gubernator nie zapomniał o zastrzeżeniach, któreby w danym razie umożliwiły władzy, eliminowanie osobistości niemiłych dla rządu. W każdym razie jednak już i taki wybór stanowiłby był wielki postęp, wobec pierwotnej organizacji sejmu stanowego, w którego skład wchodziłi obywatele nie z wyboru, lecz z samego tytułu podatkowego do sejmowania powołani. Tem więcej uderza ten postęp, że oprócz owych 108 wybranych, właścicieli dóbr dominikalnych, w nowym sejmie, według wniosku hr. Goessa, zasiąść mieli nadto jeszcze, także z wyboru, reprezentanci miast z ludnością powyżej 5,000, duchowieństwa, korporacji duchownych i naukowych, wreszcie kupiectwa miast główniejszych (Lwowa, Brodów i Białej). O sposobie wybierania reprezentantów tej drugiej kategorii, niema w memoryale bliższych wskazówek. Wszyscy ci wybrańcy stanowić mieli według słów hr. Goessa „pierwszą galicyjską reprezentacyę narodo-

wą z takimi prawami i obowiązkami, jakie cesarz zakreślić miał dopiero na osobny, w tej mierze przedstawić się mający, wniosek“.

Hr. Goess pragnął szczerze pozyskać sfery rządowe w Wiedniu dla swojego projektu i wiele sobie po nim obiecywał. Przebija to z końcowej uwagi: „Zalecone tutaj — mówi — kroki przygotowawcze co do Galicyjskiej konstytucyi czyli reprezentacyi narodowej, już same dla siebie odwróciłyby w sposób nadzwyczaj korzystny, uwagę społeczeństwa galicyjskiego od stosunków zewnętrznych ku wewnętrznym krajowym interesom. Pragnienie uczestnictwa w liberalnych konstytucyach, ziemiom polskim pod panowaniem pruskim i rossyjskiem nadać się mających, zostałyby zrównoważone przez oczekiwanie zapowiedzianej dla Galicyi konstytucyi, a Austria zyskałaby dość czasu, aby stosownie do okoliczności danej chwili i własnych zasad, zaprowadzić lub zmodyfikować konstytucye państw sąsiednich.“

Tak seryo i gorliwie pojmował hr. Goess interes Austrii w przecieytowaniu lub przynajmniej dorównaniu Prusom i Rosyi w zabiegach około pozyskania sympatyi polskich, że równocześnie zalecał cały szereg środków administracyjnych, do tego celu zmierzających, mianowicie powoływanie znakomitych obywateli na stanowiska radców przy urzędach obwodowych i sędziów pokoju, zawiązanie towarzystwa rolniczego, poskromienie dowolności władz cywilnych i wojskowych, szerokie zastosowanie amnestyi do obywateli skompromitowanych w wypadkach świeżo zamkniętej burzliwej doby wojennej, wreszcie nakłonienie cesarza do odwiedzenia Galicyi.

Du sublime au ridicule il n'ya q'un pas! Dotąd hr. Goess przemawiał, jako mąż stanu z szerszym poglądem na rzeczy, nagle odezwała się w nim żyłka biurokraty i popchnęła go do owego fatalnego kroku, który, według francuskiego przysłowia, wiedzie do ośmieszenia. Między środkami bowiem, które miałyby zjednać społeczeństwo polskie w Galicyi dla Austrii, zaleca także, i to z naciskiem — zaprowadzenie uniformu stanowego! Hr. Goess tak tę swoją propozycyę zaleca, jak gdyby szlachta polska w Galicyi marzyła tylko o rychłej zamianie, przestronnych i barwnych strojów narodowych, na obcisłe i kuse fraki austriacko stanowe.

Gubernator hr. Goess, pisał swój memoriał przed sfinalizowaniem traktatowych stypulacyi kongresu wiedeńskiego w sprawie polskiej. Patrzał na sytuacyę ze zbyt odległego punktu obserwacyjnego, ze Lwowa, nie połączonego w tych czasach z Wiedniem ani drutem telegraficzno-telefonicznym ani nawet szyną kolejową. Nie mógł więc ani widzieć na własne oczy, ani w porę dowiadywać się, jak za kuliami kongresowemi, układają się pomysły i plany dyplomatów w sprawie polskiej. Kombinował więc na własną rękę tak, jak mu stosunki

wskazywać się zdawały, a widząc rozbudzone oczekiwanie w społeczeństwie polskim, sądził, że państwa rozbiorcze będą musiały współzawodniczyć w jednaniu sobie sympatyj polskich.

Memoryał hr. Goessa nadszedł do Wiednia w chwili, gdy jeszcze nie rozegrał się ostatni akt dramatu napoleońskiego, ale uczestnicy kongresu już nie wątpili, że Napoleon po powrocie z Elby nie zdoła zebrać sił potrzebnych do dłuższego niepokojenia zwycięskiej koalicji. Sprawa polska była już rozstrzygnięta tak, że cesarz Franciszek mógł być spokojny o swoje posiadłości polskie i wcale nie myślał o takim współzawodnictwie, jakie mu zalecał hr. Goess, co do jednania sobie Polaków. To też od razu skierował memoriał jego na manowce biurowe, t.j. oddał go kancelaryi nadwornej, zapewne z poleceniem, aby się wcale nie oglądała na rozwinięte w nim pomysły polityczne, lecz tylko ułożyła projekt wznowienia dawnej konstytucji stanowej w nowo odgraniczonej prowincji galicyjskiej. Że takie polecenie wyjść musiało od cesarza, tego domyślać się kaze sposób, w jaki referenci kancelaryi narodowej wzięli się do dzieła. Żaden z nich bowiem ani słówkiem nie wspomniał o potrzebie wyprzedzania lub prześcigania Rosyi i Prus w nadaniu Polakom konstytucyjnych gwarancji narodowego życia i rozwoju, a wszyscy natomiast rozpisywali się na jedną nutę, zupełnie tak, jak gdyby mieli dać odpowiedź na pytanie z góry postawione i ułożyć szczegóły wykonania nakazu z góry otrzymanego.

Zaczęła się znowu tak rozwlekła i czeza pisanina na ten temat, że naprawdę podziwiać należy tych nieprześcignionych w swoim kunszcie biurowców, którzy w tej tak doniosłej i gorącej dla Europy chwili, wśród przekształcania się państw i stosunków europejskich, spisywali o tej stosunkowo małej wagi sprawie bez opamiętania całe folianty z flegmą i spokojem pozazdrosczenia godnym. O memoriale hr. Goessa rozpisal się najpierw sam kanclerz ówczesny nadworny, hr. Lazansky, o jego pokaznym referacie szeroko wypowiedział swoją opinię sam najwyższy szef kancelaryi nadwornej, hr. Ugarte, a cesarz Franciszek otrzymawszy cały stos aktów wydał decyzję, że mają jeszcze dalej o tem pisać, najpierw prezydent gubernialny we Lwowie, hr. Hauer, który po odwołanym hr. Goessie objął ster rządów krajowych, a potem galicyjski referent kancelaryi nadwornej, Widmann. Pisano więc jeszcze niemal dwa lata, rosła cała góra aktów, z pod której wreszcie w r. 1817 wyleźć miała drobna myszka owej karykaturalnej konstytucji stanowej, która dopiero epilogiem swoim w r. 1848 zapisała się z historyczną trwałością w pamięci społeczeństwa polskiego.

A o czemże tak zapamiętałe pisano? Najpierw bardzo szeroko o tem, jak ma opiewać tytuł pisma z cesarską decyzją, czy przywilej, czy reskrypt, potem czy można, ewentualnie czy należy przyznać Stanom galicyjskim mundury w innych prowincjach zaprowadzone, wreszcie jaką płacę pobierać mają członkowie i urzędnicy wydziału stanowego i t. d.—słowem rozpisywano się szeroko i rozwlekle o mnóstwie drobnych i podrzędnych szczegółów, a kwestye politycznej doniosłości, podniesione w memoryale hr. Goessa, nie wyjmując nawet kwestyi zakresu działania sejmu stanowego, pozostały na boku nie-
tknięte albo tylko mimochodem i zlekka poruszone, jako już milcząco ubite, albo raczej niegodne nawet merytorycznego rozpatrzenia.

Jest to rzecz godna uwagi, że w miarę, jak bieg wypadków, mianowicie podpisanie traktatów wiedeńskich, poręczających Polakom we wszystkich dzielnicach instytucye narodowego życia i rozwoju, a jeszcze więcej ustanowienie Królestwa Polskiego, wzbudzać musiały w społeczeństwie polskiem Galicyi coraz większe oczekiwania, iż Austria chociaż już nie wyprzedzi, ani nie prześcignie Prus i Rosyi, to przynajmniej nie pozostanie w tyle za niemi, co do dopełnienia stypulacyi traktatowych, sprawa konstytucyjna Galicyi w swojej ciężkiej wędrówce od Ananiasza do Kaifasza biurokratycznego w Wiedniu coraz dalej odbiegała od impulsu danego jej w memoryale gubernatora hr. Goessa. W r. 1816 w referatach kancelaryi nadwornej sprawa ta postawiona została już bez wszelkich ogródek na tem stanowisku, jakie jej wytknął cesarz Józef II w r. 1782, wprowadzając w życie sejm stanowy. Nie było już tedy mowy o jakimś odmiennem traktowaniu Galicyi pod tym względem; nowo projektowana konstytucya stanowa miała niezbędnymi dla zmiany stosunków, a małoznaczącymi modyfikacyami, stanowić tylko wznowienie kreacyi józefińskiej, więc stać się niejako klamrą, przytwardzającą silniej nową prowincję do całości państwowej.

Tak postawiona została sprawa w rozstrzygającym końcowym referacie galicyjskiego referenta kancelaryi nadwornej, Widmanna, który już tylko mimochodem dla ostatecznego ubicia projektu hr. Goessa dodał takie charakterystyczne uwagi: „Traktat z 3 maja 1815 r. pozostawia kontrahentom wolne ręce co do nadania swoim dzielnicom polskim takiej konstytucyi, jaką sami za stosowną uznają. Jeżeli by Austria zamiast zrobić najodpowiedniejszy dla siebie użytek z tego postanowienia traktatowego, zechciała naśladować przykłady zagranicy lub nadać Galicyi konstytucję, odbiegającą w ważnych punktach od tej, jaką dotąd posiadała, albo od tej, jaką w innych niemieckich prowincjach zaprowadzono, to zmianę przypisywanoby nie dobroci monarchyi, lecz tajnym układom z dworami w Petersburgu

i Berlinie, a stąd wynikłby niewłaściwy wpływ na nastrój umysłów w społeczeństwie polskim... Rosya dopiero teraz nabyła tę część Księstwa Warszawskiego, która obecnie nosi nazwę Królestwa Polskiego, a objęła ją ze stanu wprost rewolucyjnego. Zupełne zlanie z państwem rosyjskiem było niewykonalne. Musiała tedy Rosya nadać krajowi konstytucyę, któraby zadowolila wszystkie klasy ludności, poprzednio do reprezentacyi uprawnione. Jednakże zawahała się rozszerzyć tę konstytucyę na prowincye, które się jej w poprzednich podziałach Polski dostały. Przykład Rosyi nie może zachęcać Austrii, lecz raczej powinien powstrzymać ją od tego, aby miała zaprowadzać szerszą reprezentacyę w prowincyi, którą już przeszło 40 lat posiada, i w której wielka masa ludności nie jest do tego przygotowana. Wreszcie nawet przy nadto daleko sięgających przyrzeczeniach dwór rosyjski mniej ryzykuje, aniżeli dwór austriacki, gdyż od pierwszego dworu nie oczekują takiej ścisłości w dopełnieniu przyrzeczeń tego rodzaju, jako od drugiego dworu.“

Cesarz Franciszek, rozpatrzywszy wszystkie elaboraty referentów kancelaryi nadwornej taką, na akcie zapisał decyzyę: „Ponieważ chcę Królestwo Galicyi postawić co do przyznanych korzyści na równi z innymi prowincjami niemieckimi, przeto nadać chcę także i temu Królestwu konstytucyę stanową według tego, co przez ś. p. cesarza Józefa II w r. 1782 przyznane zostało, z potrzebnymi obecnie zmianami i modyfikacyami. Ta stanowa konstytucya ma być ogłoszona osobnym reskryptem, który tak samo, jak w moich prowincjach niemieckich należy wydać w niemieckim języku z dodaniem tłumaczenia na język łaciński.“ Stanęła tedy Galicya już oficjalnie i formalnie na równi z prowincjami niemieckimi, czego dotąd tak wyraźnie nawet cesarz Józef II wypowiedzieć nie chciał. A stało się to—rzecz godna uwagi—właśnie po tym kongresie, który na pozór tak zabezpieczył dzielnicom polskim warunki narodowego życia i rozwoju.

W kilka miesięcy po powyższej decyzyi cesarza Franciszka ogłoszony został reskrypt konstytucyjny, wskrzeszający józefińską kreacyę pseudokonstytucyjną ze zmianami nic nieznaczącymi. *Pro foro externo* konstytucya z r. 1817 uchodzić miała za akt lojalnego zastosowania się do stypulacyi kongresu wiedeńskiego, a w rzeczywistości była aktem zignorowania tych stypulacyi. Cesarz Franciszek był zbyt ostrożny, żeby postąpił w ten sposób nie upewniwszy się poprzednio, że z tego powodu nie popadnie bynajmniej w nieporozumienie z państwami współinteresowanemi co do postępowania wobec Polaków. Pewności takiej nie wzbudzały oczywiście kongresowe *verba scripta*, lecz zapewne ważniejsze dlań, chociaż niewyjawione na ze-

wnątrz, zapewnienia poufne w czasie kongresu. Śnać dobrze o tem wiadano w kancelaryi nadwornej, skoro referent galicyjski Widmann bez zastrzeżeń tak charakterystyczne wypowiedział uwagi o problematycznej stałości sytuacji konstytucyjnej w Królestwie Polskiem. W słowach jego, powyżej przytoczonych, mieści się niemal prorocze twierdzenie, że cała ta kreacya kongresu wiedeńskiego nie posiada żadnej rękojmi trwałości. Widmann sam nie byłby się odważył puścić z referatem swoim na flukta wysokiej polityki i stawiać dalekie horoskopy, jeżeliby nie miał dobrych informacyi ze sfer wtajemniczonych we wszystko, co na kongresie wiedeńskim po za jawnością traktatową omawiano w sferach dyplomatycznych w formie bliższych lub dalszych planów, zwierzeń i przewidywań. Wszakżeż taki biurokrata, zasklepiiony w ciasnym obrębie spraw administracyjnych, nie mógł duchem dywinacyjnym odgadnąć tego, czego wówczas najprzenikliwsi nawet politycy przewidzieć nie mogli, t.j. wypadków, które zaszły w kilkanaście lat później i umożliwiły przerzucenie na samych tylko Polaków całej winy za zwichnięcie dzieła kongresowego.

DR. BRONISŁAW ŁOZIŃSKI.

A gdy w głąb duszy wnikiemy...¹⁾

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

XVIII.

Anka doznała uczucia, jakby to wpłynięcie obcego nie było ani bolesne, ani natrętne, lecz prawie konieczne i z góry przeznaczone.

Przeniosła swój wzrok z Piotruški na Stalewskiego, lecz równocześnie zdawało się jej, że widzi ich oboje. Ją przez jego postać, bo dziwnie nie cielesnym, nie ludzkim wydał się jej w tej chwili ten człowiek.

Cichy był i zmieniony.

W rękę trzymał kilka purpurowych maków, które powiędły i płatki swe tuliły do siebie w agonii, rozpaczny pełnej. Ale w oczach miał Stalewski całe rozmarzenie dalekich pól złotych od zbóż i cieni-stą melancholię przeczuć przedwieczornych.

Smutek dziwny, szlachetny, aż płynął z jego schylonej postaci.

Wszedł ni to cień, zwątpienia pełen, i Anka zrozumiała, że tam droga przez łąny zbóż była mu Golgotą, i że ten obrachunek ze sobą był szczery i straszny. Nigdy Stalewski jeszcze nie wszedł na próg jej pokoju. Zwykle drwił z jej preraphaelickiej pracowni i sposób tworzenia Anki, nie wiadomo dlaczego, nazwał plamami.

Nie rozumiał, nie wiedział – dziś sam wszedł w promień duchowy, i oto stał przed nią z całą tragicznością poszarpanej swej pajacowskiej szaty, przez którą przeświecała już prawda jego zdręczonej i doprowadzonej do szpetoty malarza „cenionego“ — duszy.

¹⁾ Patrz zeszyt wrześniowy, str. 433, — październikowy, str. 16, — listopadowy, str. 240, — grudniowy str. 464 (1903); styczniowy, str. 37.

Wpił się wzrokiem w widmo Piotruški, i zdawało się, że z tą minutą przetwarza się, chłonie w siebie Siłę i Ekstazę Anki, on za słaby jeszcze, aby mózdz wydobyć ze siebie cud twórczości i syntezę choćby siebie samego. Już nie ten banalny, zdatny do użytku i ozdoby płaskiej estetyki tygodników rodzinnych, lecz jeszcze żaden w krainie prawdy, nie mogący uchylić wrót, poza którymi wyczuwał ołtarze, nieznane i rozplamione ogniami o królewskich, rubinowych wiewach.

Anka nie przerywała tej ciszy, mającej w sobie coś nieledwie świętego i zdającej się owijać jakąś nieprzeniknioną a dobroczynną mgłą tę drobną we Wszechświecie przestrzeń, w której dokonywały się wspaniałe i potężne cuda.

— Przyszedł w godzinie samopoznania i męki — pomyślała — przyszedł ku mnie...

Myśl ta przejęła ją niewypowiedzianem szczęściem, którego na razie zrozumieć nie mogła.

Czuła tylko, że była mu rada, ona, która zawsze bała się jego nadejścia do jej zacisznego kąta, i czuła przed nim pewną odrazę.

I dla tego królewską chęcią wspaniałości zupełnej przejęło ją jego zapytanie.

— A tamte?

Wskazał na płótna tajemnicze, odwrócone do ściany, znaczące się szkieletami blejtramów. Anka cicho, hieratycznym swym krokiem sunąc za sobą długi zwój białych szat, powstała i jęła odwracać płótna wizyami ku oczom Stalewskiego.

Cały szereg ich rozwinął się wstęgą odczuć przedziwnych i ech duchowych.

Stalewski znów wzrokiem się w nie wpił i dokoła ust poczęły mu przewijać się całe szeregi widocznie walczących w jego istocie wrażeń. Były chwile, w których widocznie chciał coś jakby zarzucić, jakby po dawnemu płasko skrytykować, lecz już przejmował go wstyd, już nie mógł wyrzucić steku zdań, które dawniej swem Credem mienił.

Na straży tych widm stała biała postać Anki, milcząca i nieruchoma.

Była ona Archaniołem korowodu tych dusz i sama zdawała się otaczać całą poświatą wielkiej swej jasności wewnętrznego życia.

I jakby echo tej poświaty, odezwał się głos Stalewskiego:

— To ich wewnętrzna istota?

— Tak — odparła cicho Anka — ta druga i trzecia warstwa, której nie widzimy, a przecież czujemy, bo one są właściwie rdzeniem naszej istoty.

Stalewski znów patrzył w milczeniu.

Do Anki cicho przysunęła się Piotruśka, którą przyjście obcego człowieka zupełnie wytrąciło z poprzedniej ekstazy.

Dotknęła ręki Anki.

— Czy to Pani — pan? — wyszeptwała.

Anka spojrzała na nią z podziwem.

— Jakto? mój... pan?

— A no... a no...

Dalej się nie tłumaczyła ta wielka Rozkochana, tylko badawczo patrzyła to na Stalewskiego, to na Ankę.

— Bo tak sobie pomyślałam — zaczęła znowu szeptem — że choć ten pan ma siwe włosy, to można się w nim kochać.

Słowo to padło fatalne i straszne w biel tych ścian, przed te wizye nieruchome, w tę duchową atmosferę pracy i czystej twórczości.

Anka doznała, jakby pchnięcia nożem w serce. Był to ból czysto fizyczny i równocześnie drzenie całej jej astralnej istoty.

— Kochać?

Jak? Czy w rozłamie ciała i ducha, czy równocześnie całą istotą pełną i nierozdzieloną?

Nie śmiała oczu podnieść na Stalewskiego.

Słowo Piotruśki zgrzytnęło dysonansem w jasną pogodę i ciszę budzącego się ducha.

Ale zarazem dysonans ten miał w sobie jakiś rozkoszny tragizm, całe światy do tej chwili dla Anki nieznane i tajemnicą zakryte...

Opanowała się całą siłą woli, na jaką ją stać było.

— Nie, Piotruśko — ten pan ma żonę.

Lecz Piotruśka nie odpowiedziała ani słowa, tylko swe szare, rozmarzone oczy utkwiała uparcie w źrenice Anki i mąciła niemi czystość tamtych źrenic.

— A no...

Anka czuła, że teraz Piotruśka może zajrzeć jej po swojemu w głąb duszy, więc szybko zatuliła się w skrzydła swej duchowej siły.

— Nie... nie... idź już, Piotrusiu. I pamiętaj, co ci mówiłam o Wierciaku. Rozmyśl się, zastanów... Przyjdź tu znów, opatrę ci rany.

— Dobrze...

Cicho, spokojnie, wysunęła się Piotruśka za drzwi pracowni.

Lecz po niej pozostało rozwiane w przestrzeni to wielkie, przegromne słowo miłości, tryumfalne, niezwalczone, rozbrzmiewające

siłą Wszechwiekową w szmerze drzew, barwach kwiatów, ryku lwa i cichym pogwarze ptaków, a przedewszystkiem w bólach, rozpaczach, jękach i rozkoszy — ludzi.

XIX.

Od płócien Anki oderwał się powoli Stalewski i spojrzął na stojącą na ich straży dziewczynę.

Wydała mu się piękną dziwnie, tak piękną, jak nie widział jej nigdy, i jak nie widział w tej jaśni Piękności żadnej kobiety.

Promieniała cała w jakimś nimbie tęczowym i biło od niej ciepłem, przytulnem dla serca a ducha podnoszącem.

Twarz jej miała delikatność linii niezrównaną, a wdzięk ten rysów okwitał czarem wyrazu w harmonię najwyższą.

I cała była w liniach, w tonach, w wyrazie, w rozduchowaniu — piękna, piękna, piękna!

Te resztki niewiary, jaką miał Stalewski do jej Dzieła, rozwieść się zaczęły pod wpływem tej piękności.

Ona była piękna, tak nieludzko piękna, więc i to, co było jej dziełem, to jest essencją jej Piękności, musiało być pięknem.

Stalewski jednak jeszcze nie rozumiał, czuł, ale nie rozumiał. Stał na progu świątyni, nie miał siły, aby wejść do niej sam i spojrzeć w oczy Prawdzie.

Jakby bezsilny, a przecież pragnący tej Prawdy, zwrócił się ku Ance.

— Proszę, powiedz, wytłómacz...

Było to dla niej niespodziane, bo działo się to tak szybko, z taką dziwną energią faktów, iż przejął ją lęk, czy ta przemiana trwale zapuszcza korzenie, czy nie jest to pył kwiatów, podmuchami wichru rzucony.

Z jakimś rozrzewnieniem dziwnem wyciągnęła ręce ku temu człowiekowi, który się garnął ku niej z pokorą dziecka.

Odegnęła w tej chwili precz od siebie szept Piotruśki i rozwinęła dokoła białość srebrną swych skrzydeł twórczych.

Pochyliła je liliami ku duchowi Stalewskiego i powiedziała mu: — pójdź! powiodę cię w dalekie przestworza, dla ciebie leżące odłogiem, boś szedł do tej chwili cieniem, a Prawda lśni złotą jasnością czystych i prostych dróg.

Dokoła nich drżały lekko ostatnie pokłosa słonecznych, dziennych blasków.

We wstędze rzeki srebrzyły się i czerwieniały, jakby łuska krwawa, łzami rosy oblana.

Kępa wierzb na brzegu, pękiem gałęzi wykwitła, mdląca w tych krwawych poblaskach, które u jej stóp strzałami się rozsypywały.

I cicho było, coraz ciszej, jakby zmrok stropu wchłaniał w siebie pogwar i rozszumienieienne.

Dusza przyrody jedna, a tak rozliczna, jak noc gwiazdzista, wyłaniała się coraz czyściejsza, coraz prawdziwsza, zrzucając ze siebie jaskrawość dziennych ślubów słonecznych i tryumfów świetlanych.

Błękit nieba topniał w liliowe tony i tylko złoto u skrajów wi-dnokregu łagodne było i nadziei pełne.

Ku tej Duszy wielkiej, czystej i nieskalanej, jak do części two-ru, najbardziej zbliżonego do Twórcy, powiodła Stalewskiego Anka.

Delikatnym gestem przyzwała go ku otwartemu oknu i w ten omdlewający czar wieczornej chwili osnuła.

A gdy stanął naprzeciw niej, taki piękny, taki zmieniony i po-
bladły pod koroną swych srebrnych włosów, Anka poczuła, iż wyry-
wa się ku niemu z jej piersi, jakby prąd tajemniczy, to samo, co pły-
nęło ku niej z duszy Narbuta, gdy tam, w redakcyi, w poświęceniu mie-
sięcznej, on dawał jej ze siebie to, co było lepsze, i co jej duszę
w krainę czynu wprowadziło.

XX.

Rozpoczęła się walka.

W białej, eleganckiej willi nadbrzeżnej, do niedawna jeszcze będącej przedmiotem zachwyty filistrów i ideałem rodzinnego życia, jakie wytworzyć może „dobrze odczute posłannictwo artysty“ — rozegrywał się dramat.

Stalewski z całym zaparciem się znosił to, co mu los obecnie przynosił.

Było w tej nagle zbudzonej w nim wrażliwości wewnętrznej coś prawie nienaturalnego, tak silną była reakcja, jaką nosił teraz w so-

bie. Robił wrażenie człowieka, który, nie umiejąc pływać, rzuca się w najsilniejszy wir z tem rozpaczliwym przeświadczeniem, iż jakoś wypłynie i potrafi zwalczyć trudności.

Z obrachunku z samym sobą, jaki zrobił po odczytaniu artykułu Narbuta, pozostało mu wrażenie straszego upokorzenia i bólu. Gdy tak szedł bezkresną równiną pól, to, co dokonał do tej chwili, wydało mu się rzeczywiście marne i żadne. Nie miał przed sobą żadnego wielkiego dzieła, nie zrobił nigdy nic takiego, przed czem ludzie stają, milcząc, jakby porażeni ogromem duchowej potęgi, w dziele tem zawartej. Słpe wylawianie efektów natury i przenoszenie ich, a raczej przedrzeźnianie na „kawałku ścierki“, jak mówił Narbut, przedstawiło mu się rodzajem roboty małpiej i napełniło go strachem.

— Poszli naprzód, ja wlokę się za nimi uparcie, jak ciura... — myślał, ocierając pot z czoła.

Ogarnął wzrokiem niezmierzone przestrzenie pól i łąk, szmaragdowe i złote, jasne i olbrzymie.

Czy to możliwe odtworzyć, skopiować?.. Chyba na paletę ściągnać słońce i trawę żywą rozłożyć... Jakże tak?... Rzeczywiście... jakże...

Stał zmieszany, jakby na rozstaju.

— Więc rzucić, nie malować... chyba.

Tęsknicą wielką znów ogarnął pola i łąki. Mimo swego kołtuńskiego pojęcia sztuki, kochał to, co starał się zacieśnić i przygasić na „ścierkach“ swych dzieł.

I dziwną mocą te pola, te łąki, ta ich słoneczność i szmaragd wydały mu się teraz całe melancholią powleczone, smutne i jakby w mgłę rozpadające.

— Jakie smutne — pomyślał — zupełnie inne, niż przed chwilą. Przypomniały mu się słynne „Sterty“ Monneta.

Zastanowił się.

Parę stert widzianych i odtworzonych przez artystę w rozmaitych oświetleniach i porach dnia.

Czyż tylko w porach dnia i światłach? Czy nie było tam coś więcej z własnego nastroju duchowego artysty? Te „Sterty“ raz przedstawiały się jasne, wesołe, na drugim obrazie, w tem samym niemal świetle, były melancholią owiane, a złoto słoneczne zdawało się odblaskiem gromnic, płonących przy katafalku.

Tak, stanowczo było to samo wrażenie i w nim w tej chwili. Gdy żegnał się niejako z możliwością pracy dawnej, a na rozstaju nie wyczuwał jeszcze nowej ścieżki, po której iść pragnął — te łąki, te pola, posłuszne modele o podatnych i chętnych łonach, zdawały mu się oddalać, jakby żalobą za nim zdjęte.

Kto wie, czy nie był to właśnie łącznik jego odczuć z Monnetem, kto wiel

Tak mu się to niejasno po umyśle przewinęło, lecz odsunął tę myśl od siebie, jako wrażenie czysto osobistej natury.

— Nie... — pomyślał — nie tędy droga!..

I znów zaczął iść przed siebie, targając się w rozpacz i smutku. Zdawało mu się, iż jest pustką straszną, beznadziejną, że w tym chaosie nowoczesnej twórczości, on nie ma nic do powiedzenia, że jest smutnym sercem, które powinno być wyrzucone za nawias.

I nagle, jakby porażony tą myślą, zatrzymał się i runął w falę żyta, runął twarzą w żdźbła, które rozstały się pod jego ciężarem i zaszumiły mową srebrną, rozlewającą się w dalekie kręgi.

Za nawias!..

Nie to społeczeństwo „arcykołtunów“, które ceni wysoko oleodrukowe tematy i zachwyca się scenami genrowemi z pobłażliwym wzruszeniem, nie ten odłam, a właściwie nie ta większość będzie zawsze za nim, i mieć będzie dla niego uznanie, oklask i pewną ilość pieniędzy, lecz ci inni?

Tych „innych“ odczuwa on, widzi ich, choć tak mało ma z nimi styczności. Zamknięty to klan — odosobniona kapliczka, wyniosła i niedostępna. Jakiś tłum odwracających swe arystokratyczne profile od „uznanych“ dzieł, tłum zapatrzony w dal, nieskończoność, oświetlony kryształowemi lampami własnych, rozmodlonych w tęczę duchów.

On wiedział, kim są właściwie ci, których wzgardliwie wyszydział z obojętnością dobrze nasyczonego motolka.

Podchwytywał ich słabości, ich chwile powrotu pomiędzy „ludzi“, ich alkoholizm, nocne włóczęgi, długość włosów, wygodne płaszcze i zwłaszcza Erotyzm... ten rozwichrzony, rozpieszczony Erotyzm.

Zdawał się zapominać o własnej, rozwichrzonej młodości o rozpuszcie monachijskich atelierów, gdzie fotografie modelek w uściskach szkieletów były uznawane, jako szczyt dowcipu i wykuint artysty.

Nie pamiętał niemieckich knajp i nocnych włóczęg, nie pamiętał własnych krawatów, wiązanych sztucznie, i czubów, które mu na szpilce rozgrzanej kręciła z włosów jakaś Mitzi, albo inny „akt“ rozbydlęcony.

On brał tylko „wierzchnią warstwę“ tych innych, tych „młodych“, którzy z taką pychą plunęli mu wreszcie w oczy i o ziemię cisnęli.

I co było najstraszniejsze, to to, że on czuł, iż to pchnięcie ich nie było zemstą, ani odwetem za jego pogardę, z jaką koło nich przechodził, wyniosły w swej sztuce i odzieży, ściśle dopasowanej do kroju i wymagań wszystkich porządnych ludzi.

Nie, to nie była zemsta, to nie była owa chęć — „*ôtes toi de la pour que je m'y mette*” — wieczysta walka o byt, spychanie się z zajętego wygodnie stanowiska.

To był krzyk, protest, pewna ochrona ludzkości przed szpetotą jarmarcznych szyldów bezcelowych, i dla niego tylko wygodnych. To Duch, którego panowanie przyszło nareszcie, z poszumem skrzydeł wzbijał się na wyżyny.

To było w słowach Narbutta — nie co innego.

.

I Stalewski uczuł się nagle mały, nędzny, drobny — żaden.

Ta willa, ta pracownia, te stopy grzecznych recenzji, te komisyje, ferujące wyroki o zakupie obrazów, komisye, którym przewodniczył, te bankiety, toasty, mowy — to wszystko wydało mu się nędzą fatalną i bolesną.

Nie podniósł głowy od ziemi, na którą upadł, a przecież na karaku swoim czuł ten mierny bagaż, ten dorobek swego życia, który mu przypadł jakby marą i gniesć go zaczął.

Po co to uczynił — myślał — po co szedłem tą ścieżką, dlaczego zamykam oczy, dlaczego nie chciałem widzieć nic z ewolucyi, która się dokoła mnie odbywała?

Chciał znaleźć wytłómaczenie. Dawne frazesy cisnęły się dokoła niego.

— Małpiarstwo, naśladowanie prądów zachodu.

Czuł jednak, że to gmach sztuczny. Jeśli prąd sztuki powiał z Anglii i przeszedł całą Europę, dlaczego miał ominąć i nasz kraj, i naszą sztukę?

Lecz prąd ten wiał widocznie na wyżynach, do niego dochodził echem...

Poświęcał się.

Dla kogo?

Dla żony, dla dzieci, dla utrzymania godnego stanowiska między ludźmi.

Ambicya na czas zapłaconego mieszkania, sprowadzenia węgla w większej ilości na zimę, szumiącej tafty pod suknię żony, możność

dania większej składki w miejsce powinszowań noworocznych, a dalej wyprowadzenie synów „na ludzi“, z których jeden może się dostać do prokuratury, drugi..

Myśl się urywa i znów tylko w mózgu pracuje jedno słowo:

— Pajacl pajacl..

Tak — poświęcenie.

Lecz zdaleka, z poszumem lekko rozkołysanego żyta, przetykanego koralem maków iszafirem bławatków, płynie ku niemu jakiś głos kobiecy.

To Anka czyta, oparta o ramę okna, Ruskina:

„Ludzie nie są stworzeni na to, aby dla siebie umierali, lecz na to, aby umacniali się i upiększali wzajemnie...“.

Stalewski przypomina sobie tę chwilę, kiedy to on siedział przy rajzbracie, kończąc na gwałt jakąś allegoryę przygodną, obstalowaną przez jakieś wydawnictwo ilustrowane.

Oczy miał czerwone, krwią zasze, ręka mu drżała. Pochylny jednak przy lampie, rysował wytrwale. Potrzebował pieniędzy na „Boże Narodzenie“. Allegorya miała być zapłacona natychmiast. Rano Stalewska przedstawiła mu spis świątecznych rachunków. Długi jadłospis wigilijny, na którą to „wyzerkę“ należało zaprosić kilka osób wpływowych, a samotnie, bez rodziny, chodzących. Dalej, należało pomyśleć o choince i artystycznej szopce, o której mówiliby długo w mieście. Fotografie takiej szopki umieściłoby się w ilustracjach, a to może zrobić „dobrze“. Dalej prezenta i dla dzieci, i dla tych „wpływowych“, którzy będą na wili, potem przyjęcia świąteczne...

Tak, to wszystko, jak cienka szpicruta, podnieca rzekomo twórczość Stalewskiego. Aby godnie przepędzić święta, potrzeba kilkuset guldenów, a składa się tak, że kasa pusta, bo sportretowani nie śpieszą z zapłatą, sądząc z pozorów, iż „mistrz“ nie czeka tak dalece na pieniądze.

Czerwone oczy, ręka drżąca, palce prawie skurczone, niezliczona ilość szkiców do jednej „alegorycznej“ rączki.

Tak, ten kark schylony i to wszystko razem — to poświęcenie.

Taki musi być nastrój ogólny, bo oto Anka od kilku chwil patrzy na niego i nagle z książki ciemno oprawnej, którą przyniosła ze sobą, czyta jeden krótki frazes:

„Ludzie nie są stworzeni na to...“.

Głos jej przelata falą nad głową Stalewskiego. Nie rozumie jej słów, lecz je mimowoli zabiera w swoją istotę. Bo oto teraz, w poszumie głosów gdy w poświęceniu chciał znaleźć usprawiedliwienie

swego zastoju i uporu, te słowa Ruskina, przez usta Anki wypowiedziane, wróciły i stały się dlań zrozumiałemi.

Powoli oderwał twarz od ziemi, od tych stłoczonych kłosów, na które tak padł rozpacznie, lecz nie powstawał, nie chciał wrócić do rzeczywistości. Zasztyty w złoto żyta, z szafirem niebios ponad źrenicami, czuł się odgradzony od świata, i po raz pierwszy sam ze sobą i swoim sumieniem. W kieszeni kurtki czuł dziennik z artykułem Narbutta, lecz nie czytał go więcej.

Z nadzwyczajnem okrucieństwem wbiły się słowa młodzika w jego umysł.

Pamiętał każdy zwrot, a im był brutalniejszy, tem lepiej go pamiętał.

I leżał tak, obracając w ranach swych ostrze noża, płacząc krwią duszy, która nagle wypłynęła ku niemu z kaźni, w którą ją wepchnął.

Stała przed nim naga, pleśnią porośła, nie chcąc odziać się w pstrą szatę kariery. Wspaniałym gestem odtrąciła także łachman poświęcenia, w który ją udrapować pragnął.

— To, co dawałeś twym dzieciom kosztem moim, złe jest i marne, a przez nich samych kiedyś będzie wyśmiane i przekłęte. Odziewałeś je suto w strojne sukienki i kładłeś im, jak piętno, chomonta twej błazeńskiej sławy. Stokroć lepiej było dać im skromną, ubogą sukienkę, a zamiast rozdzwonionego chomonta, położyć na nie piętno wyższości twej w pojmwaniu i tworzeniu Piękna.

Tak mówi, tak wionie wichrem rozpaczny ku Stalewskiemu jego Dusza.

I rozpoczyna się jego Golgota zbyt wczesnie, a tem straszniejsza, iż ten człowiek ma jeszcze w sobie siłę twórczą i zaczyna się szamotać tą siłą z taką rozpaczą, iż nieledwie znieść to wszystko jest w stanie.

— Więc cóż teraz? co?

Ustępstwo?.. spróbować się z „nimi“, pokazać im, że i on...

Nie kończy tej śmiałej myśli, sformułować całej nie śmie.

Spróbować...

Pot mu czoło zrosił.

Czuje się na rozstaju. Dokoła niego ścieżki powikłane, niezrozumiałe.

Zaczyna przypominać sobie całą siłą niektóre „nowatorstwa“ Grymas wykrzywia mu usta, przywykł tak im urągać, że nie czuje ich wcale. A przecież to ma być Prawda!

— Nie wiem, nie wiem — myśli — czuję, że dusza moja się krwawi, że nie powlecze się dawnym torem, a przecież nie wiem, gdzie mam iść, nie wiem nic...

W życie wzrasta szum, niepokój przedwieczorny. Coś brzęczy chórem w tercjach, potem akordami coraz ciszej się rozlewa. Od stropu, od błękitu, płynie ukojenie i senność przedwczesna. Natura rztacza swe nocne opony i zagarnia w nie poszum, niepokój, oznaki życiowego rozkwitu...

— Nie wyjść więcej z tej fali żytniej, zaginać tu... nie widzieć nic!

Po raz pierwszy Stalewski pragnie gorąco i szczerze Zniknięcia z pogwarnej platformy, na której z takim wdziękiem i temperamentem rozwiewał poły swej sławy i tużurka, obowiązującego na *fixach*, których był ozdobą, a czasem treścią.

Lecz nieubłaganie upływa czas.

Golgota pozostaje sobą nawet i w liliowym świetle wieczoru.

Biały, błądy księżyc, krajem wystąpił z głębokości pobielającego szafiru.

I zatrzymał na sobie źrenice Stalewskiego.

Miłą mu była ta nieśmiałość i niepewność tam, w górze. Lękał się brutalnego, purpurowego widoku krwawo zachodzącego słońca. Wiedział, czuł, iż tam, na skraju horyzontu, rozwiała się ta rubinowa, strzelista tragedia zachodu, i widmo słoneczne, skrzące brylantami, ściele się po rżysku.

Lecz on zeszył się w tę część horyzontu, która była nieśmiałej melancholii pełna.

— Tak, jak moja dusza... — pomyślał ze smutkiem.

I cała jego walka roztopiła się w bezbrzeżnej, przesmutnej melancholii. Coś szlachetnego było w tym smutku cichym i pełnym godności. Jakaś pokora dziwna ujarzmionej nagle i zranionej duszy...

I takim przywłókł się Stalewski pod próg Anki, takim stanął przed jej obrazami, a potem zwrócił się ku niej z pytaniem w oczach, z pytaniem w ustach.

— Powiedz!.. wytłómacz! .

XXI.

Powiedziała, wytłómaczyła.

Otworzyła swą duszę jak kwiat rzadki i piękny, aby on przeniknął jej barwę i napoił się wonią.

Najlepszą obrała drogę.

Porzuciła ton mentora.

Nie mówiła mu: rób to, idź tam, lecz królewskim, hojnym gestem wykazała przed nim swoje Piękno i rezultaty, do których doszła.

Słuchał ją wtulony w cień, słuchał milczący, z drgającymi ustami. Słowa jej, dźwięk jej głosu rozwiewny, delikatny, miały w sobie ten melancholijny wdzięk liliowego zachodu, który mu był miły. Nic nie rozdrażniało jego ran, nie lecząc, nie przypominało mu jego bólu.

Tylko wchodził powoli w mistyczną sferę, zupełnie inną, jak do tej chwili, i rozpoczynał wędrówkę wśród gwiazd, cicho płonących dobroczynnym blaskiem.

Anka gwiazdę taką zdawała się nieść w wysoko podniesionych dłoniach i rozświecać nią szlaki. Światło było pewne, spokojne, przenikające siłą. Nie migotało, nie oślepiało sztucznością pochodni. Żaden wicher nie mógł zgasić tej gwiazdy. Stalewski zaczynał to rozumieć. I zaczynał również nie czuć się tak samotnym na bezdrożach poplątanych ścieżek.

Przed nim szedł już biały, ciągnący go za sobą cień.

Urok głosu Anki kojarzył się dziwnie z urokiem treści jej słów.

Była chwila, iż w tej ciszy rozdzwierał się tylko głos i Stalewski zatracił głęb i znaczenie myśli.

— Jak słodko! — myślał, przenikając przez fale głosu ku postaci, lekko zaznaczonej jasną mgłą wśród mroków wieczornych.

— Tak... ona musi być w prawdzie i musi być sama prawdą! Słodycz czysta i dziwna płynie od niej i przenika mnie całego...

W willi na dole zapanował ruch.

Na ogródek wyszły służące i zaczęły rozświecać pstrę japońskie latarki.

Tu i owdzie zakolysały się pomarańczowe światełka. Od okien padały jasne smugi na wygracowane aleje i senne po trawnikach kwiaty.

To widocznie Stalewska rozświecała całą willę, aby nie dać nikomu poznać, iż artykuł Narbutta dotknął ich w czemkolwiek.

Pstre, jaskrawe *quand même* ubrało wille w lachman pajaca.

Ta kobieta z całym uporem pragnęła wykazać, iż na cał Stalewski nie zejdzie z obranej drogi.

Anka drgnęła cała pod wpływem tych brutalnych, rozkołysanych światełek.

Były takie małe, takie śmieszne, takie papierowe, poklejone gdzieś na tandecie wiedeńskiej, przedrzeźniające uroczy kraj laki i motyli, kraj, rozdzwoniony pięknem drobiazgowych, cichutkich dusz.

Lecz prędko się powściągnęła, widząc, iż Stalewski, zasłuchany, nie zdawał się zwracać uwagi na ten mizerny protest małodusznej kobiety.

I znów popłynął głos Anki, i zajaśniała gwiazda jej piękna, wzniesiona wysoko po nad rozległy łąn, na którym wykwił cały ogród jej duchowych zdobyczy.

Wewnętrzna warstwa życia, tak na pozór subtelna, pajęczko delikatna, zwalczała w tej chwili zwycięsko zewnętrzność codzienną, wykutą z uporu i złośliwości w zastoju pogrążonej istoty.

— Patrzę w głąb duszy... i widzę ją w poświęcie jej piękna. Bo dusze ludzkie, pomimo wszystkiego, co się o nich mówi, są piękne. Trzeba tylko umieć odróżnić ich piękno prowizoryczne od piękna rzeczywistego, odsunąć plewę i sięgnąć do samej głębi często krwią ociekniętej, po prawdziwą słodycz, właściwą duszy ludzkiej... Jest ona rozmaita... tak, jak rozmaite są objawy żywotności duchowej, i właśnie jej jakość zależy może od tych objawów, które się pierwsze myśli naszej nastroczają. I z tego tkam istotę człowieka...

Nagle na dole rozhuczał się fortepian.

Stalewska, w muślinowym peniuarze, grała Erlköniga z zapalem histerycznym, i szum, huk torturowanych klawiszy płynął razem z jaskrawymi blaskami na ciche grzędy narcyzów i aksamit bratków.

Anka urwała swe słowa i dziwny uśmiech wykwił na jej ustach.

Stalewski teraz drgnął cały, widocznie rozżalony głównie tem, iż dyssonans brutalny przerwał czar pięknej chwili.

— Pójdę, nakażę ciszę... — szepnęła przez zęby.

Lecz Anka zatrzymała go powolnym gestem:

— Nie! — wyrzekła — jeżeli pan chcesz wyczuwać tę najgłębszą warstwę w duszach ludzkich, musisz nauczyć się sam panować nad swoją. A przedewszystkiem zniszczyć w sobie odruchy gniewu. Zastąpić je można smutkiem, zrozumiawszy, ile siły szlachetnej w tym smutku zaczerpnąć można.

Ręka jej, przez chwilę wzniesiona w przestrzeni, białała, jak kwiat mistyczny na tle czarnej kolumny.

Stalewski wpatrzył się w tę rękę, wsłuchał się w te słowa:

— Zastąpić je można smutkiem...

Ależ on już wyczuł właśnie taki smutek wśród fal zbożowych.

Mógł więc tylko do niego powrócić.

Cofnął się w tę warstwę spokojnej i kojącej melancholii i nagle uczył ukojenie wielkie.

— A potem możemy porozumieć się milczeniem i ciszą wewnętrznych istot. Tak się zapatrzą i zamodlą w świątynię swych własnych pragnień i celów, że najsilniejszy pedał nie zdoła w nie taranem uderzyć.

Te słowa już słyszy Stalewski jak przez mgłę, jak w poszumie zbożowych fal. Kwitną dokoła niego jakieś przedziwne kwiaty o ludzkich twarzach. I coś po tych grzędach się snuje. Lecz nie rozumie wyraźnie, jakiś smukły cień, osłonięty i liliowo piękny.

Stalewski wtula się coraz więcej w swoją ciszę i rzeczywiście odgranicza się od świata. Tylko na straży tej nieśmiało wznoszącej się Świątyni, dźwigającej się z gruzów obstalunków i szablonu, stoi Anka cicha i milcząca, uważna i w głąb świątynną wpatrzona.

I zdaje się jej, że tam, wśród kolumn, migotać zaczyna jakieś światelko, mogące rozplomienić się w żar przedziwnej, niezrównanej piękności.

.

Przez serce jej, przez umysł jej fala płynie... płynie...

Skrzydłami rozpostarta u kolumn świątynnych, dusza jego samotna spowiada się Bogu. Stokroć mniej winna od wszystkich niewinnych... Jednak omdlewa z trwogi i czeka u progów...

I myśl Anki płynie... płynie...

.

Jakaś grupa ludzi posuwa się zwolna od lasu ku willi.

Kilka latarni w rękę, za nimi cicho wóz sunie.

Wóz ten ma na grzbiecie coś na kształt trumny.

Coś, co w ciemności staje się jeszcze bardziej ciemnem, tajemniczem, groźnem, rozpaczliwem.

Nie kształtem swoim, nie czernią powierzchni, ale zawartością, która w tej czerni jest tak silną i potężną, że aż przeświecać się na zewnątrz zdaje.

Smugi świetlane, jak wstęgi karawanu, płyną od wozu, od grzbietu jego, ciągną się, nikną, znów plamami występują i znów się łączą, potem rozbiegają w miryady drżących światełek. To wszystko ciągnie się od wozu, który pełza wśród drogi od lasu, a za nim idzie garstka ludzi, jakby znudzonych, zmęczonych tą nocną wyprawą.

Leniwo kołyszą się w ich rękach latarnie, leniwo stawiają kroki.

Oni nie widzą świetlanych smug, które płyną z żalobnego wozu. Gorliwie strzegą światła swych blaszanych latarni i te im wzrok przysłaniają.

Oni tych smug nie widzą...

Gdyby im kto powiedział: „idźcie wolniej, nie popędzajcie koni, patrzcie, tam wlecze się i drży jeszcze część tego trupa, którego porwaliście po oględzinach policyjnych i lekarskich, z takim animuszem atletów, na bary, ci ludzie roześmieliby się grubiańsko, a kto wie, może serdecznym śmiechem.

Bo oni widzą tylko światła latarni, które, polakierowano właśnie świeżo na ciemno-zielono i wprawiono w nie nowe szyby.

Bo *to* się widzi.

A *Tamto* się wyczuwa.

.

I dlatego Anka z okna swego wyczuwa tę smugę świetlaną, ciągnącą się od wozu aż hen, po las, po ten smutny, bezsłoneczny las.

Po drodze wlecze się ta smuga, śpieszy, rozprasza się i gubi cząsteczki drżące, jakby krew brylantową.

Jest ona sto razy tragiczniejsza, niż ten sam Trup stężący już i zamknięty tak szczelnie w czarnem pudle, przywartem do grzbietu wozu. Bo w niej, w tej świetlanej części samobójcy, tkwi jeszcze życie, a może właśnie sama istota i przyczyna życia.

Lecz bez mistycznego połączenia, bez tej nigdy nieprześwieconej Tajemnicy, i ono, i to światło, przestaje być światłem i motorem życia ciała, z którym stanowiło taką dziwną, taką, grozą przejmującą, jedność.

Po drodze, po żdźbłach trawy, po krzaczkach, po kamieniach, rozwłóczą się gorące, wyiskrzzone blaski.

Czy zgasną?

Czy rozwieją się w nicość?

Czy wehłonie je w siebie inna istota ludzka, roślinna? Czy może stanie się duszą jakiejś, napozór martwej rzeczy, która z taką jednak potęgą w życie się nam wprasza?

A może w tę noc letnią, czarowną, rozgwieźdżoną, zabiera ją w tchnieniu swoim człowiek-mężczyzna, człowiek-kobieta, i w pocałunku miłosnym, w ekstazie twórczej, w chwili Cudu, przekaże dziecku, którego poczęcie ze śmierci początek weźmie.

Może...

Anka tego nie wie, Anka tego zrozumieć nie może, tego zresztą nikt ani wiedzieć, ani zrozumieć nie może, ale ona czuje, że przed nią odsłania się, jakby część najwyższego misteryum, wobec którego omdlewać z bólu nieświadomości i trwogi.

Wóz sunie teraz wzdłuż krat ogrodowych. Światło japońskich lampionów, kołysanych wiatrem, ślizga się po nim tęczwami plamami.

W tem świetle szafrowem, zielonem, purpurowem, występuje brutalnie zniszczenie smutnego wozu — te deski, zbite w budę bezkształtną.

Coś na wzór karawanu, coś jakby buda miejskiego rakarza.

I na tem plamy tęczowe, jakby drogie kamienie padły i drżały, padły i nikły, niby królewska dłoń sypnęła klejnotów garść, aby upiększyć nędzę tego schowku.

U kraty przyległa służąca, pilnująca lampionów, aby nie gasły.

— Kogóż tam wieziecie? — pyta ciekawie, wtlaczając twarz pomiędzy sztachety.

— A takiego znów z lasu, co miał życia dosyć!! — odpowiada chrapliwy głos z poza wozu.

Służąca uderza w dłonie z pewną manierą.

— Boziu! Boziu!.. — mówi — to straszne, znowu się jakies zabiło?

Po chwili dodaje:

— A młody?

— Dla panny za młody...

I śmiech rozwłóczy się dokoła budy, która już znika w cieniu, podczas gdy plamy tęczowe drżą i tańczą na ziemi, na kamieniach, na krzakach przydrożnych.

Stalewski przechyla się z okna i patrzy za znikającym wozem.

— Oto... życiel.. — mówi wreszcie z rozpaczliwą, bezdenną melancholią.

Anka patrzy w przeciwną stronę i wyczuwa tę smugę świetlaną, ukochaną, nadziei pełną.

— Oto życiel.. — powtarza, a głos jej brzmi tryumfem, radością, i jest jasnym, ciepłym, drgającym, tak, jakby z tych rozproszonych, brylantowych cząstek ku niej się coś wzbijać zaczynało.

XXII.

W kilka dni później zakotłowało się w mieście, zawrzało, zahuczalo.

Poruszyło się całe błoto od dołu z zaciętością niezwykłą.

Szary dzień ubarwiły setki plakatów wyborczych. Purpurowe, krwawe, pomarańczowe, jak one lampiony Stalewskiej.

Cała ludzka śmieszna, mała pycha, to coś, każące wyłazić na spróchniałą drabinkę, to *coś*, co rozpiekało pierś Napoleona i pana radcy miejskiego z małego miasteczka, spadło jak sęp, jak hyena rozskrzydlona, i wyło, klóciło, dobywało z serc ludzkich zdumiewające objawy małości i podłoty.

— Obywatele! Wyborcy!..

A dalej:

— Jedynym kandydatem demokratycznym i t. d.

Przypomina to formą i treścią „Prawdziwy, jedyny, uniwersalny płyn Jana Kwizdy“.

I te zręczne insynuacje...

I te łuki śliny, wyrzucanej w stronę kontrkandydata.

W takiej chwili sądzić można, iż całe społeczeństwo galicyjskie składa się z samych zdeklarowanych łotrów, będących równocześnie zbawcami kraju.

Wyz era z każdego rogu ulicy pycha osobista i chęć utrzymania się na cał *wyżej*...

Krzesło w sali źle oświeconej, prawo wygdakania się w tej lub owej kwestyi—zadowolenie z przeczytania w dziennikach „na interpelację radcy“...

I obojętne, senne głosowanie za prowodyrem, a nadewszystko chęć pozowania dla galeryi.

To już najumiarkowańsza hydra polityczna, to pragnienie rządzenia miastem i oponowania przeciw „pozycjom budżetu”. To już żądza wicherzenia w pewnej przestrzeni, obramowanej kamienicami, w których zgromadziły się całe stada ludzi. Reprezentacya przy odsłanianiu pomników, spacer po błocie w stroju twarzowym za trumną ironicznie na te rzeczy zapatrującego się nieboszczyka, możność rozpierania się przy biurku, gdy przychodzi jakiś petent i mówi z pokorą: „pan radca, panu radcy, panem radcą”.

Anka dnia tego wstaje wcześniej i, odziewszy się, biegnie do redakcyi.

Ona wie, że ojciec przeżywa dziś jeden dzień, w którym koncentruje się znów całe jego życie. Ona czuje, co się tam dzieje w tej biednej puchą duszy.

Ona wie także, iż będzie to jeden więcej sromotny upadek, i że Zagrodzki „nie przejdzie“, pomimo, iż ów dziennik, w którym go tak popierają, rozwinał bardzo ładną i bardzo dobrze pomyślaną agitacyę.

Anka wie, że jest bezsilną, że nic nie poradzi na ów upadek, że nawet jej obecność będzie przez ojca niedostrzeżona, ale ta nie, która ją wiąże tak silnie z tym ojcem, będącym dla niej tak mało „ojcem“, ciągnie ją ku niemu.

— Pójdę, będę przy nim!..

Przypomina sobie, iż dzień przed tem widziała go strasznie wybladłym i zdenerwowanym, jak biegł przez ulicę, potrącany przez ludzi, nawoływany przez fiaków, z oczyma, płonącymi niezwykłym gorączkowym ogniem.

Stawał na rogach ulic, czytał plakaty wyborcze, które pewnie umiał na pamięć, poił się obelgami, które czerniały, porozwieszane jak sztandary, i siekły go różgami zarzutów, a potem znów wpadał w hypnozę przed własnem „wyznaniem wiary“, który podawał jego „komitet“—na innych plachtach, naklejonych w pośpiechu, a zdzieranych szybko przez kontrkandydatów. Niepodobna było pochwycić nawet tragiczności wyrazu twarzy tego starca, biegającego tak z rogu ulicy na drugi róg, bladego, z ustami silnie zaciętymi.

Jak zawsze, elegancki, nieposzlakowanie ubrany, wielki pan w każdym calu, przerażał tą elegancyą zgalwanizowanego trupa.

Ance ścisnęło się serce wielkim, fizycznym bolem:

— Jak ona go żre ta chimera, którą tak starannie, jak lampę kryształową, w swej duszy pieści! Jak ona go żre!..

W redakcyi pootwierano wszystkie drzwi na rozcież.

Całe stopy śmieci, papierów zalegały podłogę.

Z racyi wyborów nie zamiatano.

I tak się dziś naśmiewi „hyenami“ i rozmaitym innym „narodem“

Przed redakcją szereg dwukonnych fiaków czeka na rozkazy i rozwozi po mieście agitatorów i wyborców.

Każdy fiakier, wynajęty przez dziennik na cały dzień, ma na piersi kokardę błękitną.

Gdy agitator, lub ktokolwiek, potrzebujący fiakra w agitacyjnych celach, spotka taki powóz na mieście, ma prawo wsiąść do niego i jeździć gdzie chce i do kogo zapragnie.

Cały dzień widać po mieście jeżdżących Wierciaków, a fiakry z błękitnymi kokardami śmieją się i bawią z wysokości kozłów.

Naczelny redaktor, człowiek chory, saungwinik, z fioletowemi plamami na twarzy, podobnej do maski Ibsena, dobywa resztek sił i głosu, drepcąc po zaśmieconych pokojach redakcyjnych.

Telefon jęczy ciągle i przeraźliwie.

Przy nim szasta się sekretarz redakcyi, traktujący sprawę wyborów elegancko i z humorem.

Co chwila otwierają za pomocą świderka, pożyczonego od stolarza, butelki Pale Ale. Kanapki z kawiozem znikają, jak w czeluściach piekła. Jakieś gromady nigdy nie zjawiających się w redakcyi ludzi przeciągają przez lokal i po ich odejściu taca kanapek próżna, butelki Pale Ale — próżne.

Fiakry turkocą, odjeżdżają, zajeżdżają...

Po schodach dudnią ciężkie buty.

W sieni słychać szepty, wykrzykniki, rozkazy...

Sekretarz z wytworną uprzejmością przyjmuje Wierciaka, który spocony, ochrypły, nie umyty, z krawatką, przekręconą na narzmiącej szyi, wpada co chwila do redakcyi i każe wywoływać redaktorów kolejno.

Gorączka, żar panuje dokoła.

W bramie tłoczą się i krzyżują rozmaite indywidua. Koło fiaków podrygują dzieci. Jakaś sługa zawyrokowała, że to musi być wesele, ale jakiegoś wdowca albo i rozwodnika, bo fiakry „na niebiesko“.

Usłyszał to sekretarz, wyjrzał, zobaczył, że dziewczyna ładna, i z wdziękiem podał jej przez okno bułeczkę z kawiozem.

W tej właśnie chwili wchodziła Anka do redakcyi.

Ten postępek młodego, wesołego chłopca zasłonił jej na chwilę całą bezdeń gorączkowej głupoty, jaka rozprzestrzeniła się tutaj, biorąc do pomocy ambicyę, doprowadzoną do szału.

— A, paniusial.. śliczna panna Anna będzie z nami agitować... a ot, jeszcze jedna bułeczka.

I z tym samym uprzejmym gestem, z jakim przed chwilą traktował służącą, rzucił się sekretarz ku Ance z tacką, na której czerniła się ostatnia kanapka.

— Dziękuję panu! — odparła Anka, uśmiechając się mimowolnie — niech to pan zachowa dla rzeczywistego agitatora.

Lecz ruchliwy sekretarz już był przy drzwiach, już szeptał z jakąś grupą podejrzanych indywiduów i wachając nieznacznie kłapę od kurtki, naperfumowaną Vera Violetta, prowadził oną grupę do ostatniego pokoju.

Tam bowiem wrzał najsilniejszy ruch i tam była kuźnia wyborów.

Przez okno, wychodzące na dziedziniec, konferowano z bandami „hyen“, cisnącemi się dokoła niewielkiego skweru. Szary dzień bez promienia słońca, ciężki i duszny, tłoczył mózgi przedburzową siłą. W powietrzu drżały całe smugi elektrycznej potęgi i przenikały nawskroś ciała ludzkie. Z gromad, stojących pod oknem, były kłęby woni alkoholu, potu, machorki i starej odzieży,...

Z ich twarzy, z ich oczów ukośnych, ust, dziwnym grymasem na bok ściągniętych, aż biło obleśnym fałszem, przyczajeniem się i umiejętnością wyzysku chwili, tak podatnej do wykorzystania ludzkich namiętności.

Z okien oficyny, otaczającej dokoła dziedziniec, przyglądali się lokatorowie, kobiety z dziećmi na ręku, sługi, przechylone przez wywieszzone dywany, lub kołdry, i ze spokojem i pewną ociężałością śledzili ten kłęb ludzi, cisnący się ku redakcyi, ziejący gwarem, gorączką i niepokojem.

Wesołe wrażenie, które Anka odniosła przez spotkanie na progu grzecznego sekretarzyka, zatarło się zupełnie, gdy zaczęła błądzić po pokojach, szukając ojca. Potykała się co chwila o ludzi roznamiętnionych, rozkrzyczanych, knujących, liczących, nienawidzących, pełnych jadu i chęci zabicia moralnie bliźniego.

— Co tam? co tam? — pytał naczelny redaktor, któremu czterdzieści stopni gorączki zdawało się dodawać skrzydeł, niosących go nad rozszalałym miastem.

— Jeszcze nic pewnego... zdaje się jednak, że dobrze!..

— O!.. może się pan czego napije, potem proszę brać fiakra i pod ratusz.

— Dziękuję, pić nie będę, lecz...

Nagle wpada ktoś brodaty w kapeluszu, zsuniętym z czoła.

— Żydzi, żydzi brużdzą...

Konsternacya.

A potem krzyk:

— To nie może być!

— Tak jest.

— Kahał za nami.

— Nieprawda

I po redakcyi całej leci szumem wzburzenia:

— Kahał bruździł!.. Kahał odstępuje!..

W jednej chwili zbijają się grupy — szepty, narady.

— Ten ma wpływy...

— Bierzcie fiaków!

— Psia krew, nie ma ani jednego.

— Pędźcie na róg, bierzcie pierwszego lepszego!

— Obiecał...

— Kto mu wierzyć może?

— Pozwólcie... jakże?..

— Cicho. nie gadać, działać!..

Sekretarz wpada, prowadząc jakieś trzy indywidua.

— Jest dwanaście głosów, ale chcą...

Szeptem wymienia cyfrę.

— Dać, dać!.. — woła naczelny redaktor, macając się co chwila pod lewą pachę, gdzie tkwi od rana termometr.

Anka wreszcie ośmiela się zapytać jednego ze znajomych redaktorów, piszącego *quand même* kronikę do wieczornego numeru.

— Gdzie mój ojciec?

— Nie wiem.

Do redakcyi wnoszą coś cichaczem. Zaczynają to coś oglądać w kącie. To transparent z twarzą Zagrodzkiego, przygotowany w razie wyboru. Olbrzymia głowa, dziwna, straszna, z doskonale zachowanym wyrazem tragicznego niepokoju. Oczy wybladłe, błędne.

Wszyscy się zachwycają.

— Doskonały!

— Jak żywy!..

— W którym umieścimy oknie?

— W środkowym... resztę okien obwiesimy lampionami... oto są!

W jednej chwili, jak stado motyli, w rękach zaczynają fruwać lampiony rozciągnane, jak potworne harmonijki. Ktoś zapalił wewnątrz świeczkę. Smutno zapłonęła pomarańczowa plama z posianymi na niej szafirowymi zygzakami.

— Zgasić... zgasić... schować!..

W stos, na stół, pomiędzy całe masy dzienników porannych rzucono lampiony i transparent.

Padł całą długością i zesunął się połową ze stołu, świecąc z daleka białą brodą, włosów i cery twarzy Zagrodzkiego.

I znów: „żydzi, żydzi, kahał!..“.

Anka nagle widzi w kącie wciśniętego Narbutta.

Jest zmieniony, prawie siny, smutny, nie pijany. Siedzi nad jakąś książką, z której machinalnie robi notatki. Widać jednak, że ta praca jest mu obojętna, jak obojętną mu jest gorączka i wrzawa, przepelniająca redakcję.

Jest koło niego jakiś abstrakcyjny krąg, który nie dozwala zbliżyć się i przerwać mu tego odosobnienia, wyniosłego i arystokratycznego.

Anka to czuje, czuje jednak zarazem, że gdyby wniknęła w siebie i skoncentrowała swe siły moralne, mogłaby znaleźć na tyle mocy, aby przejść to koło i znaleźć się wspólnie z Narbuttem w tej sferze, w jakiej on teraz przebywa. Lecz na to trzeba chcieć.

A Anka nie może, czy nie chce.

W Narbucie widzi swego przewodnika, widzi tego, który jest od niej *wyżej*, który ją pociągnął za sobą, więc tylko patrzy w jego stronę z wdzięcznością.

Nitka przywiązania, która ogarnęła ją owej pamiętnej nocy, gdy wróciła z redakcji, wykwita .. wdzięcznością. Brak w niej tej przytulności, która stanowi podstawę wielkiego uczucia, brak w niej tych ramion rozwartych, w które chroni się istotę słabszą i przez to więcej ukochaną.

Anka chciałaby spotkać wzrok Narbutta, chciałaby mu wypowiedzieć swemi żrenicami, że idzie za jego radą, że już nawet zbiera plon, chciałaby zaczerpnąć w jego spojrzeniu siłę i moc na dalszą drogę, lecz Narbutt siedzi, zapatrzony w jakąś dal mistyczną, którą on tylko rozumie, i ma wygląd człowieka, przed którym otwarły się nagle drzwi grobowe, w którym lata całe spoczywała pusta, przygotowana na przyjęcie trumna. Otwarły się też drzwi i wionęło straszonym, grobowym zapachem.

Zakołysała się w niem rozniecona mozolnie lampa mądrości życiowej.

I gasnąć zaczyna.

Na dnie trumny tymczasem rozświetla się jakieś inne, dziwne światło.

To—zdaje się widzieć Narbuta i to światło odbija się w jego żrenicach straszonym, tajemniczym blaskiem.

.

W ostatnim pokoju, na zwykłym miejscu, przy biurku, siedzi Zagrodzki.

Siedzi tak, jak zwykle, nie zdjęwszy jasnego palta, siedzi i pisze.

Właściwie jednak nie pisze, tylko kreśli zygzaki po papierze drżącą od zdenerwowania ręką. Nie pozwolili mu wyjść na ulicę i słać się przed afiszami. Zresztą, on sam już dzisiaj czuje całą niewłaściwość podobnego postępowania. Jak lalka, jak bożek z Taiti, siedzi w swym fotelu, a dokoła niego wre cały ruch, cała robota wyborcza, prowadzona bynajmniej nie dla jego wartości osobistej, lecz dla zupełnie pokątnych celów.

Czuł to wybornie, dziwnie bowiem wysubtelnił się w nim w ostatnich czasach ten zmysł odgadywania istotnej sytuacji, w jakiej się znajdował. Starał się jednak od czasu do czasu brać niby udział w tym ruchu, który dokoła niego wirował—wstawał, rzucał przez drzwi pytania, lecz czuł, czuł to wybornie, iż jest manekinem, którego wyśrubowano na wyżyny.

I co było najstraszniejsze, to właśnie dla tego, że był... manekinem.

Nikt sobie, zda się, nie zdawał sprawy, co czuł w tej chwili ten cicho siedzący manekin, najwygodniejszy kandydat dla „partyi“. Jemu zaś zdawało się, że ktoś powoli, z całą świadomością, zdziera z niego odzież, i że wystawiają go na jakieś urągowisko całej masy, która tylko czyha, aby rzucić się na niego i siec go urągowiskiem i lodem plwocin, pełnych zatrutego jadu.

Przed nim, nad mapą Galicyi i Lodomeryi, żółtą i od much upstrzoną, obok szafki, w której drzemie kilka tomów rozmaitych encyklopedyi (źródła przygodne wiedzy reporterskiej), okrągła tarcza zegara nieubłaganie macha ramionami wskazówek, ciągle zataczając koła.

Zagrodzki mimowoli na ten zegar spogląda. Sprzął z nim swe istnienie, gorączkę swego zwycięstwa lub porażki.

Każde posunięcie wskazówki, to szmat dnia, w którym on tak krwawi swą duszę pod dumne chłosty ją wlokąc.

I chciałby chwilami, aby ten dzień straszny, ten dzień niemilośnierny, skończył się jak najprędzej, to znów chciałby klęknąć przed tą tarczą zegaru, i on, starzec siwowłosa, zamiatać białą brodą proch ziemi w błaganiu kornem powolnego obrotu wskazówek.

Bo przez ten czas nazwisko jego może więcej razy, może jeszcze więcej razy pojawić się w sali wyborczej.

Jego nazwisko!

Tych kilka liter... tam... w sali ratuszowej. Niosą je setki ludzi po tych złoconych schodach, mają je na ustach setki ludzi, mrowiących się dokoła ratusza.

I znów Zagrodzki prostuje z dumą kark pochyłony. Ambicja go przepaja całego, owiewa słodkiem kadzidłem. On przecież jest kimś, skoro jego nazwisko...

Nagle drzwi się uchylają.

Wsnuwa się przez nie Anka i równocześnie słyszy zmieszane głosy:

— Żydzi... żydzi zdradzają...

Zagrodzki błędnie jeszcze więcej i wstaje z za swego fotelu, jakby podcięty szpicrutą.

Żydzi?

Ależ zawarli przecież sojusz bardzo ścisły i mieli iść ręką w rękę. Obiecano im, w razie poparcia, pewne także ustępstwa. Tajemnica wielka, lecz pewna. I teraz zdradzają!

Pot mu płynie z czoła.

Wstaje i kieruje się ku drzwiom.

Po drodze spotyka Ankę.

— Ach! to ty!..

— Ja, ojcze!

Dziewczyzna bierze rękę starca, niesie ją do ust. Czuje, iż jest zimna, jak lód.

— Ach, ojcze, ojcze!.. ty jesteś chory, zlituj się!..

Odsuwa ją, patrząc we drzwi błyszczącymi oczyma.

— Słyszysz... żydzi zdradzają!..

Dochodzi sztywnym krokiem, otwiera je i wchodzi nagle w wir, hałas, ścisk.

Anka pozostaje sama.

I patrzy na ten fotel pusty, na to biurko, nad którym pochyła się całe dnie postać jej ojca, i nagle wykwita przed nią cały łąn zsiarnych zbożem pól, i łąk zielonych, i lasów, w zimie bogatych w srebrną, ciężką okiść, i lip wonnych, i akacyi, na trawnikach rozkwitłych w czerwonym, czarującym słońcu.

Ta wieś cicha, uroków pełna, a w niej...

Z pod baldachimu dębów żółknących, wśród lasu, szlakiem wrzósów różowych, duch jej się wysuwa, płynie w kryształ przestworza, bez przestrzeni, czasu. Drży, jak harfa eolska, i w mgłę się roz-snuwa.

W mgłę, wznoszącą się ponad łąkami i całą prześwieconą srebrem księżycą.

Wiesł.. ol wieś rodzinna!..

.

Drzwi skrzypnęły.

Powraca Zagrodzki.

Białemi, jak wosk śnieżny, rękami — szarpie, gładzi, to znów szarpie brodę.

— W ostatniej chwili zawodził.. — mówi cichym, drżącym głosem.

Podchodzi do biurka, przewraca na niem bez celu książki, papiery...

Anka patrzy na niego i razem z nim dąży wzrokiem za zegarem który bez lit ści posuwa swe wskazówki ciągle naprzód.

Z pod baldachimu dębów...

I tam płynie czas, lecz jakże inaczej!

Szlakiem wrzosów różowych...

I tam mija życie, lecz człowiek je sam odmierza, nasyciwszy się niem, jak wonią kwiatu.

Ojczel ojczel..

Spogląda na nią, jakby sobie przypominał z ciężkością, jakby jej poznać nie mógł.

Nagle błysk całej skoncentrowanej siły.

— Ty znasz rabinowę?

Anka doznaje chwilowego przestrawu.

— Mówiłaś mi przecież, że byłaś kiedyś na urządzanej przez nią wencie. Przypomnij sobie, posłałem cię wtedy z redakcyi... pisałaś sprawozdanie...

— Ach!.. żonę rabina.

— Tak, tak!.. Otóż, siadaj do fiakra, jedź natychmiast do nich, do mieszkania i proś, aby rabin wpłynął na kahał, żeby żydzi głosowali za mną. Rozumiesz!..

— Ależ ojczel..

— Czy tego dla swego ojca zrobić nie chcesz?

Drży cały, pochwycił ją za ramiona, jest tuż przy niej, patrzy prosto w jej oczy swemi choremi, mętnemi oczami.

— Jedź, jedź! -- prosi.

I gdy Anka ma tak przy sobie blisko tę biedną, smutną nędzę, tę przeżartą przez siebie samą istotę ludzką, z której ona powstała, ogarnia ją tak wielkie wzruszenie, taki smutek, iż nie umie oprzeć się tej prośbie.

— Dobrze, ojczel!.. pójdę! — mówi cicho.

(D. c. n.).

GABRYELA ZAPOLSKA.

Władysław Syrokomla.

(1823—1862).

Dziwić się, zaprawdę, wypadnie ubóstwu literatury o lirniku litewskim, jeżeli uprzytomnimy sobie to wielkie i serdeczne uznanie, które niegdyś uzyskała pieśń jego. Na gorąco puścił Kraszewski w świat zbiór swoich wspomnień i rozmyślań o Syrokomli, książkę, skupiającą właściwie życiorysowy materiał tylko. Pomimo jednak braku pierwiastku syntetycznego, spotykane tu luźne rozbiory utworów poety stały się niejako kanonem poglądów na twórczość autora „Dęboroga“. W r. 1872 ukazało się znakomicie zredagowane przez Wincentego Korotyńskiego zbiorowe wydanie poezyj Syrokomli. Wydanie to dało powód do szkicu Tyszyńskiego, zamieszczonego wśród jego „Wizerunków“ (praca ta zresztą wizerunkiem zgoła nie jest) i do obszerniejszej rozprawy Wł. Spasowicza, która z kolei oddziaływała na wygłaszane o Syrokomli sądy, a, zdaniem Chmielowskiego, ma pozór mowy oskarżycielskiej. Później już, jeżeli pominiemy rzeczy, które w czasopismach zatonęły (np. pracę Suryna w „Tygod. Illustr.“, 1897 r.) i z konieczności ułamkowe rozdziały w kursach literatury (najlepszy obszerny ustęp u Króla i Nitowskiego), mamy do zapisania oprócz „nieśmiałego“ i pobieżnego szkicu W. Z. Kościałkowskiej, tylko najnowszą pracę T. Pini’ego. Na tę ostatnią jednak w znacznym stopniu oddziaływał jej popularyzatorski charakter. Wydając książeczkę dla ludu (w „Bibliotece Macierzy Polskiej“), autor starał się oblec myśl swą w formę możliwie przystępną; dbał też wielce o to, by uniknąć zarzutu drażnienia namiętności klasowych, i oto dziełko jego stało się obszerną, czasem nawet rozwlekłą, a mało krytyczną parafrazą rzeczy znanych, w eufemizmy wszelkiego rodzaju obfitującą, czy tam, gdzie demokratyzm poety

wydawał mu się zbyt jaskrawym, czy też tam, gdzie mówićby wypadło o miłosnych a nieulegalizowanych stosunkach Kondratowicza.

Spostrzegamy, iż postać słowika nadniemeńskiego nie nęciła oczu późniejszego pokoleuia. Dlaczego? Był epigonem, polot jego natchnienia nie był wysoki, szata poetycka u niego nietylko skromna, ale codzienna i zaniedbana cokolwiek... Są przecież i inne przyczyny braku zajęcia się poezją Syrokomli — ze strony badaczy przynajmniej. Winc. Korotyński w przedmowie do zbiorowego wydania „Poezjy“ zapowiada, iż w ostatnich tomach znajdzie się miejsce na korespondencję poety. Obietnicy tej aż dotąd zadość się nie stało. Najelementarniejsze daty w ubogiem w zewnętrzne wypadki życia pieśniarza, nie są często ustalone. Oto np., po pięciu latach nauki szkolnej w Nieświeżu i Nowogródku, miał poeta w przeciągu lat siedmiu, między rokiem 1836 a 1842, pozostawać przy ojcu na wsi w roli pomocnika jego przy gospodarstwie. Daty te wziął Kraszewski u Skimborowicza, najwcześniejszego żywotopisarza Syrokomli, lecz, podług innych, kres ten kurczy się znacznie. Inny szczegół. Po ożenieniu się swem, Kondratowicz osiada w Załuczu, gdzie właśnie zastajemy na dzierżawie ojca poety. Kraszewski, przypuszczając, iż rodzice nadal pozostali w Załuczu, wysnuwa ztąd wniosek, iż syn pilnował więcej pióra, niż roli, że w gospodarce wyręczało go stare oko p. Aleksandra i t. d. To, co u Kraszewskiego jest tylko prawdopodobną hipotezą, to u p. Pini'ego jest już sprawdzonym faktem. Prawda, niedługo to trwało, bo już coś we trzy lata — według zapewnienia autora — ojciec Syrokomli tak się postarzał, że zaprzestał trudnić się gospodarką... Tak się tworzą legendy. Inna legenda Tyszyńskiemu zawdzięcza swój byt. Autor „Wizerunków“ utrzymuje, że pierwsze utwory Syrokomli były tłómaczeniem wypisów rosyjskich, lecz za podstawę posłużył mu widocznie ten zwrot przedmowy W. Korotyńskiego, w którym ten przypomina, jak niegdyś Syrokomla „niendolne wierszyki snował z tematów, wałęsających się po wypisach szkolnych“. Od lat najwcześniejszych przerzucmy się do schyłkowych. Fatalny na nie wpływ wywarła miłość, o której to chyba tylko wiemy, że przedmiotem namiętnego uczucia była kobieta zamężna. Winc. Korotyński, przyja-

ciel Syrokomli i świadek ostatnich lat i miesięcy jego życia, opowiedział niegdyś ¹⁾ w „Obrazach z Pobrzeża Niemna“ dzieje nieostrożnego wyskoku, które zaprowadziły poetę do więzienia, i dodał, że uwolnienie swe Kondratowicz zawdzięczał staraniom, czynionym u gen.-gub. Nazimowa, przez A. H. Kirkora i d-ra Titiusa. Tymczasem na jednym z egzemplarzy „Tygodnika Powszechnego“ znalazła się notatka, ręką d-ra Titiusa nakreślona: „Kirkor nie widywał gen. gubernatora Nazimowa. Widywał go zaś dr Titius...“ ²⁾.

Po dawnemu, głównem źródłem, z którego możemy zaczerpnąć pewniejszych wiadomości o życiu i twórczości poety, jest książka Kraszewskiego; do tej, kilka lat temu, przybyło ciekawe dziełko: „Syrokomla o sobie“, wydane i objaśnieniem uzupełnione przez p. Władysława Korotyńskiego. Ale cóż? i te źródła dają powód do niepełności i bałamuctw w szczegółach. W autobiografii swej np. ³⁾ poeta wcale nie wspomina o Nowogródku, gdzie miał kończyć piątą klasę, Był więc w Nowogródku, czy nie był? Pierwsze drukowane utwory Syrokomli w „Athenaeum“ były to, według Kraszewskiego, „Napoleonista“ i „Trzy gwiazdki“ ⁴⁾. Tymczasem wcześniej się tam pono dostały powiastki: „Rywale“, „Stary kawaler“ i gawęda: „Pocztylion“ ⁵⁾. Sprawdzić nie mogliśmy, gdyż nie mieliśmy w ręku roczników „Athenaeum“. Inny, jaskrawszy przykład. Kraszewski przytacza obszernie wyjątki z listu, pisanego przez Kondratowicza 13 stycznia 1849 r. Wzmiankuje w nim poeta o gawędzie, przesyłanej do „Athenaeum“. Kraszewski dodaje w nawiasie: „O Mojkowskiem, z podań klasztoru łuckiego ks. Trynitarzy“. Wzmiankowana jednak gawęda („Żebrak-fundator“), drukowana w „Athenaeum“ w r. 1851, ma datę: 7 grudnia 1850 r., a powstała (według przypisku samego Kondratowicza) z opowiadań Kraszewskiego „podczas pamiętnej dla nas

¹⁾ „Tygodnik powszechny“ z r. 1884.

²⁾ Szczegół powyższy, obok innych, zawdzięczał uprzejmości p. Lucyana Uziębły, i za miły obowiązek sobie poczytuję wyrazić mu niniejszem swoją wdzięczność.

³⁾ W książce: „Syrokomla o sobie“.

⁴⁾ W r. 1846.

⁵⁾ W r. 1844.

bytności w Hubinie w lipcu 1850 r. Bałamuctwo widoczne. Albo data listu zmylona, albo połączono w całość urywki dwu różnych listów, albo wreszcie, co najprawdopodobniejsze, pamięć zawiodła Kraszewskiego, i mowa była zgola nie o Mojkowskim, lecz up. o „Grabarzu“, podznaczonym: 13 stycz. 1849, i w tymże roku w „Athenaeum“ drukowanym. Drobiazgi te świadczą, że co chwila rzekomy fakt okazuje się błędem lub legendą. Ponad to wszystko jednak uczuwać się dają inne, dotkliwsze braki. Syrokomla był samoukiem, systematycznej szkoły nie znał. Dla ludzi tak sobie i swemu przemysłowi pozostawionych, zdanych na los pierwszej spotkanej książki, dla ludzi takich chwilowe, dorywcze wpływy i technienia szerszego świata mają znaczenie doniosłe, a tem znaczniejsze, o ile pewien osobnik mniej zgromadził materiału, o ile mniej miał możności przetrwać go, w swą treść duchową wcielić. Jakaś myśl rzucona, parę godzin rozmowy ze sławnym przyjacielem, poruszają duszę samotnika do głębi, rzucają ziarna fermentu, znajdującego słaby opór w zbyt mało wyrobionych i skryształizowanych przekonaniach. Lecz o rzeczach tych, tak olbrzymiej nieraz doniosłości dla wewnętrznych dziejów poety — nie wiemy nic, albo prawie nic. Pisze kiedyś Syrokomla do Kraszewskiego o gorących rozprawach, które wraz ze złotem młodzieży akademickiej rozbrzmiewać zaczęły pośród ścian jego chaty... Jacy to byli goście? Jakiego rodzaju były rozmowy? Albo po przeniesieniu się swem do Wilna, pieśniarz nasz upada pod „żądłem komarowych pletek“. Rozżalenie poety było tak wielkie, że świat mu na długo pociemniał. I znowu — jakie to były stronnictwa, czy koterye w ówczesnym Wilnie, które poeta chciał pogodzić, a z tak nieszczególnym, jak się pokazało, skutkiem? Jaka była wogóle atmosfera na Litwie, a specjalnie w grodzie Gedyminowym? Odgłosy sporów ideowych pozostawiły ślad swój w piśmiennictwie, ale literatura w owe czasy zwykła była ujmować stosunki realne pod kątem filozofii idealistycznej i trzeba pilnie zazierać poza wiersze, by jako tako odcyfrować hieroglificzne ogólniki. Za przykład wskazać można piekącą sprawę włościańską. Czy możnaby z drukowanego słowa (z „Athenaeum“ up.) powziąć wyobrażenie, do jakiego stopnia zagadnienie to roznamiętniało żywsze umysły? Wśród wcześniejszych utworów Syrokomli

istnieje zarliwa apostrofa do browarów (gorzelni). Być może, jest to osad jakiej rozprawy ustnej, jakiej napaści na szlachtę, która z tego źródła zyski swe ciągnęła?.. Słowem, nie posiadamy dokładnej znajomości tych nurtów, które ciągnęły spodem, a tylko ubocznie i często przygodnie, istnienie swe na zewnątrz objawiały. Więc jakkolwiek ogólne linie poglądów naszych na stanowisko Syrokomli w dziejach poezji polskiej są już nakreślone, nie mamy jeszcze możności wyceniować wizerunku pieśniarza. Zdajemy też sobie sprawę z tego, że i niniejszy szkic, związany (acz luźnie cokolwiek) z czterdziestą rocznicą śmierci lirnika litewskiego, i z osiemdziesiątą jego urodzin, musi posiadać znamiona, co najmniej, tymczasowości.

I.

D Z I E C I Ń S T W O .

Ludwik (Władysław Franciszek) Kondratowicz (herbu Syrokomla) urodził się 17/29 września 1823 r. we wsi Smolkowie w gub. Mińskiej, pow. Bobrujskim („Niech żyje nasza bracia i mój Mińsk rodzony“ — woła poeta w jednym z toastów swych podczas przejazdu przez Mińsk w r. 1856). Wyszedł on z tej samej, co Mickiewicz, rzeszy drobnoszlacheckiej, i jak wieszcz litewski, z pokolenia, które się już wzniosło na wyższy stopień inteligencji, zamożności i stanowiska towarzyskiego, tworząc spodni pokład warstwy, która zajęła w społeczeństwie miejsce stanu średniego (wiejskiego przeważnie), a po przekształceniu dawnych stosunków, poczęła żyć życiem samoistnym, nie zaprzęgając się do rydwanu polityki możnych domów, boć i polityka tu istnieć przestała. Zresztą, co do rodziców Ludwika (Aleksandra i Wiktoryi ze Złotkowskich), ani ich stanowisko towarzyskie nie było zbyt wysokie, ani zamożność zbyt wielka. Aleksander Kondratowicz, dawniej komornik, czyli geometra, w chwili przyścia na świat Ludwika, jadł razowy chleb ubogiego dzierżawcy, a po wieloletniej tułaczce z miejsca na miejsce, zyskał tyle, że „gdzieś daleko od Niemna wybrzeży, wziął starą chatę i gruntu półwłocze“, jak czytamy o Łagodzie w „Kęsie chleba“, i musiał bodaj własną ręką plug prowadzić. Kłania się i zabiega o łaski urzędników zarządu dóbr para-

dziwiłłowski w Nieświeżu, by młodego Ludwika na pisarczyka wzięto. Ale, jakkolwiek kawał chleba nie był dostatni, dostarczała go praca własna, a niezależna. Inteligencya skromnego dzierzawcy była wyższą nad jego stan. Wychowaniec szkół pijarskich, człowiek czytany, posiadał sporo wiadomości historycznych, chętnie też zapuszczał się w rozprawy, a gdy zadomowionemu brakło sprawności polemicznej, skwapliwie „wyzywał na piórko“, kończył spór na piśmie. Książka tedy w rodzinie Kondratowicza była poufałym przyjacielem. Z takiej warstwy wyszedł nasz lirnik i w takim otoczeniu upływały mu dziecinne i młodzieńcze lata.

Ani pochodzenie, ani otoczenie domowe nie pozostały bez wpływu na kształtowanie się uczuć i wyobrażeń Ludwika. Już najwcześniejsze oddziaływania zwracały się w tym kierunku, w jakim później miała się rozwijać poezya jego, w kierunku umiarkowanego demokratyzmu szlacheckiego. Zapewne, życie to późniejsze spotęgować miało w Syrokomli poczucie braterstwa ze skromnym mieszkańcem „zaścianka Podkowy“; życie to sprawiło, iż pomimo wrodzonej miękkości usposobienia, poeta rzadko powstrzymywał się od sarkazmu, ilekroć oko jego przenosiło się z ubogiego dworku na wspaniałe dach siedziby pańskiej. Bądź co bądź atoli, poczucie chudopacholstwa dostarczało trwałe podstawy nastrojowi temu już we wewnętrznych pokładach duszy, budziło przy lada sposobności pewien odruch, coś niby ów okrzyk pogardliwy Bohatyrowiczów Orzeszkowej: „hrabiowie!“. Mówimy, rozumie się, nie o jakiejś zawiści samolubnej, do czego autor nie był zdolny, jak to widać z osobistych stosunków jego np. z E. Tyszkiewiczem, z Puzyninową i t. d., lecz o pewnem zabarwieniu uczuciowem jego sądów, o odruchach sympatyj dla rzeszy prostaczej, sympatyj, przeradzającej się w czujną, podejrzliwą nieufność względem tych, co zwykli wyniosłe na prostaków spoglądać.

Współczucie Syrokomli obejmowało nie tylko brać zaściankową, lecz i chłopów pańszczyźnianych, z których pracy korzystał Aleksander Kondratowicz, korzystał później i sam Ludwik. Jakie były w tym względzie wrażenia przyszłego poety? Przy osobistej styczności z podwładnymi, przy ciągłej a nieustannej walce sprzecznych interesów, kiedy jedna strona używa przymusu, druga odeń się uchyla, najłatwiej rodzą się i utrwalają obustronne niechęci i pogarda, wytwarzają się t. zw. ekonomiczne pojęcia i ekonomiczny stosunek, na który pisarze zachowawczy, czy to Rzewuski, czy Ig. Chodźko, czy nawet Kraszewski czasami, zwałali całą winę ucisku, znoszonego przez lud. Jakim był stosunek Aleksandra Kondratowicza do ludności wiejskiej? Musimy tu zaufać synowskiemu sercu poety, który w „Kęsie chleba“

przedstawił swego ojca w osobie Łagody. Znamienna już jest sama nazwa, nasuwająca wyobrażenie człowieka skromnego, cichego, łagodnego. Takim też on występuje w poemacie, takim się on ukaże w świetle serdecznych wspomnień o nim drużyny wiejskiej. Ba, nawet ów wizerunek ojca Syrokomli, prawda, że zewnętrzny tylko, który kreśli nam we wspomnieniach Rodziewicz ¹⁾, utrwalić tylko może powzięte wyobrażenie o charakterze starego Łagody. Jeden tylko chyba sprzeczny rys spotykamy w posiadanych przez nas skąpych szczegółach, to doraźna kara, którą ojciec wymierzył niedorostkowi na sianie, gdy zastał go zaczytanym w W. Skocie, zamiast tego, co by miał pilne dawać baczenie na robotników. Dostało się synowi w chwili gniewu od porywczej ręki ojca, mogło dostawać się i innym, zależnym. Ale powolny i miękki charakter syna, na zasadzie, iż niedaleko pada jabłko od jabłoni, pozwala nam wyrozumować, że i jabłoń sama nie posiadała zbyt twardego pnia. Zbierając w jedno te wszystkie przypuszczenia i wnioski, możemy domyślać się, że zachowanie się starego Kondratowicza z włościanami, jeżeli nie zawsze i nie koniecznie było sentymentalne, zbliżało się wszakże nieco do tyle sławionych ideałów patryarchalnych. Właściwości charakteru, z natury zgoła nieokrutnego, poczucie sprawiedliwości w wymaganiach i w ocenie wypełnianych robót, okrasa życzliwości w codziennem obcowaniu — wszystko to łagodziło pewnie ciężkie strony stosunku poddańczego. Słowa wyniosłe i pogardliwe nie obijały się tu o uszy dziecka; do serca dziecięcego, wraz z niemi, nie spływała trucizna. I oto we wszystkich wspomnieniach Kondratowicza, o ile one weszły w skład jego twórczości poetyckich, spotykamy ciekawy szczegół towarzyskiego i przyjacielskiego stosunku między paniczem, ubogim co prawda, lecz zawsze paniczem, a wiejskimi chłopakami. Przypomni się tu każdemu niewątpliwie jeden z najpiękniejszych epizodów „Dęboroga“ — nocleg na pastwisku; przypomną się też marzenia chłopięce w „Szkołnych latach“:

Już do wakacyj tylko zostało
 Cztery tygodnie, aż serce skacze!
 W domu zielono, w domu przestronno,
 Ojca zobaczę, wioskę zobaczę,
 Z wiejskimi chłopcy pohasam konno...

¹⁾ W przypisach do książki Kraszewskiego. Rodziewicz był urzędnikiem zarządu dóbr poradziwilłowskich ks. Wittgensteina.

Tu bezpośrednio potrącamy o inne zjawisko, które również nie pozostało bez wpływu na kierunek i koloryt twórczości—poufałe obcowanie z przyrodą... na szerokich rozłogach pół dniem, na pastwisku w lesie nocą, nad oparami pokrytą rzeczułką, o wczesnej, porannej godzinie... Poufałe, mówimy, obcowanie z przyrodą, bo nie na przystojnej przechadzce, lecz w różnych objawach powszedniego jej bytu, i dla tego, że wrażenia te łączą się z najrozmaitszymi dzieciunego żywota chwilami. „Urodziłem się na błotnistem Polesiu“, wspomina poeta w swojej autobiografii, dla Antoniego Marcinkowskiego (Alb. Gryfa Nowosielskiego) napisanej. Smolkowa wszakże pamiętać nie mógł, gdyż rodzice jego, niebawem po jego przyjściu na świat, przenieśli się do również poleskiej wsi Jaśkowice, i pierwsze niejasne wspomnienia z tą właśnie miejscowością były związane:

Smutny kraju Polesia! znajomyś mi nieco.
 Mglisto twoje wspomnienia z dzieciństwa mi świecą.
 Snują mi się niekiedy, jakby senne mary,
 Nieprzemierzone okiem trzęsawisk obszary,
 Lasy ciemne i gęste, jak gdyby jaskinie,
 Rzeka, co między łożą a sitowiem płynie.

.

I ta cisza powietrzna, rzadko przerywana
 Ostрым krzykiem żórawia, klekotem bociana...

Trzebaby zresztą odczytać całą tę przygrywkę do „Ułasa“, by uprzytomnić sobie, jak świeżych barw dostarczały poecie te mgliste wspomnienia, odświeżone wprawdzie w podróży do Hubina (do Kraśzewskiego) w r. 1850, i utrwalone wtedy w wierszu:

W bagnie, piasku i borze
 Przy jeziora odnodze,
 Siedzi wioska w pokorze,
 Jako żebrak przy drodze...

W Jaśkowicach przebywał Ludwik do trzeciego roku życia, w tym czasie bowiem rodzice przekoczyli do Kudzinowicz pod Nieświeżem. Wyraźniejsze też były od poleskich wrażenia nadniemień-

skich okolic. Jeżeli poezya przyrody u Syrokomli była i być musiała owocem lat dojrzałych, to przecież najwcześniejsze wrażenia stały się pryzmatem, przez który poeta oglądał rodzinne niebo i ziemię, a wspomnienia te nadawały odtwarzanym obrazom nieodparty dla serca czar:

Tajemny jakiś urok w mych oczach owiewa
Żółte Polesia piaski i ponure drzewa...

Wraz z powietrzem, takie pierś dziecięca wciągała w siebie wrażenia, a te nieznacznie wsiąkały w duszę i kształtowały ją.

Lecz obok tych nieświadomych oddziaływań otoczenia, położyc trzeba i celowe. W domu rodzicielskim rzucono w serce przyszłego poety pierwsze zarody religijności, nie egzaltowanej wprawdzie, lecz stałej towarzyszki żywota, zarody, które później utrwaliła szkoła, a duchowa atmosfera doby i środowiska wzmacniała i rozwijała. Czytać się uczył na „Złotym Oltarzyku“. W domu też nauczył się kochać książki. W księgozbiornie ojca, zapewne niezbyt obfitym, znalazł jednak dziesięć tomów dzieł Krasickiego, które już w szóstym roku zdołał zedrzeć na szmaty, tak się w nie gorliwie wczytywał. Niektóre urywkowe wiadomości, zdobyte przygodnie przez młodocianego argonautę (dIALOGI Lucjana, Plutarcha bohaterowie), sprawiły, iż później, w szkołach, poufalej się zbliżał do osób i zdarzeń historycznych. Rozumie się, okoliczność ta, iż ojciec był człowiekiem inteligentnym i wstrętu do bibuły nie miał, była tylko sprzyjającą. Gorliwe studia małego Ludwika nad Myszeidą, czy Osyanem, świadczą przedewszystkiem, iż w chłopcu objawiał się wrodzony popęd do obcowania z tworam wyobraźni, do obcowania z ludźmi, widzianymi przez pryzmat drukowanego słowa. „Od dziecka czytałem z ochotą, czytałem samopas, czytałem w chwilach lekcyj i w chwilach rozrywki, i tak przywykłem bez porządku, ale z oddaniem się, kształcić sam siebie“. Tak oto w synu przeobraził się nałóg ojca do dysput. W pisaniu mniejsza była widocznie pilność i zdatność Ludwika, gdyż nie ominęła przyszłego poety zwykła w owych czasach zachęta: linia. Przykry ten przypadek, spowodowany był literą B w r. 1833. W tym też roku zaczęła się szkolna nauka u kks. Dominikanów w Nieświeżu. Według świadectw poety, ukończył on piątą klasę w r. 1837. W opowieści o „Urodzonym Janie Dęborogu“ bohater wstępuje odrazu do klasy drugiej. „Ojciec wesół, że nam w jednej chwili koszt całoroczny i honor ocalał“. Jeżeli tak było z małym Ludwikiem, to właśnie mię-

dzy 1833 a 1837 r. ¹⁾ był czas na cztery klasy, od drugiej do piątej. Szkoła Dominikańska była, zdaje się, w tym czasie zwinięta. Podanie każe Kondratowiczowi piątą klasę w Nowogródku kończyć. Kraśzewski, niezbyt zresztą ufając swej pamięci, z opowiadań samego poety, zamiast Nowogródka, podaje protestancką szkołę w Słucku, gdzie wykłady były polskie. „Uparcie zda mi się, iżem to z jego własnych ust słyszał“ — dodaje. W osnowie tych upartych wspomnień ukrywa się zapewne fakt opowiadania Syrokomli o pobycie w innej jeszcze szkole klasztornej w Nieświeżu. Sam poeta zresztą pisze o sobie: „do 1839 r. uczyłem się z obowiązku“, wynikałoby stąd, że rok szkolny 1838/9 spędził poeta w Nowogródku, w szkole powiatowej. Czy powtórnie w klasie V-ej? Może to zależało od różnicy programów, wymagań i t. p. Przyznawano Ludwikowi w szkole zdolności dobre, ale pilność małą. Mimo to stopnie miewał bardzo dobre i celujące (język polski i niemiecki), i tylko z matematyki miernym zadowolić się musiał. Niezłe uczyli Dominikanie, jeżeli wiadomości, nabyte w szkole, uzdolniły poetę do pracy literackiej. Obok łaciny, przydała mu się i literatura polska. W „Szkolnych czasach Dęboroga“ wspomina, jak na publicznym popisie deklamował sielankę Szymonowicza. Główną wszelako zasługą księży wychowawców był ich życzliwy, ojcowski stosunek względem poruczonej im opiece młodzieży. Nic to, że uciekano się do dyscypliny, jeżeli „szkolne czasy“ nie stawały się we wspomnieniu męką i udreczeniem, lecz łzę rozrzwinięcia wyciskały, a na usta wywoływały pełne czci, dziękczynne słowa. Wychowanie było, oczywiście, ściśle religijne; jednak, acz wdrażano młodzież do pobożności, pozostawiono wiekowi dziecięcemu dość swobody. Sprzyjała temu i zewnętrzna okoliczność, gdyż „szkoła była w klasztorze, a kwatery w mieście“.

¹⁾ Druh Syrokomli a wydawca pism jego, Winc. Korotyński podaje datę pobytu u ks. Dominikanów: od 5 września 1833 do 30 listopada 1835 r. Czy to błąd korektorski?

II.

NIEŚWIEŻ (1840 — 1844).

Wiemy już, że do r. 1839 młody Ludwik uczył się „z obowiązku“. Zaczął wtedy zaledwie siedemnasty rok. W pobliżu nie było już szkół, w których możnaby było przeciągnąć naukę, nie obciążając zbytnio mieszka ubogiego dzierżawcy. Młodzieniec wrócił do domu, a domem tym był obecnie dworek w Marchaczewszczyźnie, należącej do dóbr ks. Wittgensteina. Tu go miała spotkać owa dotkliwa kara na sianie za studia w nieodpowiednim czasie nad Walter Scottem. Snać wiernym pozostał swemu zwyczajowi chwytania książki w chwilach rozrywki, czy pracy. Tu też i w tym samym 1839 r. odbył, jak pisze, paroksyzm swej pierwszej miłości. Przedmiotem jej była wiejska dziewczyna. Wogóle serce miał dość wrażliwe, a i sam umiał wzbudzać sympatyczne odruchy: „nie był bez maleńkich powodzeń“. Tylko, że jak we wspomnianym paroksyzmie, tak i w innych wypadkach, historye uczuciowe „napastowały“ wprawdzie poetę, „ale nigdy w sposób, z którego bym się rumienił“ — dodaje.

Pokusy wiejskie zresztą ustały, gdyż pobyt dorastającego młodzianiszka w Marchaczewszczyźnie nie trwał zbyt długo. Już w jesieni 1840 r. ojciec umieścił go w biurze zarządu dóbr ordynacyi raziwiłłowskiej w Nieświeżu. Co do daty, sam poeta dwukrotnie powiada o sobie: „od r. 1840 do 1844 pracowałem jako kancelista“. Pobyt w Nieświeżu (trzechletni z górą) w roku „osiemsetnym czterdziestym, pierwszym, drugim, trzecim“ (jak czytamy w jednym z przygodnych wierszów) był dla poety okolicznością, ze wszech miar ważną. Czegokolwiek i jakkolwiek uczyli go przed paru laty Dominikanie, były to nabytki wieku, który biernie przyswaja ofiarowany sobie pokarm. Nie był ci Kondratowicz i obecnie dojrziałym, sięgał jednak już, bądź co bądź, okresu dojrzewania, sięgał wieku, w którym świta już przed młodzieńcem świąteczny poranek życia świadomego, przełomowe lata nauki akademickiej, lata, nadające często kierunek na całą przyszłość, bo — „młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały“. Dla Syrokomli uniwersytetem było środowisko ludzi inteligentnych i piśmiennictwem żywo interesujących się. Samouka spotkał tu możliwie najwzględuiejszy i najlaskawszy dla niego los, i w czasie, kiedy

wiadomości szkolne nie mogły jeszcze doszczętnie wywietrzeć. W Marchaczewszczyźnie zaś otwierała się przed nim perspektywa luźnego tylko czytania powieściowego, okolicznościowych wierszyków i może osłabionej na pokusy odporności.

Pełnomocnik ks. Wittgensteina, Adolf Dobrowolski, współpracownik niegdyś Karola Sienkiewicza w Puławach, utrzymywał w byłej rezydencji Radziwiłłów życie towarzyskie i umysłowe. W otoczeniu swem miał wychowalców wszechniczy dorpackiej i charkowskiej. Były książki, sprowadzano czasopisma. „W tej epoce — wyznaje poeta — począłem stale czytywać książki polskie i francuskie, i poznajamiać się systematycznie z biegiem tych literatur. Była to... chwila dyktatury „Tygodnika“ (Petersburskiego), a oddać mu trzeba sprawiedliwość, że w tamte chwile był on pełen ruchu“. Zawierał młody kancelista bliższą znajomość nie tylko z nowszą i bieżącą literaturą, lecz i z dawną. Opowiadają o nim, że prawie nie rozstawał się z egzemplarzem dzieł Kochanowskiego. Nie wyobrażamy sobie jednak, iż to systematyczne do pewnego stopnia samokształcenie pociągało za sobą wyteżoną pracę, całonocne czuwania i t. p. rzeczy. „Życie koleżeńskie, uczuciowe, obowiązkowe, pożerało mnie“ — powiada, gdyż i „wtedy, jak dotąd, więcej lubiłem życie, objawiające się krwią, niż atramentem“. Szkolna adnotacya: „zdolności dobre, pilność mała“ — sprawdzała się i w tej dobie. Według wspomnień kolegów biurowych, młody kancelista nie tyle czytał, ile przerzucał pożyczoną sobie książkę (a w dodatku nigdy jej w porządku nie zwrócił). Zastanawiało jednak to, że w rozmowie z kimś o teźże książce wyrażał się tak, jakby po najstaranniejszem jej przestudyowaniu. Na skupienie się w sobie przyjdzie czas za lat kilka, kiedy na długo zamknie się w swej samotni załuczkańskiej. Obecnie, o drobnych nawet sprawach powszednich (zmiana bielizny, kąpiel i t. p.) musiał sobie przypominać kartkami, nad łóżkiem zawieszonemi.

Tak tedy pochłaniały młodzieńca „życie koleżeńskie, uczuciowe, obowiązkowe“. Każda z tych kategorii pozostawiła mniej lub więcej wyraźny ślad na pierwocinach działalności poetyckiej i pisarskiej Kondratowicza. Co do „obowiązkowej“ przedewszystkiem, los zdarzył, iż nawet w zajęciach biurowych przypadła mu w udziale praca literackiej poniekąd natury. Istniał zwyczaj, iż na podaniach osób interesowanych, przeglądający je urzędnik musiał nadpisywać wyciąg treści, ułatwiający Dobrowolskiemu wejście w sprawę. Streszczenia, przez Kondratowicza dokonywane, wyróżniły go dodatnio z pośród grona kolegów. Gdy tedy powiatowy sąd słucki zażądał z archiwum Radziwiłłowskiego akt zamku kopylskiego, zadanie zregestrowania akt owych polecono właśnie naszemu poecie. Wertując stare

papierzyska, młodzieniec zwracał uwagę przedewszystkiem na drobne rysy obyczajowe, które mu następnie dostarczyły barw i materiału dla pierwszych jego gawęd. „Nieraz ciszę biurową przerywał głośny i nagły śmiech Kondratowicza, po którym następowało opowiadanie o jakiejś zabawnej scenie z życia kopylan“ — pisze jeden z byłych kolegów poety.

Na wiosnę 1844 r., w ostatnich zatem tygodniach pobytu Kondratowicza w Nieświeżu, polecono mu inną pracę tego rodzaju, gdy Michał Baliński prosił Dobrowolskiego o wiadomości historyczne, dotyczące Nieświeża, dla wydawanej właśnie „Starożytnej Polski“. Dla ułatwienia pracy otworzono poecie wstęp do archiwum miejskiego i do archiwum Radziwiłłowskiego; przydały się też i dawniejsze szperania. Zaprawiał się w ten sposób do pracy nad źródłami przyszły autor „Literatury polskiej“. Notatka Kondratowicza była drukowana później (zdaje się w 1847 r.) w III-cim tomie „Starożytnej Polski“.

„Życie koleżeńskie“ i towarzyskie dostarczyło treści i pobudki do pierwszych utworów wierszowanych, nikłych samych przez się, ale ciekawych ze względu, iż otwierały zawód poetycki naszego „lirnika wioskowego“. Wśród starszych w biurze kolegów Kondratowicza spotykamy Michała Kałkowskiego, późniejszego autora satyr obyczajowych: „Gawędy z Ambroźewiczem“, i Rajmunda Baranowskiego, niedoszłego lekarza. Pierwszy z nich, stojący wyżej w hierarchii biurowej, otaczał młodzieńca opieką, a bawiąc się okolicznościowemi i żartobliwemi wierszykami, stał się dla Syrokomli zechęcającym przykładem. „On mi niegdyś dał przykład, jak grać na bardonie“ — wyznał później poeta. Co do Baranowskiego, ten odznaczał się oryginalnem, dziwacznem niekiedy zachowaniem się i sknerstwem, co czyniło go celem żartów, nawet dokuczań (czasem niezbyt wybrednych), zwłaszcza ze strony Ludwika. Pierwsze też próby pióra Syrokomli służyć miały ku udręczeniu nieszczęsnego Baranowskiego. „Dałem szpryngla na Parnas przez grzbiet Rajmundowy“. Stało się to w r. 1842. Ze szczupłego pocztu utworów wierszowanych, pochodzących z najbliższych trzech lat, wszystkie prawie należą do tej kategorii wierszyków żartobliwych i okolicznościowych, rymowanych dość łatwo, bez wielkiej troski o wykwintność, lub poprawność stylu. Pokarmem dla wybryków humoru stają się drobne śmieszności osób: sposób ich wyrażania się i t. p. Korzysta często początkujący nasz rymopis z obcej formy, trawestując pieśń Child Harolda (w wierszu „Do połamanej gitary“), lub ustępy z „Dziadów“ („Z pałaców, sterczących dumnie...“). Istnieje przekonanie, że nauka literatury szła

u Dominikanów klasycznym torem, mistrzem zaś w tym zwrocie był Euz. Słowacki i że Kondratowicz w pierwszych tworach szedł za klasycznymi wzorami, gdyż innych nie znał, „Dziady“ zaś na razie do parodii go tylko pobudzały. („Z pałaców...“ itd.) Zdaje się jednak, iż wnioski te idą zadaleko, gdyż w pierwocinach Syrokomli nie podobna dostrzedz przełomu w upodobaniach i smaku. Prądy romantyczne nie były już nowością, w najrozmaitszych swych objawach przenikały ówczesną atmosferę i dotykały poetę od dzieciństwa, jakkolwiek tułały się jeszcze, zwłaszcza w szkole, tradycje klasyczne. W szkole tej przecież „ks. Rusak“ czytywał wychowañcom sielanki i ballady Żukowskiego, „Ks. Niemiec“ zaś wywoływał: „a teraz, panowie, kto balladę z Gøthego na pamięć mi powie?“.

Skądinąd wiemy, iż pod strzechę dworku w Marchaczewszczyźnie zabłądziły tomiki W. Scotta. W najwcześniejszych dwu wierszach Kondratowicza występuje wprawdzie aparat mitologiczny, ale wynikało to już z założenia: wierszokleśta wileński, Kryształewicz, pisze do Rajm. Baranowskiego z pól Elizejskich, że tam rzeki płyną herbatą i t. d. Lecz w tym samym roku sparodyowana pieśń Ch. Harolda dostarcza dowodu, że dzieła Mickiewicza nie były już wtedy obce poecie, trawestacya zaś ujawniła tylko skłonność do żartu, lecz w stronę romantyzmu skierowana nie była.

Żeby zakończyć listę „wybryków, dosyć głośnych w okolicy“ (jak się wyraża poeta), nadmienimy, że „życie uczuciowe“ w poezyi Syrokomli z czasów Nieświeskich słaby tylko znalazło wyraz. Wiersze, tu należące, utrzymane są, jak i inne, w tonie żartobliwym, z wyjątkiem czułościowych „Snów“ (sny mogą być nieskromne, więc poeta nie chce śnić o jakiejś panience — chyba po spowiedzi) i równie słabego wiersza „Do P. Pauliny Mitraszewskiej“, która niebawem stała się jego żoną.

Otóż i jesteśmy u kresu pobytu poety w Nieświeżu. Co do ożenienia się jego istnieje legenda, jakoby rozmówany w kim innym, a doznawszy odmowy, szukał przywiązania u pierwszej spotkanej osoby, i oświadczył się szesnastoletniej panie Mitraszewskiej. Nie podejmujemy się rozstrzygać, o ile podanie to jest prawdziwe. W poezyi przynajmniej nie został żaden widoczny ślad tego przejścia. Jakkolwiek tam było, 16 kwietnia 1844 r. na kobiercu ślubnym stanęli: p. Ludwik, któremu do pełnoletności brakło jeszcze kilka miesięcy, i dozgonna jego odtąd towarzyszka. P. Adolf Dobrowolski, krewny i opiekun ubogiej panny Pauliny, ofiarował panu młodemu w upominku kilka tomów „Historji literatury polskiej“ Wiszniewskiego i po-

darunkiem tym uszczęśliwił go nieskończenie. Świadczy to zarówno o literackich upodobaniach poety, jak o lekkim bagażu, z którym młoda para rozpoczęła swą wędrówkę życiową.

III.

W ZAŁUCZU (1844—1852). — PIERWSZE KROKI POETYCKIE. — PRACA NAD PRZEKŁADAMI I NAD DZIEJAMI LITERATURY POLSKIEJ.

Względy atoli pełnomocnika Wittgensteinów miały prawdopodobnie cokolwiek większą wartość, niżeli cena dzieła kilkotomowego, ułatwiły bowiem pierwsze kroki poecie. Natychmiast po ślubie przenosi się on na dzierżawę do Załucza nad Niemnem, folwarku, należącego do Ordynacyi; ustąpił synowi Załucza p. Aleksander Kondratowicz, obejmując niedaleką Tulonkę, również wchodzącą w skład dóbr poradziwiłłowskich. Folwark nie był zbyt rozległy, jeśli można go było zadzierzawić, nie wkładając ani grosza. Jakie były dostatki w domku załuczańskim, świadczy np. ten fakt, że samowar ukazywał się u p. posesora od wielkiego święta. A że tenutę trzeba było, bądź co bądź, płacić, że „na niwach piaszczystych po większej części njeurdzaj“, że poeta, jak sam wyznaje, gospodarstwa nie lubił, a większą część czasu swego oddawał zajęciom literackim. i że wreszcie w stosunkach pańszczyźnianych „znać pasowanie się z interesami materialnemi“, rachunki zaś wykazały znaczny niedobór robocizny inwentarzowej — nie dziw, iż wioszcyna nadniemeńska nie posłużyła za pierwszy stopień fortuny, i że trzeba było wreszcie przyjść do smutnego wniosku, iż „poetyczne Załucze chleba nie daje“. Był to „kęs chleba“, który już nie wystarczał od chwili, gdy powiększyły się obowiązki.

Skądinąd i prace literackie szwankować musiały, jeśli co chwila trzeba było odrywać się do spraw gospodarskich, jeżeli tuż obok skromnej pracowni poety, rozlegały się hałasy izby czeladnej. W okolicy poprzedziła jego przybycie sława „wierszoklety“ — i sławie tej długi splancać musiał. Więc często spotykamy u niego wiersze, opiewające „oczy błękitne“ i inne, to znów wywdzięcza się żartobliwą parodyą ody Horacyusza za „obiad piątkowy“. Jednocześnie

przecież zaczyna się i prawdziwa twórczość, nie ze względu na jej doskonałość, lecz że staje się wyrazem rzetelnego uczucia, lecz, że twórczości tej towarzyszy wiara poety w swe powołanie:

Piosnko moja! w tobie tylko
Co niebieskie oddam Niebu,
W tobie przetrwam może chwilką
Dzień mej śmierci i pogrzebu.

Takie nadzieje żywi Syrokomlą już w 1845 r. Pierwszym akordem są tu „Wspomnienia z Nieświeża“, szereg sonetów, będących wdzięcznym oddźwiękiem „Sonetów krymskich“. Urywek „Nad Niemnem“ jest próbą skryształenia nowych wrażeń. Współcześnie może z „Wspomnieniami“, bo w kwietniu 1844 r., rzucił pieśniarz na papier swego „Pocztyliona“, ową pierwszą gawędą swoją, tegoż roku drukowaną w „Athenaeum“ Kraszewskiego, a zaleconą w ogłoszeniu księgarskiem Glücksberga, jako „śliczny wierszyk“. Przygodna ta pochwała spowodowała wylew nieopisanej radości u młodego poety i wzbudziła w nim ufność w swe siły. Echa tej radości słyszymy w słowach piosnki: „w tobie przetrwam może chwilką dzień mej śmierci i pogrzebu“. Niektóre utwory tego czasu, jak „Słodycz marzeń“ z r. 1844, lub o rok późniejsze „Dumanie poety“, mają za pozorny cel — wydrwić natchnienie poetyckie: „wlażł na gruszkę, rwał pietruszkę, o jak słodka cebula“, lub: „i w wieszczym kałamarzu wieszczy nas umoczył, i dumał, dumał, dumał, aż... spać się położył“. Ale w tych wybrykach dobrego humoru wyczuwać się daje, jak poeta usiłuje pokryć żartem rozrzewnienie, wzbierające mu w sercu.

Obok poezyi, niktęj jeszcze, uprawiać poeta zaczyna i powieść; nawet dwa obrazki: „Rywale“ i „Stary kawaler“, drukowało, zdaje się, „Athenaeum“ w r. 1844. Poza tem jednak spotkało autora niepowodzenie. Kraszewski zwraca mu (w r. 1845) powiastki: „Al. Turski“ i „P. St. Leszczyński“. U wydawcy „Athenaeum“, Glücksberga, zastrzegły: „Powieści Wład. Syrokomli“. Przygotowany do druku w r. 1846 zbiorek rymów, także pozostał w rękopisie. Sporadycznie tylko i rzadko ukazywały się w „Athenaeum“ wiersze Syrokomli w ciągu pierwszych trzech lat. Kilka rzeczy drukowały pisma zbiorowe: „Ondyna Druskienickich źródeł“ i „Gwiazda“ Zenona Fisza. Z tej

strony włąc nie było wielkiej zachęty. Popęd ku działalności twórczej znalazł wówczas inne ujście, jedynie, zda się, możliwe w warunkach, w których znajdował się Syrokomla. Idąc za swym przewodnikiem, Wiszniewskim, wpadł na myśl przekładu na polski dzieł polsko-łacińskich poetów (Janicki, Sarbiewski, Klonowicz i t. d.). Gorączkowo też rzucił się do urzeczywistnienia tego pomysłu. W wyznaniach swych pisze Marcinkowskiemu, że od r. 1846 wszedł w stosunki literackie. Stało się to właśnie za sprawą owych przekładów. Kraszewski otworzył dla nich gościnnie łamy „Athenaeum“, zawiązała się w tym przedmiocie gorliwa korespondencya. Przedsięwzięcie doszło do wiadomości ogółu, gdyż Kondratowicz ogłosił w „Tygodniku Petersburskim“ (w r. 1846) wezwanie do zbiorowego wykonania pracy. Dały się słyszeć publicznie głosy, dotyczące zamierzonego dzieła (M. Grabowskiego). Praca pochłaniała Syrokomlę coraz bardziej, więc i twórczość oryginalna szwankować musiała. Z r. 1848 mamy np. zaledwie cztery liryczne utwory, a z tych trzy okolicznościowe. Borykać się wypadło autorowi z różnemi trudnościami. Nie miał pod ręką biblioteki, dotkliwie uczuć się dawała niedostateczność wiadomości historycznych i filologicznych. To też tłumacz w zabawne nieraz wpada nieścisłości, narażając się w ten sposób na przykre zarzuty surowych swych sędziów. Wynik pracy był wszelako taki, iż przed szerszą publicznością otworzył się wstęp do ukrytych przed nią wpiersk skarbów rodzimej literatury, a co do wartości tłumaczeń, to, zdaniem znakomitego znawcy dawnego naszego piśmiennictwa, Al. Brücknera, są one głębsze, poetyczniejsze i żywsze, niżeli same oryginały humanistyczne. Zewnętrzne powodzenie nie dopisało jednak istotnej zasłudze. Marzenie o zbiorowej pracy urzeczywistniło się tylko w części bardzo drobnej, trochę z winy poety, który w wezwaniu swem nie zastrzegł, co bierze na siebie, a co dla innych pozostawia. Środków na wydanie miała dostarczyć prenumerata, która szła bardzo ociężale. Skończyło się na tem, że poeta własnym kosztem wydał (w r. 1848) jeden tomik w trzystu egzemplarzach. Później wydawnictwo wzięła na siebie firma J. Zawadzkiego. Bądź co bądź, przekłady oddały rzetelną przysługę poecie. Przez nie uzyskał on prawo obywatelstwa, jako literat i odtąd wydawcy zwracają się do niego z propozycjami. Niebawem (od r. 1850) zasiadzie poeta do pracy nad „Dziejami literatury polskiej“, w której szedł za M. Wiszniewskim, gdyż na samodzielną budowę nie starczyło mu ani materiałów, ani też nie uzdolniły go do niej studia samodzielne. Okrasą dzieła stały się własne przekłady autora z poetów łacińskich.

Jeżeli praca nad przyodzianiem humanistów w szatę polską ułatwiła Kondratowiczowi stosunki jego ze światem wydawniczym, nie mniej oddziałała ona i na twórczość oryginalną, mianowicie na wybór pomysłów, na historyczny często koloryt utworów. Powtóre, jak to zwykle bywa, tłómacz torował drogę poecie pod względem stylowym. Co do tego ostatniego punktu atoli, trzeba poczynić zastrzeżenia. Syrokomla odznaczał się nadzwyczajną łatwością rymowania. Z tego źródła wypływała wielka moc wierszy okolicznościowych, któremi sypał na wszystkie strony, a które jakościowego dorobku poety nie podwyższają ani o włos. Tak było w pierwszych chwilach wystąpienia jego na widownię, i tak pozostało aż do ostatniej niemal godziny, aż do owego wiersza, którym dogorywający poeta wypraszał się u jakiejś panny od udręczeń:

Sąsiadeczko, nie bij w klawisz,
Bo tem chłopców nie zabawisz,
A chorego i sąsiada,
Rznąć po uszach nie wypada.

Z biegiem czasu, oczywiście, pióro Syrokomli stało się pewniejszem, ale nigdy styl jego nie nabralł zwieźłości i wytwności. I wogóle twórczość poety bardzo wczesnie przybrała te znamiona, które już odtąd aż do końca będą ją odznaczały. Rozwija się ona równolegle z usiłowaniem spolszczenia dzieł Janickich i Sarbiewskich, chociaż ta ostatnia praca pierwszą wprost mechanicznie na bok usuwa. Tak np. już w 1846 r. gotowe były do druku najpiękniejsze ustępy „Dęboroga“ i nic wyższego w tym względzie Syrokomla później nie napisał. Wtedy już powstawały „Gawędy“, którym poeta zawdzięczał swój rozgłos, wtedy wyraziły się bardzo dobitnie i społeczne tendencje jego muzy, i cechy osobiste temperamentu: rzewność uczucia, miłość przyrody i t. p. Wypadnie więc nam zastanowić się obecnie, czemu pieśń Syrokomli tak rychło osiągnęła ten stopień skryształenia się, po nad który już wznieść się nie mogła, czy nie umiała.

IV.

POEZJA SYROKOMLI A ROMANTYZM. — WYOBRAŹNIA
LIRNIKA WIOSKOWEGO.

Przedewszystkiem ustalić trzeba związek poezji Syrokomli z jej wzorami. Odrazu myśl nasza zwraca się ku Mickiewiczowi. Trudno znaleźć u naszego lirnika najdrobniejszy choćby ślad, jakiś odruch nieznaczny, wywołany poezją Słowackiego, czy Krasińskiego. Można by powątpiewać, czy ich znał, a jeżeli znał, to z pewnością bardzo niedostatecznie. Natomiast zależność od Mickiewicza bije w oczy. W wierszu do Feliksa i Antoniego Pietkiewiczów, przyjaciół i sąsiadów z niedalekiego „Żukowego Borku“, czytamy, jak wspólnie „z księgą Adama w rękę“ błądzili nad Niemnem, „i s a m i, jak latorośl krzewiąca się wcześniej, niekształtne, lecz ogniste składaliśmy pieśni“, (wiersz pochodzi z d. 15 maja 1846 r.; Ant. Pietkiewiczowi miał być poświęcony ów zbiorek rymów, który pozostał w rękopisie). W słowach powyższych znajdujemy stwierdzenie poddańczego stosunku naszego lirnika względem ducha potężniejszego. „Sonety krymskie“ nadały koloryt swój „Wspomnieniom z Nieświeża“, a te uważać musimy za pierwszą rzeczywistą przygrywkę do pieśni, co miała wypłynąć z piersi nadniemeńskiego śpiewaka. „Konrad Wallenrod“ dostarczył głównie barw do najobszerniejszego utworu Syrokomli: „Margiera“, który miał być bohaterским eposem Litwy. Dźwięki hymnów tegoż „Wallenroda“, lub uroczysta i męska nuta wspaniałego „Wstępu“ do poematu i t. p. raz po raz odzywają się, czy to w pobożnej pieśni zakonników w „Błogosławionym Sadoku“, czy w żywym takcie rapsodu o „Córce Piastów“ i t. p. W stylu nawet, owym stylu zaniedbanym, potrącamy niejednokrotnie o szczegóły, co do których pochodzenia niczyja pamięć wątpliwości mieć nie będzie. „Lecz może mi powiecie, zem skończył zbyt skoro? U nas się kochankowie tak prędko nie biorą?“ („Córa Piastów“). Czyż to nie parafraza owego „Niemcy, wy pewnie myślicie...“? Albo: „Oto są grzechy kmiecego żywota“ („Wielki Czwartek“). Można by pomyśleć, iż nadewszystko „Wallenroda“ Syrokomla kochał i umiał go na pamięć. „Bo łagodne spojrzenie, bo oblicze młode, piękniejsze niżli kwiaty, słodsze nad jagodę“. „Wszystko ci zagram z szczerą ochotą — wszystko, krom je-

dnej, jednej piosenki“. Ta bliższa, w pojedynczych i określonych szczegółach dająca się oznaczyć od twórcy „Pana Tadeusza“ zależność, jest tylko jednym z objawów ogólnego faktu, że natchnienia Syrokomli płynęły romantycznym łożyskiem. I swoisty patriotyzm prowincjonalny, i zwracanie się twórczości w kierunku etnograficznym nieco, w kierunku chaty i dworku szlacheckiego, i to umitowanie swojskich tematów, łagodne a sztuczne cokolwiek oświetlenie obyczaju ludowego, świadome użycie za materiał pierwiastków takich, jak wyobraźnia, przesady, wierzenia cizby wiejskiej, lub zaściankowej, jak skryształona już w piosnce twórczość ludowa — to wszystko każe nam uprzytomnić sobie i „Dziady“, i „Ballady“ Mickiewicza, i piosnkę Bohdana, a choćby „Wiesława“ Brodzińskiego. Uczyniliśmy wzmiankę o patriotyzmie prowincjonalnym. Dla Mickiewicza Litwa była ojczyzną, Zaleski czuł się kozakiem, a Ukraina była dlań matką; tak Gosławski cichutko nucił: „Gdyby orłem być, lot sokoli mieć... skrzydłem orłem, lub sokolem, unosić się nad Podolem, tamtem życiem żyć...“. Podobnie Syrokomla czuje się nade wszystko Litwinem. I ulubiona forma naszego poety pozostaje w ścisłym związku z kształtami, przez romantyzm używanemi. Mówimy o „gawędzie“. Jak wiadomo, jest to opowiadanie o rzeczach zwykłych i codziennych, utrzymane w tonie potocznej rozmowy i nie skrępowane zewnątrz ramami, lub jakimikolwiek innymi ścisłszymi wymaganiami formy. Twórcą rodzaju i nazwy był Wincenty Pol. A przecie słuszne jest zdanie Tyszyńskiego, iż bezpośrednim wzorem dla Syrokomli był romantyczny kształt ballady. Pierwsza gawęda Kondratowicza, „Pocztylion“, jest taką gminną opowieścią, jak „Rybka“, lub „Świtez“. „Trzy gwiazdki“ (marzec, 1846 r.), wydać się mogą wprost parafrazą (za rozwlekłą może) „Romantyczności“. Gdy starzec, widząc spadające gwiazdy, biada, że synów jego spotkało nieszczęście na wojnie, pan, śmiejąc się, pożyczając słów u mędrca ze szkiełki w oku: „wstydz się wierzyć w te duby, co plecie prostota“. „To fosfor, albo gazy — próżno głupcy bredzą, gwiazdy o twoich synach... nic a nic nie wiedzą“. Pierwiastek cudowności spotykamy stale w pierwszych gawędach (a i w późniejszych gęsto), czy to w legendzie o „Błogostawionym Sadoku“, czy w „Zaścianku Podkowa“, czy w „Kęsie chleba“. Istnieje ten pierwiastek, acz ukryty, i w „Pocztylionie“. Na pozór dzieją się tu rzeczy tylko zwykłe, rozwiązanie jest wynikiem naturalnego zbiegu okoliczności. Pocztylion nie chciał słyszeć wołania o pomoc wśród zawiei, śpieszno mu było do kochanki swojej. Wypadek zdarzył, iż tą wołającą była właśnie jego dziewczyna. Lecz

w tem następstwie złego czynu, który był sam dla siebie karą, widomy jest palec Boży. Podobnie się stało w „Żebraku-fundatorze“, w „Żebraku z rzemiosła“, w opowiadaniu o „Chwale Bożej i królewskiej“, gdzie „Pan Bóg przeinacza: On podarek bogacza swemu chwalczy przeznacza“. Zaznaczmy również, iż w „Pocztylionie“ poeta zachowuje nawet właściwy balladzie kształt zwrotkowy. Krepującego atoli warunku tego pozbył się rychło, a interwencya sił kierowniczych, kierująca biegiem naturalnych — na pierwszy rzut oka — wypadków, również nie była u poety zjawiskiem stałym, jak to sprawdzić możemy np. na „Dyferencyi“ z r. 1846. Poezya Syrokomli była tedy romantyczną, ale bez wulkanicznych uczuć i podniebnych wzlotów; był to romantyzm, ale nie znający wyjątkowych, lub złożonych stanów duszy, romantyzm, mocno trzymający się ziemi, czerpiący swe soki nie z jej głębi, lecz z powierzchni. Jako materyał do twórczości brało się to, co leżało najbliżej, tuż pod ręką. Co umiem nakreślić? — pytał siebie poeta już na schyłku swego niebyłt długiego żywota:

Zawsze wyjdzie z pod ręki lub litewska chatka,
Lub kościółek wioskowy, lub dworek litewski ..

.

A w środku, wyobrażam, że mieszka lud eichy,
Parobczaki, dziewczęta, starce siwobrode...

Poeta stwierdza w tych słowach kierunek swych natchnień, swoje ukochanie ludu, stwierdza pobudki twórczości, spoczywające w widnej na skraju widnokregu chatce, lub kościółku wiejskim; ale zarazem wyznaje, iż obrazy, w które miały wcielać się natchnienia i wewnętrzne poruszenia serca, są odbiciem rzeczy blizkich i zwykłych. Dykcya, zabarwiona pewnym sentymentalizmem, rzadko wznosi się nad poziom gawędziarski, nie skrzy się oryginalnemi i śmiałemi zwrotami, lub przenośniami. Co do wizerunku uczuć i charakteru osób, jest w tem zawsze coś ogólnikowego, nie dostrzegamy sympatyj jasnowidzącej. Pomysły i sytuacje powtarzają się w wielu utworach. Zarówno w „Zaścianku Podkowa“, jak w „Kęsie chleba“, klątwa złego czynu wsiąka w martwe rzeczy, których odtąd tkuć nie wolno pod grozą piorunu; zarówno „Stare wrota“, jak „Nocleg hetmański“, osnute są na motywie zbrodni, wynikającej z lekkomyśl-

ności, z zaniechania szlachealnych nauk, w młodości otrzymanych; zarówno w „Chwale Bożej i królewskiej“, jak i w „Zebraku z rzemiosła“ — „Bóg przeinacza...“... Tam chwalcą królewski, porywając białą bułkę u poczciwego dziada, pozbawia się złota, zapieczonego w przeznaczonym dla niego czarnym chlebie; ówdzie modlitwa: „Niech Pan Bóg dopomaga“ choćby złym zamiarom — zwraca się przeciw niepożyciwemu, gdyż, według modlitwy jego, szczęście się złodziejom, co go okradali. I tak bez końca. Wszystko to świadczy, że wyobraźnia Syrokomli nie była ani zbyt lotna, ani silna, ani zasobna, karmiła się jednostajnymi wrażeniami, i od tych zostawała w zupełnej zależności, gdyż znamieniem swem miała odtwórczość, nie twórczość samórzutną. Trzymając się mocno ziemi, zyskała względy krytyków okresu pozytywistycznego (Spasowicz, W. Kościałkowska) i miano realistycznej, wszelako w istotnem słowa znaczeniu realistyczną nie była, nie wydawała obrazów, któreby zwracały uwagę wypukłością szczegółów i wyrazistością barw. Pokost sentymentalizmu i ogólnikowości sprawiał, iż zarysy przedmiotów zachodziły na siebie, zacierały się wzajemnie i wytwarzając zamglone wizerunki, jak w oku krótkowidza.

Rozważając sprawę z innego stanowiska, powiedzieć możemy, że, zaniechawszy górnych swych jazd i zniżając się do gawędy, romantyzm jego jakby umyślnie się przystosowywał do widnokręgów pojęciowych i uczuciowych tej mnogiej cizby, która swego słowika tak szczerze pokochać miała, z którą połączyły go tak liczne i serdeczne węzły sympatyj, jak to się wogóle rzadko zdarza. Prostota wewnętrzna natchnień i skromność szaty nie były, rozumie się, główną i wyłączną przyczyną spójni między pieśniarzem a słuchaczami jego, lecz były niewątpliwie, jej warunkiem. Głównej przyczyny poszukiwalibyśmy przedewszystkiem w kochającym człowieku, lecz, by „bracia z nad Wilii i bracia z nad Niemna“ drżenia tego serca wyczuć mogli, trzeba mu było właśnie tej szaty codziennej, trzeba było tych obrazów, odtwarzających znane widoki i urok im nadających, tych barw, każdemu oku zwykłych. I Syrokomla był świadom tego, gdzie spoczywa tajemnica czaru, zniewalająca mu miłość braci. Żegnając się z Załuczem i pisząc swą pierwszą „dedykację gawęd gminnych Litwinom“, serdecznie zapraszał ich na przyjacielską rozmowę:

Niechże kto teraz drzwi na klucz zatrzaśnie,
Aby snadź jaki panek, czy półpanek,
Nie przyszedł wyśmiać naszych pogadanek.

*U nas, wiadomo, domowa czeladka,
Wiersz od sicklery, robota niegladka...*

.
.

*Łatwiej to z wami wywinąć się księdze,
Bracia w kapocie i bracia w siermiędze!
Gmin nieuczony łatwiej się pozwoi
Podkraść, wysłuchać, czy mu serce boli...*

.

*Piersź przezroczyista, widmo jak na dłoni,
Na sercu grają uczucia otwarte!
Łatwoż je schwycić i przenieść na kartę,
A potem w kółku tych samych słuchaczy,
Ktoż niedołącznej piosnce nie przebaczy?*

.

Wiadomo już nam, że w r. 1846 Syrokomla wygotował był zbiorek rymów do druku, rymów, co prawda, wartości dość skromnej; wiemy również, iż od tego czasu poczyna się bardziej ożywiona działalność Kondratowicza — poetycka i literacka. Rozglądając się w jej plonach, a kładąc za kres rok 1852 (ostatni rok pobytu w Załuczu), spostrzegamy, że ilościowa przewaga zostaje po stronie epickich gawęd w porównaniu z lirycznymi piosenkami. Różnica ta byłaby jeszcze bardziej uderzająca, gdybyśmy usunęli rzeczy okolicznościowe, jak wierszowane odpowiedzi, zarty i t. p., do których stosunki towarzyskie były pobudką, wszelkie madrygały do oczu błękitnych, lub czarnych i t. d. Z gawęd jest tu „Dęboróg“, fundament sławy poetyckiej Kondratowicza, jest nieoceniona „Lalka“, a obok niej „Hetman polny“, jest pierwszy zarys znakomitego „Ułasa“ (Czartowy bród). Lecz z utworów drugiej kategorii, w pamięci ogółu zapisał się trwalej zaledwie jeden. Wprawdzie jest to „Lirnik wioskowy“. Poezye, które miały być najbezpośredniejszym wylewem duszy — poezye te albo są igraszką, objawem wesołości, nie przekraczając nigdy poziomu zwykłej zabawy towarzyskiej, albo znowu odznaczają się zbyt łzawym sentymentalizmem. Jedne zrzadka tylko miewają zakrój satyryczny; drugie nie budzą silnych odruchów uczucia. Ten nastrój, raz pogodny, kiedyindziej łzawy, w odosobnieniu wydaje zazwyczaj

rzeczy mało cenne, i pewnie w mniemaniu samego poety nie zasługujące często na miano rzetelnej poezji. Dopiero w „Gawędach“ (niektórych przynajmniej) zaznaczone pierwiastki kojarzą się harmonijnie: dopiero wtedy powstają rzeczy piękne, arcydzieła prawie, o ile poezja Syrokomli posiadała moc wydawania arcydzieł.

A. DROGOSZEWSKI.

Naczelnicy ziemscy w kraju północno-zachodnim.

Instytucja naczelników ziemskich, powołana do życia w d. (12) 24 lipca 1889 r., wprowadzona początkowo jedynie tylko w guberniach centralnych, z biegiem czasu rozszerzoną została i na inne prowincje Cesarstwa. Na mocy późniejszych praw i rozporządzeń, instytucję tę rozciągnięto pomiędzy innymi i na gubernie, wchodzące w skład kraju północno-zachodniego, najpierw (od dnia 14 stycznia 1902 r.) na gubernie: Witebską, Mohylewską i Mińską, później (od d. 14 grudnia zeszłego roku) — na gubernie: Kowieńską, Wileńską i Grodzieńską, należące, jak wiadomo, do generał-gubernatora wileńskiego.

Przedewszystkiem zauważyć należy, że instytucja naczelników ziemskich nie ma nic wspólnego, prócz nazwy, z instytucją ziemstw. W osobie naczelnika ziemskiego, mianowanego z ramienia rządu, prawodawca połączył niejako funkcje dawnego sędziego pokoju i mirowego pośrednika, czyli komisarza do spraw włościańskich; natomiast ziemstwa powiatowe i gubernialne, są to wszechstanowe instytucje autonomiczne, pochodzące z wyborów ludności miejscowej z trzech kuryi stanowych, a mające powierzony sobie cały zarząd wewnętrzny gospodarki lokalnej w danej jednostce terytorjalnej, a więc w powiecie i gubernii. Co więcej, wprowadzenie nowych władz administracyjno-sądowych do gubernij centralnych, korzystających z obszernego samorządu ziemskiego na mocy ustawy 1864 r., wywołało konieczność gruntownej rewizji tej ustawy dla odpowiedniego jej przystosowania do nowych zasad, wprowadzonych przez prawo z r. 1884 o naczelnikach ziemskich.

Duchowym ojcem instytucji naczelników ziemskich, inicjatorem reformy, po części nawet głównym redaktorem nowej ustawy, był ówczesny minister spraw wewnętrznych, hr. Dymitr Tołstoj, dawny oberprokurator Synodu i minister oświaty, ten sam mąż stanu, który,

trzydzieści kilka lat temu, powołał do życia współczesny system szkolnictwa w państwie rosyjskiem. Powołany do steru rządu w pierwszych latach panowania Aleksandra III (po upadku hr. Lorys Melikowa i hr. Milutina), wniósł hr. Tołstoj do ówczesnej, elektrycznością nasyconej, atmosfery państwowej, niezwykle zasób żelaznej energii i nieugiętą siłę woli. I z jakiegobądź punktu widzenia zapatrywać się będziemy na działalność tego męża stanu, to w każdym razie nie ulega kwestyi, że hr. Dymitr Tołstoj dobrze wiedział, czego chciał, i do tego, czego chciał, dążył z niezmordowaną wytrwałością i godną podziwu konsekwencyą.

Radykalna, wywołana uwłaszczeniem włościan, zmiana stosunków ekonomicznych w połączeniu z uprzemysłowieniem kraju, dotychczas czysto rolniczego, nie mogła pozostać bez wpływu na nowe ukształtowanie się pojęć i wyobrażeń. Nowy porządek rzeczy musiał z konieczności odbić się przedewszystkiem na włościanach.

Włościanin w Cesarstwie otrzymał wolność i ziemię, ale zarówno jedno, jak i drugie, w zakresie niezupełnym i nieostatecznym. Osobiste prawa włościanina ogranicza jego przynależność do gminy stanowej, z której wyjście utrudnia mu szereg przepisów, ziemię zaś posiada nie tytułem dziedzictwa, czyli własności indywidualnej, ale— w guberniach wielkorosyjskich tytułem własności gromadzkiej — w guberniach zaś zachodnich tytułem udziału we własności rodowej.

W guberniach wielkorosyjskich do r. 1861 poddani użytkowali z ziemi dziedzica całą gromadą, ilość ziemi, przypadającą na każde gospodarstwo włościańskie określała zwykle sama gromada, za podatki, należne od włościan, odpowiadał przed państwem dziedzic, który, opłaciwszy takowe, ściągał je następnie z podwładnej sobie gromady. W interesie więc teje gromady leżał słuszny i sprawiedliwy rozkład użytkowania z ziemi. Idąc w tym samym kierunku ustawy o urządzeniu włościan, wprowadziły gromadzkie władanie ziemią tam, gdzie przed r. 1861 istniało wspólne użytkowanie z ziemi dziedzica. W zamian za otrzymaną na własność ziemię, gromada, nie zaś poszczególni jej członkowie, została dłużnikiem skarbu, z tytułu pozostałej do spłacenia sumy indemnizacyjnej, a również przyjęła na siebie, wobec fisku, odpowiedzialność majątkową za wszystkich swoich członków z tytułu wszelkich podatków i opłat rządowych. Dlatego też wielkorosyjski „mir“ tworzy stanową jednostkę administracyjną, związaną integralnie solidarną odpowiedzialnością za ciężary państwowe, a z tego charakteru gromady włościańskiej w guberniach centralnych wypływa, że posiada ona niejako prawa zwierzchnicze nad swemi członkami, którzy nawet nie mogą z niej wystąpić bez zgody całej gromady.

Rzecz oczywista, że podniesienie wartości ziemi przez racjonalną jej uprawę, względnie nawet najmniejsza zmiana systemu gospodarki, jest rzeczą wprost niemożliwą, albowiem wszelkie usiłowania jednostki muszą się zawsze rozbić o bierny opór konserwatywnej większości. Prowadzi to więc przedewszystkiem do zaniku wszelkiej inicjatywy gospodarczej wśród włościan; zresztą „mir“ ma prawo przy peryodycznie powtarzających się podziałach ziemi odebrać każdemu włościaninowi przypadłą na niego parcelę i oddać ją komu innemu. Solidarna odpowiedzialność gromady za ciężary państwowe zapewnia wprawdzie skarbowi możność szybkiej i energicznej egzekucji podatków, wiązuje mu natomiast ręce w razie konieczności poczynienia pewnych ulg wskutek klęsk żywiołowych, gdyż w takim razie na równi z ubogim, dotkniętym przez wypadki losowe, z dobrodziejstwa rządowego korzystałby też bogaty i zamożny włościanin.

Niewykończoność, powiedzmy nawet wprost, połowiczność reform, przeprowadzonych w Cesarstwie, w pierwszym okresie panowania cesarza Aleksandra II, w szczególności zaś niewykończoność reformy agrarnej, która, w myśl twórców ustawy o rozrządzeniu włościan miała być z biegiem czasu rozwijaną i uzupełnianą, w miarę stopniowej ewolucji warunków ekonomicznych, musiała wywrzeć poważny wpływ na nowe ukształtowanie się stosunków wiejskich. Nieuzupełniane w dalszym ciągu ustawodawstwo włościańskie z r. 1861 nie zdołało przystosować szerokich mas ludowych do warunków współczesnego rozwoju ekonomicznego; świadczy o tem upadek dobrobytu ludności wiejskiej w guberniach najurodzajniejszych i zwiększające się stale wychodźstwo z miejscowości, gdzie o przeludnieniu, a więc i o małorolności, mowy być nie może. Zarówno w zastoju kultury rolnej, skrepowanej zresztą wspólnością posiadania ziemi, jak i w gospodarce autonomicznych gmin włościańskich, odbiła się cała nieudolność społeczna nowego stanu, powołanego do samodzielnego życia przez ustawy o urządzeniu włościan. Nieudolność tę stwierdził wyraźnie Ukaz imienny do Senatu rządzącego z d. 12 lipca 1889 r. „Zwróciwszy uwagę na przeszkody, utrudniające wzrost dobrobytu ludności miejskiej“, prawodawca uznał za stosowne zaznaczyć, że „jednym z głównych powodów tego niepomyślnego objawu jest brak zbliżonej do ludu silnej władzy państwowej, któraby łączyła opiekę nad ludnością wiejską z obowiązkiem obrony dobrych obyczajów, porządku i bezpieczeństwa publicznego, tudzież praw osób prywatnych w osadach wiejskich“.

W myśl prawa o naczelnikach ziemskich z d. 24 (12) lipca 1889 r., każdy powiat dzieli się na odpowiednią ilość rewirów ziemskich; do składu tych rewirów nie należą jednak miasta gubernialne i po-

wiatowe, oraz miasta, osady i miasteczka, wskazane w rejestrze specjalnym, ułożonym za wspólnem porozumieniem się ministrów skarbu, spraw wewnętrznych i sprawiedliwości. Bądź co bądź i w tych miejscowościach nawet, do naczelników ziemskich należy kierownictwo nad urządzeniami gruntowemi włościan, oraz nadzór nad sądami włościańskimi, gdyż, z chwilą ogłoszenia ustawy, naczelnicy ziemscy przejmują wszystkie funkcye, sprawowane dawniej przez t. zw. mirowych pośredników, czyli komisarzy włościańskich, których urzędy znoszą się jednocześnie. W każdym rewirze ziemskim funkcyonuje rewirowy naczelnik ziemski, ilość rewirów w powiecie określa się w drodze prawodawczej.

Naczelników ziemskich mianuje na przedstawienie miejscowego gubernatora minister spraw wewnętrznych, przyczem ustawa 1889 r. ogranicza dość znacznie obowiązujące przepisy o służbie cywilnej, określając ściśle warunki, wymagane od kandydatów do tych urzędów. W z a s a d z i e więc naczelnikami ziemskimi mogą być mianowani tylko obywatele miejscowi, zapisani do księgi szlacheckiej danej gubernii, w wieku przynajmniej lat 25, posiadający wykształcenie wyższe i stosowny, niezbyt wysoki zresztą cenzus majątkowy. Pierwszeństwo do zajęcia stanowiska naczelnika ziemskiego mają przede wszystkim te osoby, które, w ciągu lat trzech, piastowały godność powiatowego marszałka szlachty, tudzież szlacheńce miejscowi, którzy w ciągu lat trzech w swojej gubernii pełnili obowiązki mirowego pośrednika, sędziego pokoju, lub stałego członka komisji do spraw włościańskich.

Tym sposobem, w przeciwstawieniu do ogólnych zasad systemu biurokratycznego, prawodawca w tym wypadku pragnął nadać dominujące znaczenie żywiolowi miejscowemu, powierzając mu zarząd lokalny danej gubernii, co tem więcej zasługuje na podkreślenie, że kierownik tego zarządu, t. j. gubernator, w myśl obowiązujących przepisów, winien być względem swojej gubernii człowiekiem obcym, a więc nie posiadać w niej majątku nieruchomego. Ale zasada ta, aczkolwiek słuszna i sprawiedliwa, nie została przeprowadzona w całej swej rozciągłości. Przy samem układaniu ustawy 1889 r., nasunęła się wątpliwość co do tego, jak postąpić należy w tym wypadku, jeśli w danej gubernii z tych, lub innych przyczyn, nie znajdzie się wśród żywiolu miejscowego potrzebna ilość kandydatów, odpowiadających wskazanym powyżej warunkom. Postanowiono przeto, że na stanowiska naczelników ziemskich gubernator może przedstawiać ministrowi spraw wewnętrznych i szlacheńców z innych powiatów i gubernij, posiadających bądź wyższe, względnie nawet średnie wykształcenie, bądź odpowiedni cenzus majątkowy, albo służbowy. Gdy-

by jednak nie można było znaleźć i takich kandydatów, minister spraw wewnętrznych ma prawo mianować naczelników ziemskich z pomiędzy osób wszystkich stanów, bez względu na stopień wykształcenia i cenzus majątkowy.

Dla tego też przy wprowadzaniu naczelników ziemskich do gubernii zachodnich skomplikowane przepisy ustawy normalnej zastąpiono powołaniem się na ogólne przepisy o nominacji urzędników zarządu cywilnego. „Naczelnicy ziemscy w guberniach: Witebskiej, Mohylewskiej i Mińskiej, mianowani są przez ministra spraw wewnętrznych na przedstawienie gubernatorów z pomiędzy osób, które skończyły nauki w wyższych, lub średnich zakładach naukowych, lub zdały odpowiedni egzamin na mocy ogólnych przepisów o mianowaniu urzędników, „przyczem“ w braku nawet takich kandydatów, posady mogą być obejmowane przez osoby, nie posiadające powyższych kwalifikacyj, ale które, według zdania ministra spraw wewnętrznych, godne są tego urzędu i posiadają dostateczną znajomość rzeczy dla spełnienia swych obowiązków“. Przy wprowadzeniu naczelników ziemskich do gubernij: Kowieńskiej, Wileńskiej i Grodzieńskiej, prawo nominacji nowych administratorów zostało powierzonom generał-gubernatorowi wileńskiemu, co, o ile wiadomo, związane jest z zapowiedzianym przez sekretarza stanu Plewego projektem decentralizacji zarządu cywilnego w państwie rosyjskiem.

Atrybucye naczelników ziemskich są trojakię: administracyjne, policyjne i sądowe.

Naczelnicy ziemscy sprawują wszystkie funkcyę, dotyczące za-wiadywania i urzędzenia gruntowego włościan, które dotychczas pełnili w Cesarstwie t. zw. pośrednicy mirowi, czyli komisarze włościańscy. Jako tacy, mają oni nadzór zwierzchni nad wszelkimi instytucjami włościańskimi, oraz prawo rewizyi tych instytucyj z własnej inicjatywy, lub na zlecenie gubernatora, albo urzędu gubernialnego. Jednocześnie w guberniach centralnych sprawują naczelnicy ziemscy obowiązki stałego członka komisji do spraw włościańskich, dotyczące wykupu nadań gruntowych przez włościan, którzy przed d. 1 stycznia 1882 r. nie załatwili swego stosunku do obywateli i dawnych dziedziców.

Niezależnie od obowiązków komisarzy włościańskich, sprawują naczelnicy ziemscy funkcyę policyjne. Funkcyę te mają zakres bardzo szeroki i obejmują prawie wszystkie strony życia zarówno publicznego, jak i prywatnego gmin wiejskich. W myśl ustawy 1889 r., naczelnik ziemski winien mieć staranie o dobrobycie i rozwoju moralnym włościan swego rewiru w sprawach, dotyczących stanu włościańskiego. Przysługuje mu prawo rozpatrywania wszystkich uchwał gro-

madzkich i gminnych, może zawieszać, w razie potrzeby, ich wykonanie, przedstawiając je, wraz ze swoją opinią, do decyzji zjazdu powiatowego, lub komisji gubernialnej. Skargi włościan, nieprawidłowo obranych na urzędy gromadzkie i gmiune i wszelkie skargi na urzędników gromadzkich i gminnych, podlegają decyzji naczelników ziemskich, którzy mają też prawo usuwać własną władzą nie zasługujących na zaufanie pisarzy gromadzkich i gminnych. W dalszym ciągu naczelnik ziemski winien mieć bacność na stan funduszków gmin włościańskich, do niego też należy zatwierdzenie uchwał gminnych i wydatkowanie tych funduszków na potrzeby gmiune. Do naczelnika ziemskiego należy również nadzór nad towarzystwami i kasami zaliczkowymi, kasami wzajemnej pomocy, bankami wiejskimi i wogóle nad wszelkimi włościańskimi instytucjami kredytowymi w obrębie danego rewiru. Wreszcie, naczelnik ziemski sprawuje kontrolę nad opiekami, ustanowionemi nad osobą i mieniem małoletnich sierot włościańskich, oraz rozstrzyga skargi na działalność tych opiek. Jako organ policji miejscowej, wykonywa on przytem decyzye i rozporządzenia urzędu gubernialnego w sprawach administracyjnych, a w razie nieobecności sprawnika (naczelnika powiatu), albo komisarza policji, ma nadzór nad działalnością wójtów i sołtysów pod względem zabezpieczenia porządku, spokoju i bezpieczeństwa publicznego, oraz zapobieżenia zbrodniom i występkom. W tych razach naczelnik ziemski obejmuje kierownictwo zarówno nad wójtami i sołtysami, jak i nad strażnikami policji powiatowej. W razie niewykonania przez osoby, podlegające zarządowi włościańskiemu, prawnych rozporządzeń naczelnika ziemskiego, ma on prawo, bez wszelkiej procedury formalnej, skazywać winnego na areszt do trzech dni, albo karę pieniężną do sześciu rubli, o czem jednak, w każdym wypadku, ma być spisany protokół. W razie drobnych przewinień służbowych urzędników gminnych, może zastosować do nich napomnienie, nagane, karę pieniężną do pięciu rubli, albo też areszt do siedmiu dni. W razie wykroczeń ważniejszych, ma prawo zawiesić ich w urzędowaniu, występując jednocześnie do powiatowego zjazdu z wnioskiem o usunięcie winnych z posad, względnie nawet — oddanie ich pod sąd.

Wreszcie po trzecie, naczelnicy ziemscy w obrębie swoich rewirów spełniają funkcje sędziów pokoju, przyczem znoszą się dawni sędziowie pokoju, powołani do życia przez organizację sądową 20 listopada 1864 r., a pochodzący z wyborów ziemstwa, lub korporacji miejskich. Kompetencya naczelników ziemskich w sprawach sądowych wskazana jest w specjalnych przepisach o postępowaniu sądowym, dołączonych do właściwej ustawy o naczelnikach ziemskich. Odpowia-

da ona zarówno w sprawach cywilnych, jak i w sprawach karnych, mniej więcej kompetencyi dawnych sędziów pokoju, przyczem zaznaczyć należy, iż wyroki w sprawach, wpływających z umowy najmu robotników wiejskich, podlegają rygorowi egzekucyi tymczasowej.

Oprócz naczelników ziemskich, funkcjonuje w każdym powiecie jeszcze t. zw. powiatowy członek sądu okręgowego. Do kompetencyi powiatowego członka sądu okręgowego należą wszystkie sprawy cywilne i karne, które, na mocy ustaw sądowych, podlegały kompetencyi sędziów pokoju, a nie podległy obecnie kompetencyi naczelników ziemskich i sędziów miejskich, tudzież wszystkie sprawy postępowania incydentalnego. Apelacya od jego wyroków idzie do sądu okręgowego, który, w danym wypadku, pełni funkcye dawnego zjazdu sędziów pokoju.

Natomiast od wyroków naczelników ziemskich stronom przysługuje apelacya, lub kasacya do akcyi sądowej zjazdu powiatowego. W skład tej sekcyi wchodzi: powiatowy marszałek szlachty jako prezes, powiatowy członek sądu okręgowego, pełniący niejako funkcye dawnego stałego członka zjazdu sędziów pokoju i honorowi sędziowie pokoju, sędziowie miejscy i naczelnicy ziemscy, podług ułożonych spisów kolejnych. Do tegoż zjazdu powiatowego mogą być podawane również skargi na opieszałość postępowania, na decyzye o zabezpieczeniu powództwa i egzekucyi tymczasowej, wreszcie na nieprzyjęcie powództwa, skargi, lub apelacyi. Od wyroków zjazdów powiatowych stronom przysługuje kasacya do komisji gubernialnej, w której skład wchodzi: gubernator, jako przewodniczący, gubernialny marszałek szlachty, wicegubernator, prokurator sądu okręgowego, dwóch członków stałych, wreszcie prezes sądu okręgowego, lub jeden z jego członków. Wyrok komisji gubernialnej jest ostateczny, lecz gdyby minister sprawiedliwości uznał, iż komisya gubernialna w sprawie sądowej wyraźnie odstąpiła od należytej interpretacyi prawa, wówczas sprawa przechodzi do senatu na połączonej sesji pierwszego i cywilnego, lub karnego departamentu kasacyjnego.

Tym sposobem, zamiast dawnej, prostej, nieskomplikowanej organizacyi sądowej (sąd pokoju, zjazd sędziów pokoju i senat) ustawa 1889 r. wprowadza złożony i pogmatwany system trybunałów mieszanych, a więc w charakterze pierwszej instancyi sąd naczelnika ziemskiego, sędziego miejskiego, lub powiatowego członka sądu okręgowego, w charakterze instancyi apelacyjnej — zjazd powiatowy, lub sąd okręgowy, w charakterze instancyi kasacyjnej — zjazd powiatowy i komisję gubernialną, wreszcie w charakterze instancyi rewizyjnej połączone departamenty Senatu, pierwszy i kasacyjny. Ale, co ważniejsza, w ustawie tej znajdujemy zupełne pomieszczenie władzy admi-

nistracyjnej i władzy sądowej. Pełniący funkcje sądowe naczelnik ziemski, jest jednocześnie urzędnikiem ministeryum spraw wewnętrznych, zależnym bezpośrednio od gubernatora, w zjeździe powiatowym prezyduje miejscowy marszałek szlachty, a w komisji gubernialnej, obradującej pod przewodnictwem gubernatora, zasiada zaledwie jeden sędziownik, to jest prezes, lub członek sądu okręgowego, gdyż prokurator stawia tylko wnioski i nie bierze udziału w decydowaniu spraw.

Pomieszenie takie stanie się tem widoczniejszym, skoro weźmiemy pod uwagę, że zarówno zjazdy powiatowe, jak i komisje gubernialne, poza funkcjami sądowymi spełniają czynności czysto administracyjne. W skład akcyi administracyjnej zjazdu powiatowego wchodzi pod przewodnictwem miejscowego marszałka szlachty wszyscy naczelnicy ziemscy i sprawnik, czyli naczelnik powiatu. Zjazd powiatowy pełni wszystkie funkcje dawnego zjazdu pośredników mirowych, czyli komisarzy włościańskich, a więc przedewszystkiem apelacje na decyzje naczelników ziemskich, z wyjątkiem tych spraw, w których apelować należy do komisji gubernialnych. Od wszystkich niestanowczych decyzji zjazdu powiatowego, służy w przeciągu dni trzydziestu od daty obwieszczenia, skarga do komisji gubernialnej. Jednocześnie stanowi zjazd powiatowy instytucję apelacyjną dla wszystkich nieostatecznych wyroków włościańskich sądów gminnych.

Komisja gubernialna, do której składu przy załatwianiu spraw administracyjnych wchodzi zamiast prezesa sądu okręgowego, zarządzający izby skarbowej i dóbr państwa—spełnia wszystkie funkcje dawnych gubernialnych komisji do spraw włościańskich. W komisji tej koncentruje się również zwierzchni nadzór nad działalnością naczelników ziemskich w gubernii, tudzież zjazdów powiatowych, których decyzje nieostateczne mogą być zaskarżone do komisji gubernialnej w drodze apelacji. Decyzje komisji gubernialnych w sprawach administracyjnych, z wyjątkiem spraw o urządzenie gruntów włościańskich, są uważane za stanowcze i muszą być niezwłocznie wykonane. Natomiast od decyzji nieostatecznych przysługuje w ciągu dni trzydziestu możność odwołania się do Senatu. Wreszcie komisji gubernialnej przysługuje prawo zwrócenia się do Senatu z prośbą o uchylenie ostatecznych decyzji naczelników ziemskich, o ile dotyczą one spraw, niepodlegających ich kompetencji, lub, jeśli w danym wypadku dopuszczono się nadużycia, albo też wyraźniej, obraży prawa.

Jedną z wad każdego biurokratycznego systemu rządzenia jest pewne wyobcowanie rządzących z pomiędzy rządzonych, wyobcowanie, po-

ciągające za sobą niezajomość stosunków miejscowych, niezdawanie sobie sprawy z miejscowych potrzeb, w części nawet wprost ignorowanie właściwych aspiracji społeczeństwa w danej chwili. Instytucya naczelników ziemskich, wytwarzając na miejscu organy władzy, bezpośrednio do ludności zbliżone, może z czasem odegrać rolę pepiniery przyszłych administratorów, zdających sobie sprawę z wielu potrzeb społecznych, których dziś w obłokach rutyny i wśród nawału korespondencyi papierowej, nie zdoła dojrzeć wzrok najbystrzejszy.

Zaznaczyć też należy, że instytucya, mająca odegrać rolę pepiniery przyszłych administratorów, winna być opartą na zasadach ściślejszej legalności, z wyłączeniem wszystkich wpływów postronnych. I pod tym względem zasługują na uwagę słowa, wypowiedziane przez generał-gubernatora wileńskiego, ks. Swiatopołk-Mirskiego i przez gubernatora wileńskiego, hr. Pahlena, do obejmujących swe urzędowanie naczelników ziemskich gubernii wileńskiej, wzywające nowych urzędników do kierowania się zasadami nieugiętej sprawiedliwości, bez względu na to, czy będą mieli do czynienia z włościaninem, czy z obywatelem ziemskim.

W guberniach centralnych, korzystających, jak wiadomo, z samorządu ziemskiego i miejskiego, mianowani z ramienia rządu naczelnicy ziemscy zastąpili dawnych wybieralnych sędziów pokoju, powoływanych z elekcji rad miejskich i autonomicznych władz gubernialnych. Tam więc oczywiście przeprowadzenie reformy 1889 r. równało się utracie jednej z dawnych placówek społecznych. Ale w guberniach zachodnich zaprowadzenie instytucji naczelników ziemskich nie pociągnie za sobą tych następstw, jakie się dały zauważyć w guberniach wielkorosyjskich, ponieważ kraj północno-zachodni nie korzysta z samorządu ziemskiego i urzędy sędziów pokoju były w nim dotychczas obsadzane w drodze nominacji. A że dla objęcia stanowiska sędziego pokoju, prawo obowiązujące nie wymaga bynajmniej wyższego fachowego wykształcenia, przeto, pod względem cenzusu umysłowego, wymaganego od przyszłych działaczy na polu sądownictwa gminnego, nowa reforma nie wprowadza żadnej zmiany. I pod tym względem powtórzyć należy tylko to, co już poprzednio powiedzianem zostało: na miejsce prostej, nieskomplikowanej organizacji trzech instancji (sąd pokoju, zjazd sędziów pokoju i senat), nowa reforma wprowadza skomplikowany system potrójnych sądów pierwszej instancji, dwóch instancji apelacyjnych, dwóch instancji kasacyjnych i jednej instancji rewizyjnej, nie mówiąc już o samej zasadzie połączenia władzy sądowej z władzą administracyjną i ściśle policyjną.

Pozostają jeszcze do rozpatrzenia funkcje administracyjne, jakie wkłada prawodawca na nowe organy silnej władzy państwowej na wsi. I tu przede wszystkim wypada zaznaczyć zupełnie niezależnie od uzasadnionego punktu widzenia, z jakiego wykształcony pracownik-fachowiec na instytucję naczelników ziemskich zapatrywać się musi, że w życiu społecznym gubernij zachodnich istnieje cała kategoria doniosłych zadań praktycznych, których rozwiązanie w jak najszybszym przeciągu czasu byłoby nader pożądane. Prawidłowy rozwój życia społecznego na Litwie wymaga przede wszystkim uporządkowania stosunków agrarnych. W guberniach zachodnich uwłaszczenie włościan, zainicyowane w 1857 r. przez samą szlachtę litewską ¹⁾, przeprowadzonym zostało na podstawie obowiązkowego wykupu indywidualnego, co znaczy, że każda chata włościańska otrzymała przypadający na nią udział tytułem własności zupełnej. Tym sposobem każdy z wciągniętych do t. zw. spisu rodzinnego, ma prawo żądać swego udziału w nadziale, a skutkiem licznego rozrodenia się rodzin włościańskich dziś w wielu wypadkach wprost już dojść nie można, do kogo właściwie pierwotny udział należy. Po drugie, za czasów reformy włościańskiej 1861 r. wygon, pastwiska i wszelkiego rodzaju nieużytki zostały nadane na własność całej gromadzie, i dziś faktycznie stanowią wspólną własność gminną. Uporządkowanie chaotycznej nieokreśloności dzisiejszego stanu własności u włościan, nastąpić może wprawdzie nieinaczej, jak na drodze prawodawczej, w każdym jednak razie inicjatywa oznajomionych ze stosunkami miejscowymi organów rządowych, zbliżonych do ludu, a obdarzonych tak wielkim zaufaniem władzy, jak naczelnicy ziemscy, mogłaby w wielu wypadkach przyczynić się skutecznie do usunięcia niejednej bolączki życia miejscowego. Dość wskazać chociażby na kwestyę skomasowania gruntów włościańskich, tak, aby każdy włościanin posiadał swój udział w jednym kawałku, zamiast, jak to się zazwyczaj dziś dzieje, w kilkunastu, lub nawet kilkudziesięciu, w obrębie kilku wiorst kwadratowych, lub na kwestyę ścisłego uregulowania serwitutów państwowych, których szkodliwość dla gospodarstw włościańskich została już chyba dostatecznie stwierdzoną, a także na kwestyę

¹⁾ Przy przedstawieniu deputatów od szlachty Cesarstwa w d. 21 lutego 1860 r. cesarz Aleksander II zaczął swoją przemowę od słów: „Paniowie! zacznę od tego, że podziękuję przedstawicielom trzech litewskich gubernij za przykład, który dały całej Rossyi“. Por. też Najwyższy Ukaz do generał-gubernatora wileńskiego z d. 20 listopada 1857 r.

zniesienia szachownic pomiędzy obszarami dworskimi i gruntami włościańskimi, albowiem przymusowe uregulowanie tych kwestyj, wobec olbrzymich kosztów, jakie pociągnęłyby za sobą reforma na tem polu, a także wobec warunków miejscowych, zdaje się być niewykonalne, przynajmniej w bliższej przyszłości.

Wreszcie, nie ulega wątpliwości, że wobec niskiego stanu kultury i oświaty wśród ludu w stosunkach rodzinnych, panuje zazwyczaj przemoc, siła pięści i bachanalia samowoli. Prawa, dotyczące włościan, jak się wyraził słusznie jeden z badaczy tej kwestyi, porosły nieprzebytym lasem orzeczeń senatu, ministerjalnych okólników, cyrkularzy gubernatorów i wskazówek rządów gubernialnych. Dzięki temu, oryginalny tekst prawa nie zawsze bywa stosowany, a istniejące prywatne podręczniki dla urzędów włościańskich (Goremykina i Sawicza) zawierają materiał przeważnie chaotyczny i nieporządkowany. Włościanin pogrążony w ciemnocie i dzięki swej ciemnocie pozbawiony możności bronięcia swych praw wrodzonych i nabytych, zatracca zupełnie wszelkie poczucie legalności. Przywłaszczenie ziemi, niszczenie granic, samowolne spasanie pól i łąk, defraudacye i kradzieże leśne, są na porządku dziennym zarówno względem dworu, jak i pomiędzy włościanami. Więc już samo wejście zblizka w tę otchłań ciemnoty, nędzy i występku ze strony władzy, która, w myśl prawa, powinna mieć pieczę nad dobrobytem i rozwojem moralnym włościan, może okazać się bardzo korzystnem, tem bardziej, że władzę taką stworzyła dopiero ustawa o naczelnikach ziemskich.

Zdaje się, że na tem polu uwidoczni się najwyraźniej w blizkiej przyszłości działalność nowych władz administracyjno-sądowych, zaprowadzonych obecnie już na całym obszarze kraju północno-zachodniego.

B. Z. BOUFFALL.

GDZIE ARNO PŁYNIE.¹⁾

II.

Cudna była nazajutrz pogoda. Spotkaliśmy się tedy popołudniu w *Cassine*, w owym prześlicznym podmiejskim lasku nad Arnem. Pozostawiwszy fiakry w pobliżu modnej traktyerni, a unikając ludzi i pyłu, sprawianego na głównej drodze przez eleganckie ekwipaże, pędzące za sobą szybkim klusem, jakby się bawiły w gęsiora, poszliśmy nad rzekę. Pani Helena i pani Róża przechadzały się nad brzegiem, reszta zaś towarzystwa pomieściła się na ławce i używała wiosny i pięknego widoku. Kraj nasz przypominały nam słowiki, wyśpiewujące afekta, jakie im ptasie rozegrzały serduszka i niespełna jeszcze rozwinięte, stare dęby, które widzieliśmy gęsto ustawione gajem, skorośmy tylko w tył albo w bok spojrzeli. Rzeka tu także była jakaś swojska, nie większa od Wisły koło Krakowa, może raczej nieco mniejsza, nieujęta murami, ani groblami z wikliny, płynęła swobodnie, pozostawiając u brzegów odkryte rąbki piasku lub żwiru, wśród których wyrastały wiesiolki o dużem, żółtem kwieciu. W mieście, pomiędzy kamienicami i pałacami, wyrastającemi wprost z wody, pod łukami odwiecznych kamiennych mostów, zdobnych w posagi, albo dziwacznie zabudowanych ruderą małych domków, bywa Arno zazwyczaj żółty i mętny; tu, na wsi, w dzień słońcem rozpromieniony odbijało się niebo pogodne tak wyraźnie w ledwo podmuchem wietrzyku pomarszczonej wodzie, że aż rzeka poblękitniała, że aż nasze górskie przypominała strumienie. Ale ludność, która się przesuwała po przed nami, silna, śniada, wesoła i dziwnie ożywiona, ale tem bardziej widok rozlegający się po za rzeką — świadczyły o tem wyraźnie, żeśmy daleko od kraju, nie gdzie indziej tylko w owej Toskanii, w której się obudziła na nowo cywilizacja europejska, w pierw, nakształt

¹⁾ Patrz zeszyt styczniowy, str. 1.

zaczarowanej królowej w bajce, zaklęta w sen tysiącletni, marzący o cudach niebieskich i niepodobnych do wiary przygodach ziemskich rycerzy. Tam za wodą wznosiły się piękne góry, o wyraźnie oddzielnych, osobistych prawie kształtach, na których piętrzyły się sady, otaczające pałacyki, kościoły, klasztory, monumentalne a z rzadka rozsiane. Wśród nadzwyczajnie przejrzystego powietrza, widać było wyraźnie, w wielkiem nawet oddaleniu szczegóły, któreby się u nas w jakiś niewyraźny, rozmarzony wid błękitnawy zlały. Każda nie tylko góra, lecz także każdy budynek, każde drzewo, występowały, jako całość osobna, wyraźna, od sąsiednich budynków i drzew należytem odstępem odgraniczona; i to wzmagало jeszcze wyrazistość wszystkich szczegółów rozległego krajobrazu. Piękność przyrody, która się nam jawiła, nie była, jak na północy, pogrążona w jakimś nieuchwytnem, romantycznem marzeniu; i owszem, była jasną, jak rozum przenikliwy anioła. Nie domyślaliśmy się cudów; oglądaliśmy cuda, jakby namacalne. Krajobraz ten był klasyczny, który się niczego domyślać nie każe, a wszystko wypowiada, który wyobraźni nie podrażnia, ale ją nasycia i uspokaja. Tylko tam, gdzie taką jest przyroda, może być prawdziwa, nie konwencyonalna sztuka istotnie i doskonale klasyczną i bywa nią zawsze, ilekroć bywa szczerą. U nas bywa wprost przeciwnie i dlatego nam nie wolno próbować tego, czemu nasza przez tęsknotę rozkołysana dusza nie poddała. Należy nam Włochów i Greków poznać i podziwiać; powinniśmy myśli swojej jasności i jedności dodać, obcując z klasyczną sztuką i poezją. Naśladować nam nie wolno, ani Włochów, ani Greków, ani w ogóle nikogo! Winniśmy się tylko pilnie u starszych uczyć narodów; żyć możemy i działać skutecznie, pod tym tylko warunkiem, że pozostaniemy sami sobą.

Pokazało się, że śliczna panna Mania milczała tylko ze strachu przed pobożnym pozytywizmem pani Heleny, bo skoro się ta ostatnia niewiasta oddaliła, wzięła udział w rozmowie. Teraz wyrwał się jej wykrzyknik:

— Jakżeż tu pięknie! Jakżeż tu uroczo! Jakżeż jestem szczęśliwa, że bawię we Florencyi! Jestem w jakimś ciągłym, spokojnem uniesieniu. Zdaje mi się, że wszystko tu jest jakąś uroczystą a przecież radosną muzyką, nie tyle dostrzeganą przez zmysły, ile bezpośrednio przez duszę. I ja stałam się częścią tej harmonii. Cała moja istota jest nutą w niewysłowienie pięknym hymnie.

— Czy przypadkiem — wtrącił profesor — przyczyną tych uniesień, nie są: młodość, wiosna, świeże powietrze i śpiew słowików?

— Nie, z pewnością nie — odparła Mania — tak być nie może. Bo młoda przecież jestem zawsze, a wiosna bywa wszędzie; i prawda,

wszędzie cieszę się wówczas, a jednak w zupełnie inny sposób. A potem ta radość nie przystąpiła do mnie, dopiero tu, w ogrodzie, nie odstępuję odemnie od chwili, w której się we Florencyi naprawdę rozpatrzyłam. Pierwszego dnia nie rozumiałam Florencyi; wydawała mi się nawet surową, ponurą; spodziewałam się, sądząc po nazwie, miasta kwiatów, a zastałam miasto wielkich głązów. Ale teraz ulegam ciągle jednemu, dziwnie błogiemu zachwytwi, bez względu na to, czy jestem na świeżem powietrzu i nad rzeką, czy też wśród ciasnej ulicy, otoczonej kolosalnymi, pouuremi pałacami, ulegam temu uczuciu tak samo we wnętrzu ogromnej, nagiej, a tak dziwnie modlitewnej katedry, jak w galeryach, w których oko z arcydzieła przechodzi na arcydzieło drugie.

— Tak jest—potwierdziła pani Jadwiga—wszystko tu, jak może nigdzie na świecie, złane w jedną, piękną całość. Okolica cała, gmachy, posągi, obrazy a nawet ci ludzie, jednolitą całość tworzą. Kiedy siedzę tu, mam wrażenie trudne do opisania, że oglądam dalej arcydzieła tutejszych starych mistrzów, na których postaci zaczęły się raptem ruszać—chodzą i rozmawiają—a kiedy wrócę do miasta i siądę przed obrazem w galeryi, albo przed jednym ze starych fresków, w jakimś kościele, albo refektarzu, będzie mi się zdawało, że to żywa Florencya została unieruchomiona na wieki, czarodziejskiem zaklęciem, jak zamek Popiela w rapsodzie Słowackiego. Patrzcie się państwo, otwórzcie oczy i spojrzycie tylko i powiedzcie mi, czy te góry i drzewa nie wyglądają, jak krajobraz, tworzący tło starego, florentyńskiego malowidła? czy te dwie kobiety nie wyszły z fresku Ghirlandaja? czy nie Massacio odmalował tego młodzieńca, który tam stanął nad Arnem i patrzy w wodę? Czy nie Luca della Robbia modelował te dzieci, które się tam w piasku bawią?

Tłómacząc, podjąłem: — Sądzę, żeś pani teraz sama podała klucz do wrażeń, których doznajemy tu wszyscy. Jedność przedziwną Florencyi stworzyła stara, florentyńska sztuka. Owi starzy artyści spoglądali nieustannie na żywą przyrodę, na tę, którą widzieli przed sobą, na ten sam krajobraz, który teraz oglądamy, na ten sam lud, który się teraz nad rzeką przechadza, a którego charakterystyczne typy i ruchy nie mogły się przecie zmienić w ciągu marnych półtysiąca lat — chwilki nie znaczącej nic, w życiu wszechświata. Tak dalece szukano wyłącznie prawdy—że w połowie piętnastego wieku nastąpiło w sztuce włoskiej panowanie bezwzględnego realizmu, trwające przez całe jedno pokolenie, nad którem przetrwało berło malarstwa, w Lombardii Montegna, tu w Toskanii Pio de la Francesca. I ci ludzie, którzy nie nasładowali niczego, oprócz dzieła Bożego, przyrody, ci ludzie, którzy nie znali żadnego niby doskonałego szablonu, żadnego konwencyo-

nalnego ideału, szukając tylko prawdy, dokonali tego cudu, że cały ten kraj i cały ten lud w swoją przedziwną sztukę wcielili, w świat ideału przenieśli, że kto się na ich dzieła napatrzył, ten musi widzianą potem rzeczywistość w sztukę wcielić. Dzięki tym tutejszym starym artystom, nieskrzywionym przez tradycje akademickie, stało się, że tu, na przekór reszcie świata, że tu powiadam, wyjątkowo sztuka i rzeczywistość to nie dwoje—to jedność nierozdzielna; sztuka tak dalece była prawdą, że się prawda stała sztuką. Dziś dość powszechną modą, powstałą najpierw w Anglii, a naśladowaną u nas bezmyślnie, jak my bezmyślnie naśladować umiemy, jest udawanie starych Florentynów, tem niedorzeczniejsze u nas, że praktykowane nie raz przez ludzi, którzy ani sztuki, ani przyrody tutejszej z widzenia nie znają. Z tego malpiarstwa bywa ten skutek, że kopiują błędy jakiegoś malarza, nie posiadając jego zalet. Kto koniecznie chce malować na wzór Florentynów, niech się tu osiedli, niech się w tutejszą przyrodę wpatruje sumiennie i szczerze, zapomniawszy o późniejszych konwencjach i o wszystkich kruczkach i zabawkach technicznych, a jeśli ma talent, dopnie celu. Ale lepiej stokroć zrobi ten, kto w kraju pozostawszy, nasz krajobraz i nasze typy ukocha, zrozumie, zespoli się z niemi i dla naszego narodu zrobi to samo, co oni zrobili dla Włoch, tego samego dokaże dla nas w malarstwie, czego dokazał już w poczty Mickiewicz, gdy napisał Pana Tadeusza.

Nie wiem, czy świeże powietrze, czy może przykład panny Mani, ośmielił także Zygmunta, wniósł się bowiem teraz do rozmowy uwagą:

— Wczoraj wykladałeś nam pan obszernie, że tutejsi artyści byli na wskroś i wyłącznie religijni; teraz wychwalasz pan znowu ich realizm. Proszę mi wytłómaczyć, jak mam te dwie rzeczy z sobą pogodzić?

Odpowiedziałem: — Widzę że pan jesteś na wskroś synem czasów, w istocie swojej obcych wszelkiej religii, czego najlepszym dowodem to, że także osoby bardzo pobożne, bywają pańskiego zdania, nie zdając sobie z tego sprawy, że skoro żądają od sztuki religijnej, aby samą nieprawdę wyobrażała, prawdy unikała, samą chyba religię zaliczają do rzeczy konwencyonalnych, do symbolów bajecznych, w których ani iskra prawdy rzeczywistej nie tkwi. Tak jak prawdziwie wielka sztuka życie wciela w siebie a siebie w życie, tak samo religijność istotnie czuje się rzeczywistością, całą rzeczywistość przenika. Za czasów, w których Florencya kwitła, religia, sztuka i życie tworzyły nierozdzielną, współlistotną trójcę, a sztuka tem samem była naprawdę religijną, że do obrazów kościelnych, całą przyrodę, najpowszedniejsze, życiowe wcielała zdarzenia.

Zygmunt nie dał się teraz zbić z tropu, a podejmując dyskusję, tak przemówił dalej:

— Pan trwasz konsekwentnie przy stanowisku zajętem wczoraj. Przyznaję. Ale przyznasz pan nawzajem, że pogląd pański na odrodzenie, nie zgadza się z poglądem przyjętym powszechnie przez naukę. Chciałbym się dowiedzieć bliżej, co pana powoduje do odrzucenia powszechnej prawie opinii; bo dotąd myślałem, że wielką i niespożytą zasługą czasów odrodzenia jest to, że świat wpatrzony dotąd wyłącznie w dogmata, poddany ślepo przez kościół ustanowionym powagom, do których dość dziwacznie także poganina Arystotelesa zaliczono, otrząsł się z więzów nałożonych nań przez zbyt wyłączny nacisk, położony na samą tylko religię, przy zupełnem życia zapoznaniu. W czternastym wieku narody Europy, a na ich czele Włosi, przetarły sobie oczy; miały znów odwagę patrzeć się na świat jaki był, ośmieliły się czytać w autorach klasycznych to, co u nich stało i tem samem wskrzesiły myśl, rozbudziły na nowo zmysł dla prawdy, uspioonej przez lat tysiąc, pod wyłącznem panowaniem duchowieństwa. Ludzie nie zwykli renesansu za to chwalić, że był religijnym; przeciwnie to mu za wielką poczytują zasługę, że przestał być wyłącznie religijnym, że przestał się zajmować jedynie zbawieniem duszy i sprawami niezbadanemi tamtego świata, nieba nie dającego się uzmysłowić i okropnego piekła, do którego większa część rodzaju ludzkiego miała na ohydne, zmysłowe męki zestąpić. Zasługą największą renesansu jest to, że zwrócił nareszcie uwagę rodzaju ludzkiego na sprawy tego świata, od których dziejowe losy pokoleń jedynie naprawdę zależą, które zbadać, na których przebieg mniej lub więcej poszczególny jedynie wpływ wywrzeć możemy. Renesans przywrócił prawa zapoznanemu przez wieki ciału, jego piękności i jego potrzebom; po tysiącletciu jednostronnej wszechwładzy ducha, pojętego wyłącznie ze stanowiska religijnego, po jednostronnem panowaniu religijnego tylko życia i religijnej wyłącznie, a zatem ciasnej i spaczoney cywilizacji, przywrócił renesans równowagę; nie zaprzeczył religii bynajmniej; owszem, uszanował jej prawa, uznał, że ona także, w swojej sferze jest niezbędnie rodzajowi ludzkiemu potrzebną i w tem nie przeczę, że ludzie renesansowi byli wyżsi od niektórych dzisiejszych zaślepienców bezwyznaniowych, dla których maszyna i pieniądz jedynym Bogiem. Ale zakreślono w czternastym i piętnastym wieku osobną dziedzinę dla religii, podczas gdy władała wpierw nad wszystkiemi; i za to się renesans chwali, i to sprawiło, że stolica ówczesnego ruchu umysłowego, Florencyja, mogła się stać tak doskonale, tak harmonijnie piękną. Była doskonałym wyrazem uzyskanej na jedną chwilę dziejową równowagi, a czasy o których mówimy, dla tego wydają nam

się słusznie nieporównanemi, ponieważ czasy dawniejsze tej równowagi nie znały, a późniejsze tę równowagę znów zatraciły; ponieważ średnie wieki znały tylko ducha, a czasy nowożytne myślały zanadto wiele o ciele tylko. Wszelako, sztuka renesansowa nie dlatego nam się podoba, że była niby to religijną, tylko dlatego, że nawet do kościelnych obrazów, śmieli świeccy na wskroś mistrze wnieść wyobrażenie świeckiej prawdy, którą rozpoznawali z chłopięcym zapalem, przygotowując późniejszy, męski, europejskich narodów wiek, zajęty systematycznym już, a zatem naukowym, nie artystycznym tylko i zawsze fantastycznym prawdy badaniem.

Zygmunt skończył. Spytałem się go zatem:

— Ale pan przecie przyznajesz, że za renesansu było więcej religii niż dziś? Że sztuka odrodzenia była bardziej religijną od tej, którą teraz po wystawach oglądamy, gdzie płaski, bezmyślny realizm, fotograficzne u jednych oddawanie rzeczy najpowszedniejszych, a trywialnych przez to, że je oderwano od jedności z wszechświatem, z duszą ludzką, z Bogiem — sąsiaduje z utworami nieokiełznanego u drugich widzimi się, goniącego za dziwactwem, ponieważ nie masz ideału, do którego by artysta dążyć mógł z przekonania, o którymby mógł się spodziewać, że przemówi do gawiedzi przewanej P. T. publicznością.

— Ja tego nie wiem — odparł Zygmunt — są ludzie zaślepieni, którzy żadnej religii nie chcą, którzy religii każdej w żywe oczy przeczą, choć w gruncie rzeczy swoją odrębną, rewolucyjną, socjalistyczną albo anarchistyczną religię mają i są nawet do niej tak fanatycznie przywiązani, że brakiem tolerancji równają się ze starymi inkwizytorami. Niereligijnym był chyba czas jakiś, wiek ośmnasty. W wieku dziewiętnastym, a zwłaszcza za czasów naszych, jest religii bardzo wiele, i zdaje mi się, że jest jej nierównie więcej, niż za renesansu. Tylko to religia nowa, znana za dawnych czasów, może tylko wyjątkowym ludziom, mistykom katolickim albo protestanckim. Nie jest to religia narzucona przez obcą powagę, tylko wiara, którą każdy wysnuwa z głębi własnego ducha; pogląd na świat, na życie, na przeznaczenie człowieka i ludzkości, oparty na ideale we własnej duszy wypiastowanym; słowem religia podmiotowa, na której stoi pogląd na świat podmiotowy; a taka religia i taki pogląd na świat są o tyle więcej warte od dawniejszych przedmiotowych, o ile ideał z siebie wyczuty bywa lepiej zrozumianym od narzuconego przez obcą powagę o ile się więcej w swoją, jak w obcą wierzy wiarę. Tej religii początki dniały zapewne już u towarzyszy świętego Franciszka z Assyżu; jej rozpowszechnienie jednak stało się dopiero możliwem od czasów reformacji, a romantyka i dzisiejszy symbolizm stały się jej wymo-

wnym artystycznym i literackim wyrazem, o tyle religijniejszym od kierunków władających w sztuce za renesansu, o ile samodzielna szczerosc jest prawdziwszą i potężniejszą od posłusznie przyjętego szablonu, z którego usiłowano się jednak nieustannie wyłamać, wprowadzając wszędzie siłą mocą naśladowanie świeckiej prawdy, choć jej wyobrażenie klóciło się na zabój z tem, co miało niby być przedmiotem malowidła.

— Proszę mi powiedzieć—podjęła pani Jadwiga—co znaczy religia podmiotowa i przedmiotowa, podmiotowy i przedmiotowy pogląd na świat i kierunek w sztuce? O tem gada Zygmunt ustawicznie. Słyszałam także nieraz, jak o tem mówili młodzi ludzie, zwłaszcza ci, którzy z Niemiec wracali—albo także starzy panowie, którzy chwalili Goethego i Mickiewicza, za to, że to poeci przedmiotowi, a ganili Szylera i Słowackiego za zbytnią podmiotowość. Teraz uważam, że się moda zmieniła; wszyscy prawie młodzi, wszyscy modernisci i symbolisci, a nawet pani Róża, którą bardzo podziwiam i szanuję, wynoszą podmiotowość, przedmiotowość potępiają. Ale ja tego wszystkiego nic a nic nie rozumiem, poprostu tych słów nie rozumiem. Uczono mnie, za lat dziecinnych, co to w gramatyce: przedmiot, podmiot i orzeczenie, ale i tego nawet, jak w ogóle gramatyki, nigdy dobrze rozumieć nie mogłam, choć dzięki Bogu umiem się jakoś po polsku wyrazić. Lecz nikt mi nawet nie spróbował wytłómaczyć, co to owa podmiotowość i przedmiotowość, o których mądrzy ludzie rozprawiają.

Chciałem odpowiedzieć, ale rzecz podjął profesor i rzekł:

— Pan Zygmunt używa wprawdzie polskich wyrazów, ale niemniej przeto mówi po niemiecku i po niemiecku mówili z panią wszyscy ci, starzy czy młodzi, którzy o podmiotowości i przedmiotowości gadałi. Pozbyliśmy się zwyczaju, tak powszechnego niegdyś u wykształconych, nieustannego paplania między sobą po francuzku i bywamy nawet z tego powodu dumni. Nie ma czem się chwalić, chyba o tyle o ile chwalebne bywa zaniechanie najgłupszego w świecie przyzwyczajenia, a korzyść osiągnięta nie jest nadto wielką, a raczej bywa dotąd—prawie żadną; bo używanie macierzystej mowy, w cywilizowanej rozmowie jest tylko środkiem do celu, otworzeniem ramy, w której obraz się zmieścić może. Obrazem jest rodzimy, ojczysty a niezapóżyczony u obcych, ani do naszej natury, ani do naszego położenia nie zastosowany pogląd na ten i tamten świat. Gadając obcym językiem, musieliśmy, chcąc nie chcąc, myśleć obcą myślą a zatem w sposób śmieszny, niedorzeczny, szkodliwy. Gadając po polsku, powinniśmy także myśleć po polsku, ale dopóki tego nie czynimy, na nic się to polskie nie przyda gadanie, w mowę się nie zmieni; gadaniem papuziem, nie mową godną istot rozumnych, pozostaną wszy-

stkie nasze wykrzykniki o przywiązaniu do kraju i do obyczaju pra-
 ojców, o poświęceniu i miłości bez granic; malpiarstwem pospolitem
 pozostanie nasze postępowanie, a nie zamieni się nigdy na ludzkie
 czyny; ani swego przeznaczenia, ani swego położenia rozumieć nie
 będziemy; głowę będziemy sobie ciągle rozbijali o jakiś mur, nieu-
 stannie będziemy, na podobieństwo ómy nocnej, lecieli w ogień, na
 własne zatracenie. A tymczasem ciąży na nas ciągle to przekleństwo,
 że nasze panie czytają i myślą, a zatem czują nawet po francuzku,
 a mężczyźni uczą się wszystkiego od Niemców i myślą po niemiecku.
 Owo gadanie o przedmiotowości i podmiotowości, jest zatem gadaniem
 niemieckiem, które się na polskie nawet przełożyć nie da. Była nie-
 gdyś szkoła niemiecka, która domagała się w sztuce przedmioto-
 wości—w interesie dyscypliny pruskiej, i jej nauki, co powtarzali u nas
 uczeni, jako dogmata przyjęte na wiarę niemieckiego, niedoścignętego
 rozumu. Teraz zmienił się wiatr; aby się mózgi obronić przed socya-
 lizmem, mogącym na gruncie monarchii pruskiej jeszcze straszliwszą
 karność zaprowadzić, bywa podmiotowość w Niemczech protegowaną
 a trzeba przyznać, że to przynajmniej z istoty protestantyzmu nie-
 mieckiego konsekwentnie wynika. My jesteśmy katolickim narodem;
 potrzebujemy przede wszystkim społecznej łączności, opartej na za-
 sadach przez całe społeczeństwo wspólnie wyznawanych a zgodnych
 z żelazną rzeczywistością. Owa podmiotowość zatem niemiecka, to
 co Niemcy nazywają idealizmem, jest dla nas najśmiertelniejszą tru-
 cizną. Mniejsza o to! Nam tej trucizny koniecznie zażyć potrzeba,
 skoro jej Niemcy zażywają, jako lekarstwa—jako antydotum przeciw
 innej, groźniejszej truciznie. Więc pan Zygmunt mówi o podmioto-
 wości i o religii podmiotowej. Nie mam mu tego za złe, bo jest pod
 wpływem najnowszych niemieckich książek. Zdaje mi się, że nie chy-
 bię, gdy powiem, iż oto teraz niedawno przeczytał książkę wydaną
 przez germanina wściekłego, Niemca pochodzącego z angielskiej ro-
 dziny, pana Chamberleina. Ta książka nosząca tytuł: „Podstawy dzie-
 więtnastego wieku“ jest najchaotyczniejszym, a zatem najlepszym,
 wyrazem podmiotowego chaosu, jaki teraz zapanował w protestan-
 ckich i liberalnych głowach niemieckich; podobała się w Niemczech
 niezmiernie; jest wyrazem chwili; czytają wszyscy tę książkę, czyta
 ją cesarz Wilhelm ze szczególniejszą admiracją. Czytają Chamber-
 leina także niektórzy Polacy — i to niestety najlepsi, najwykształ-
 ceni i gadają potem o podmiotowości i o religii podmiotowej — może
 będą niezadługo gadać z równym zapałem o kwadraturze koła.

Zygmunt słuchał tej tyrady niecierpliwie; rumienił się, gryzł
 usta; szanował jednak powagę profesora, bo był to młodzieniec nau-

czony wszystkie szanować powagi—począwszy od Sofoklesa i świętego Tomasza — a zakończywszy na Zoli i Prudonie. Więc nieśmiałość wzięła nad wszystkim górę i Zygmunt milczał.

Pani Jadwiga do niego tedy zwróciła się z uśmiechem, chcąc go wybawić z kłopotu i spytała się:

— Może ty Zygmuncie wytłómaczysz mi przynajmniej, co ty rozumiesz pod podmiotowością i religią podmiotową? Bom ciekawa

Zygmunt zmięszął się jeszcze gorzej. Wahał się, namyślał przez chwilę, a wreszcie powiedział:

— To tak nie da się powiedzieć. To trzeba odczuć, to się łatwo i krótko wytłómaczyć nie da.

Profesor podjął znowu:

— Pan Zygmunt zdaje mi się, że sam nie rozumiał znaczenia używanych przez siebie wyrazów, bo gdyby rozumiał, nie chwaliłby religii podmiotowej. Za zię tego jeszcze żadną miarą brać nie można, bo natura niemieckiego języka sprawiła to, że uczeni Niemcy i literaci tego narodu używają nieustannie z szumem, hukiem i naciskiem wyrazów, które zrozumieć trudno, których większa część poetów i myślicieli germańskich, używa nie rozumiejąc. Do tych wyrazów zaliczam podmiotowość i przedmiotowość. Wcale nie idzie za tem, żeby to były dźwięki pozbawione znaczenia. Mam to przekonanie, że kto gada o podmiotowej religii, gada o niczem, albo przynajmniej o rzeczy podobnej naprzykład do zielonego smutku albo do owalnej rozpaczcy, o których wiadomości musimy chyba u modernistycznych ciągać poetów. Ale sens prosty słów „podmiotowość“ i „przedmiotowość“ spróbuję podać, pokaże się przytem tylko, że używają ich ludzie, na niemieckim sosie wychowani, w sposób zazwyczaj kompletnie niedorzeczny. Podmiot znaczy w niemieckiej filozofii tyle co ja, co moja szanowna i wielce ukochana osoba; przedmiot, to reszta świata, to prawda i rzeczywistość, z którą mam do czynienia. Przedmiotowy pogląd na świat, to zaglądnienie prawdzie w oczy; podmiotowy zaś pogląd, to wmawianie w siebie, że prawda nie jest prawdą, skoro mnie nie dogadza. Don Kiszot, skoro pragnął koniecznie sławy z bajecznych awantur, miał podmiotowy pogląd na wiatraki, gdy uwierzył, że to olbrzymy i dzięki temu przekonaniu stłukł się porządnie; finansista pragnący za każdą cenę zysku, ma podmiotowy pogląd na świat, kiedy zaprzeczy istnieniu uczciwości, a dzięki temu zrobi może majątek, ale będzie niktzemnikiem i plagą społeczną; prosty zbrodniarz będzie podmiotowo lekcewał istnienie prawa karnego, politycy i sądów, więc dostanie się do więzienia i może na szubienicę. Z tego wynika, że religią podmiotową jest brak religii. Kto ma ze wszystkim podmiotową religię, ten wierzy, że prawdy nie ma wcale, nie

zawisłej od jego zachcianek; wmawia w siebie, że to czego on pragnie jest prawdą, dlatego, że on tego pragnie; z siebie samego czyni Boga — i skoro musi się liczyć z rzeczywistością materialnego świata, przeczy tylko prawdom moralnym, o ile jemu się nie podobają, zamienia się w uosobienie poczwarnie ogromnego samolubstwa. Prusacy jako naród, jako państwo, wyznają dawno podmiotową religię; dawno przez usta myślicieli i nawet kaznodziei protestanckich głoszą, że są Bogiem w dziejach wcielonym, a cnotą i prawem przezywają to wszystko, co swoim dogadza. Dotąd jednak Prusak swoje osobiste przekonania poddawał ubóstwionej racji stanu; jeśli każdy zechce mieć osobistą religię podmiotową, prędzej czy później, ale niezawodnie wszyscy będą się musieli zaprzepaścić, mimo olbrzymich od dwustu lat nagromadzonych materialnych i intelektualnych zasobów. Zwykle człowiek wyznający podmiotową niby religię, do tych ostatecznych nie dojdzie konsekwencji; ale wtedy nie o wiele będzie lepiej, bo w nic na prawdę nie będzie wierzył, a zamieni tylko w przedmiot jakiejś sceptycznej adoracji, tęsknoty swoje, a Bogiem przezywać będzie ideał osobiście powzięty, o którym będzie przekonany, że nigdzie nie istnieje. Z takiego człowieka nie będzie wprawdzie zbój zdolny każde rozsądzić społeczeństwo, ale będzie niedołączny marzyciel — i społeczeństwo, w którymby się sami tacy ludzie znaleźli, umarłoby wkrótce na sentymentalne mdłości. Najsilniejszemu „podmiotowość“ nie wyjdzie na zdrowie; wystrzegajmy-że się jej pilnie, jako niemieckiej zarazy, któraby nas od razu powalić musiała!

W chwili, w której profesor kończył, zbliżyły się do nas pani Helena i pani Róża i zaproponowały, abyśmy piechotą na późny, hotelowy obiad do miasta wracali. Na to zgodziliśmy się od razu i rozmawialiśmy dalej, idąc brzegiem rzeki. Ale, jak to w takich razach bywa zazwyczaj, jedni poszli naprzód, drudzy pozostali trochę w tyle, boć przecie trudno iść frontem w siedmioro. Więc pani Jadwiga z panną Manią i panią Heleną wysunęły się na czoło, a myśmy z profesorem i panią Różą pozostali nieco w tyle, tworząc tym sposobem drugą, bardziej literacką trójkę. W straży tylnej szedł Zygmunt, sam jeden i zamyślony, ale choć postępował za nami, był dość blisko, aby wyraźnie naszą słyszeć rozmowę, aby się do niej wmięszać, gdyby go ochota zebrała.

Profesor lubił własnych słuchać wywodów, a był w sztosie mówienia. Więc nie zważał na to, że poniekąd innych miał teraz słuchaczy, a odstępując tylko na krok jeden od treści dopiero zakończonych wywodów, w ten oto sposób, zwróciwszy się do mnie, przemówił:

— Lubię być szczerym, więc powiem panu, że się nie zgadzam we wszystkim z pańskim zdaniem o renesansie. Że owe czasy były

bardziej religijnymi, czy też mniej niereligijnymi od teraźniejszych, to pewne; o tem nie ma nawet co dyskutować, a chyba i pan Zygmunt na to się zgodzi. Religia—po łacinie *religio* znaczy tyle co związek. Dzisiaj pomiędzy ludźmi nie ma innego związku nad wspólny interes, albo posłuszeństwo wspólnym prawom, narzuconym przez moc państwa zewnętrzną. Zresztą każdy myśli o sobie, dba sam o siebie, ma swoje osobiste opinie, które przeciwstawia śmiało opinii wszystkich innych ludzi. Bywają ludzie religijni, religii w społeczeństwie—a oczywiście także w sztuce — nie ma wcale; religijnym bywa ten tylko, który podaną przez minione stulecia religię przyjmuje, jako zasadę, od której mu odstąpić nie wolno, jako prawdę, w którą mu wątpić nie wolno. Religijnym bywa jeszcze ten, który czemuś moc boską przypisuje i zatem mieni to być swoim obowiązkiem, aby się dogmatowi uznanemu przez siebie poddał ślepo, nie rozumując, nie słuchając rozumowań przeciwnych, choćby pozornie przekonujących. Człowiek religijny nie wierzy zmysłom, nie wierzy własnemu doświadczeniu, tem bardziej nie wierzy obcemu doświadczeniu, przezwanemu nauką, ilekroć mu się wyda że to doświadczenie stoi w sprzeczności z dogmatem, a zatem z jego Bogiem; zgola już nie zważa na to, co mu się chce, czego mu się nie chce — na swoje usposobienie, na swoje szczęście osobiste, na wszystko co Niemiec jego podmiotowością nazwie — jeśli to się w czemkolwiek sprzeciwia obowiązkowi nałożonemu przez religię. Zatem człowiek religijny, o ile jest religijny, bywa stanowczy, nawet bezwzględny, gotów do największych poświęceń—nie waha się, nie namyśla w sprawach pozostających w związku z religią i bywa jedyną potęgą zdolną się mierzyć z bezwzględnym egoizmem człowieka albo korporacji, które w środkach nie przebierając, przed żadną nie cofając się zbrodnią, do swoich samolubnych dążą celów. Już nawet fragment starej religii, wyrwany z całości, a niekonsekwentnie przez nowożytnego człowieka w sumieniu przechowany—jak naprzykład tak marna przecie i niedostateczna religia honoru, wystarcza, aby w pewnych wypadkach dać człowiekowi niespożytą siłę, uchronić go od nieszczęścia. Ale, jeśli ktoś ma religię dla siebie, choć sam jej nie mieni być wcale opinią, jedną prawdą dla wszystkich obowiązującą — religia ta bywa dla społeczeństwa tylko jego indywidualnem zdaniem, jego osobistem przekonaniem, jego opinią, a społeczeństwa, które prawodawstwo swoje najbardziej do ducha naszych czasów — na dobre i złe — przystosowały — społeczeństwa republikańskie nowego świata takiej religii poręczają tylko jedno — tolerancję — słowo trącające grzechem za czasów religijnych naprawdę.

— Ależ, paniel — zawołała pani Róża, przerywając — czy pana przypadkiem zamiłowanie w paradoksach za daleko nie uniosło? Przecież pan twierdzić nie będziesz, że prawdziwa, że oświecona religia każe sumienie bliźniego prześladować? Nie mogę przypuszczać, abys pan chciał nasze czasy za to potępiać, iż wywiesiły na sztandarze swoim szlachetną zasadę tolerancyi!

Profesor odparł:

— Nikogo i niczego nie potępiam i nie chwale. Nie wiem, czy lepszą rzeczą dawne stosy dla kacerzy, czy dzisiejsza wolność publicznego bezczeszczenia wszelkiej religii i wszelkiej moralności. Może być, że jako człowiek nowożytny i podmiotowy powinienem twierdzić, że wszystko na świecie zarówno dyabła warte, z wyjątkiem snu i zapomnienia! Twierdzą tylko stanowczo, że tolerancya musi się społeczeństwu istotnie religijnemu wydać pobłażliwością, której pobłażać trudno, przyznaniem wolności występкови — brakiem miłości bliźniego, narażeniem współobywateli na największe nieszczęście, bo wydaniem ich na pastwę gniewu Bożego. Nam trudno wymyślić się w wieki religijne, bo podstawą naszego wychowania jest przykazanie: Badaj, roztrząsaj, wyrabiaj w sobie osobiste przekonania. A podstawą wychowania religijnego jest rozkaz nie cierpiący wyjątku: Wierz! Ale pani cenisz i wielu u nas ceni religijne przekonania — a przynajmniej zasady moralności lub honoru, które dzieciom wpajamy, co do których krytyki nie dopuszczamy; a to wszystko są rzeczy, których nowożytny człowiek ani nie wymyślił, ani w retorcie nie znalazł; to wszystko zabytki po wiekach religijnych, wykluczających krytykę i dyskusję; to stare graty przekazane nam przez przodków, nie modne wcale, tak zastarzałe, że się same dziwią, jakim się sposobem do dwudziestego wieku przedostały, a jednak — słusznie podobno — drogie nam nad wszystko — tak jak bywa drogą pamięć matki. Oto przyznaję, że za renesansu wpływ dawnych wieków religijnych był nierównie potężniejszy, niż dziś, że wtedy istniało jeszcze społeczeństwo religijne i że przeto istotnie religijne namaszczenie sztuki było jeszcze możliwem. Ale muszę zrobić zastrzeżenie i poniekąd przyznać słusność panu Zygmunтови. Niereligijność jest znamiennem charakterystycznym dla renesansu; przeciwnie, czasy odrodzenia tem są znamienne, że w nich uczyniono wyłom w powszechnem panowaniu religii. Zapoznawszy się ze starożytnością, zaczęto podziwiać mądrość pogańską, rozmaite opinie przeciwstawiać dogmatowi. Nawet kościół, nawet papieństwo, olśnione świetnością klasycznej starożytności, dały się pociągnąć przez prąd czasów, opiekowały się humanistami, same się bawiły w humanizm; tak więc wątplenie i przeczenie zaczęły podkopywać religię, umysł ludzki zwrócił się ku samodzielnemu badaniu

i roztrząsaniu. Poczynające się odstępstwo od religii, oto charakterystyczne znamię renesansu.

Podczas ostatniej przemowy profesora, zbliżył się był Zygmunt, teraz wyrównał się z nami i znowu ośmielony, w te odezwał się słowa:

— Przecież nie można na żaden sposób powiedzieć, że sztuka renesansowa była wyłącznie religijną. Nawet portrety współczesnych nie koniecznie mieszczono tylko po obrazach kościelnych, malowano portrety samodzielne, a całe sale pałacowe pokrywano czasem freskami wyobrażającymi wyłącznie konterfekty książąt i sceny z życia dworskiego, jak to uczynił Montegna w Mantui, jak to czyniono także w Ferrarze. A potem, któż może zapoznać znaczenie malarstwa wprost pogańskiego, mitologicznego, które się poczęło już w drugiej połowie piętnastego wieku, a które zajęło w wieku szesnastym stanowisko równorzędne z malarstwem chrześcijańskim. Tu, we Florencyi, podziwiamy dzieła Botticellego, na których odczuł bogów Homera, jak nikt przed nim i nikt po nim, potrafił nadać świeży, bezpośredni urok postaciom Afrodyty niesionej przez fale i wiatry, w pierwszy dzień swego wiosnianego żywota i Pallady, wieńczącej Centaura; a po wszystkich muzeach świata pełno scen mitologicznych, malowanych przez Tycyana i Corregia; nawet w Watykanie oglądamy w tej samej komnacie, pośród nieśmiertelnych arcydzieł Rafaela, obok Chrystusa i dworu niebieskiego, Apollina i Parnas; a to sąsiedztwo sprawia, że patrząc na nie wątpimy w ogóle, aby ludzie ówczesni religijnymi byli. W Chrystusa i Apollina, w niebo i Parnas, wierzyć równocześnie na żaden sposób nie mogli; jedno i drugie — a to w papieskim pałacu, z jednakowem zamiłowaniem, równie przedziwnym kunsztem, chcieli i umieli odmalować. Więc podejrzenie się nasuwa, że ani w jedno, ani w drugie nie wierzyli.

Teraz ja znów podjąłem rozmowę, chcąc na argument odpowiedzieć poważny. Rzekłem:

— Najpierw przyznasz pan, że obrazy treści świeckiej lub zgoła mitologicznej, stanowią w sztuce renesansu wyjątek równie rzadki, jak po dzisiejszych wystawach obrazy treści religijnej, i stały się trochę liczniejszymi dopiero z chwilą kiedy kościół przestraszony przez reformację, odgraniczył się od życia, religię zamknął w murach świątyni, przeląkł się tak swobodnej mistyki, jak i tak samodzielnej twórczości, zamiast ludzi czynnych a wierzących, chciał mieć ostrożnych dewotów; wszystko, co świeckie, wygnał nie tylko ze sztuki religijnej, ale z życia duchowego chrześcijan, a tem samem siebie z życia powszedniego, świeckiego wykluczył. Skoro malarz musiał się trzymać dekorum pobożnego w obrazach treści religijnej, skoro swoją wyobraźnię musiał okiełznać, ilekroć malował dla kościoła, szukał przed-

miotów zgoła świeckich, w którychby się mógł poruszać swobodnie; każdy też katolik szukał podobnież po za murami świątyni zgoła świeckich zajęć, w którychby mógł swoje wypróbować siły. Nie inaczej postępowali protestanci i rodzaj ludzki stał się świeckim na wskroś, czasy społecznej religijności przeminęły. Prawdą jest, że współcześnie z renesansem, gotował się szturm generalny na religijne życie europejskich narodów, ale to nie było wcale renesansem; to było kielkowaniem reformacji, w którym przewodziły narody germańskie, a po części słowiańskie, kiedy renesans był przedewszystkiem dziełem romańskich narodów. Nie podkopywał on katolicyzmu i owszem był jego tryumfem, jego dojrzałym owocem. Odrodzenie było czynem narodów romańskich, które przetrawiwszy wreszcie barbarzyńskich najeźdźców całą cywilizację klasyczną w swoje wcieliły chrześcijaństwo. Jeśli Rafael odmalował obok nieba chrześcijańskiego Parnas pogański, a w dodatku, jeszcze w szkole Ateńskiej, dzieje pogańskiej filozofii, chciał tem tylko wyrazić myśl renesansu przewodnią, że po zupełnym Chrystusa tryumfie, poezya i nauka świata mogły mu służyć i same przytem mogły się rozwijać swobodnie.

— Ależ—rzekł na to Zygmunt, napierając coraz śmielej—przecież pisarze, którzy nie mieli nic do czynienia z gotującą się reformacją, przeczyli za renesansu i to tu we Włoszech, chrześcijaństwu i w ogóle zasadom wszelkiej pozytywnej religii. Jawili się sceptycy bezwzględni, albo śmiali materyaliści. Literatura włoska od początku zajęła stanowisko hierarchii kościelnej wrogie; już Dante papieżom zlorzczy, już Boccaccio kpi nielitościwie ze wszystkich księży i zakonników, a późniejsi humaniści, pod boki papieży, dążą otwarcie do przywrócenia pogaństwa. Pomponiusz Latus mianował się w Rzymie arcykapłanem Jowisza a Buonacorsi, czyli Kallimach, zanim osiadł w Polsce, uknuł w mieście wiecznem spisek, którego celem ostatecznym było urzędowe przywrócenie pogańskiej Romy, a obalenie papiestwa i katolicyzmu.

Odpowiedziałem:

— Wszystko to prawda, ale prawda i to także, że w tem wszystkim nic nie było nowego, że sceptycy i materyaliści istnieli przez cały ciąg średnich wieków i wykładali nawet swoje poglądy na uniwersytetach, stojących pod najściślejszym nadzorem duchowieństwa, że pogańskie tradycje tlały nieustannie tu we Włoszech, gdzieś pod popiołem i że w czasach dawniejszych prób złamania potęgi papieskiej i przywrócenia republikańskiej Romy, pełno tajemniczych kultów i magicznych sekt, które trzymały się dawnego pogaństwa, przyobleczonego w mistycznie panteistyczne formy, że cała ludowa literatura średniowieczna drwi z duchowieństwa, że wreszcie Dante,

mimo złorzeczenia papieżom, jest nie mniej przeto na wskroś wierzącym katolikiem. Ja znowu, ze swej strony, śmiały się sprzeciwić panu profesorowi, gdybym przypuszczał, że czasy religijne i nie religijne chce od siebie oddzielić martwą ścianą. ale znając jego naukę, tego nie przypuszczam. I dzisiaj jest jednak na świecie religijności istotnej sporo, a w tak zwanych wiekach wiary, było bezbożności równie wiele; ludzie wąpili nieraz, a pobłażano nawet wąpieniu uczonych i literatów, domagając się od nich tylko, aby swoje sceptyczne, czy też materialistyczne nauki podawali w formie przyzwoitej, dodając do argumentów swoich na końcu ustną dla powagi dogmatów rewerencyę— a prócz tego karano wszelkie podżeganie przeciw hierarchicznemu porządkowi społecznemu. Jednak, trwam przy tem, że średnie wieki i renesans były w przeciwieństwie do czasów nowożytnych i dzisiejszych epoką religijną— bo wtenczas całe społeczeństwo wyznawało głośno wspólną wiarę, a wąpienie pobłażano, pod tym tylko warunkiem aby nie było natarczywem, aby się odzywało wstydliwie, półsłówkami; dziś przeciwnie, religijność bywa tolerowaną, a głośno przezywają jedynie zbawczym warunkiem postępu, krytykę i wąpienie. Wyjątki od prawdziwej religijności bywały za renesansu—-prawda! Ale życie publiczne, legalne, i życie liczniejszych społeczeństw bywało religijnem na wskroś, nie tylko w Rzymie, lecz także po rzeczachpospolitych, jak Wenecya, Florencya i Siena, gdzie było wprost wyrazem przeważnego usposobienia mieszkańców, i po większych monarchiach, jak Medyolan i Neapol, gdzie dwór musiał się liczyć z przekonaniem mnogiego narodu. Sam wspomniałeś, panie Zygmuncie, o dworach pomniejszych w Ferarze i Mantui, gdy chciałeś dać przykład świeckiego zgoła kierunku sztuki. Miałeś pan słuszność, że wskazałeś dwory tyranistek, które gwałcąc wszelkie uświęcone prawa, narzucały się miastu i powiatowi, dawały przykład uwieńczonego powodzeniem bezprawia i wskutek tego — do pewnej miary — wynosiły się także ponad bezwzględne panowanie religii; zamiast świętych, siebie kazały portretować malarzom— zamiast Boga siebie kazały opiewać poetom.

Tu wtrąciła się pani Róża napowrót do naszej rozmowy, mówiąc:

— Teraz potraciłeś pan o powód, dla którego mi nie wierzyć niepodobna w istotną pobożność renesansu. Patrząc na malowidła, kościoły, posągi, zdaje mi się istotnie, że ówczesne pokolenia w niebo wpatrzzone, ztamtąd wprost nabierały natchnienia. Ale kiedy czytam o tem, co się za renesansu we Włoszech działo, o niesłychanych zbrodniach kondotyerów i tyranistek, o rozpuszcie jaka panowała bezwstydnie wszędzie, a nawet dokoła papieskiej stolicy, przychodzę do prze-

konania, że ówczesni ludzie, ani natchnionymi, ani wierzącymi wcale nie byli, że miejsce religii zajmowała misterna sztuka, że ci Włosi dawni posiadali poprostu tylko najlepszą w świecie szkołę artyzmu, zapomocą której umieli zarówno tworzyć niezrównane dzieła niebiańskiej sztuki i popełniać najmisterniejsze zbrodnie, kłamać, truć, mordować w sposób, który nas w osłupienie wprowadza, podawać arcywzory śmiałego a świętokradzkiego występku, wobec których, rzekłabym prawie, że zbrodnie Rzymskich Cezarów, niedość artystycznie wykończone, wydają się niezgrabną brutalnością ogromnych dzieci, prędzej godną przebaczenia. Nie mieści mi się w głowie, aby tak wyrafinowane bezeceństwa mogły być istnieć w istotnie religijnej epoce.

Teraz znowu profesor pośpieszył mi z odsieczą, mówiąc:

— Myśmy, proszę pani, wszyscy bardzo niebezpieczne figury, i gdyby nie było organizacji społecznej, prawa i policji, w jakiegokolwiek, choćby najpierwotniejszej postaci, życie pomiędzy ludźmi byłoby sprawą tak niebezpieczną, że temu, komu życie i zdrowie miłe, radziłbym uciekać w las i szukać schronienia bezpiecznego pomiędzy wilkami i niedźwiedziami. Gdyby nie strach przed niepokonaną mocą społeczeństwa—kto wie, czy tych kilku wieśniaków, którzy tam pod drzewem rozmawiają, nie zwróciłoby się przeciw nam, aby nas zamordować i zabrać nasze pieniądze. Każdy człowiek to szczególniejsza mikstura uczuć dobrych i złych; rozchodzi się o to, czy przy tej lub owej sposobności miłość wrodzona do bliźniego okaże się silniejszą lub słabszą od miłości własnej? A jeśli ktoś ma przekonania albo zasady, rozchodzi się o to, jak silna do niego przystąpi pokusa? Różnie to u różnych bywa, ale bardzo mało jest ludzi, którzyby nie ulegli pokusie jakiejś; popełnią wreszcie zbrodnię, aby ukraść królestwo niebieskie, jeśli by to tylko było rzeczą możliwą, a cała sztuka rządzenia społeczeństwem zależy na tem, aby motywa mogące porwać do zbrodni osłabiać grozą prawa skutecznie działającego. Za dawnych czasów organizacja policji i sądów była słabsza, brakło także w znacznej mierze owej broni, którą daje w ręce społeczeństwu reputacja człowieka, rozchodząca się dziś szybko po świecie, dochodząca do wiadomości wszystkich, przestrzegająca wszystkich przed jawnym mordercą, zbójem albo wiarołomcą. Więc ze zbrodni w stylu średnich wieków, albo renesansu, wynika tak jawna szkoda, że dla człowieka—będącego spełna przy rozumie, pokusa do niej jest nadzwyczaj mała. Zgoła już duchowny dygnitarz byłby dziś waryatem, gdyby jawne dawał zgorszenie, wśród społeczeństwa, w którym tyłu jest niechętnych kościołowi. Ludzie dawni, za wieków wiary, bynajmniej gorszymi od nas nie byli, słabszego sumienia nie mieli; ale, że zbrodnia

potrzebowała być tylko zuchwałą, aby ująć bezkarnie, przeto zupełnie rozumni ludzie popełniali nieraz zbrodnie, a tłumaczyli się nawet sami przed sobą, nie bez pewnej słuszności tem, czem się dziś tłumaczą państwa i narody, ile razy jawną popełnią niegodziwość, a mianowicie tem, że kto nie będzie młotem, wnet się stać musi kowadłem. Także i duchowny, tak jak dziś, nie lękał się jawnego zgorzsenia, dlatego właśnie, że czasy były religijne i że godność kościelna zapewniała szacunek, choćby nawet dygnitarz był znany, jako człowiek nikczemny. Religia swoją powagą i grozą swoich przekonań, zastępowała w znacznej mierze dzisiejszą moc zorganizowanego społeczeństwa; sama jedna hamowała swawolę, kładła granicę występкови. Od dzisiejszych praw i od trwogi przed opinią publiczną, była groza religijna nierównie słabszą, gdy chodziło o popełnienie jawnej zbrodni; była natomiast nierównie skuteczniejszą, gdzie chodziło o zapobieżenie skrytemu, misternemu występкови, hipokryzyi przebiegłej, nielitościwemu wyzyskowi legalnemu, za pomocą których ludzie dziś także pożerają się nawzajem, jak głodne szczury zamknięte do wspólnej klatki. A to, że czasy religijne, było na każdym kroku widodem; najbezpieczniejszy zresztą, najzuchwalszy i najpotężniejszy zbrodniarz, a nawet człowiek głoszący teoretycznie zasady sceptycyzmu, albo materyalizmu ateistycznego, musiał okazywać ścisłe posłuszeństwo dla przekazania kościelnych, choćby najuciążliwszych, tak jak dziś każdy musi, na ulicy przynajmniej, przepisów policyjnych przestrzegać. Cezar Borgia, który zajechawszy gdzie w odwiedzinę mordował z zimną krwią gospodarza, jego żonę i dzieci, chodził do kościoła, spowiadał się, a z tem ukrywał się pilnie, że czasem postów i suchedni nie obchodził. Najzatwardzialsi wrogowie polityczni papieży lękali się kłątwy, jak ognia niebieskiego, a choć za życia urągali czasem Bogu, błagali ze łzami w oku o rozgrzeszenie, kiedy nastąpiła obawa zgonu. Rozkoszne miasto oddawało się wyuzdanej zabawie, przerywanej domową, morderczą wojną, w której najdziksza zgrzytała nienawiść. Wtem mnich kaznodzieja zjawiał się na rynku i groził karą niebieską za grzechy nagromadzone; i patrz! owi przebiegli kupcy, bezwzględni politycy i sceptyczni uczeni, owe panie, zapominające o wierze małżeńskiej i owe jawnogrzesznice piękne a wykształcone, wszystko to, co dotąd czas dzieliło swobodnie między modlitwą a misternym grzechem, śpieszy słuchać bosego żebraka w mniszej sukmanie, tłoczy się na bruku dokoła kazalnicy, pospołu z rzemieślnikami prostymi i chłopami z okolicy. Na głos kaznodziei wszystko płacze, szłocha, drży na myśl sądu; niewiasty zrzucają z siebie jedwabie i klejnoty i palą na stosie grzeszną ozdobę; mężczyźni znoszą skarby swoje na budowę kościołów, szkół, szpitali, albo na

wsparcie tubogim; rozkoszne przed chwilą miasto posypuje głowę popiołem, ubiera się we włosiennicę, pości, biczuje się, bosy odbywa procesyę, na ublaganie gniewu Bożego. Prawda, zapal ten pobożny przeminie, skoro kaznodzieja odejdzie i życie dawne, grzeszne, rozpocznie się na nowo, bo natura ciągnie wilka do lasu, a człowieka do występku. Ale pobyt mnicha nie pozostał bez śladu; poczet młodzieńców i dzieci wszelkiego stanu wstąpił do klasztoru, a z ofiar złożonych stanęły kościoły, szkoły, szpitale, albo istniejące ustroiły się w cuda sztuki. Słowem, powstała taka oto Florencya, wtedy, kiedy zachodziło słońce wszechwładnej religii, a wschodziły już zorze czasów świeckich, nie na wierze, ale na rozumie i osobistem przekonaniu opartych.

— Tak jest—odezwała się na to pani Róża—z tego co czytałam o owych czasach wiem, że tak, nie inaczej wyglądał renesans we Włoszech—a może także w całej Europie. Ale w tem wszystkim znamion istotnie religijnych czasów dopatrzeć się nie potrafię. To, co panowie nazywacie religią, chyba chrześcijaństwem wcale nie było; to zabobon i bałwochwalstwo. Trwoga przed klątwą papieską doprawdy istoty religii nie stanowi; nie stanowi jej także przestach, spowodowany głoszeniem prorocत्व o grożącej miastu albo krajowi zagładzie, ani ta wielka łatwowierność, z jaką wierzono każdemu nowemu prorokowi, choć się groźby każdego poprzedniego okazały płonem. Zaniechano na chwilę zwyczajnych występków, chwytano się nerwowo pokuty, aby się ze łzami w oczach u Pana Boga od doczesnej kary wyprosić, albo usiłowano naiwnie datkami pieniężnymi niebiosa przekupić. Za grzechy doczesne, za istotną, srogą, podstępą albo lubieżną niegodziwość, obawiano się przedewszystkiem doczesnej, ziemskiej a dotkliwej kary; przepraszano Pana Boga i Świętych Pańskich, ilekroć jakiś mnich wizjoner katastrofą straszliwą zagroził, a skoro kara nie nadeszła, myślano, że takie przeprosiny zawsze będą skutecznymi i powracano do dawnych występków. Lękano się także straszliwie kar wiecznych, ale wierzono, że pilnowanie zewnętrznych obrządków, przed temi karami skutecznie człowieka ochroni: więc na obrządki kładziono nacisk przeważny, dbając bardzo mało o życie chrześcijańskie. Księdza bano się, jako potężnego czarodzieja, mogącego do nieba wpuścić, albo z nieba wykluczyć i księdza, a mianowicie dygnitarza kościelnego, otaczano czcią, choć wiedziano o postępkach jego najbardziej niegodziwych. To wszystko, powiadam, zabobon, nie religia! Religią prawdziwą nazywam miłość dla Boga i bliźniego, wstrzymującą od występku, rodzącą życie dla bliźniego i społeczeństwa pożyteczne i tem samem zgodne z wolą Bożą.

— Oj Pani, Pani moja!—zawołałem—bądźmy ostrożni z tem przeciwstawianiem tego, co nazywamy prawdziwą religią, temu, co mienimy być czemś innem! Prawdziwa religijność jest wszędzie tam, gdzie jest wiara niezachwiana w świat nadprzyrodzony, który nami właśnie i rządzi, podług praw objawionych i któremuśmy winni posłuszeństwo bezwzględne. Gdziekolwiek taka istnieje wiara, człowiek przez nią bywa wsparty i wzmocniony; przestaje się wahać i namyślać ustawicznie, przestaje materyjalne interesa ponad wszystko inne wywyższać, mniej się samym sobą zajmuje, a tem samem bywa szczęśliwszy; gotów jest do całopalnych poświęceń, a tem samem bywa potężniejszy i społecznie i jako jednostka. Mimo religii, każdy prawie człowiek będzie popadał w występki, przemożony chwilową, samolubną pokusą, a znajdują się nیکczemnicy, którzy świadomie trwać będą w grzechu ustawicznym. Bez religii nie masz już grzechu, ale nie masz także ani pokuty, ani świętości, ani przekonań moralnych, zostaje samolubstwo, własne rozważające cele; społeczeństwo rozsypuje się w piasek, a każdy człowiek pogrążony w myśli o samym sobie, goni za szczęściem, którego dla tego nie znajdzie, że go szuka samolubnie, i każdy człowiek, choć się żadnego niby piekła nie boi, już za życia w piekle pozostaje ustawicznie, pożerany przez ogień wieczny, nigdy nie ugaszonych osobistych zachcianek, pogrążony w ciemności zewnętrznej, w której dostrzedz tego nie może, poco świat istnieje i poco sam żyje na świecie? Taki musi być wpływ religijności i braku religii; to wpływ niezmiernie doniosły; ale jak nie zmienia biegu zewnętrznej przyrody, za pomocą ustawicznych cudów, tak samo nie przeistacza natury indywidualnej ludzi i społeczeństw i wszystkiego na jedną nie przerobi modłę. Zatem ludzie prawdziwie religijni pozostaną ludźmi, wcale zresztą do siebie niepodobnymi: ich usposobienie, stopień i rodzaj ich oświaty, a wreszcie wpływ otoczenia, sprawią, że bardzo rozmaicie będą religię pojmowali i praktykowali, ale byle na prawdę wierzyli, będą tą wiarą wzmocnieni. Jeśli są chrześcijanami, będą zawsze wiedzieć o obowiązku miłości bliźniego. Nie wolno ludziom, którzy przykazania kościelne często przekraczają, twierdzić, że ci, którzy do ich przestrzegania wielką przywiązują wagę, obowiązków czynnej miłości nie uznają. Ludzie nowożytni, do tego bywają skłonni, może głównie na to, aby w sobie i w drugich wmówić, że ich oziębłość religijna, nawet pod względem religijnym, więcej warta od dawnej gorliwości. Religja naszych chłopów polskich dotąd bywa zupełnie podobną do religii dawnych pokoleń, a wykształcony, który prawie nigdy, ani o Bogu, ani o tamtym świecie nie pomyśli, chociaż siebie szczerze chrześcijaninem, a nawet może katolikiem być mieni, rusza ramionami, kiedy widzi, że chłop pije, kłamie, a cza-

sem kradnie, choć przytem skrupulatnie świąt i postów przestrzega. Zapominając o tem, że wśród względnego przynajmniej dostatku, przemożnym dla biedaka pokusom wcale nie ulega, wykształcony ma siebie za lepszego, mimo to, a może nawet właśnie dla tego, że o przykazaniach kościelnych prawie zawsze zapomina, i twierdzi, że u chłopca jest tylko zabobon, jest bałwochwalstwo, a religii prawdziwej nie ma. Spadnie jednak na chłopca nieszczęście, a wtedy ów wykształcony pyszałek ujrzy u chłopca objawy istotnie głębokich religijnych przekonań, moc rezygnacyi i gotowość do poświęcenia, które wykształconego zawstydzą. Sądźmy drzewo po owocach. Owi starzy ludzie, którym Pani jesteś gotowa prawdziwej odmówić religii, potrafili tedy oto Florencję stworzyć, my tego nie potrafimy, mimo naszego bogactwa stokroć większego, mimo naszej oświaty—mimo, to, że dziś każde prawie większe miasto prowincjonalne ma więcej ludności i nierównie więcej zasobów od starej Florencyi. Z tego wnioskować należy, kto więcej wart, czyja religijność więcej siły dawała pokoleniom?

III.

Rozmawiając, wyszliśmy już byli dawno z ogrodu do miasta na Lungarno, *quasi* florentyńskie, ciągnące się wzdłuż rzeki. Po prawej tedy ręce mieliśmy rzekę, a za rzeką dalszą, z daleka widzianą dzielnicę miasta, z kopułami kilku kościołów, ponad którą wznosiły się zielone góry w głębi; po lewicy naszej ciągnął się rząd pałaców i hoteli, pobudowanych z elegancką a poważną tokańską prostotą i mnóstwo wykwintnych sklepów. Niektóre z wystaw sklepowych nawet dla nas mężczyzn były zajmujące, bo najrozmaitsze dzieła sztuki wystawiono za oknami; były to przeważnie, poczęści bardzo ładne, kopie malowanych i rzeźbionych arcydzieł Florencyi, ale tu i owdzie znajdowały się rozmaite, ciekawe starożytności, oryginalne stare rzeźby i obrazy. Dla pań przedmiot zajęcia był znacznie większy, bo takie czysto damskie sprawy, rozmaite przystroje, materye i nawet klejnoty, pociągały ku sobie, a wszystko to było w tak dobrym guście, że musiało się nawet brzydszej podobać połowie rodzaju ludzkiego. Więc Panie nasze stanęły przed sklepami sztorcem, zdawać się mogło, że nawet trąba archaniola obwołującego sąd ostateczny, nie łatwoby je z poprzed tych szyb odwołała. To naturalnie rozmo-

wie koniec położyło. My, nieczuli mężczyźni, przypatrywaliśmy się jednak przez jakiś czas sklepom nie bez zajęcia; potem z grzeczności, potem nie mogliśmy już wytrzymać i stanęliśmy bliżej rzeki, paląc cygarety i spoglądając na zegarki. Bo pewnem już było, że dzięki tym wystawom, Polacy na obiad się spóźnią, tak, jak się zawsze i wszędzie spóźniają. Tym razem miała być mniejsza jak w innych wypadkach szkoda, ale zawsze wstyd, bo inni goście w hotelu gotowi tego nie pojąć, że część męska naszej kompanii nie przez żadną niedbałość się spóźniła, ani przez obowiązków lekceważenie, tylko przez powinne a rycerskie dla płci pięknej posłuszeństwo.

Nareszcie pani Jadwiga obejrzała się, zobaczyła nasz wyraz i naszą postawę, a że to była Pani bardzo miłosierna i wcale łaskawa, więc rzekła:

— A widzicie panowie; nudzicie się, niecierpliwicie, patrzycie na zegarki i z jednej nogi przechodzicie na drugą, dla tego, że my się przypatrujemy temu, co nas zajmuje; a nam każecie godzinami siedzieć po muzeach, które was zajmują. Inną miarą mierzycie, a inną chcecie, aby wam mierzonol

Zauważyłem nieśmiało, że dawno czas na obiad, a ta moja uwaga ten skutek osiągnęła, że Panie kazały nam wracać do hotelu. Same jeszcze miały zamiar wejść do sklepów i kilka sprawunków niezbędnych porobić, inny kapelusz przyczepić do kokardy panny Mani, kupić jakiś garnuszek na pamiątkę dla siostrzenicy brata stryjecznej ciotki, wujcia pani Róży, i inne równie doniosłe spełnić obowiązki, na których wypełnieniu, jak nam Sarmatom dobrze wiadomo, świat stoi. Dotąd odbywał się tylko rekonesans; teraz dopiero miały nasze Panie do właściwych operacji wojennych przystąpić, a to potrwać miało — długo! Zatem otrzymaliśmy od Pań pozwolenie a raczej rozkaz wyraźny, abyśmy dłużej nie czekali, i ze względu na nasze znudzenie nie kładli niepotrzebnej tamy poważnemu zajęciu arcydoniosłemi sprawami stanu. Panie powiadały, że same już trafiają do hotelu, a mogliśmy temu wierzyć, dzięki niepospolitemu zmysłowi orientacyjnemu, którego dowody dawała panna Mania, o której się przekonałem, że nawet fiakrowi umiała nazwę naszego hotelu powiedzieć, choć była niezawodnie bardzo dobrze, a zatem zupełnie niepraktycznie wychowaną panienką.

Pani Jadwiga tedy, pani Róża i panna Mania zabawiały się dalej sprawunkami; pani Helena zaś, jako osoba akuratna, co jej się bardzo chwali, puściła się w dalszą pieszą drogę do hotelu, wraz z mężem, zemną i Zygmuntem. Zapomniałem o powadze, we wszystkim nieagannej pani profesorowej, a może spowodował moje słowa żartobli-

wy sposób, w który nam pani Jadwiga urlop dała. Dość, że tak oto przemówiłem:

— Zdaje mi się, że powszechnie Ewę, prababkę rodzaju ludzkiego, krzywdzą, przypuszczając, iż zrobiła głupstwo, gdy nakłoniła męża do grzechu pierworodnego. Sądzę, że pani Ewa była zupełnie świadomą skutków, które zjedzenie owocu zakazanego na jej stadło sprowadzi, że działała po dojrzałym namyśle i że nigdy swego uczynku nie żałowała. Wyobraźcie sobie tylko państwo, że w Raju nie było ani jednego sklepu, że tam i o sprawunkach zupełnie mowy nie było, i powiedzcie mi, czy w tych warunkach niewiasta porządna w Raju wytrzymać mogła? Że Adam był uparty, że dobrowolnie z Raju się wynieść nie chciał, nie mając jeszcze doświadczenia i nie wiedząc jeszcze o tem, że jedynie na posłuszeństwie ślepem w obec żony człowiek porządny dobrze wyjść może—przeto pani Ewa musiała użyć podstępny; politycznym i krytym sztychem dążyła do dopięcia swoich celów; Adama złudziła ułudą wiedzy, poznania, do grzechu pierworodnego namówiła i tym sposobem z Raju wydostała się w świat, w którym przynajmniej kiedyś, ku przyszłych niewiast pożytkowi, sklepy powstać mogły. Dla tego teologowie dawni przezywali czasem upadek pierwszych rodziców „szczęsną winą“, *felix culpa*, ponieważ bez niego nie byłoby sklepów, ani tramwajów, ani kolei, ani telegrafu, ani elektrycznego oświetlenia i cywilizacyi, do którejśmy dziś tak przywiązani, z którejśmy tacy dumni.

Pani Helena odpowiedziała poważnie:

— Panowie nigdy naszych zajęć niewieścich na seryo brać nie chcecie i żartujecie sobie zawsze z nas, kiedy nasz obowiązek spełniamy. Nie jestem bynajmniej zwolenniczką emancypacyi kobiet i sądzę, że stosunek, jaki się u europejskich narodów pomiędzy kobietą a mężczyzną wyrobił, że obyczajowy podział zajęć, jest rzeczą wynikłą z natury rzeczy, z różnicy sił i usposobień. Kobiety, które chcą zamienić stanowisko żony i matki na udział w zawodach męskich, nie tylko narażają rodzinę na zagładę a społeczeństwo na rozkład, ale gotowe wystawić pleć swoją na walkę, w której uleść musi. One to ze względnego Raju niewieściej nieświadomości chcą wyjść do ziemi opustoszałej, na której dojdą wprawdzie do głębszej znajomości tego co złe, a co dobre, ale na której spotka ich mało dobrego, a niezmiernie wiele złego. To jednak nie przeszkadza temu, że mnie to niecierpliwi gdy słyszę, jak mężczyźni sobie dworują z naszych zajęć. Czy myślicie panowie przypadkiem, że kiedy kupujemy drobiazgi, robimy to dla zabawy? Chodzimy do sklepu, tak jak pilnujemy kuchni, spiżarni i porządku w domu, jak tysiąc drobnych a uciążliwych pańszczyzu odbywamy w izbie dziecinnej, pewne, żeśmy do tych zadań

od was zdolniejsze, że dla nas te małe, a nieustanne kłopoty, są mniej wstrętne, jak dla was; ale wierząc, że wolałybyśmy się przechadzać z przyjaciółmi albo z rozumnymi ludźmi rozmawiać, czytać, słuchać muzyki, albo przypatrywać się obrazom. Ale ciekawesmy, co byście wy, panowie wszechświata, powiedzieli, gdybyście w domu zastali nieporządek, brud, zły obiad, potłuczone naczynia, dzieci nieumyte i żonę nieubraną? Aby tego nie było, musimy przecie także chodzić po sklepach, znać się na drobiazgach, które tam sprzedają, i naturalnie nabyć pewnego zamilowania do tego, na czem się znamy. To nawet, co bierzecie za naszą zabawę, robienie wizyt i przyjmowanie gości, jest dla wieku starszych przynajmniej kobiet, spełnieniem bardzo uciążliwego obowiązku; męczymy się i nudzimy, uśmiechamy się i marnujemy czas, aby dla was i dla dzieci waszych utrzymać stosunki z ludźmi, aby wam pozyskać przyjaciół, a co najmniej, aby wam nie robić nieprzyjaciół. Jeśli tamte panie poszły dla znajomych drobne kupować pamiątki, to na to, aby wciąż ten sam spełnić obowiązek; bo chociaż nie mają już mężów, mają dzieci i o stosunki towarzyskie tych dzieci dbać muszą. Panowie jesteście często wyborni! Narzekacie na nasze kłopoty, bez którychbyście się ani przez chwilę obejść nie mogli, tak jak wygadujecie na cywilizację nowożytną, narzekając na pracę zmateryalizowanego świata, przeciwstawiając jej jakieś niby dobre, dawne, piękne czasy. A wiecie doskonale, że gdyby nie było skrzętnej a zapobiegliwej pracy nowożytnych narodów, nie moglibyście nawet tu byli przyjechać do Florencyi, gdzie tak wspaniale z góry na dzisiejszą spoglądacie pracę. Chciałabym widzieć, jakby się to któremu z was podobało, gdyby się owe dobre, dawne czasy wróciły? gdybyście musieli mieszkać w zapadłej wsi, do której wieść o szerokim świecie raz na rok przywiózłby kwestarz lub kupiec, albo wśród stęchłych ulic niebrukowanego, w nocy nieoświetconego, co roku prawie zarazą jakąś nawiedzzonego miasta? Nie było poczty, nie było gazet, nie było teatru, nie było prawie książek; a nieśmiejcie się panowie, jeśli dodam, że nie było nawet kawy i herbaty, bo o te drobiazgi dbacie nie mało, mimo wyniosłości waszego umysłu górnego. Drogi dla przejazdów nie było wcale; u nas chyba w zimie tylko można się było wybrać w drogę saniami, zresztą pieszo lub konno, a to po bezdrożach, na których nie było porządnego noclegu, a o bezpieczeństwie ani mowy. Nawet w domu u siebie, człowiek lękał się ustawicznie napadu, żył jakby załoga fortecy w czasie wojny. Roje złodziei i żebraków włóczyły się po drogach, roznosząc zarazę, wystawiając na widok publiczny, najwstrętniejsze choroby, które dziś znikły, chwała Bogu, z oblicza ziemi, a przynajmniej z Europy. Co kilka lat nawiedzała okolicę każdą

okropna klęska głodu, a czarne, żywe kościotrupy błagały nadaremnie o jałmużnę; dzieci, niewiasty i mężowie umierali dosłownie głodową śmiercią i trupami swoimi zawalali wsie i miasta, trupów nie było komu chować, a z ich rozkładu stawała dziewczica morowa, by nieść przestrah, zbrodnię i opustoszenie w okolice przez głód nienawiedzone. Gromady zbójów zrozpaczonych przeciągały po kraju, depcząc po boskiem i ludzkim prawie. Serce twardniało, sumienie usypiało; najpobożniejszy, najszlachetniejszy dopuszczał się okrucieństw na myśl, o których, krew nam się ścina. Brz! okropne to były te wasze dobre, piękne, stary czasy! Nie życzę Panom, abyście się doczekali ich powrotu!

Właśnie w chwili, w której pani Helena kończyła swoją tyradę, spowodowaną moim niewczesnym żartem, mogło się zdawać, że owe dawne czasy zmartwychwstały w istocie, że na nie patrzymy żywemi oczyma. Zaszliśmy bowiem na *Piazza della Signoria*. Po naszej lewicy stały ogromne, czarne łuki olbrzymiego niegdyś rzeczypospolitej florentyńskiej odwachu, zwanego *Loggia dei Lanzi*, w którym dziś i już od wieków wielu, zamiast pancernych knechtów najemnych, uzbrojonych w długie włócznie, ustawiono przedziwne, patyną czasu pokryte, posągi z marmuru i ze spiżu. Po prawicy wznosił się ciosowy, szczerbaty zamek, jakby z bajki średniowiecznej wyjęty, ratusz starożytny Florencyi, *Palazzo Vecchio*. Mogło się zdawać, że to gmach z szorstkiej, szarej wykuty opoki, a dziwne niby tajemnice wyglądały z mnogich, małych, czarnych, po części nieregularnie ustawionych, sklepionych okienek, niby z niezliczonych oczu wieczystego olbrzyma. Smukła, a jednak dziwnie jakoś potężna i hartowna wieża, wystrzeliwała ze strzelnic u góry, groziła miastu, wskazując niebo, a u jej szczytu był zawieszony pod obłokami, jakby drugi mały, ale zawsze groźny i szczerbaty zameczek. Przed nami rozciągał się plac nieregularny, wybrukowany ogromnemi płytami ciosu, szary, szaremi, wielkimi, starami domami otoczony. Na placu roili się obok siebie ludzie żywi i bóstwa jakieś pogańskie, dziwacznie i tym razem nie pięknie znowu ze spiżu i marmuru wykonane, ale widocznie nie dzisiejsze w brzydocie swojej fantastycznej. Wrażenia wskrzeszonych średnich wieków nie mogły nawet zatrzeć grupy przechodniów przebranych w nowożytnę szaty, i turystów, zajętych więcej tem, co w Baedekarze przeczytają, niż tem co widzieć mogli i powinni. Fiakry ustawione koło monumentalnej fontanny, wyglądały jak chrząszcze, które zleciały z kądeś i siadły pośród ogromnych kamieni. Nawet wozy, szyny i druty tramwajowe nie mogły na siebie odwrócić uwagi. Przeszłość zapadła wołała na

nas wielkim głosem: Ja tu jestem jeszcze, ja tu w mocy swojej trwam niezmiennie!

Taki to zjawił się przed nami widok, gdy opuściwszy w pierw brzegi Arnu, zaszliśmy do końca renesansowych arkad pałacu *dei Uffizi*, w którym się mieści słynna galerya obrazów. Chociesmy ten widok co dzień widywali, padły w tej chwili na te bruki i mury, tak pięknie rudawe promienie wieczornego słońca, żeśmy przed placem stanęli, jakby wryci z podziwu.

Dopiero po chwili milczenia odezwał się Zygmunt, wołając:

— Prawda, Florencyć takiej nie zdolają stworzyć dzisiejsze pokolenia; ale stworzyły inne rzeczy większe, lepsze, bodaj czy nie piękniejsze, a z pewnością z istotnym duchem chrześcijaństwa zgodniejsze, od tych cudów, od tych wspaniałych murów, od tych obrazów i posągów, które Florencyę tworzą. Panowanie ducha nad materją, człowieka nad ziemią dopiero wiek dziewiętnasty utwierdził na prawdę; on nas dopiero z upokarzającej wybawił niewoli, w której ludzkość pozostawała niegdyś, zrośnięta z ziemią, zawisała od każdego podmuchu pogody. Głód stał się w krajach cywilizowanych niepodobieństwem, zarazę zdolano zakłąć, powstrzymać, zwalczyć. Dziwaśmy sprawili, o których wyobraźnia naszych przodków ledwo w bajce marzyć śmiała; z Krakowa do Włoch możemy się przenieść w czasie nierównie krótszym od tego, którego potrzebował niegdyś król jegomość, aby się przenieść z Warszawy do Krakowa, albo do Lublina; na każdym niemal kroku spotykamy ludzi, którzy nie raz, ale po kilka razy świat objechali do koła, a dla zamożniejszych kraje Europy stały się tem, czem były niegdyś okoliczne powiaty; nawet dla chłopą rzeczą to zwyczajną pojechać po za ogromne morza do Ameryki i powrócić ztamtąd, przywoząc dla rodziny dostatek. Dziś wieczór dowiemy się o tem, co się w południe stało, gdzieś aż w Chinach, lub na przylądku Dobrej Nadziei, a na dziwo świata dwóch ludzi może z sobą bezpośrednio na odległość kilkuset mil rozmawiać, tak, że przestrzeń znikła niby i musimy spojrzeć na mapę geograficzną, aby sobie zdać sprawę z istnienia rzeczywistych odległości. Nawet czas możemy, jakby powstrzymać w biegu; doprowadziliśmy do tego, że słyszymy głos wymówiony przed laty, że widzimy ruchy tłumu, jaki się gdzieś, kiedyś zgromadził, choć to już rzeczy dawno przeszłe. I to wszystko tak spowszedniało, żeśmy się już od dawna przestali temu dziwić; z obojętnością dowiadujemy się o tem, że można zajrzeć do wnętrza żywego ciała ludzkiego, że jakiś tam uczońy ślepym każe widzieć, głuchym słyszeć, a ja obawiam się prawie śmieszności, gdy o tem wszystkiem mówię. A jednak, czy sobie zdajemy sprawę z tego, ile cierpienia ludzkiego, ile okropnej nędzy

wskutek tego ubyło, o ile dzisiejsze pokolenie od dawnych mniej nie-szczęśliwe? Gdybyśmy sobie sprawę z tego zdawali, możebyśmy z mniejszym zapalem czasu dawne wychwalali. A jeśli chodzi o zadziwiające pomniki naszej pracy, potrzebujemy tylko oczy otworzyć, aby je wszędzie oglądać. Zabawiamy się w podziw niezmierny kiedy w kampanii Rzymskiej patrzymy na przerwane łuki starorzym-skich wodociągów, albo kiedy nam pokażą pod Neapolem marny tunelik, który jakiś Rzymianin kazał wybić w skale Pauzylipu. A czem że to w porównaniu z dziełami dzisiejszemi, jeśli nie dziecinną zabawką? Czemże budowa Koloseum albo kościoła świętego Pawła w porównaniu, choćby tylko z siecią kolei, którą każdy kraj pokryto? Piramidy egipskie, to robota przedwiecznych mrówek, przed którą gębę otwieramy z podziwem, tylko z bezmyślności i z odziedziczonego przyzwyczajenia. A jeśli chodzi o piękność dla oka, to trzeba się chyba z umysłu stać niesprawiedliwym, aby tej piękności nie przyznać niejednemu dziełu dzisiejszego inżyniera: mostom zawieszonym zuchwale nad górskimi przepaściami, albo nad wielkimi odnogami morskimi, których fale daremnie niespożytej ludzkiej grożą budowie, albo murowaniu imponującemu, po którym pociągi pędzą, drą się na najwyższe szczyty Alp, przemykając piorunem po łukach stokroć zuchwalszych od łuków rzymskiego wodociągu, albo nawet średnio-wiecznej katedry. Dobry uczynek, pożytek istotny, a nie już wcale uczynny dla bliźniego, łączy się dziś z wytworzeniem piękności. Zabrano się do uzdrowienia miast, chciano dzieciom ubogim darować zieloność i świeże powietrze, rozsądzić ciasne więzienia krętych a stęchłych ulic, wśród których niezliczone pokolenia wiodły żywot największego godny politowania—i oto patrzcie! Stworzono prześliczne nowożytnie stolice, w których być może że żaden gmach nie bywa tak doskonale pięknym, jak starożytnie pomniki, ale w których oko ogromne odrazu obejmuje perspektywy, zdobne nie tylko murami, ale także zielonemi murawami, kłębami rozłożystych drzew, wodą po basenach pięknie murowanych i, gdzie tylko można, widokiem płynącej rzeki. Cały lud może używać pałacowych ogrodów, jakich nie posiadali niegdyś najpotężniejsi książęta. A kiedy nowożytna technika, nocą, w nowożytniej stolicy różnorodne światła swoje zapali; kiedy światło elektryczne wygląda z okien kamienic, z traktyerni ogromną szybą oszklonych i z bogatych w świecidła wystaw sklepowych, a promień gazowe, lub białe światła Auera rozświecają niezliczone latarnie długim rzędem po ulicach rozstawione, powstaje iluminacja, o jakiej niegdyś nie marzono, choćby nawet przy koronacyi króla Francyi i Nawary. A dodajmy do tego ruchome światła, które się przesuwają, popod ogromnemi kamienicami i ślicznemi kłębami

stołecznych parków i bulwarów; tam mknie jeszcze klusem, staroświecki już pojazd, ciągniony przez przedpotopowe niemal zwierzęta, zwane końmi, a latarki powozowe, świecą się, niby świętojańskie robaczki, niby skromne gwiazdeczki, które zestąpiwszy z nieba, wprost po nad ziemią ulatują. To iskierki tylko; a inne iskry płaczą się dziwacznie po nocy, sprawiając, że ziemia przedstawia widok ciekawszy od gwiazdzistego nieba u góry; to etylinowe lampeczki przyczepione do rowerów kolarzy. Lecz oto, mknie przez ulicę jakiś grom; automobil przeleciał i zapłonął ognistym okiem. Ale nie dość na tem! Nie jeden księżyc, nieskończony w zaczarowanym mieście płoną księżycy, od których prawdziwego księżyca na niebie czasem niepodobna odróżnić. Jedne, to elektryczne globy, zawieszony u wejścia wielkich hoteli i te same jedne stoją nieruchomie. Ale inne i to różnobarwne przesuwają się po ulicach, przyczepione do tych zaczarowanych niby wozów, które bez koni, mkną wśród miasta, po szynach, nieustannie. A niechże wielka rzeka płynie przez stolicę, jak Dunaj w Peszcie, albo Elba w Dreźnie, niech odbija w swoim zwierciadle tysiączne światła miejskie i inne jeszcze, niezliczone światła na łódkach, łodziach i parowcach przesuujących się po wodzie, a widok powstanie tak czarodziejski, że od niego oderwać się nie można!

Profesor, który swoją drogą słuchał wywodów Zygmunta, a swoją drogą przypatrywał się z rozkoszą ustawionemu przed starożytną, czarną łodzią, śpizowemu posągowi Perseusza, smukłemu arcydziełu Benvenuto Cellini'ego—teraz parsknął niecierpliwie:

— Oczywiście—zawołał—nie potrzeba nam wszystkich madonn Rafaela i wszystkich Wener Tycyana, skoro mamy tanie olejodruki wszystkie posągi pójdą w kął w obec odlewów gipsowych i galwanoplastyki; sztuki Szekspira i Kalderona pobite na nic przez wystawę na balecie, a ten plac i plac św. Marka w Wenecyi ważą wodę, gdy je porównamy z dekoracją papandeklową w Wielkiej Operze! Daj mi pan pokój z tem oklepanem gadaniem, przynajmniej tu, we Florencyi, i to jeszcze na *Piazza della Signoria!* I tak wściekam się na widok tak zwanego postępu, z którego te Italiacy tak bardzo dumne! Wydaje mi się że się uwzięli, aby swoją przeszłość dla pożytku turystów forestyerów zmumifikować, tej przeszłości się wyprzeć, zakładać same akademie dla wyrabiania masła, zgrzytem funikularnych kolei zagłuszyć wspomnienia przeszłości, Danta i Tassa przełożyć na prozę albo ich wiersze drukować na afiszach, aby nimi zareklamować woskowe zapalki. Nigdy żaden naród tak się nie zawzięł, aby się swojej pozbyć natury. Byli to żebracy; była tu ruina; trawa rosła po brukach Italii, ale jednak Italia Italia była, siedzibą wspomnień wielkich,

ojczyzną istotnego piękna. Nikt się z Włochami w tem mierzyć nie mógł, czem się Włosi zajmowali; każdy o Włoszech myślał tylko, jako o ojczyźnie sztuk, i wobec tego, Włochy, choć źle rządzone, choć pokrajane na różne państewka, choć podległe Austryakom, liczyły się, nawet w upadku swoim i ubóstwie, bezsprzecznie do pierwszych narodów na ziemi. Każdy wykształcony człowiek uczył się po włosku, czytał włoskich poetów, uczył się ich wierszy na pamięć, a po przepelnionych teatrach stołecznych, dawali włoscy aktorowie, cały rok, włoskie przedstawienia. Czem że są Włochy dziś? Wbrew wszystkim tradycjom tych wspaniałych miast, z których każde osobną stolicą, stworzyły jednolite państwo, cieszą się, że Wenecya i Florencya ulegają parweniuszowskiej władzy potomka hrabiów Piemontu, bawią się niby w militarne mocarstwo, zawierają niby przymierza, mają nawet niby kolonie i umieją doskonale, i to już nie niby, przegrywać bitwy z napoly dzikimi narodami. Brawo, nie ma co mówić, brawo! Chcą się także bawić w przemysł, w handel, usiłują się ekonomicznie podźwignąć, urządzają u siebie zmowy socjalistycznych robotników i wcale przyzwoite anarchistyczne rozruchy, a doprowadziły do tego, że choć chromając i z daleka postępują w ślady Anglików i Niemców i są niby to cywilizowanym narodem, ale gdzieś, jeśli nie całkiem u szarego końca, to z pewnością gdzieś dopiero w drugim rządzie. Do pierwszych narodów świata, chyba nikt dzisiejszych Włochów nie zaliczy; degradacya oczywista stała się dla nich słuszną karą za to, że się własnej istoty zaparli, że się obcym kłaniają bogom, protestanckiej cywilizacyi, angielskiemu industrializmowi, niemieckiej nauce. Po włosku nie umie już chyba po za Włochami nikt, co najwięcej potrafi w traktyerni włoskiego miasta powiedzieć: *Date mi una couteletta milanese!* O nowej włoskiej książce, o nowym włoskim obrazie ledwie słyhać na szerokim świecie. Na tutejszych wystawach dzieł sztuki królują Anglicy i Francuzi, a w tutejszych teatrach dają Hamleta i Makbeta—albo—o zgrozo! fuszerują haniebnie Wagnera, a Włoch, niby uczony, tem się chwali, że w niemieckich książkach czytany, że się trzyma niemieckich metod naukowych. Nawet dyrektora wspaniałego zresztą akwaryum w Neapolu sprowadzili sobie aż gdzieś z Ukrainy! Dawni nauczyciele Europy poszli do angielskiej, czy też do niemieckiej szkoły, i tam obchodzą się z nimi, jako z zakami; że się własnej duszy zaparli, więc omal, że Węgier od nich więcej nie znaczy w nowożytnym świecie; powiadam: Węgier! I w obliczu takiego upokorzenia tego tak wielkiego niegdyś narodu, takiego sponiewierania niezrównanej jego przeszłości, śmiesz mi pan jeszcze tu, w obliczu tego Perseusza, czasy nowożytne i nowożytny po-

stęp wychwalać? Przepraszam pana, ale muszę powiedzieć szczerze, że tego słuchać nie mogę.

Nieśmiały Zygmunt przyjmował całą tę perorę z winną pokorą i aby pokryć swoje zmięszanie, przypatrywał się przez lornetkę starorzemskiemu, marmurowemu posągowi barbarzyńskiej branki, zwanej pospolicie Tusneldą, ustawionemu w głębi łodzi, daleko po za Perseuszem. Ale za to na twarzy pani Heleny malowało się wyraźnie zniecierpliwienie, widocznie nie zgadzała się z tem, co jej mąż mówił. To też nie poskąpiła nam swojego zdania i skoro profesor skończył, w takie odezwała się słowa, wprost do męża zwrócone:

— Byłabym naprawdę oburzoną, gdybym ciebie nie znała i nie wiedziała, że masz o każdej sprawie dwa zdania, wprost sobie przeciwnie, które wygłaszasz na przemian, *par esprit de contradiction*. Raz bywasz obrońcą, zapalonym szermierzem nowożytnego postępu, to znów potępiasz stanowczo nasze czasy, a gdy ci niekonsekwencyę zarzucam, odpowiadasz aforyzmem, że wszystko na świecie bywa względne, miewa dobrą i złą stronę. Ja znów jestem konsekwentną i logiczną; taka to już moja natura! U mnie białe jest zawsze białem, czarne czarnem. Trwam przy tem, że zajęcie sztukami pięknymi, jest conajwięcej dozwoloną rozrywką, ani od życia praktycznego odrywać nie powinno, ani nie usprawiedliwia niesłusznych sądów o poważnej życia potrzebie i o istotnych zadaniach człowieka; a skoro nasze czasy nie równie lepiej od dawniejszych liczą się z tą potrzebą i spełniają te zadania, dokonano w nich istotnego, ogromnego postępu. Grzeszą postępowcy z zawodu i zawołania, kiedy postęp ubóstwiają, twierdzą, że sprowadzą raj na ziemię, bo religia i rozum świadczą temu zgodnie, że życie ziemskie musi zawsze pozostać pasmem cierpień, że zasługę tylko cierpieniem okupić można. Jeżeli się grzech pierworodny słusznie nazywa „szczęsną winą“, jakeście to panowie przed chwilą mówili, to nie dla tego, że nowożytne umożliwił wynalazki, tylko mówiąc na seryo, dlatego, że sprowadzając na ziemię cierpienie, umożliwił istnienie cnoty i nabycie zasługi, najwyższych dóbr człowieka. Nie godzi się Włochów za to ganić, że obliczywszy się z prądem czasów, rozumnie pracują około dobra swojej ojczyzny, że nie chcieli, aby była zabytkiem tylko i zabawką, zapragnęli, aby wzięła udział w życiu nowożytnych narodów, w pracy, którą jawna wola Boża, widoczne zrządzenie Opatrzności naszym wskazało pokoleniom. Nie raz w ciągu naszej podróży poświadczałeś temu, jaki ogromny postęp został dokonany we Włoszech, od czasu jakeś ten kraj pierwszy raz, dzieckiem prawie będąc, oglądał. Podziwiałeś gromadzące się w Medyolanie i w Genui bogactwo, Wenecyę i Florencyę dźwigające się z ruiny, zmniejszoną ilość żebraków, olbrzymie prace podjęte ze

skutkiem, około ulepszenia komunikacji, osuszenia bagien, uzdrowienia kraju, zwalczania malaryi. Chwaliłeś rząd dzisiejszy włoski za to, że potrafił poskromić rozboje na wsi, dzieci włóczące się po ulicach zapędzić do szkoły, a ubolewając nad walką z kościołem, mówiłeś jednak, że tu dowodzą taktu i umiarkowania, którego nie mają wśród walk religijnych i partyjnych, ani Francuzi ani Niemcy, i jako przykład, przytaczałeś okoliczność, że choć na papierze zniesiono klasztory, dopuszczono się tylko gdzieś niegdzie istotnego mnichów rozpędzenia i rażącej przemiany kościołów klasztornych na rodzaj muzeów, do których mężczyźni wchodzą w kapeluszu; po największej części nie tylko istniejących konwentów nie nagabywano, ale ze środków municypalnych subwencyonowano ich szkoły, nowe fundacje, sumptem rodziny królewskiej czyniono. A teraz, po tych pochwałach dla pracy, rozumu i umiarkowania, mam uwierzyć potępieniu tego wszystkiego, co się tu od lat pięćdziesięciu stało? Nie mogę uwierzyć; wiem owszem, że Włosi dobrze zrobili, gdy zerwali z tradycją, choćby najświetniejszą, ale przestarzałą, jeśli ta tradycja na nic się już nie przyda, w czasach, w których, dzięki Bogu, szlachta wiejska czy miejska już nie stanowi narodu, a zadaniem społeczeństwa przestało być tej szlachty przyozdobienie, troska o to aby się malowniczo ubierała, pięknie bawiła, wspaniale mieszkała i dla swojej chwały więcej, niż dla pożytku wiernych, wspaniałe po miastach budowała kościoły, pozostawiając często całe powiaty na wsi, bez księdza, bez sakramentów, bez duchowej i świeckiej nauki. Śmiejesz się z Włochów, że poszli do anglików i niemców uczyć się, jak żaki. Skoro te narody kroczą dziś na czele postępu, dobrze zrobili Włosi, a nam pójść za Włochów przykładem — nie dawniejszych, tylko dzisiejszych i pójść do tej samej szkoły, nie pytając się, czy nauka twarzą, czy nauczyciel niesympatyczny, tylko pamiętając, że jeśli się nie nauczymy systemaczej, rozumnej i skrzętnej pracy, że jeśli nie przestaniemy być narodów „pawiem i papugą“ i nie staniemy się trzeźwymi, nowożytnymi robotnikami, zginąć musimy i zginiemy. I to się także Włochom chwali, i to godne naśladowania, że zrzucili pychę z serca; widząc, że nie mogą być pierwszymi, na drodze która jedynie daje bogactwo, to jest, za dni naszych, zdrowie społeczne i potęgę, zadawałają się drugim miejscem i pracują cierpliwie, byle żyć. Doprawdy, byłabym szczęśliwą i tybys dziękował Bogu, gdybyśmy choć tym Włochom sprostać mogli, pracą skrzętną i pożyteczną! Nie wołajmy, że nowożytnej cywilizacji o samą czczą i grzeszną chodzi mamonę. Grzeszył bogacz starych arystokratycznych społeczeństw, kiedy przez samą tylko próżność gromadził pieniądze; dzisiejsze bogacenie się społeczeństw, wśród badań i trudów, jest zasługą wobec

Boga i ludzi. Nauka rozświeca tajemnice Bożej przyrody, na to, aby nędzę wygnać z oblicza ziemi, aby mnogie rzesze powołać do duchowego także życia, a nagromadzone skarby dają społeczeństwu zwartość i siłę, która bywa także rękojmą moralnego postępu. Dzisiaj stały się niemożliwymi nie tylko fantastyczne zbrodnie, dawnych Bordżyów i Wiskontich, ale nawet występki i gwałty, które jeszcze temu sto lat nikogo nie raziły; samowole panów wobec poddanych, które tylko śmiech w naszych przodkach budziły, wywołałyby dziś od jednego do drugiego końca Europy jeden wielki okrzyk oburzenia; sprzedajność wszystkich urzędów, niedawno temu sama przez się rozumiała się, a gdy jej dziś ślad najmniej zycy dostrzegą, trzęsą się ze zgorzenia narody. Przed pół wiekiem Anglicy wygłodzili z cynicznym spokojem połowę ludności Irlandyi, a dziś postęp moralny najcywilizowańszego może na świecie narodu zniewala parlament angielski do tego, aby Irlandczyków obdzielił ziemią, skonfiskowaną niegdyś ich przodkom, a dziś wykupioną przez skarb angielski, kosztem miliardów.

Gdy pani Helena w ten sposób swoich przekonań broniła, nadeszły tamte trzy panie z naszego towarzystwa i zatrzymały się koło nas, i przysłuchiwały się ostatniej części wywodów małżonki profesora. Gdy zaś unilkła, odezwała się pani Jadwiga, mówiąc:

— To ładnie, moi państwo! Poszłicie naprzód, aby się na obiad w hotelu nie spóźnić, a tu stoicie przed lodżyą i dyskutujecie! To nic nie szkodzi, rada jestem, że nie ja spóźnieniu będę winna, że się tym posągom lepiej przypatrzyć mogę i że słyszę obronę czasów nowszych. Jak byłam młodą, wszyscy, z którymi miałam do czynienia, wierzyli w postęp, jakby w jaką ewangelię, a jeśli kto przestrzegał, że wiara w konieczny postęp, jest zaprzeczeniem wolności ludzkiej, że z postępu utworzono sobie rodzaj pogańskiego bóstwa, któremu się nie godzi bałwochwalczej czci oddawać, miano takiego oponenta za obskuranta i zacofańca, niecierpliwiono się jego zdaniem i kiedy mówił podśmiewywano się i ruszano niecierpliwie ramionami. A panowała w ówczesnem pokoleniu jakaś dziwnie podniosła radość, z powodu tej powszechnej wiary w konieczny postęp, w zbliżanie się czasów, wśród których zapanują powszechne szczęście i sprawiedliwość niczem nie zamącona. I ja naturalnie powszechną wiarę dzieliłam, byłam szczęśliwą i dumną z tego powodu, że się narodziłam w stuleciu lepszem od wszystkich minionych. Że jednak teraz sama mniej optymistycznie w świat i przyszłość patrzę, nie dziwota, bom stara a starość zwykła, wskutek nauki długiego doświadczenia, na doczesne przynajmniej sprawy z bardzo małą spoglądać otuchą. Widziałam zanađto wiele niegodziwości i nawet zbrodni, dokonanych w imię rze-

komego postępu, byłam zanadto często tego świadkiem, jak ludzie najcięższe, krwawe nawet ofiary ponosili na to, aby szalbirze z ich poświęcenia korzyść odnieśli, samych siebie zbogacili. najszlachetniejszych haseł dla najnikczemniejszych celów nadużyli, byłam świadkiem zbyt wielu marnych waśni i skrzywionych zamiarów, abym mogła zachować młodą wiarę. Ale to mnie nieraz do reszty zniechęca i wprost przygnębia, że teraz słyszę dokoła siebie same prawie złowrogie krakanie, same złorzeczenia naszym czasom i tak zwanemu postępowi. Powiadają mi ludzie, że jedynym skutkiem pracy ostatnich kilku stuleci, było zniszczenie wszystkich szlachetniejszych poglądów u człowieka, skoszlawienie, zmaterializowanie społeczeństwa i natury ludzkiej. Mnóstwo na to rozumnych przytaczają dowodów, twierdzą, że w średnich wiekach chłop był zamożniejszy, czeladnik bardziej godności ludzkiej świadom; że teraz, kosztem z bogacenia niektórych, pogrążono ogół w stan niegodny człowieka, w proletaryat niepewny jutra, pozbawiony domu i rodziny; że żadna niewola nie była cięższa od niegodnej człowieka, nieustannej pracy dzisiejszego robotnika fabrycznego, wykonującego w stęchłej atmosferze, cały dzień i całą noc, jeden tylko ruch mechaniczny. W ten sposób traci zdolność myślenia i czucia po ludzku, nawet zdolność modlenia się; musi stać się pastwą dzikiej rozpusty i namiętności ślepych, wiodących do rozstroju społecznego i koniecznego upadku cywilizacji. Nie o wiele lepszą ma być dola klas średnich, które w ustawicznej walce o byt, nie mogą nawet bez lekkomyślności zakładać rodziny, nie są w stanie wychowywać dzieci. Większość kobiet po miastach nie może doznać szczęścia domowego, musi prowadzić życie przeciwne przeznaczeniu niewiast, a jeśli się domagają tak zwanego równouprawnienia, to wcale nie przez rozkosz, owszem z największym smutkiem i śmiertelną rezygnacją, a to dla tego tylko, ponieważ inaczej, bez współdziałania w męskiej pracy, musiałyby wybierać między hańbą a śmiercią głodową. Chłop jest dotąd mniej nieszczęśliwym; ale agitator, dzienniczek radykalny, broszurka ludowa i agent emigracyjny bałamuca go, buntują go przeciw najznośniejszemu przecież losowi, jaki jemu przypada w udziale; zdzierają mu niebo z przedgłowy i nie spoczna, póki go nie wydrą ze wsi spokojnej i nie zrobią z niego niebezpiecznego włóczęgę, albo nieszczęśliwego fabrycznego robotnika. Drobne mieszczaństwo, zupełnie zrujnowane konkurencją wielkiego kapitału i wielkich przedsiębiorstw, znika z oblicza ziemi, a niebawem rolnictwo zamorskie sprowadzi podobno ruinę na ziemian Europy, wyludni nasze wsie, wyda stary świat na spustoszenie. Nad tem wszystkim, mimo gadania o równości obywatelskiej, demokracji, a nawet wszechmocy ludu, wznosi się tak samo, jak niegdyś, garstka

nieliczna wybrańców losu; tylko, miejsce królów zajmują miliarderzy, miejsce szlachty ich urzędnicy, albo mniejsi kapitaliści, którzy jednak znowu milionami rozporządzają. Dawniej zdobywano stanowisko w społeczeństwie naczelne, za pomocą wojennego męstwa, politycznej zasługi, narażając życie, poświęcając szczęście. Teraz jedyną drogą do znaczenia, gromadzenie bogactw samolubne, łakomstwo podstępne i wojujące kłamstwem. Więc kłamstwo przebiegłe a niekzemne nad naszymi zapanowało czasami, i wszystkiemu krzywe nadało imiona. Wrzeszczy, że pracuje dla oświaty, że oświata to najwyższe dobro; ziemię szkołami osadza gęsto. Jednak ta oświata to dopiero ciemnota; to zabawianie się formułkami bez treści, to łamanie charakterów i samodzielnej myśli, to niszczenie ideałów dawnych i zdolności do powzięcia ideału, to zbezczeszczenie rozumu ludzkiego ciasnotą utylitarnych specjalności. Uczony dzisiejszy, powiadają ludzie poważni, to tylko rzemieślnik, nie widzący nic prócz swojego bardzo trudnego rzemiosła. Mnóstwo się takich nasłuchiwałam wywodów i nie wiem, jak na nie mam odpowiedzieć; więc wdzięczna jestem każdemu, kto się podejmie tych naszych czasów bronić.

Pani Róża westchnęła i rzekła:

— Ci, którzy tak bardzo nasze czasy potępiają i cywilizacyi nowożytnej złorzeczą, mają chyba i wzrok i pamięć krótką. Spytałabym się ich, kiedy były te wieki złote, do których wzdychają? Z pewnością nie powiedzą, że w pierwszej połowie minionego stulecia, albo w wieku osiemnastym, to jest w czasach, o których mają wyraźne wyobrażenie. Prawie wszystko to, na co dziś utyskujemy, istniało i wówczas, a jeśli nie, to zastąpiło stan rzeczy gorszy, bardziej uciążliwy dla ludu tak miejskiego jak i wiejskiego, bardziej upokarzający dla klas średnich, mniej aktualny dla klas panujących. Nikt nie powie, że temu lat pięćdziesiąt, albo sto, było więcej oświaty, albo, że oświata była lepsza, że w życiu społeczeństwa było mniej prozy, więcej dążenia do ideału, że wówczas czy to oświeceni, czy też prostacy mieli łatwiejszy zarobek, cieszyli się większym dobrobytem, że mniej samolubstwa i demoralizacyi było u klas panujących. Nikt już zgoła ówczesnych politycznych i społecznych instytucyi, nad dzisiejsze nie będzie wynosił, bo wszyscy wiedzą doskonale, ile było ucisku i niesprawiedliwości, jak mało litości, o ile brutalniejszemi były nawet klasy oświecone, wiele było nadużyć i niezaradności, których usunięcie konieczne było dziełem ostatnich pokoleń. Więc kto sobie jakieś minione, złote wieki chwali, ten sięga chyba do średnich wieków, tak jak się temu lat sto i także za renesansu oglądano za starożytnością, jako za rajem utraconym. Tych czasów nie znamy, więc możemy je ubierać we wszystkie przystroje najbujniejszej wyobraźni. Ale łatwo się

przekonać, że tak bardzo pięknie i miło w średnich wiekach nie było, bo istnieją jeszcze na kuli ziemskiej kraje, w których średnie wieki trwają dotąd, a tam po rajsku wcale nie wygląda. Aby się o tem przekonać, wystarczy pojechać do Persyi na przykład, albo do Afganistanu, lub nawet w Europie do Albanii; a jeżeli kto szuka koniecznie kraju chrześcijańskiego, niech się wybierze do Abissynii, albo choćby do hiszpańskich rzeczypospolitych południowej Afryki. Tam wszędzie przechowało się żywcem to, o czem marzymy, to co tak pięknie w romantycznej wygląda poezyi; w życiu przeciwnie, nie tylko bardzo niepięknie, ale także okropnie prozaicznie. Zastanie tam wszędzie panowanie zbójów i złodziei, bez śladu wykształcenia, samolubnych naiwnie a bezczelnie, i gotowych do wszelkiego okrucieństwa. Prócz tych łotrów rządzących, zastanie tylko gmin, pozbawiony poczucia godności własnej, ukrywający swój dostatek, jeśli ma dostatek jaki taki, drżący niewolniczo przed samowolą, nabożny wprawdzie, ale dla tego, że się boi, że ma religię za środek magiczny nabycia materialnych dostatków. Wśród tych chwastów zakwitnie czasami mistyk, poeta, subtelny filozof, albo prawdziwy artysta, i tak bywało w średnich wiekach także; a my patrząc na kwiaty, które się same jedne do naszych rąk przedostały, zapominamy o chwastach, bo chcemy o nich zapomnieć. Nie! Ja wierzę w postęp i dobrodziejstwa cywilizacji, a kto im przeczy, ten naumyślnie ślepy, albo ten przesadza sobie doniosłość biedy dnia dzisiejszego, ponieważ jej oto teraz doznaje. W tem, co pani Jadwiga nam wyrecytowała, jest dużo prawdy; powiem nawet, że wszystko jest prawdą; tylko że to wszystko, albo nędze od natury ludzkiej nieodłączne, albo zło, które się wśród naszej cywilizacji poczyna, które jej grozi, przed którym trzeba z naciskiem przestrzegać, o którym wolno nawet mówić z przesadą, aby zawczasu zaradzono, niebezpieczeństwo grożące odwrócono, na dzień jutrzejszy dalszy postęp, lepsze warunki bytu dla rodzaju ludzkiego zgotowano.

Rozmawiając weszliśmy do środka łodzi i przypatrywaliśmy się bliżej posągom; słońce bowiem zaszło już i z bliska tylko widać było zupełnie wyraźnie marmury. Profesor oparł się teraz o postument grupy Jana z Bononii, wyobrażającej porwanie Sabineek i przemówił:

— Wiem, że się mojej żonie narażę, mówiąc zuowu, że wszystko względne. Nie myślę temu przeczyć, że pod niejednym względem nasze dzisiejsze czasy lepsze od wszystkich wieków minionych, ale tego nie mogę przenieść, kiedy kto naszą prozaiczną cywilizację wynosi ponad czasy renesansu, albo na przykład, ponad czasy rozkwitu starożytnych rzeczypospolitych greckich. To są rzeczy, których po-

równywać nie wolno. Kto chce na jedną wagę kłaść dzisiejszą cywilizację i dzisiejszy postęp, a na drugą czasy artystycznego rozkwitu, ten mi przypomina jegomościa, któryby porównał wspaniałą jakiś poemat, opiewający niezrównanym wierszem tragiczne przygody, z bardzo dobrą książką o sadzeniu kartofli albo o szczepieniu ospy. Może słusznie powiedzieć, że nie praktycznego z poematem począć nie można, że się ten poemat nikomu, przy żadnej rozsądnej robocie na nic nie przyda i że niktby się chyba niechciał znaleźć w położeniu bohaterów natchnionej pieśni, co więcej, że unikalibyśmy ich towarzysztwa, gdybyśmy się z nimi gdzie w życiu rzeczywistym na prawdę spotkać mieli. Z drugiej strony każdy przyzna, że rzecz o sadzeniu kartofli może przynieść społeczeństwu wcale znakomity pożytek ekonomiczny, przyczynić się do wzbogacenia kraju i do pożywienia coraz liczniejszej ludności; że szczepienie ospy jest wielkiem dobrodziejstwem dla rodzaju ludzkiego, zapobiegającym przerażającej niegdyś śmiertelności dzieci i wielu niezmiernie dolegliwym cierpieniom. Mimo to śmiesznym się wyda, kto owe praktyczne rozprawy zechce porównywać z Konradem Walenrodem i sadzeniu kartofli większą przyzna wartość. Bez pracy żyć nie można, a cywilizacya nowożytna, zajęta poprawianiem warunków życia powszedniego, ma swoją intelektualną wartość, swoje bardzo doniosłe znaczenie dziejowe i co więcej swoją godność moralną, rzekłbym nawet religijną. Tylko niech mi nikt tego nie mówi, że to czasy artystyczne, że Włochom z niemi do twarzy! Jeśli jest prawdą, że ktoś chce, aby mu się w dwudziestym i może jeszcze w dwudziestym pierwszym i drugim wieku powodziło, ten musi się nastroić do dzisiejszej cywilizacji—i temu przeczyć nie myślę, bo to zbyt oczywiste, bo to prawdą jest także, że tym czasom będą przewodziły ludy germańskie i protestanckie, że kto chce, aby mu się wiodło, musi się stać choć trochę Niemcem albo Anglikiem i koniecznie protestantem—i gotówem powiedzieć, że Polscy i Czesi postępują bardzo nierozsądnie, samym sobie szkoda, jeśli się nie chcą dać zgermanizować. Bo ta cała dzisiejsza cywilizacya, którą państwo tak chwalicie, a której potęgę i wartość ja także uznaję, ma charakter zupełnie i wyłącznie germański i protestancki, jest nieodrodną córką ducha protestanckiego i w tym jedynie duchu czerpie swoje siły żywotne. Przeto, narody romańskie i katolickie muszą się swojego dziejowego starszeństwa zrzec i mogą tylko podrzędny brać udział w życiu dzisiejszem, stąpając kulawo w ślady protestantów, zostając czasem daleko w tyle, lub przesadzając czasem konwulsyjnie i karykaturalnie to, co Anglicy i Niemcy, robią słusznie, bo tak im wypada. Dla Włoch zatem czasy dzisiejsze są z konieczności czasami poniżenia i upadku, chociaż przyznaję, że ra-

dzą sobie jako tako, lepiej nawet od Francuzów, i że gotowe Francję nibiedz i wyprzedzić. Dla narodów Słowiańskich także niema co myśleć o pierwszorzędnej roli. Muszą czekać cierpliwie, aż może jakieś inne czasy nastaną, a teraz biedę przezimować, naśladowując Niemców, jak się da. Jeśli jakie plemię słowiańskie chce koniecznie, dziś już wyjść na czoło dziejów, niech się wynarodowi. Radzę mu to stanowczo. Może sobie język swój zachować, jako gwarę ludową, paplanie salonowe albo nawet parlamentarne, ale nie wolno mu z tego języka robić naczynia poważnej myśli albo nauki, nie wolno mu marzyć o samoistnej literaturze; niech się uczy po niemiecku, a ręczę mu za to, że wychodzące w jego języku dzieła, niby oryginalne, jeżeli nie będą tłumaczeniem, będą niesamodzielną przeróbką książek niemieckich. Przedewszystkiem niech się taki naród stanie jak najprędzej protestanckim; niech nie omieszka porzucenia wiary przodków, a przyjęcia niemieckich bogów. Bo jak protestantyzmu nie przyjmie, zostanie rychło bez żadnej religii, tak jak mnóstwo Włochów i Francuzów żadnej religii nie ma. Czy takiemu narodowi, który się tak postępowo wyrodzi i który się ducha swego dla szybkich sukcesów wyprze, warto będzie żyć, jako naród osobno i być echem cudzych myśli i czynów—to inne pytanie, to rzecz gustu i o tem rozprawiać nie chcę!

Pani Róża, wysłuchawszy profesora, zawołała mimowolnie:

— Ależ nierozumiem, dlaczego pan stajesz się echem wszystkich krzyków nibyto liberalnych, które wołają, że katolicyzm z postępem nie da się pogodzić, i domagają się przeto wytopienia katolicyzmu, dla dobra ludzkości? Nie raz łamałam sobie głowę nad powodem tego tak pospolitego twierdzenia, które napotykamy w tylu książkach, także u nas, niestety, rozpowszechnionych, a nie mogąc rozsądnego znaleźć powodu, doszłam do przekonania, że pochodzi ze złej woli, albo z religijnego protestanckiego fanatyzmu. Nauce katolicyzm żadnej przecie nie stawia zapory; zakonnicy katolicycy uprawiają zaszczytnie i z wielkiem powodzeniem wszystkie na świecie nauki i bywają często poważnymi rzecznikami najśmielszych naukowych hipotez. Szkolnictwo ludowe najdawniej i najwyżej jest rozwinięte, w niektórych katolickich krajach, jak naprzykład w Tyrolu i w Westfalii. Chybaby ktoś twierdził, że większa ilość świąt katolickich stawia nieprzemogoną zaporę rozwojowi przemysłu. Ale to argument zupełnie niepoważny. Widzimy bowiem, że Żydzi, którzy obchodzą podwójną ilość świąt, wyprzedzili inne warstwy społeczeństwa, właśnie pod względem ekonomicznym; najbogatszym zaś narodem są Anglicy, a Anglicy świątkują w niedzielę, ze ścisłością zresztą nigdzie nieznaną, a oprócz tego zamykają sklepy, warsztaty i fa-

bryki już w sobotę w południe, tak że jest w Anglii dni nieroboczych więcej niż w jakimkolwiek kraju katolickim. Doświadczenie zdawało by się raczej za tem przemawiać, że najprędzej bogaci się naród, który najściślej odpoczynku niedzielnego przestrzega i który się bierze potem do powszedniej pracy, z tem większą energią i powagą.

— Ale—odparł profesor— przyznasz pani, że doświadczenie i temu świadczy, aż nadto oczywiście, że narody i państwa protestanckie wzięły stanowczo górę nad katolickimi, w tym właśnie czasie, w którym to, co nazywamy cywilizacją nowożytną—w przeciwieństwie do renesansu—rozwinęło się najpotężniej. I podejmuję się rzecz wytłómaczyć, kilkoma zdaniem. Ale przede wszystkim radzę wracajmy do hotelu, bo nie z winy sprawunków, tylko zdaje się po prostu z winy przyrodzonej naszemu plemieniu nieakuratności, przyjdziemy na obiad świece gasić.

Istotnie, zmrok zapadł już, na *Piazza della Signoria* pozapalano gazowe latarnie; ostatni czas był w drogę do hotelu. Poszliśmy zatem za radą profesora, ale szliśmy dość powoli, przez wspaniałe, monumentalne, lubo wąskie i kręte ulice, po olbrzymich płytach niezrównanego, florentyńskiego bruku, bo profesor wykladał nam pod drodze, to co zaraz powtórzę z pamięci, a ostatnie słowo jego wywodów zamarło mu na ustach wtedy dopiero, kiedyśmy przed hotelową bramą stanęli i dowiedzieli się, że już wprawdzie wszyscy po obiedzie, ale że dla nas jeszcze się jedzenie znajduje.

Więc tak oto uzasadniał profesor swoje zdanie o związku protestantyzmu z cywilizacją dzisiejszą i przemożnym dziś duchem germańskim:

— Nie trzeba tego chyba dowodzić, że protestantyzm jest rzeczą zgodną z duchem narodów germańskich, skoro reformacja pozyskała dla siebie większość u wszystkich narodów tego plemienia, a zresztą nigdzie. Co więcej Germanie, tak Niemcy, jak i Anglicy, dopóki byli katolikami, nie przyszedli do zupełnej świadomości narodowej; w sztukach, naukach i literaturze naśladowali Romanów, tak jak dziś Romanie wszędzie Germanów naśladowają. Dawniej gotycką architekturę i staroniderlandzkie malarstwo przytaczano, jako samodzielne wytwory ducha germańskiego, za czasów jeszcze katolickich; ale dziś wiemy doskonale, że styl gotycki był rodem z Francji, że jego arcydzieł szukać należy we Francji, albo w Hiszpanii—że o ile znajdują się w Niemczech, bywają dziełem francuskich budowniczych, a przekonujemy się z dniem każdym, że staroniderlandzcy artyści—z wyjątkiem jednego, jedyne Niemca Memlinga, używali języka francuskiego, jako mowy ojczystej, byli francuzami na usługach burgundzkiego, a zatem znów francuskiego dworu. Formy społeczne

i państwowe średniowiecznych Niemiec i średniowiecznej Anglii były kopiami włoskich i francuskich urzędzeń; w Anglii klasy oświeczone mówiły i pisały wprost po francusku, w Niemczech poeci rycerscy francuskie poematy tłómaczyli, najwyższą wreszcie ambicyą królów niemieckich było zostać cesarzami rzymskimi i osiadłszy we Włoszech, przerobić się na włochów; Angielscy zaś królowie byli poprostu francuzami, cénili sobie najbardziej swoje francuskie posiadłości, o ich rozszerzenie przedewszystkiem dbali. Dopiero protestantyzm przyniósł tym narodom samodzielną literaturę i filozofię, umożliwił im prowadzenie istotnie narodowej polityki, dał im duszę. Przeto nie dziw, że błogosławią reformacyi, katolicyzmowi złorzeczą, a cztery wieki protestantyzmu nadało ich myślom i czynom, ich pismom i całej ich cywilizacyi kierunek stanowczy. Że ten kierunek doprowadził do industrializmu i konstytucjonalizmu nowożytnego, to aż nadto jawne, skoro wzorów do tych prądów dziejowych, dziś zwycięskich, nikt nigdzie indziej, jak u germańskich a protestanckich narodów szukać nie będzie. Więc dowód na doświadczeniu oparty podałem już w zupełności, a Anglik empiryk poprzestałby na tem i kazałby milczyć. Niemcowi toby nie wystarczyło, domagałby się jeszcze rozumowego powodu, czy też tłómaczenia. Myśmy na niemieckim a nie na angielskim sosie wychowani; więc aby państwu zadość uczynić, spróbuję jeszcze, w kilku słowach racjonalną podać fakt przyczynę. Na to wystarczy się spytać, czem się zasadniczo, czem właściwie protestantyzm od katolicyzmu różni? Doprawdy, że nie subtelniemi, a dla ogółu wiernych zupełnie niezrozumiałemi sporami o łaskę i zasługę, o wolną wolę i predestynację, albo o sposób, w którym Chrystus w Przenajświętszym przebywa Sakramencie. Różnicy w dwóch jedynie rzeczach szukać trzeba, w zapatrywaniu na powagę, na autorytet kościoła i w zapatrywaniu na cudowność. Protestanci nie uznają naprawdę duchownej władzy, o tyle pozostają religijnymi i chrześcijanami, o ile wierzą w nieomylność objawienia zawartego w księgach starego i nowego zakonu; ale niema dla nich nieomylnęj władzy nauczającej, ani u soboru powszechnego, jak tego chce kościół wschodni, ani u papieża, jak to głosi kościół zachodni. Każdy protestant ma owszem nie tylko prawo, ale nawet obowiązek sam sobie pismo święte tłómaczyć, a nikomu niepodległa nauka teologów protestanckich może, gdy jej się to słusznem wyda, odrzucać ustępy Pisma, jako interpolacye, albo całe księgi, jako apokryfy. Ztąd wielkie znaczenie krytycznych badań i świeckiej nauki — bo przecież tam, gdzie niema właściwego duchowieństwa, wszelka nauka świecką być musi; ztąd także śmiałość naukowych dociekań, przekonanie, że żaden rezultat badań nie może być religii przeciwnym, skoro wolno

z Pisma świętego wykreślić wszystko, coby się temu wnioskowi sprzeciwiać mogło. To już różnica pomiędzy protestantyzmem a prawowiernością starą niezmiernie ważną; ważniejszą staje się w obec tego, że reformacja potępiła, jako zabobon i bałwochwalstwo, wiarę w nieustającą moc cudu, trwającą w kościele katolickim, zaprzeczyła skuteczności praktyk pobożnych, processyi, pielgrzymek, postów, pokuty, nawet dobrych uczynków, mających na celu ulżenie nędzy ludzkiej; zaprzeczyła podobnież temu, aby ktokolwiek z ludzi posiadał moc rozgrzeszania, aby istniało obcowanie jakiegokolwiek między świętymi w niebie a grzesznikami na ziemi; treścią nabożeństwa uczyniła głównie słuchanie kazania napominającego do spełniania powszednich, życiowych obowiązków chrześcijanina; kazała święta i kościoły obedrzeć ze wszelkiej ozdoby, aby tym pewniej zapobiedz powrotowi wiary w cuda i orędownictwo świętych. Więc narody protestanckie, u których nauka czytania i pisania stała się pierwszym obowiązkiem dla wiernych, mogących się tylko w Piśmie świętem doczytać zbawienia, narody protestanckie powiadam, pchnięte przez religię swoją na drogę skrzętnych a śmiałych i krytycznych dociekań naukowych, nabrały dodatkowo trzeźwego i zimno praktycznego usposobienia, nauczyły się mienić stratą czasu mistyczne uniesienia i artystyczne zamiłowania katolików, naukę skierowały ku celom praktycznym, śmiało swoje przerabiała społeczeństwo, śmieiej podbijały naturę i tym sposobem nowożytną mogły wytworzyć cywilizację i zachować przytem w całości nawskróś religijny charakter powszedniego życia. W dawnym katolicyzmie każdą czynność ziemską uświęcano obrządkiem i wiarą w cud nadprzyrodzony; a w protestantyzmie życie przyrodzone, ekonomicznie skrzętne, skłonne do świeckich badań i dociekań, robocze, ziemskie, stało się zarazem jedynym obrządkiem religijnym. I to dodaje, mianowicie dzisiejszym Anglosaksonom, niepospolitej siły w życiu praktycznym, z którego myśl o Bogu nigdy nie bywa wygnana, nawet kiedy Anglik albo Amerykanin nad własnem pracuje wzbogaceniem, pamięta, że tem samem całe chrześcijańskie bogaci społeczeństwo; to dodaje wielkiego bodźca niemieckiej nauce, uprawianej z obowiązku religijnego. Katolikowi zdaje się często, że jego obowiązkiem jest powierzone sobie dzieci i lud cały chronić od wpływów materialistycznych cywilizacji nowożytnej, utrzymywać w świętej nieświadomości złego, a jakkolwiek domaga się pracy, a chwali, oszczędność, mniema, że bliżnim najwyższą czyni usługę, ucząc ich pokory, cierpliwości, poddania pod wolę Bożą, że zasłuży sobie na zbawienie ten, co majątek rozdaje na jałmużnę, sprawy świeckie dla praktyk religijnych zaniedbuje. Protestant służy Bogu, badając, broniąc swojej samoistności ludzkiej, bogacąc siebie i rodzinę; a gdy,

jako chrześcijanin miłujący bliźniego, usiłuje go zaprowadzić na drogę nakazaną przez Boga, każe mu się uczyć i pracować skutecznie, ułatwia mu naukę i pracę ekonomiczną. I jakżeż tu mają narody katolickie sprostać protestanckim w dziełach nowożytnej cywilizacji? O ile religijnymi są katolicy, o tyle muszą małą przypisywać wagę temu, co protestant mieni być religijnym także obowiązkiem; a o ile ludzie w narodach katolickich rzucają się do nauki krytycznej i pracy wytwórczej, które przewagę protestantów i ich ogromne powodzenia sprawiły, conajmniej zapominają o religii, i łatwo stają w przeciwieństwie do niej, bywają ateuszami i wszelkiej religii wrogami. A że człowiek bez religii jest człowiekiem pozbawionym najsilniejszej w życiu podpory, przeto tacy katolicy, w cywilizacji nowożytnej zakochani, żadną miarą religijnym i praktycznym zarazem protestantom nie sprostają. Czyście panie zrozumiały?

— Chciałabym to z panem jeszcze nieraz przedyskutować i przekonać pana, że się pan mylisz — rzekła Pani Róża, przechodząc już próg hotelu.

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

Max Nordau.

Max Nordau należy do postaci współczesnych, dobrze znanych z imienia przynajmniej, naszemu ogółowi. Od chwili wydania rozgłośnych „*Kłamstw konwencyjonalnych*“ zaczęto się z nim liczyć wszędzie, jako z pisarzem nie banalnym, który ma coś do powiedzenia; inne wielkie jego dzieło p. t. „*Zwyrodnienie*“ (*Entartung*) ustaliło jego chwałę, ba! nawet pozyskało, wśród piszących u nas o rozmaitych wypaczeniach i zboczeniach cywilizacji schyłkowej (*fin de siècle*), zwolenników entuzjastycznych, którzy czerpiąc zeń pełną garścią... nie podają źródła, które dostarczyło im tylu nowych argumentów, tyle mniej zużytych sposobów, piętnowania i zwalczania niemilych objawów „dekadencji“ naszych czasów.

Nie jeden podziwiał energię jego myśli, szeroką podstawę naukową wywodów, krytykę śmiałą i bezwzględną niektórych stron kultury współczesnej, bądź też jej rozmaitych, zdrożnych objawów w dziedzinie literatury i sztuki. Jako nieubłagany pogromca t. zw. „modernizmu“, bez ceremonii obchodzący się z rozmaitymi „pseudo-geniuszami“, dogodził on wielu umysłom, których gorszyły bądź gniewały rozmaite mistyfikacje literacko artystyczne. Ci, którym nie wystarczały oburzenia odruchowe, gołosłowne wyrazy antypaty, odwoływali się do prac i poglądów M. Nordau'a, gdzie to wszystko miało być w naukowy sposób zniweczone i zdemaskowane. Właśnie, ta nadzwyczajna naukowość Nordau'a, jego naukowy kąt widzenia, w połączeniu ze stanowczem, rozstrzygającym w ostatniej instancji, traktowaniem spraw literatury i sztuki, najwięcej imponowały czytelnikom. Twierdzenie w ogóle silniej przemawia do umysłu ludzkiego—zwłaszcza, gdy wchodzi w grę częściej względy etyczne—niż negacya; otóż Nordau podwójnie twierdził, że tak powiem, gdyż wszelkie dowodzenia swoje wspierał nauką, zasłaniał się zawsze jej powagą, jej bezinteresownością. Urok ztąd szedł duży. Nordau nigdy nie budził wątpliwości w czytelnikach swoich, na wszystko miał odpowiedź gotową, dowód

naukowy, na wszystko miał nazwę określoną, tajemnicie nie uznawał i nie znał, nie nie pozostawiał bez zadawalającego wyjaśnienia.

Głęboki krytyk francuzki Rémy de Gourmont, szykanował niegdyś zjadliwie krytyków, dumnych z tego, że „nie rozumieją“ wielu objawów życia twórczego. M. Nordau do tej kategorii krytyków nie należy, on, przeciwnie, wszystko rozumie, najzawilsze procesy twórcze ujmując w formuły zwięzłe, ułatwiające ich zrozumienie; on trudności żadnych nie zna, skromnego nigdy nie udaje, owszem, pyszni się zawsze tem, że obejmuje wszystko, rozcina wszelkie węzły gordyjskie i nie cofa się przed sfinkssem. Jedni są przekonani o wyższości swojej, gdy mogą znacząco powiedzieć: „tego nie rozumiem“, dając tem do myślenia, iż rzecz jest tak błaha, że w niej niewiele jest do rozumienia; Nordau wyższość swoją upatruje w tym darze rozumienia wszystkiego, podkreślając tem również błahość wielu spraw i rzeczy, nad którymi zbytecznie biedzą się umysły ludzkie. Jak tu nie uznać podobnie cennych przymiotów, jak: pewność siebie, umiejętność wyjaśniania wszystkiego, składania na wszystko dowodów niezbitych. To też ludzie uznają je w autorze „Zwyrodnienia“, nie widząc częstokroć tego, że idą one u niego w parze z temi wszystkimi, którymi się wyróżniał nieśmiertelny p. Homais, „uczony“ aptekarz z powieści Flauberta, albo Sienkiewiczowski Zołzikiewicz, dla którego dusza jest... parą i basta! Nordau pozbawiony jest naiwnej łatwowierności pierwszego, do drugiego jednak zbliża go pyszałkostwo aroganckie i zaufane w sobie, niesmaczne i nieskromne stawianie siebie po nad wszystko i wszystkich. Podobne usposobienie wytwarza małą i bezkrytyczną wiedzę, tem dziwniej więc spotkać się z niemi u człowieka, któremu niepodobna odmówić ani wiedzy rozległej, ani zdolności krytycznych.

Mam przed sobą świeżą książkę M. Nordau'a, p. t. „Widziani z zewnątrz“ – szkic krytyki naukowej i filozoficznej, dotyczącej głowniejszych autorów Francyi współczesnej (w tłumaczeniu francuskim wydana w „Bibliotece filozofii współczesnej“ p. t. „*Vus du dehors*“ *essai de critique scientifique et philosophique* etc.), która zawiera w sobie dostateczną ilość dowodów na to, co wyżej zostało powiedziane o jej autorze; dla uzupełnienia wszakże charakterystyki odwołuję się do dawniejszych prac Nordau'a.

Bardzo ciekawą jest teoria M. Nordau'a o talencie i geniuszu, rozwinięta w pracy naukowej p. t. „Psycho-fizjologia geniuszu i talentu“.

Talentów autor nie uznaje zupełnie, nie istnieją one dla niego, gdyż nie mają jakiegoś osobliwego podścieliska anatomicznego, nie

polegają na szczególniejszym rozwoju ośrodków mózgowych. Każdy człowiek normalny, podług Nordau'a, ma w sobie to wszystko, co jest niezbędnem dla wykonywania wielu czynności, w sposób, który zazwyczaj nazywamy „utalentowanym“. Dość jest po to oddać się wyłącznie danej czynności,—jest to sprawa pilności, systematycznego ćwiczenia i sprzyjających warunków. Z każdego dziecka przeciętnego, zupełnie zdrowego, można zrobić wszystko, co się podoba, gdy się je wychowuje i ćwiczy racjonalnie, dostatecznie, długo i surowo. W ten sposób można, bez stosowania selekcji uprzedniej, wytwarzać całe armie tego, co się żywnie podoba: artystów, pisarzy, mówców, uczonych etc... Wszyscy mniej więcej będą sobie równi, wszyscy jednakowo utalentowani.

Marzeniom podobnym oddawał się niegdyś wielki utopista Fourier, ten jednak nie miał preteusyi do naukowości; Nordau zaś, który wciąż się nauką zaślania, wykracza przeciwko niej co chwila. Naprzód bierze fikcyę za rzeczywistość, uznając najogólniejszą abstrakcyę—jakiegoś jednorodnego „człowieka normalnego“; następnie idzie wbrew wszystkim teoryom przyrodniczym o wychowaniu, zalecającym psychologiczne traktowanie jednostek, uwzględniające ich odrębne właściwości, nie zaś mechaniczne, jak tego chce Nordau, wychodząc z tego grubego założenia, iż wszyscy są jednakowo zdolni do wszystkiego; wreszcie wyrzeka się nauki, nie liczy się bowiem z teorią dziedziczności, co też upoważnia go do twierdzenia, że wystarcza systematyczne ćwiczenie, by z jednakowego wszędzie materiału (tabuła rasa) wytwarzać podobne zawsze rzeczy. Nie wierzę—powiada Nordau—w talent, jako w coś uprzednio wytworzonego (*préformé*) w organizmie, dlatego nie mogę wierzyć w jego dziedziczność. Wiara, słowem, uprzedzenie osobiste, jest najwyższym trybunałem naukowym Nordau'a.

Nikt nie będzie przeczył ważności systematycznego ćwiczenia, długiego wysiłku, tam gdzie chodzi o rozwój i wydoskonalenie tej lub owej czynności ludzkiej; powierzchowna wszakże obserwacja faktów, wystarcza, by się przekonać, że nawet w wypadkach, w których uzdolnienia specjalne nie grają wybitnej roli, jak np. w nauce rzemiosł, wysiłek systematyczny, lepsze wydaje rezultaty tam, gdzie natrafia na „coś uprzednio wytworzonego“ w jednostce, na istniejące już w organizmie skłonności i uzdolnienia do pewnych kategorii czynności. Cóż mówić dopiero o tych wszystkich wypadkach, w których o dobroci i sprawności pracy ludzkiej stanowi indywidualność, to, co daną jednostkę wyróżnia z masy podobnych, istniejących w tych samych warunkach i oddanych jednakowym czynnościom.

Nordau nie liczy się wcale z rzeczywistością, gdzie trudno nieraz oznaczyć ściśle granice między tem, co nazywamy talentem a geniuszem, nie uwzględnia on subtelnych przejść od talentu do geniuszu, stopniowania w napięciu władz twórczych; dla niego talent oddzielony jest przepaścią od geniuszu, co najwyżej uznaje on geniuszów fałszywych, coś pośredniego między pierwszym a drugim. Miano geniuszu stosuje Nordau do tych wyjątkowo uzdolnionych jednostek, które są wynalazcami prawd nowych, co posuwają naprzód poznanie ludzkie. Nie mówiąc o zwyczajnej zręczności, która nabywa się przez ćwiczenie rozmaitych władz, nawet najniepospolitsze objawy działalności w dziedzinie uczuciowo-wzruszeniowej, nie stanowią o genialności. Geniusz, podług Nordau'a, opiera się wyłącznie na doskonałości wyjątkowej wyższych ośrodków mózgowych, najbardziej właściwych człowiekowi, wyróżniających go od innych kręgowców. Rozum (zdolność sądu) i wola — oto w ostatecznej analizie władze, których współdziałanie wynosi człowieka po nad zwierzę; rozwój ich wyjątkowo potężny, stwarza geniusz i stawia go po nad człowiekiem zwyczajnym. A więc, to tylko za sprawą rozumu i woli, nie zaś czego innego geniusz jest geniuszem.

Tak pojętemu geniuszowi, pozwala Nordau, wbrew znanym swoim humanitarnym aspiracyom, być nawet pewnego rodzaju potworem, upośledzonym na punkcie czucia, uczucia i wzruszeń wyższych; geniusz taki nie zna potrzeb piękna i miłości, nie może być uczuciowym, dla tego, że umysł jego uwolniony jest zupełnie od wszelkich ciemnych stanów, od nawpół-świadomych lub bezwiednych ruchów duszy. Jego potężne ośrodki wyższe, przekształcają wszelkie wrażenia na wyobrażenia jasne i wywodzą z nich pojęcia jaknajzupełniej świadome. Widzimy, że i tu Nordau bierze idealny wytwór własnej wyobraźni za rzeczywistość, gdyż geniusz tego rodzaju byłby tylko doskonałym automatem, mechanizmem, pozbawionym sprężyn samorzutnego życia, słowem czemś, co by było obojętnie doskonałym, czemś bez oryginalności, bez inicjatywy, zdolnem chyba do powtarzania myśli i aktów cudzych, nie do stworzenia nowych, przez nikogo przedtem nie danych. To wszystko bowiem płynie w człowieku razem z potężną falą uczuć i wzruszeń, wstrząśnień bezwiednych i instyktowych, powstaje za sprawą procesów nie tylko myślowych. Zresztą zależność tych ostatnich, od wszelkich t. zw. niższych, jest dostatecznie sprawdzona przez psycho-fizyologię; od nich, kto wie, czy nie wychodzą owe impulsy i natchnienia genialne; one w każdym razie biorą znaczny udział w wykształceniu się indywidualności, czegoś odrębnego od masy przeciętnej, słowem tego, bez czego genialność jest niezrozumiałą.

Nordau nie dba wcale o to, że są rozmaite rodzaje geniuszów (woli, myśli, uczuć, zmysłów) i wzrok swój zatrzymuje na jednym tylko, uznając go za prawdziwy. Mniejsza o osobiste upodobania Nordau'a, gdyby nie wnioski, jakie ztąd wywodzi, gdyby nie następstwa tych upodobań.

Ponieważ geniusz jest rozumem i wolą w niezwykłym stopniu doskonałości, ponieważ — rozumuje Nordau — działalność jego polega na wytwarzaniu nowych wyobrażeń i urzeczywistnianiu ich, co mamy począc z geniuszami wzruszeniowymi, z poetami, artystami i t. p.? Czy można zgodzić się na to, żeby artyści i poeci mogli być geniuszami? podług Nordana prawa ich do genialności są bardzo wątpliwe. Parę przykładów najlepiej zdadzą sprawę z zapatrywań Nordau'a. Nazywają niekiedy geniuszami artystów tej miary, co Liszt, Makart, Dawison (artysta dramatyczny); podług Nordau'a jest to tak samo słuszne, jakbyśmy nazywali genialnym, człowieka nadzwyczajnej sprawności mięśniowej. W trzech przytoczonych wypadkach chodzi o szczególniejszą doskonałość ośrodków niższych, które nie są wyłącznym dostojeństwem człowieka i nie stanowią o jego wyższości nad innymi ustrojami. Gra na fortepianie jest wytworem ruchów palców ręki i ramienia, oraz pewnych podniet mózgowych, które stanowią o ich jakości. Koordynacja tych ruchów, zależy od szczególniejszego rozwoju odpowiednich ośrodków, nie są one jednak specyficznie ludzkimi, gdyż w doskonałym stopniu spotykają się np. u małp, stąd też Liszt i t. p. wirtuozi nie mają prawa rościć pretensyi do genialności. Tak, mniej więcej, dowodzi Nordau, zapytując w końcu naiwnie: co by się stało z człowiekiem, który posiada usposobienia organiczne podobne Lisztowi, gdyby się narodził przed wynalezieniem fortepianu?

Nie tylko wirtuozi, ale nawet kompozytorowie, tacy jak Beethoven, nie należą do kategorii geniuszów prawdziwych, gdyż działalność ich polega na automatycznej czynności ośrodków, czysto wzruszeniowej, zatem niższej od czynności myślowej. Z malarzami jest zupełnie tak samo, gdyż proste poczucie barw, t. j. przyjemność, jakiej człowiek doświadcza wobec pięknych kolorów, nie jest czemś wyjątkowym i stawia go na równi ze sroką, pawiem albo aktynją. Malarstwo prócz tego nie może wyrażać procesów umysłowych zbyt zróżniczkowanych, tylko bardzo ogólnikowe. Nordau ma pretensyę do niego, że nie potrafi wyrazić takiej np. idei: „jestem niezadowolony z powodu obranego zawodu i sposobu spędzenia 10 lat życia swego“, jeno uczucie bardzo ogólne „jestem niezadowolony“... Z tych też powodów Makart i inni wyższego typu malarze, także stoją po za genialnością.

Z artystą dramatycznym można się załatwić daleko prędzej, tu bowiem doskonałość czynności, polega na władzy naśladownictwa i oddziaływaniu wyobrażeń umysłowych na ruchy, ruchów zaś na wyobrażenia.

Wszystko to słowem, jest albo wynikiem automatyzmu, albo sprawnością osiąganą przez organizmy niższe od człowieka, a dla tego nie daje rezultatów, mających prawo nazywać się genialnymi.

Nordau, jak widzimy, zawsze pomija rzecz najważniejszą: indywidualność, taką lub inną jakość duszy twórczej, to od czego zależy również genialność, co sprawia, że z dwóch artystów, o jednakowej sprawności odpowiednich ośrodków, ten będzie większy, genialniejszy, którego indywidualność będzie bogatszą, zasobniejszą w treść uczuciowo-wzruszeniową, zarówno jak i myślową. Nordau przytem kładzie wciąż nacisk na automatyzm życia umysłowo-wzruszeniowego, jako na cechę jego niższości; jeżeli jednak o to chodzi, to i procesy myślowe, ich doskonałość formalna, stoi w zależności od stopnia automatyzmu. Sprawność, potęga myślenia, jest tak samo darem, czemś uprzednio utworzonym w organizmie, jak doskonałość czynności zmysłowych, bądź wzruszeniowych, nie można więc o jednym mówić, jako o osobliwszej zasłudze, dającej prawo do genialności, o drugim zaś jako o czemś, co tego prawa nie daje. Zresztą wyniki tych wszystkich rodzajów doskonałości ludzkiej, w tym lub owym kierunku, dopiero razem wzięte, stanowią całość kultury ludzkiej; kto jej lepiej służy, kto doskonalej współdziała w jej wytwarzaniu, w zwiększaniu jej skarbów, ten zdobywa prawa do genialności, bez względu na to, czy czynności, któremi się wyróżnia, zależne są od niższych bądź wyższych procesów fizjologicznych. Fizjologiczne kryterium, przyjęte przez Nordau'a do określenia pojęcia geniuszu, nie jest zbyt szczęśliwe i dostateczne; o wiele słuszniejsem jest kryterium socjologiczne, moralne, przyjęte np. przez myśliciela francuskiego, M. Guyau, z tem wszystkim jednak mało się liczy hyper-naukowy pogromca geniuszów artystycznych.

Jeżeli Nordau ma jeszcze niejakie wątpliwości, co do tego, czy artyści i poeci mają prawo do genialności, to już jaknajmniej ich doznaje, gdy chodzi o zakwalifikowanie większości ich do domu obłąkań, albo do zakładów przestępców kryminalnych.

O tem wymownie świadczy dwutomowa praca jego, p. t. „Zwyrodnienie“.

O tem czy sam M. Nordau ma prawo do tytułu „geniusza“, jako badacz w dziedzinie literatury i sztuki, odkrywający tam dla myśli ludzkiej nowe horyzonty, nieznanne i płodne prawdy, można się prze-

konać z paru pierwszych kartek tego głośnego dzieła. Pojęcie zwyrodnienia, rozwinięte przez prof. Lombroso w jego pracach antropologiczno-kryminalnych, zastosował tu Nordau do dziedziny literacko-artystycznej. Zwyrodnieni—powiada na wstępie autor—nie zawsze są kryminalistami, anarchistami bądź obłąkańcami zdeklarowanymi; są oni bardzo często autorami i artystami. Ci ostatni posiadają takie same cechy intelektualne—a bardzo często także cielesne—jak i członkowie rodziny antropologicznej, którzy zaspakajają swoje instynkty chorobliwe za pomocą dynamitu i t. p., zamiast zaspakajać je piórem bądź pędzlem.

Po tak obiecującej przygrywce następuje dokładna analiza i wybitniejszych objawów życia literacko-artystycznego ostatnich czasów, która prowadzi autora do wykrycia tej prawdy, że znakomici jego przedstawiciele są dotknięci typowem zwyrodnieniem. Z badań Nordau'a okazuje się, że tak samo, jak pospolici kryminaliści, obłąkańcy i t. p., wyróżniają się oni brakiem zmysłu moralnego i zanikiem poczucia prawa, następnie niezdolnością czynu, słabą możnością wysiłku systematycznego i skłonnością do marzycielstwa jałowego, wreszcie, niezwykłym stopniem wrażliwości i szaleńcem wątplenia, nie mówiąc już o wszelkiego rodzaju anormalnościach ustrojowych i zaburzeniach funkcyjnych. Ponieważ wszelkie te i t. p. stygmaty, cechy i właściwości są typowe dla histeryków, neurasteników, szaleńców, bądź pospolitych zbrodniarzy, stąd też wniosek, że artyści i literaci, których dzieła ujawniają powyższe skłonności i usposobienia, należą do jednej z nimi rodziny antropologicznej.

Wnioskiem następnym jest, że dzieła tego rodzaju twórców, jako owoc histeryi, neurastenii, bądź innych form zwyrodnienia, są pozbawione wartości, nie mają w sobie nic takiego, coby zasługiwało na podziw i szacunek, że ci, co im ulegają, co się nimi entuzjazyzmują, są ofiarami złośliwych mistyfikatorów, albo sami należą do rodziny zwyrodnionych.

Jak niespodziewane widnokreśli odsłania metoda Nordau'a, jego krytyka psychiatryczna twórczości współczesnej i jej przedstawicieli, przekonywa nas choćby ten fakt, że wszyscy inicjatorzy i przodownicy wielkich prądów i kierunków literacko-artystycznych drugiej połowy XIX w. znaleźli się w tej kategorii zwyrodnionych, a twórczość ich potraktowana została, jako objaw uwstecznienia, upadku i wykoślawienia władz twórczych. Stygmatem beznadziejnego zwyrodnienia zostało napiętnowane wszystko i wszyscy: prerafaelici angielscy i teoretycy ich J. Ruskin, symboliści i mistycy, naturaliści i poeci ze szkoły „Parnasu“, nietzscheaniści i zwolennicy akcji społecz-

nej, opartej na prostych zasadach ewangelii—Ibsen, Tołstoj, Zola, R. Wagner i t. p., słowem najwięksi twórcy lat ostatnich, najpotężniejsi wynalazcy w dziedzinie sztuki i literatury, najżywotniejsze prądy i usposobienia, najplodniejsze idee estetyczne, to wszystko bez czego nie byłoby ruchu i życia literacko-artystycznego, nie byłoby dzieł mocnych, wzruszających masę ogółu czytającego, suggestionujących człowieczeństwu moc uczuć subtelnych i głębokich, myśli niepospolitych, ujętych w formy nieznikomego piękna.

Osobliwszem tu jest to, że Nordau'a nie nie potrafiło zjednać ze dla wszystkich, dla niepodobnych do siebie, wręcz przeciwnych sobie objawów, jest on jednakowo nieubłagany. Prerafaelici narazili się mu dla tego, że ważną rolę w malarstwie przyznają idei, podczas gdy ten rodzaj sztuki, powinien podług N., głównie przemawiać do zmysłu wzroku; symbolistów nie uznaje i zestawia ich z głuptakami urodzonymi, dlatego, że w ich marzeniach poetyckich za wiele jest niewyraźności; parnasistów—dla tego właśnie, że są zbyt wyraźni, że za wiele przywiązują znaczenia do formy zewnętrznej. Twórczość Tołstoja niepodoba mu się dla tego, że jest „mistyczną“, zależną od nadmiernej zdolności wzruszania się, co, jak wiadomo, jest niezbitym dowodem zwyrodnienia; na Zolę gniewa się Nordau za to, że nie jest on prawdziwym naturalistą, ale także „mistrykiem“ *sui generis*. Sztuka R. Wagnera jest odbiciem takich zasadniczych cech i usposobień jego umysłowej organizacyi, jak: obłąd prześladowczy, manja wielkości, mistycyzm, skłonność do buntu anarchistycznego, niespójność myślenia, wreszcie nadmierna wzruszeniowość, powleczone barwą erotomańsko-religijną. Ibsen, mniej więcej, tem samem się odznacza, Tołstoj jest bojaźliwym erotomanem, dla tego więc szuka ratunku w objęciach ascetyzmu i ma głuchą urazę do kobiety—podobnym jest P. Verlaine i t. d. W dodatku, wszystko co prawią nam ci twórcy o ideale, wszelkie ich niepokoje moralne, pragnienia lepszej przyszłości, przywoływanie „nowych myśli i form nowych“,—wszystko to podług Nordau'a jest oczywistą błagą, majaczeniem umysłów osłabionych i niesfornych, dusz uwsteczniionych, zdziczałych i nieuspołeczniionych, albo—co najwyżej—nadwątlonych neurastenią, histerycznych, a stąd niespokojnych, targanych wieczyście zwątpieniami, bojaźliwych i przesądnych. Gdy się wejdzie w ten las zarzutów, oskarżeń i inwektyw, gdy się rozejrzy w tej masie materiału klinicznego, zgromadzonego po to, by na każdym z głośniejszych twórców doby ostatniej, wycisnąć niezgłądzone znamię zwyrodnienia moralnego i somatycznego, doprawdy żałuje się wprost tego, że sam M. Nordau nie jest dotknięty jakimś stygmatem degeneracyi, np. s z a ł e n

wątpienia, który by go mógł chronić od tylu nonsensów i bredni widocznych, a przynajmniej ustrzedz od zbyt hojnego szafowania tytułami: manjaków, głuptaków, erotomanów, anarchistów, histeryków, i t. p., któremi, bez zastanowienia, bez cienia wątpliwości, gwoli doktrynie pseudo-naukowej, do której naciąga całą rzeczywistość—rozruca na prawo i na lewo.

Ale z Nordau'em sprawa nie łatwa! On każdemu odpowiada wyniosłe i pobłażliwie zarazem: możecie się wszyscy ludzić i uwodzić świetnymi pozorami twórczości współczesnej, nam jednak, lekarzom, ludzić się nie wolno, nas też pozory te nie wyprowadzą w pole...

Za wiele trzeba byłoby miejsca i czasu na to, by wykazać całą moc błędów faktycznych i teoretycznych, na których wsparte są wywody Nordau'a, poglądy jego upatrujące w najprawowitszych objawach twórczych, znamiona zwyrodnienia. Z wielu zwracam uwagę na to choćby, iż przymioty, bez których niezrozumiałą jest wprost twórczość literacka i artystyczna, jak np. wysoki stopień wrażliwości, wielka zdolność wzruszania się, uważane są przez Nordau'a, jako coś, co obniża i hańbi poniekąd twórczość ludzką; że to, co jest normalnem dla twórczości poetyckiej jak np., potężna wyobraźnia, jest dla niego najczęściej dowodem osłabienia myśli, niezdolnością logicznego kojarzenia wyobrażeń i t. p. Nie mówię już o niezgodności życia niektórych twórców, jak Wagner np., z tem wszystkim, co im zarzuca, z temi domniemalnymi właściwościami ich organizacyi, odbijającemi się jakoby w ich dziełach. Pomijam również fałszywą metodę utożsamiania bezwzględного życia twórcy z dziełem jego, gdyż dzieło to niezawsze ma odzwierciedlać, to czem on jest w swojej istocie, a zresztą odbija tysiące rzeczy i stosunków stojących po za nim. Z widocznych sprzeczności, w jakich się płacze Nordau, tyranizowany własną doktryną, wskażę następującą: jednym z głównych, znamienych stygmatów zwyrodnienia jest, podług Nordau'a, niezdolność przystosowywania się do otoczenia, stąd buntowniczość i brak instynktów społecznych wielu twórców. Bardzo pięknie! tymczasem dowiadujemy się z pracy Nordau'a, poświęconej psychofizjologii genjuszu, że jedyny, uznany przez autora, rodzaj geniuszu (woli i rozumu), jest—i powinien być, pod karą utraty własnej oryginalności—mało skłonny do godzenia się na myśli i opinie innych, więc swego otoczenia, słowem, że się odznacza słabą zdolnością przystosowywania się. Można zatem, podług Nordau'a, być zwyrodnionym i dawać ludzkości prawdy nowe, posuwające naprzód rozwój myśli ludzkiej; o tem niewątpiliśmy, znając tych wszystkich, kogo Nordau umieścił w kategorii zwyrodnionych, nie godzi się to wszakże, z tem wszyst-

kiem czem obarcza ich sumienie, co widzi w ich ustroju, zarówno jak i ze sposobem traktowania ich twórczości... Sposób ten zmienia się nieco w świeżej pracy Nordau'a, poświęconej wyłącznie literaturze francuskiej; mniej tu psychologii i antropologii kryminalnej, atmosfera nie jest tak szpitalno-poprawczą, w sądach jednak autora te same wady, ta sama pośpieszność, a niekiedy powierzchowność i płytkość, jak poprzednio. W książce „Widziani z zewnątrz“, Nordau nie pakuje wprawdzie wszystkich do więzienia bądź do domu obłąkanych, stara się za to, przybierając rozmaite pozy, raz pobłażliwości, znów inny wzgardy i oburzenia, niekiedy szyderstwa i wyniosłości ironicznej wykazywać wszelkie uchybienia, popełnione przez kilkunastu autorów francuskich, względem logiki, zdrowego sensu, moralności, wreszcie względem estetyki oraz zadań obowiązków autorskich i t. p. Zresztą jest zawsze jednakowo oryginalnym, jednakowo paradoksalnym, stanowczym i rzutkim w poglądach swoich. Dwa wstępne szkice—jeden poświęcony charakterystyce Balzac'a, drugi Michelet'owi—pomimo ich pretensjonalność, która trąci „manią wielkości“, są dość zdawkowem powtarzaniem rzeczy doskonale znanych, mianowicie, że Balzac, podobnie jak Szekspir i t. p. twórcy, nie jest ani realistą ani naturalistą, w powszednim tego rozumieniu, gdyż cała twórczość jego polega na cudownem odgadywaniu i niezwyklej intuicji, które sprawiają, iż utwory jego dają wrażenie rzeczywistości, chociaż nie mają z nią nic wspólnego. Że Balzac wciąż czerpał z głębi duszy swojej, że stwarzał postaci utworów swoich wewnątrz siebie, że świat rzeczywisty przerabiał i przekształcał w sobie—o tem wszyscy wiedzą; żeby jednak absolutnie był oderwany od rzeczywistości otaczającej, jak tego chce Nordau, o tem można wątpić. Twierdzenie, iż Balzac był „lunatykiem“, dzieckiem bezwiednem, snięciem wciąż wśród życia rzeczywistego, prowadzi Nordau'a do wniosku, że w sprawie twórczości poetyckiej, obserwacja zewnętrzna—niema najmniejszego znaczenia. Oto jest logika uczonego: raz domaga się od twórczości, żeby była w zgodzie z prawami życia rzeczywistego, żeby się na niej wspierała, znów innym razem jaknajspokojniej twierdzi, że to wszystko jest do niczego i może twórców nie zobowiązywać.

Michelet prócz tego, że jest wizjonerem, — o czem wiedzieliśmy—jest jeszcze, zdaniem N., ojcem „szowinistyczno-nacjonalistycznego“ kierunku w historyografii francuskiej... To jest niewątpliwie wielkie odkrycie, w obec tego choćby, że znakomici znawcy Micheleta, jak np. G. Monod (t. studjum Monod'a p. t. „Michelet et l'Italie“, drukowane w „Rivista d'Italia“, w kwietniu 1903 r.),

twierdzą, że należał on do tych, którzy w każdym narodzie, odnajdują kogoś lub coś, jakiegoś człowieka wielkiego, lub stronę dodatnią, po to, żeby móż zbratać się, z najbardziej obcemi sobie społeczeństwami.

Tak się przedstawia oryginalność i ścisłość poszukiwań Nordau'a, a oto próbka bystrości jego nogólnień. W studyum o A. Dumas'ie (synie), dowodzi, że psychologia pisarza dramatycznego i dyktatora (władcy-despoty) jest prawie jedna i ta sama. Ich stosunek do masy, do tłumu, nad którym chcą panować, jest zupełnie identyczny. Muszą oni używać jednakowych sposobów sugestyi, żeby trzymać masy w ryzach, pod swoim urokiem. Mniejsza o podobnie naciągnięte zestawienie, porównania nie zawsze są brane poważnie, używamy ich często bowiem ze względów stylowych, dla lepszego wypuklenia rzeczy niezbyt wyraźnych. Na porównaniu wszakże Nordau nie poprzestaje i faktami dowodzi słuszności poglądu swego. W Napoleonie Wielkim, powiada, tak samo, jak w Juliuszu Cezarze, Cola di Rienzi, Cromwelu i t. p., tkwił „człowiek teatru“; nie było sprawą przypadku, jeno odezwaniem się głębokich, bezwiednych instynktów, to, że Napoleon w młodości napisał tragedję, że Talma był jego ulubieńcem, że podczas pożaru Moskwy zajmował się regulaminem „Komedyi francuskiej“. Takie są dowody tożsamości psychologii wielkich zdobywców i autorów dramatycznych. Prościej było zacząć od tego, że w każdym człowieku tkwi: „Commediantel Tragediantel“—nie tylko w Napoleonie — wszak to prababki nasze wiedziały o tem, że „życie jest sceną, my zaś—aktorami i t. p.“ O wiele nowszą jest druga strona zagadnienia, mianowicie, że, w każdym autorze dramatycznym tkwi uzurpator, tyran i zdobywca. Na to jednak, prócz wolnych żartów Nordau'a, dowodów nie znajdujemy w jego książce.

Krytyka J. Lemaître'a jest wprost fantastyczną, pozwalającą wątpić nietylko o kwalifikacyach na badacza naukowego, ale wprost o dobrej wierze autora.

Poddawszy surowemu rozbiorowi znaną sztukę Lemaître'a p. t. „L'Ainée“ (Starsza), Nordau dochodzi do wniosku, że autor jej jest podżegaczem tłumów do nienawiści plemiennej... dla tego, że w sztuce występuje pastor o nazwisku niemieckiem. Zarzuca mu, prócz tego, zamiar zohydzenia protestantyzmu, dla tego, że ów pastor jest hipokrytą, pragnie córki swoje korzystnie powydawać za mąż, gra na giełdzie i t. p. Zarzuty podobne są wprost wyssane z palca, gdyż w sztuce Lemaître'a, który jeżeli miał jakąś tendencyę, to zupełnie inną — ani śladu nie znajdujemy czegoś takiego, co by mogło być podstawą dla nich i obudzić w krytyku podejrzenie tej natury. Nordau jednak w podejrzenia się nie bawi, on zawsze twierdzi, jest nie-

omylnym, w tym wypadku dla tego, że Lemaître, od paru lat, oddaje się propagandzie „szowinistyczno nacyonalistycznej“ — a zatem musi nienawidzić cudzoziemców i protestantów. O ile wiem, sztuka „L'Ainée“ została napisana w tym czasie, kiedy autor jej akcją „nacyonalistyczną“, jeszcze wcale się nie zajmował; po drugie, ów pastor nie jest Niemcem lecz szwajcarem; wreszcie Lemaître chciał w niej wykazać, między innymi, jak życie rodzinne, jego troski i kłopoty, obniżają nieraz wartość moralną osób, które powinny z urzędu poniekać świecić przykładem cnót etc. Za t. zw. „nacyonalizm“ gromi Nordau wielu innych autorów francuskich. Rostand w „Orlątku“ stworzył „pieśń nad pieśniami“ szowinizmu francuskiego, szowinistą również jest Barrès w powieści „Wykorzenieni“; tymczasem, nawet podług samego Nordau'a, utwór Rostanda jest nieszkodliwą zabawką, czemś godziwie przypominającym narodowi chwałę przeszłości, Barrès zaś walczy w powieści swojej z duchem kosmopolityzmu, z tem, co zwyrodnia ludzi pod względem narodowym. Zarzuty „szowinizmu“ są tem dziwniejsze w ustach Nordau'a, że on sam nazywa siebie wciąż „żydem nieprzejednanym“ — czemu, jako przywódcy syonizmu, wcale się nie dziwimy — pomimo, że wciąż innych nawraca na szczytny humanitaryzm i ideały miłości ogólnoludzkiej.

Nie skończyłbym, gdybym chciał wyliczyć wszystkie naciągania i uprzedzenia, wszystkie mimowolne i dobrowolne fałszerstwa rzeczywistości, popełniane przez Nordau'a. Bałamutność sądów i opinii jego jest tak duża, że niepodobna nawet zdać sobie sprawy z tego, czy ma on w ogóle jakieś wyraźne poglądy estetyczne.

Domaga się on od twórczości artystycznej, by posuwała naprzód poznanie ludzkie i nie obrażała naszego poczucia rzeczywistości, znów kiedy indziej gniewa się na nią, gdy ona stara się zadość uczynić jednemu i drugiemu, gdy zbyt wielkiem odznacza się poczuciem stosunków realnych (krytyki G. de Maupassant'a, A. France'a i t. p. innych). Drwi i z wysoka traktuje twórczość fantastyczną, przemawiającą głównie do wyobraźni, co mu nie przeszkadza kwestyonować prawa twórców do poruszania zagadnień moralnych i krytykowania złych urządzeń społecznych, gdyż, podług niego, nie jest to sprawą artysty, lecz filozofa (krytyki, poświęcone dramatom Brieux, Hervieux i t. p.), chce nawet zrazić autorów, którzy usiłują za pomocą konkretnych zdarzeń i wypadków dać nam odczuć doniosłość niektórych problemów społecznych, a to dla tego, że, jak twierdzi, nie-szczęście określonej ilości istot żywych, przedstawione choćby z największą potęgą artystyczną, nie da najsłabszego nawet wyobrażenia,

o tym rzeczywistym dramacie ludzkości, który rządzi nieubłaganie temi wszystkimi zjawiskami odosobnionemi. Pragnie słowem wciąż sztuki głębokiej, poważnej, nie tej, która bawi, rozmarza, przemawia do tych władz natury ludzkiej, które ją utrzymują na niższym poziomie życia zwierzęcego,—a przytem nie pozwala jej urzeczywistnić poważniejszych aspiracyi, za pomocą tych środków, jakie leżą w granicach jej możliwości.

Nadewszystko jednak umie Nordau gromić pisarzy współczesnych za ich bezwstyd w przedstawianiu stosunków erotycznych, za nadmiar w ogóle erotyzmu w ich twórczości, za obojętne, bądź ironiczne, wydobywanie na jaw wszelkich znieprawień życia ludzkiego; na tym punkcie jest on nieubłagany i byle drobiazg, byle swawola i płochosć niegroźna, nie nadwężająca zasad moralnych, przejmując go oburzeniem, tem dziwniej więc wygląda jego wyrozumiałość dla O. Mirbeau, jednego z najbardziej bezużytecznych i reklamujących się pornografów, którego talent—w istocie duży—uznaje i ceni... Te rysy, charakteryzujące Nordau'a, jako krytyka, nie tak by się wydatniały i wysuwały na plan pierwszy, przy ocenie jego działalności, gdyby nie to, iż każda praca jego ostrzega czytelnika w tytule, iż należy do rodzaju „krytyki naukowej i filozoficznej“, — gdyby nie wyniosłe pretensye autora do reprezentowania nauki czystej i sprawiedliwej, nieskażonej żadnem uprzedzeniem, bądź lekkomyślnością, niezachwianej w swej logice, zdala stojącej od szarlatanizmu, niezależnej i prawej. Niestety! pretensye podobne nie dobrze są usprawiedliwione. Z nauki wprawdzie czerpie Nordau teorie, poglądy i fakty, ale posiłkuje się niemi na własne ryzyko, często w sposób taki, do jakiego go ona wcale nieupoważnia. Rzeczy niedostatecznie zbadane, teorie niesprawdzone, chwyta Nordau w lot i puszcza w obieg, jako prawdę bezwzględną, na której można polegać; na ździebełkach prawdy, wznosi konstrukcye dowolne, których fasady tylko noszą godła i szyldy nauki, wnętrze zaś wypełnione jest treścią subiektywną, złożoną z fikcyi, uprzedzeń i namiętności, należących wyłącznie do samego autora, zależnych od jego kaprysu. Przesadę, paradoksalność, tendencyjność własną, przemyca Nordau pod płaszczykiem nauki, zaopatruje w jej stempel, żeby to wszystko znalazło chętniejszych nabywców, wśród ogółu mającego zaufanie do niej, oczekującego ztamtąd wskazówek i rad, zmniejszających niepewność i zwątpienie.

Powadze nauki, jak widzieliśmy, uchybia bardzo często, co zaś do czytelnika, to zamiast stawiać go na stanowisku, wyższem wzglę-

dem twórczości ludzkiej, zamiast podnosić stopień jego krytycyzmu, wszczepia weń skłonność do sądów tanich i ogólnikowych, dostarczając mu formułek gotowych, jaskrawych i efektownych, upoważniających go do rozprawiania się, z najzawilszemi i najtrudniejszymi zagadnieniami twórczemi, w sposób gruby, jednostronny i płytki.

WL. JABŁONOWSKI.

Echa z wystawy heraldycznej w Mitawie.

Sekcja kurlandzkiego Towarzystwa naukowego (*Gesellschaft für Literatur und Kunst*) poświęcona genealogii, heraldyce i sfragistyce—pragnąc uświetnić jubileusz swego 10-letniego istnienia—urządziła w Mitawie w nowo wzniesionym gmachu kurlandzkiego Muzeum Prowincjonalnego, w y s t a w ę h e r a l d y c z n ą, którą w dniu 30-y października otwarto.

Dzięki poważnym pracom mężów naukowo wykształconych, zaprzestała już od lat wielu heraldyka służyć wyłącznie za pole do bezmyślnych, bezkrytycznych popisów pyszałkowego dyletantyzmu na cześć i chwałę zaimprovizowanych częstokroć praszczurów.

Po przewyciężeniu dawnych, nieraz dobrze uzasadnionych uprzedzeń do tej gałęzi wiedzy, uznano ją w ostatniej ćwierci ubiegłego stulecia za nader pożyteczną i zaufania godną naukę pomocniczą do badania zarówno dziejów krajowych, jako i historii sztuki.¹⁾

Zaznaczyć także należy, że w rozwijającym się potężnie przemysle artystycznym, daje się coraz częściej dostrzedz dążenie do umiejętnego badania motywów heraldycznych. To też nic dziwnego, że, w ciągu ostatnich lat 25-ciu, heraldyka i sfragistyka występowały już nie tylko na wystawach historycznych, wystawach starożytności oraz przemysłu artystycznego, ale poczęto urządzać na Zachodzie wystawy poświęcone wyłącznie heraldyce. Pierwszą z nich była, jak wielu czytelnikom wiadomo, wystawa heraldyczna wiedeńska z roku 1878; drugą—takąż wystawa berlińska z roku 1882; trzecią zaś wy-

¹⁾ Dzisiaj już niema potrzeby szeroko rozwodzić się nad tem, że każdy ślad, pozostawiony przez przeszłość, jest dla nas źródłem do jej bliższego poznania. Stare zbroje, stare monety, stare pieczęcie i t. d., już niejednokrotnie posłużyły do zdobycia głębszej znajomości epok dziejowych, ich stylów i t. d.

stawę przedmiotów heraldycznych uorganizowano również w Berlinie w r. 1894 z niezwykłym przepychem.

Nie ulega wątpliwości, że wszystkie te wystawy przyczyniły się niepomalu do zaznajomienia szerszych kół z bogatym dziejowym i prawdziwie wzorowym materiałem heraldycznym, nadto zaś rozszerzyły zrozumienie właściwej treści tej nieco zdyskredytowanej gałęzi wiedzy ludzkiej.

Dobrą też usługę oddają wystawy heraldyczne tym wszystkim pracownikom, co z nich wynoszą pożytek praktyczny, a więc: artystom malarzom, rzeźbiarzom, snycerzom, budowniczym, rytownikom, litografom, zlotnikom, introligatorom i t. d.; stałą zaś i długotrwałą wartość takich wystaw, stanowią przedewszystkiem ich katalogi, w których dokładnie bywa oznaczony cały ogrom, skrzętnie na nich nagromadzonych materiałów heraldycznych i sfragistycznych. Dla tego więc żałować należy, że wielu krajowych posiadaczy cennych przedmiotów z dziedziny heraldyki i sfragistyki, nie raczyło uwzględnić odezwoi próśb komitetu wystawowego o wzięcie udziału w pocuczającej wystawie heraldycznej mitawskiej, pierwszej w graniacach państwa.

Natomiast zagranica wielki i żywy wzięła w niej udział.

Nie brakło wystawców ani z Wiednia, ani z Berlina, Hanoweru, Hamburga, Lipska, Gietynge, Hejdelberga, Norymbergii, Monachium a nawet z Szwajcaryi i z Czech.

Z firm krajowych napotykalismy na tej wystawie, obok kilku miejscowych mitawskich, także: ryskie, rewelskie i jurjewskie. Dostrzegliśmy również parę nazwisk wystawców prywatnych z Petersburga, a kilkanaście z prowincyi nadbaltyckich.

Licznych dokumentów heraldycznych dostarczyły archiwa krajowe prywatne, a przedewszystkiem archiwa ryccerstwa kurlandzkiego z Mitawy i inflackiego z Rygi, estońskiego z Rewla i ozylijskiego z Arensburga. Innych przedmiotów najrozmaitszych, a odnoszących się do tejeże gałęzi wiedzy, nagromadzono z odwiecznych zakrystyi i muzeów miast głównych nadbaltyckich.

Katalog wystawy wylicza numerów 2318, z których nie mało składa się z kilku, kilkunastu a nawet kilkudziesięciu okazów. Całość świadczy o cywilizacyjnem i kulturalnem znaczeniu nietylko dawnych Inflant i Kurlandyi, ale i dawnej Rzpltej polskiej, z ktorej imieniem spotykamy się tutaj dosyć często.

Postarajmy się zdać czytelnikom w ogólnych zarysach sprawę z wrażenia, jakie ta prowincjonalna wystawa heraldyczna wywiera i oznaczyć charakter, jaki w szczegóлах przedstawia.

I.

Pomijając wspaniałe makaty z ratusza rewelskiego, na których, obok mniejszego herbu Rewla jaśniej wytkany ozdobnie nad nim napis „Anno 1547-mo“¹⁾, pomijając całe szeregi tarcz z herbami miast związku hanzeatyckiego, do którego, jak wiadomo, należały także główne miasta nadbałtyckie, pomijając poukładane w panoplie chorągwie cechowe i dawnych gwardyi miejskich, wystawionych przeważnie w celach dekoracyjnych—zatrzymujemy się w drugiej komnacie od wejścia.

Zwraca tu najpierw uwagę widza niezmiernie bogaty zbiór zmniejszonych hełmów rycerskich ze wszelkich epok. Wykonane są artystycznie ze stali. Za wzór do nich służyła słynna kolekcya D-ra H. M a g e r f e l s a, złożona z samych oryginałów, a która przed czternastu laty rozpierchła się po całym świecie, gdyż po nagłym zgonie znanego zarówno w Europie jak w Ameryce właściciela-zbieracza, została zlicytowaną w latach 1888 i 1889.

Wystawcą tego cennego zbioru, znanego powszechnie zagranicą, jest szambelan B. baron M ü n c h h a u s e n, obywatel prowincyi Hanowerskiej, który go już niejednokrotnie dawał oglądać na wystawach zagranicznych.

W zbiorze tym nie brak żadnego rodzaju hełmu, począwszy od najmniejszych, jakie były w użyciu w wieku X, a kończąc na polskich hełmach j a z d y s k r z y d l a t e j, na widok których zdaje się widzowi polskiemu, że przez salę przeciąga tajemniczy łopot tych orlich skrzydeł, który w swoim czasie szedł przez pola Chocimu, Kirchholmu i Kluszyna i oparł się o wzgórze Kahlenberga pod Wiedniem.

Z 36-iu hełmów, tworzących cenną kolekcję szambelana Münchhausena, wymieniamy: hełm z X stulecia typu „*bacinet*“ (oznaczony

¹⁾ Jedna z tych odwiecznych, wybornie zachowanych makat, przedstawia, obok herbów miasta Rewla, scenę biblijną, a mianowicie sąd Salomony; druga, obok takichże herbów, wzory liściaste wielkiej piękności. Dzienniki miejscowe błędnie je zowią *gobelinami*, gdyż te ostatnie (wraz ze słynnymi braćmi „*les frères Gobelins*“) zjawily się o 120 lat później, w ostatniej ćwierci XVII stulecia, za panowania Ludwika XIV.

w katalogu numerum 1-szym), hełmy z wieku XII typu „*heaume*“ (numera 11—12), hełmy z wieków XII—XIII typu „*chapeau d'armes*“ albo „*de fer*“ (numera 14—20) hełm typu „*cabasset*“ z końca XVI stulecia (numer 21) i hełmy najbardziej znanego typu „*morion*“ z XV i XVI stulecia. Pochodzące z wieku XVI są ozdobione przepiękną rzeźbą renesansową.

A figurują na tej wystawie i całe zbroje, wyroby XVI i XVII stulecia, okazy nader ciekawe i pouczające. Jeden z olbrzymich hełmów typu „*morion*“ zdobi orzeł dwugłowy cesarstwa rzymsko-niemieckiego. Jest i kilka misiurek oryginalnych z wieku XVI. Dostarczyło na ich wystawę kurlandzkie Muzeum Prowincjonalne. W tymże rzędzie komnat zastanawia widza polskiego wystawa zbiorowa z radkich druków heraldycznych, nadesłanych z Monachium ze znanego powszechnie antykwaryatu Ludwika Rosenthala. Spotykamy tu pomiędzy innymi tabelę genealogiczną przodka polskiego rodu Plater-Zyberków, Imię pana Jana Fryderyka na Wiszlingu Zyberka z roku 1602. Zdobi ją 16 herbów jego antenatów.

Nie brak tu i rękopisów heraldycznych. Wystawiła je Biblioteka Rycerstwa Kurlandzkiego, a pomiędzy nimi dostrzegamy i berby rodów polskich.

Nader ciekawymi są herbarze rękopiśmienne mieszczan nadbałtyckich, że tylko przytoczę herbarz ryskiego cechu szklarzy, przedstawiający aż 221 herbów mieszczańskich starannie koloryzowanych.

Z całej setki wystawionych dyplomów szlacheckich, zaznaczamy kilka polskich, a mianowicie:

1. Dokument pergaminowy z przewieszoną na nim wspaniałą pieczęcią państwową, wydany na tytuł barona w Warszawie dnia 30 kwietnia 1572 r. przez króla polskiego Zygmunta Augusta Janowici Taubemu, przodkowi rodu kwitnącego i obecnie nietylko w królestwie, ale i w zachodnich oraz południowo-zachodnich guberniach cesarstwa. Pięknie wykonany herb Taubów zdobi ten cenny pergamin.¹⁾

¹⁾ Linia niemiecka tegoż roku otrzymała tytuł baronów niemal o sto lat później i istnieje tylko w Estonii. To nadanie tytułu linii niemieckiej

2. Dyplom z dnia 12 lutego 1588 roku, w którym król Zygmunt III zatwierdza w Krakowie szlachectwo braci Skodeyskich, uszlachconych już z dnia 16 maja 1372 r. przez króla Ludwika.

3. Dyplom na szlachectwo, wydany d. 2 stycznia 1591 r. w Warszawie powszechnie znanemu przyjacielowi Jana Zamoyskiego, ryskiemu syndykowi miejskiemu Dawidowi Hilchenowi, który, jak ogólnie wiadomo, był zawsze wiernym królowi i Rzpltej, pracował usilnie dla dobra kraju i miasta, słowem, był ozdobą swego czasu, a mimo to zmuszony był walczyć przez całe życie z ciężkimi kolejami losu. On to w r. 1588 wyjednał u rady miejskiej założenie pierwszej drukarni w Rydze i szeregiem prac literackich, w języku łacińskim zyskał sobie sławę europejską. On w roku 1599 ułożył inflanckie prawo krajowe, on w tymże roku 1599 głównym był czynnikiem przy dokonywanej wtenczas słynnej rewizji dóbr inflanckich. Mimo to wszystko, wiele lat upłynęło, zanim zasługi tego zacnego męża, należycie przez krajowców i Rzpltę ocenione zostały. W roku 1590 magistrat miasta Rygi wysłał Hilchena na sejm walny do Warszawy, by na nim przedstawił kościelne sprawy miasta i wyjednał, ażeby dla ogólnego spokoju polecono OO. jezuitom nie w mieście, ale na zamku zamieszkać, co też Hilchen szczęśliwie dokonał. Jezuitci nie spełnili rozporządzenia królewskiego i w tym samym roku Hilchen wraz z burmistrzem Ecke znowu pojechał do Warszawy. Tam bronił interesów miasta i tłumaczył znaczenie reskryptu Stefana Batorego o wprowadzeniu jezuitów. Król wziął stronę zakonu i tak źle przyjął wystąpienie deputatów, że zagroził Hilchenowi więzieniem. Jan Zamoyski złagodził gniew króla, wyrok jednak przeciwny pierwszemu utrzymany został. Przyjaźń Zamoyskiego sprawiła, że Zygmunt III, nie tylko urazy darował, ale jeszcze w dniu 2 stycznia 1591 roku Dawida, Jana i Tomasza braci Hilchenów podniósł do godności szlacheckiej wraz z ich potomstwem.

Oglądany przez nas na wystawie heraldycznej w Mitawie dyplom sążnisty pergaminowy, opowiada o zasługach poniesionych dla króla i Rzpltej, wzmiankuje o podróżach z polskimi magnatami dla

Taubów figuruje także na wystawie heraldycznej pod № 150. Jest to dokument pergaminowy, wydany Bernardowi Taubemu przez królowę szwedzką Krystynę, w d. 14 lutego 1652 r., ze wspaiałe wykonanym herbem i przewieszoną wielką państwową pieczęcią w pokrywie drewnianej. Dyplom ten wystawiło Archiwum Rycerskie Estonii; wystawcą zaś dyplomu linii polskiej z r. 1572 jest Archiwum Rycerstwa Kurlandzkiego.

dokonania rewizyi dóbr inflanckich, mówi o obszernych wiadomościach, okazałych nie tylko w publicznych dysputach, ale i w działalności, podnosi odwagę, poczciwość i mądrość syndyka, jakich nieprzeparte dawał dowody w chwilach, kiedy zdołał powściągnąć lud wzburzony przeciw Polakom i duchowieństwu katolickiemu w Rydze.¹⁾ Dyplom ten zdobi polski herb J elita, w jaskrawych barwach i złotem starannie wykonany. Zamoyski oczywiście przypuścił Hilchenów do własnego herbu. Na hełmie tylko, zamiast dawnego Saryuszów kozła, umieszczono dla różnicy ogon pawia.

Nieopodal opisanych tu dyplomów, mieści się niezmiernie bogata biblioteka heraldyczna, w której jest mnóstwo dzieł polskich lub przez Polaków skreślonych, jak to: herbarze Paprockiego i Niesieckiego, Heraldyka Wielądka i t. d. Jest nawet dzieło francuskie Emeryka Czapskiego p. t. „*Catalogue de la collection des médailles et monnaies polonaises*“, wydane w Petersburgu, Paryżu i Krakowie w latach 1871—1891.

Z innych tu wystawionych stu kilkudziesięciu dzieł i czasopism tejsze treści heraldycznej, zaznaczamy jeszcze herbarz drukowany w języku japońskim w podłużnej 8-ce na papierze ryżowym, oraz „herby japońskie“ wydane w Berlinie przez Langego w roku bieżącym 1903 pod tytułem: „*Ostasiatische Studien*“.

¹⁾ Działo się to w czasie słynnych zaburzeń kalendarzowych w Rydze, o których rozpisał się w „Wielkiej Encyklopedyi Ilustrowanej“, wspomniawszy i o tem, że pierwszy kalendarz otrzymała Ryga w r. 1565, iż był on drukowany w Amsterdamie, gdyż pierwszą drukarnię założono tu dopiero w r. 1588, za staraniem Hilchena. Zważywszy, że do głównych znamion kultury przez samych Niemców zaliczane bywają powszechnie kalendarze i drukarnie, zważywszy także, że oba te znamiona kultury pojawiły się w Rydze za panowania tutaj królów polskich, Zygmunta Augusta i Zygmunta III — wypływa stąd oczywiście wniosek, iż tutejsi kulturtregerzy, tak dumni ze swojej kultury zachodniej, otrzymali ją właściwie dopiero przez cywilizacyjny wpływ Polski, którego atoli dostatecznie cenić nie umieli, jeśli się opierali wprowadzeniu tu za króla Stefana Batorego poprawnego gregoryańskiego kalendarza, za którym obecnie, po 318 latach, nadaremnie tęsknić poczeli.

II.

Jeszcze bardziej ciekawym jest dział sfragistyczny na tej wystawie heraldycznej, a są tu najrzadsze i najciekawsze dokumenty, gdyż niepodobna oddzielić od nich ani jednej z przewieszonych pieczęci, stanowiących istne skarby sfragistyczne.

Najstarsze dokumenty ryskie z pierwszej ćwierci wieku XIII główne tu zajmują miejsce. Pod numerami 327 i 328 wystawiono dwa pergaminy całkiem pożółkłe, z których pierwszy odznacza się przewieszonymi na nim pieczęciami legata *a latere* papieża Honorjusza III, biskupa Wilhelma z Modeny, założyciela Rygi biskupa Alberta I, biskupa Semigalskiego Lamberta, proboszcza katedry ryskiej Jana, oraz najdawniejszą pieczęcią miasta Rygi, okoloną nadzwyczaj dziwnym napisem: „*Sigillum burgencium (sic!) in Riga manentium*“. W tym dokumencie, wydanym w grudniu 1225 roku, załatwia legat papieski Wilhelm jakiś spór graniczny. Drugi z przytoczonych pergaminów nosi datę 17 marca 1226 r. Załatwia w nim tenże biskup Wilhelm z Modeny takiż spór graniczny pomiędzy założycielem Rygi, panującym biskupem Albertem I, mistrzem Kawalerów Mieczowych Volguinem, Opatem Dyamenckim i miastem Rygą. Czerwone jedwabne sznury, na jakich są przewieszzone te liczne pieczęcie, zachowały swą barwę przez lat 677 aż po dzień dzisiejszy.

Najstarszym z wystawionych tu dokumentów biskupstwa kurońskiego jest żółkły pergamin, na którym tenże słynny legat papieski w dniu 21 lutego 1245 roku zaświadcza w mieście Lugdunie, daną już poprzednio deklarację, iż nowo założone biskupstwo kurońskie stanowi część Prus Wschodnich, że przeto dwie części obszarów ziemnych biskupstwa mają należeć do zakonu krzyżackiego.

Obok tego najstarszego dokumentu dawnej Kuronii, wystawiono pod numerem 332 oryginalną bullę papieża Aleksandra IV, wydaną w Viterbo d. 16 października 1257 r. Zatwierdza w niej Stolica Apostolska wspomniane powyżej oświadczenie biskupa Wilhelma z Modeny z r. 1245. Jest to jedyna bulla papieska, przechowana dotąd w oryginale w krajach nadbałtyckich w zupełnej całości wraz z przewieszoną na niej olbrzymią ołowianą pieczęcią, i dlatego bywa nazywana po niemiecku „*die Bleibulle*“.

Pomijam ze dwadzieścia ciekawych pergaminów z wieku XIII i XIV (№№ 333 – 350), a zatrzymuję się nad ugodą, zawartą 12 stycznia

1434 roku pomiędzy kurońskim panującym biskupem Janem a kapitułą arcybiskupstwa ryskiego w celu załatwienia dawnych sporów o kurlandzki zamek *Doudanjen*, którego dokładny widok przedstawia karta 63 olbrzymiej księgi łacińskiej „*Terra Mariana*”, ofiarowanej przez katolików nadbałtyckich Ojcu Świętemu Leonowi XIII w roku 1889, ku uczczeniu jego jubileuszu kapłaństwa z r. 1888, a której zmniejszona reprodukcja świeżo ogłoszona została przez ryski zakład sztuk graficznych Aleksandra Grosseta¹⁾. Dokument ten pergaminowy zastanawia każdego widza wybornym przechowaniem aż osmiu na nim przewieszonych ciekawych pieczęci, a mianowicie: pieczęci ówczesnego arcybiskupa ryskiego, biskupa kurońskiego, kapituł ryskiej i kurońskiej, marszałka krzyżacko-inflanckiego zakonu (a późniejszego landmistrza) Franciszka *de Kerskorff*, komtura rewelskiego, proboszcza tumu dorpackiego, oraz słynnego w dziejach inflanckich Engelberta *Tyzenhauza*. Cenny ten pergamin stanowi własność kurlandzkiego Muzeum prowincjonalnego.

Z wieku XV przytaczam wspaniałą pieczęć znanego z przewrotności, iście krzyżackiej, landmistrza inflanckich krzyżaków, Bernarda Borch'a, wiszącą przy dokumencie z r. 1478, obok pieczęci komturów: felińskiego, rewelskiego, goldyńskiego, maryenburskiego i kilkunastu innych dygnitarzy inflancko-krzyżackich, zanoszących wspólnie skargę do kuryi rzymskiej na ryskiego arcybiskupa Sylwestra. Dokument oczywiście nie był wysłany do Rzymu, jeśli pozostał tu w kraju, a Bernard Borch, jak wiadomo, w tymże właśnie czasie wziął arcybiskupa Sylwestra do niewoli i więził go do samej śmierci w zamku Kokenhuzie.

Jeszcze większa liczba dobrze zachowanych pieczęci wisi tu przy dokumencie z d. 20 marca 1523 roku, w którym wasale arcybiskupa ryskiego podejmują wspólną akcję przeciw przemocy możnowładczych w owym czasie rodów *Tyzenhauzów* i *Rozenów*. Pomędzy pieczęciami tych energicznych wasalów arcybiskupa figurują dwie Platerowskie; jedna rycerza Fryderyka Platera, ówczesnego wójta zamku Kokenhuzy, a druga Jana Platera, dziedzica Platerowskiej Indrycy, położonej w późniejszym księstwie i województwie inflanckiem, nad Dźwiną i rzeczką Indrycą²⁾.

¹⁾ Te udatne, lubo znacznie zmniejszone, reprodukcje księgi „*Terra Mariana*”, zdobiły również wystawę heraldyczną z powodu stu kilkudziesięciu herbów i pieczęci najrozmaitszych, które do ilustracji pojedynczych kart tej księgi użyte zostały.

²⁾ Obacz: „Słownik geograficzny ziem polskich“, t. III, str. 277.

Z dalszych kilkudziesięciu nader cennych dokumentów z wieku XVI, zajmują tu najbardziej publiczność kurlandzką i polską:

1) Słynna *provisio ducalis* (pacta subjectionis), wydana przez króla polskiego Zygmunta Augusta w Wilnie dnia 20-go listopada 1561 r. Tym aktem król polski nadaje ostatniemu landmistrzowi zakonu inflanckiego Gotardowi Ketlerowi i jego potomkom, jako wasalom Polski, tytuł książęcy i dziedziczne rządy w nowo utworzonym przez tegoż króla księstwie Kurlandyi i Semigalii, nadto nadaje samemu Gotardowi namiestniczą władzę w całych Infantach, szlachcie zaś rycerskiej wszelkie swobody, jakich tylko zapragnąć mogła. Przyświecał tu oczywiście niedawny przykład Prus. Ten sam tytuł, godność, oznaki i przywileje, które przed kilku dziesiątkami lat były dane wielkiemu mistrzowi pruskiemu, Albertowi, otrzymał teraz landmistrz inflancki, Gotard. „Infantczycy — jak się wyraża w tym dokumencie król Zygmunt August — z państwem naszym nakształtziem pruskich złączyli się i inkorporowali,“ a między postulatami szlachty, uznanymi i przyjętymi przez króla, znajduje się i ten: „żeby szlachta rycerska inflancko-kurlandzka do wszystkich prerogatyw, praw i wolności, któremi się polska szlachta zaszczyca, tym sposobem, jak prusacy, była przypuszczoną.“ Mieli więc ex-krzyżacy i szlachta rycerska, która odtąd dzieli się na inflancką i kurlandzką, zażywać największej wolności pod słońcem, bo zatrzymując dawne przywileje, wywalczone na panujących biskupach i hermistrzach krzyżacko-inflanckich, zachowując przedewszystkiem wszelkie dotychczasowe właściwości i zupełną odrębność, niemieckie prawo i niemieckie władze, — pozyskali odrazu wszystkie wiekowym trudem zdobyte wolności i swobody szlachty polskiej.

To też nie dziw, że ten tak ważny dla nich pergamin, własnoręcznym podpisem królewskim i królewską pieczęcią opatrzony, z wielką troskliwością Kurlandczycy aż po dzień dzisiejszy przechowali.

2. Wraz z nim przechowali oni dokument (oznaczony na tej wystawie heraldycznej numerem 394), wydany przez nowo-kreowanego księcia Gotarda w dniu 7 marca 1562 roku w Rydze rycerstwu kurlandzkiemu, a w którym nowy książę obiecuje uroczyście utrzymać wszelkie prawa i swobody rycerstwa w obrębie całego księstwa Kurlandyi i Semigalii. Przechowali także pergamin Zygmunta Augusta, datowany z Lublina d. 3-go sierpnia 1569 r. o wcieleniu Kurlandyi do Rzpltej polskiej, skutkiem dokonania unii Litwy z Polską. Na nim podpis Zygmunta Augusta i przewieszona wspomniała pieczęć królewska.

3. Nie mniej wspaniała pieczęć wielka zdobi dokument króla Stefana Batoro, wydany z obozu pod Pskowem w dniu 28-go listopada 1581 r. Zatwierdza w nim bohaterski król wszystkie przywileje, wydane rycerstwu kurlandzkiemu przez Gotarda Kettlera.

4. Ciekawym też jest pergamin tegoż króla polskiego, oznaczony w dziale sfragistycznym wystawy numerem 403-m, w którym to dokumencie, wydanym w Warszawie d. 28-go lutego 1585 roku, król Stefan zatwierdza Konrada Taubego w posiadaniu licznych dóbr jego inflanckich. Pieczęć przytwierdzona węzłem, ukreconym z czerwono-niebiesko-żółto-białych sznurków jedwabnych.

Tylko tyle o pieczęciach z wieku XVI, których liczny szereg tu wystawiono wraz z nieodłącznymi dokumentami.

Z wieku XVII przytaczamy:

1. Pieczęć wielką Polski i Litwy, przytwierdzoną zielono-niebieskimi, żółtawo-czerwonymi i karmazynowymi jedwabnymi sznurami do datowanego z Krakowa w dniu 8-go czerwca 1605 roku pergaminu, w którym król polski Zygmunt III zwraca Podczaszemu Dorpackiemu, Konradowi Taubemu, wszystkie jego dobra inflanckie. Pergamin ten stanowi własność ryskiego Towarzystwa starożytności „*Alterthumsgesellschaft*.” Taką pieczęć zdobi przywilej Zygmunta III z d. 12-go kwietnia 1615 roku, zatwierdzający prawa i swobody rycerstwa kurlandzkiego. Ten ostatni dokument wystawiło tu archiwum kurlandzkie „*Das Kurländische Landesarchiv*.”

2. Zatwierdzenie przywilejów rycerstwa Piltyńskiego przez króla polskiego Władysława IV, podpisano w Krakowie 14-go marca 1633 roku. Pergamin wspaniały, pieczęć polska i litewska w poważnych pokrywach żelaznych.

Niepodobna wyliczać wszystkich wystawionych tutaj ciekawych pieczęci przy dokumentach z XVII stulecia. Wszelako wymienić muszę traktat handlowy, zawarty w Westminsterze pomiędzy O. Kromwellem a genialnym kurlandzkim księciem Jakóbem w dniu 17 lipca 1657 roku. Ten traktat najbardziej zastanawia widzów olbrzymią pieczęcią państwową angielską, na nim srebrnymi i białymi jedwabnymi sznurami okazale przewieszoną. Pieczęć ta, z żółtego wosku, z odcisniętym na niej wyraźnie portretem Olivera Kromwella na dzielnym rumaku, wybornie się przechowała lubo niema żadnej pokrywy.

Pięknie się także przedstawia wydany d. 9-go listopada 1669 r. w Krakowie przez króla polskiego Michała Korybuta Wiśniowieckiego przywilej miastu kurlandzkiemu, Gol-

dyndze, w którym najchętniej zwykł przebywać genialny lennik Rzpltej polskiej, J a k ó b książę Kurlandyi i Semigalii, zawierający traktaty handlowe nietylko z Oliwerem Kromwellem, ale z Francją, Hiszpanią, Rzpltą wenecką i wielu innymi państwami. Książe ten, utalentowany i ambitny, lubo tylko lennik polski, wyrobił sobie wysokie stanowisko w Europie, uczynił Kurlandyę krajem zamożnym i kwitnącym, a nawet zdobył poważne stanowisko w rządzie państw morskich, wybudowawszy flotę, złożoną z 15 nieuzbrojonych i 44 uzbrojonych okrętów, z których każdy dźwigał na sobie kilkadziesiąt dział, nadto zaś 60 okrętów handlowych i wiele pomniejszych statków. Nie narażając siebie i swych poddanych na groźne niebezpieczeństwo wątpliwych zawsze wojen, nietylko zyskał wielkie skarby, lecz także zjednał sobie niemały rozgłos i szeroką sławę, bo stał się twórcą rozgłośnego handlu morskiego na północy. Handel ten prowadził z dalekimi ładami, przewożąc płody obcych części świata do wszystkich portów europejskich, i na odwrót, zawożąc daleko towary i produkty rodzinne, sprowadzając z najrozmaitszych stron zdolnych fabrykantów, dając im w Księstwie Kurlandzkim szerokie pole do pracy i zarobek sowity.

Zawarłszy korzystne i dogodne dla siebie traktaty z Francją i Anglią, Rzpltą wenecką i Hiszpanią, dostarczać mógł ten lennik Rzpltej polskiej obcym krajom własnego i litewskiego zboża po nierównie tańszych cenach, aniżeli opanowana przez Szwedów Ryga, której wysokie cła współzawodniczyć z nim nie pozwalały. Te nader ważne przedsiębiorstwa handlowe ułatwiały mu kolonie, założone na wybrzeżach Gwinei, na wyspie św. Andrzeja i na Tobago, jednej z najpiękniejszych wysp między małemi Antyllami, nazywanej rajem ziemskim. Pragnąc rozporządzać większemi zasobami surowych płodów, nietylko od Szwecyi zakupił znaczne dobra na Pomorzu, lecz nadto od rządu duńskiego kopalnie żelaza w Norwegii i ostatecznie tyle na tem polu dokazał, że mógł zaopatrywać w wojenne potrzeby wielkie mocarstwa europejskie, Francję i Anglię.

Nie podobna wyliczać wystawionych tutaj trzydziestu kilku ciekawych pieczęci i dokumentów z XVIII stulecia ¹⁾. Pomiędzy

¹⁾ Nie brakło na tej wystawie i odcisków pieczęci najrozmaitszych głów koronowanych, zarówno żyjących, jak nieżyjących. Nadesłali je naj-

niemi dostrzegłem dawną pieczęć miasta Birż, na której przedstawiona chorągiew z orłem czarnym Radziwiłłowskim, jaki wystawca uważał mylnie za białego orła polskiego i pod numerem 457 oznaczył go jako takiego. W tymże oddziale tej ciekawej wystawy heraldycznej mamy dowód wyraźny, jak bardzo dbał zawsze zarząd miejski Birż Radziwiłłowskich o zachowanie cechy niemieckiej. Uderza tu bowiem widza pomiędzy wystawionemi całemi sećcinami t. zw. „*Geburtsbriefe*,“ czyli świadectwami rodu, nieoznaczony osobnym numerem w katalogu pergamin z wiszącą u dołu olbrzymią pieczęcią w pokrywie drewnianej, wydany Janowi Jerzemu Deryngowi przez radę miejską birżańską d. 5-go marca 1782 r., a uderza głównie dla tego, że to świadectwo nie po polsku, lecz w języku niemieckim wydane.

Rada miejska Birż Radziwiłłowskich korzystała oczywiście aż do końca swego istnienia z nadanego temu miastu już przez króla Zygmunta Augusta prawa magdeburskiego, które następnie przywilejem Zygmunta III z r. 1589 uroczystie zatwierdzone zostało. Dlatego oficjalnie występuje ona zawsze po niemiecku, tytułując siebie: „*Rath der königlichen privilegirten hochfürstlichen Radziwiłłowschen Stadt Birsen.*“

Tylko o parę numerów dalej dostrzegłem odcisk dawnej pieczęci miasta Wilna przy dokumencie z r. 1777. Przedstawia ona św. Krzysztofa z Dzieciątkiem Jezus, a przytwierdzoną jest do dokumentu wstążeczką niebieską.

Nader zajmującym wydał mi się tutaj zbiór galwanoplastycznych odcisków całych setek najrzadszych pieczęci panujących biskupów i arcybiskupów ryskich, biskupów lealskich, dorpackich, kurońskich, piltyńskich, orylijskich i rewelskich, ułożony w chronologicznym porządku, począwszy od roku 1224, a kończąc na roku 1554.

słynniejsi rytownicy Wiednia, Berlina i t. d. Wspaniałe złote pokrywy przy licznych pergaminach wiszące, zawierały olbrzymie odciski rosyjskich pieczęci państwowych. Dyplomy te odznaczały się pięknem wykonaniem na nich czterdziestu herbów, tworzących obramowanie każdej strony dokumentu pergaminowego, zatwierdzającego dawne przywileje tych prowincyj przez cesarzy Aleksandra I, Mikołaja I i Aleksandra II.

Nie mniej bogatym w tejże kolekcji galwanoplastyk, jest zbiór pieczęci hermistrzów zakonu krzyżacko-inflanckiego i licznych komturów i wójtów krzyżackich, wodzących rej po zamkach i miastach zakonnych.

Inspektor gimnazjum realnego ryskiego, pan Karol Moltig, jako autor dzieła pod tytułem: „*Geschichte der Stadt Riga*,” przysłał na tę wystawę cały zbiór galwanoplastycznych odcisków pieczęci tego miasta z epok najrozmaitszych i kształtów najróżnorodniejszych. I ten zbiór zasługiwał na uwagę, bo był istotnie pouczającym. W tymże oddziale ułożono, w porządku alfabetycznym, paręset odcisków galwanoplastycznych pieczęci (prywatnych) rodów miejscowych z czasu pomiędzy rokiem 1229 a 1557. Pomędzy nimi wielka liczba takich, które obecnie są już rodami zupełnie polskimi.

Nie brak tu i zbioru pieczętek z herbami już to artystycznie wykonanemi na kamieniu, już też nieudolnie rżniętymi na metalu. Obok nich umieszczono odciski tychże pieczęci. Są tam nietylko szlacheckie, ale i mieszczańskie w znacznej liczbie. Pomędzy szlacheckimi dostrzegłem także herby polskie na krwawnikach pięknie wyrżnięte, a mianowicie herby: A b d a n k, G o z d a w a, N a l ę c z i R a d w a n.

Nieco dalej umieszczono niezwykle bogaty zbiór pieczęci dawnych urzędów ziemskich, grodzkich, miejskich, a nawet cechowych z epok najrozmaitszych. Z samej Ziemi Piltyńskiej (z którą to nazwą spotykamy się co chwila w dziełach naszych źródłowych, jak „*Volumina legum*,” „kodeks dyplomatyczny Dogieła,” „*Teka Podolskiego*”) figuruje ich tutaj długi szereg¹⁾. Jest w tym zbiorze także pieczęć z Tyszkiewiczowskiej obecnie Połagi, a wyrżnięty na niej napis polski w tych słowach: „Pieczęć sądowa hrabstwa Połagowskiego.” Pochodzi ta pieczęć oczywiście z czasów, kiedy Połaga stanowiła dziedzictwo Wincentego Potockiego, otrzymane drogą wiana po jego drugiej żonie, Helenie z Massalskich księżnie de Ligne, a więc z pierwszych lat w. XIX.

Wiele osób nadesłało na tę heraldyczną wystawę bogate zbiory odcisków najrozmaitszych pieczęci prywatnych, nad którymi rozwozić się niepodobna. Dla tego więc przechodzę do działu numizmatów.

¹⁾ O ziemi Piltyńskiej ogłosiła „Biblioteka Warszawska” w r. 1884 obszerne studjum p. t.: „Piltyń i archiwum piltyńskie”. Obacz „Bibl. Warsz.,” ogólnego zbioru t. 173, str. 169 — 193 i 429 — 440.

III.

Nie mniej imponującym, niż dział sfragistyczny wystawy heraldycznej mitawskiej jest jej dział numizmatyczny. Zawiera on tak pełny komplet monet z czasów arcybiskupów ryskich, panujących biskupów dorpackich, ozylijskich i t. d., oraz hermistrzów zakonu inflauckiego, o jakim dotąd ani się marzyło żadnemu z licznych numizmatyków krajowych.

To też na uzupełnienie tej zaokrąglonej całości złożyły się niemal wszystkie zbiory numizmatyczne miast nadbałtyckich. Już sama Ryga dostarczyła aż trzech unikatów, a mianowicie: talara Gotarda Kettlera z r. 1576, odbijanego z herbami Polski i Litwy, oraz cyfrą księcia Gotarda, trzy groszówki z r. 1586 z wyrazistym popiersiem Gotarda, a także podwójnego dukata, wybitego w r. 1764, z popiersiem urodziwego faworyta Anny, księżnej kurlandzkiej, a następnie cesarzowej rosyjskiej, Jana Ernesta Birona (właściwie Bühlrena), który, aczkolwiek był dosyć niskiego pochodzenia, wielką w dziejach Kurlandi odegrał rolę, a przez pewien czas także zajmował stanowisko w Rosyi, jakie już od r. 1886 objął w Bawaryi ks. Luitpold.

Godzi się więc dotknąć tu, choć w krótkich słowach, jego niezwykle burzliwej przeszłości, którą wiele okazów tej wystawy heraldycznej najżywiej przypomina.

Wpadłszy w oko księżnie Annie, wdowie po młodym księciu Fryderyku Wilhelmie (o którym niżej), został młody Ernest wysłany za granicę dla odbycia studyów prawno-politycznych w uniwersytecie królewieckim, skąd za burdy studenckie niebawem relegowany, przyjął w Mitawie skromne miejsce sekretarza przy boku księżnej Anny; następnie zaś, wpadłszy w jeszcze większe u niej łaski, mianowany został jej przybocznym kamerjunkrem. A gdy w styczniu r. 1730 umarł nagle Piotr II i Anna wezwana została na tron rosyjski, tenże urodziwy młodzieniec, Bühren, zajął w Mitawie wpływowe miejsce posła cesarzowej i równocześnie otrzymał tytuł oberhofmajstra Dworu rosyjskiego, skutkiem czego cesarz rzymsko-niemiecki, Karol VI, uważał za stosowne przysłać mu dyplom hrabiowski, w którym go

Bironem nazywa, a król August II, Sas, ozdobił go orderem Orła Białego, rycerstwo zaś kurlandzkie przyjęło do swego indygenatu, co mu dało prawo nabywania dóbr szlacheckich w Kurlandyi. Gdy zaś w d. 4 maja r. 1737 umarł w Gdańsku książę kurlandzki, Ferdynand Kettler, pismo cesarzowej Anny do najwyższych radców Kurlandyi wystarczyło do zwołania na d. 24 czerwca tegoż roku t. zw. „bratniej konferencji“, na której hr. Ernest Biron jednogłośnie obrany został na księcia Kurlandyi i Semigalii. Biron, jakkolwiek złożył natychmiast w ręce swojej dobrodziejki urząd oberhofmajstra jej Dworu, jako niezgodny z pozycją samodzielnego księcia — pozostał wszakże i dalej przybocznym doradcą tejsze Monarchini, która mu darowała liczne swe kurlandzkie dobra i posiadłości. Że zaś zwykle musiał przebywać w Petersburgu u boku swej dobrodziejki, wystarano się dlań od króla polskiego, formalnego pozwolenia „móź rządzić księstwem kurlandzkim z nadnewskiej stolicy“.

To też niezwykłą była potęga tego nowokreowanego lennego książątka, a ze śmiercią cesarzowej Anny (17 paźdz. 1740 r.) nietylko nie osłabła ona, ale raczej się podwoiła. Cesarzowa bowiem przeznaczyła następstwo po sobie synowi swej siostrzenicy, Anny Leopoldówny, W. księciu Iwanowi, w czasie małoletności którego Biron miał być regentem całego cesarstwa rosyjskiego. Lecz tylko przez jeden miesiąc cieszył się on tą nieograniczoną władzą. Antagonista jego, hr. Münnich, zdołał zaopatrzyć się w pełnomocnictwo, mocą którego w nocy z 19 na 20 listopada r. 1740 zaaresztował regenta wraz z całą jego rodziną. Aresztowanych odesłano niebawem do twierdzy Szlisselburskiej, a stamtąd, po nader krótkiej indagacyi, w której im zdradę stanu zarzucono, wyprawieni zostali do mieściny Pełym na Syberyę, matkę zaś małoletniego Iwana, wielką księżnę Annę Leopoldównę, ogłoszono regentką cesarstwa ¹⁾. Ta niebawem objawiła Kurlandczykom, że Ernest Biron przestał być ich księciem. W niemalym kłopotcie był przeto król August III, któremu Rosya takowem postępowaniem aż nadto wyraźnie pokazała, kto właściwie kreował księcia Birona, będącego przecie oficjalnie przyznanym len-

¹⁾ Źródła niemieckie nazywają stale matkę małoletniego Iwana IV-go, Anną Karłówną, rosyjskie zaś dają jej nie mniej stale nazwę Anny Leopoldówny, co zapewne stąd pochodzi, że ojciec księżnej Anny, „Herzog Carl Leopold“, nosił dwa imiona, z których pierwsze Niemcom, a drugie Rosyanom bardziej przypadło do smaku.

nikiem Rzpltej polskiej. Wszystko było w ciągłej niepewności, gdy nagle nastąpiła nowa zmiana w nadnewskiej stolicy. D. 6 grudnia 1741 r. wstąpiła tam na tron Elżbieta i manifestem, niezwłocznie wydanym, unieważniła wszelkie rozporządzenia byłego rządu, Birona zaś odwołała z Syberyi i osadziła go nad brzegiem Wolgi w Jarosławiu, skutkiem czego księstwo kurlandzkie i semigalskie w ciągu lat kilkunastu, t. j. aż do r. 1758, pozostawało bez żadnego księcia, a następnie widziało zdumione w r. 1763 w ciągu czterech miesięcy jednocześnie aż dwóch książąt Kurlandyi i Semigalii na swoim tronie książęcym — księcia Karola Saskiego i tegoż Ernesta Birona, cała zaś szlachta kurlandzka dzieliła się na zwolenników Karola (*Caroliner*) i Birona (*Ernestiner*), którzy nietylko ustnie, ale i w ogłoszonych drukiem broszurach, zarzucali sobie zdradę wzajemnie. Ze śmiercią króla polskiego, Augusta III (5 paźdz. 1763 r.) zmieniła się znacznie konstelacya polityczna mocarstw północnych, co, naturalnie, przyczyniło się do utwierdzenia Birona na tronie kurlandzkim. Katarzyna II w sierpniu 1764 r. odwiedziła go osobiście w Mitawie, a ze wstąpieniem na tron Stanisława Augusta weszło nowe słońce dla E. Birona, którego powtórne rządy w księstwie kurlandzkim przypomnia na tej pouczającej wystawie heraldycznej, ów rzadki dzisiaj dukat podwójny, wybity na upamiętnienie bytności Katarzyny II w Mitawie i wzmocnienie tronu Bironowego.

Do niemniej rzadkich monet zaliczają znawcy wystawiony tu pod № 1,063 dukat z r. 1646, ozdobiony popiersiem znanego już czytelnikom ze swej genialnej działalności księcia Jakóba Kettlera. Na odwrotnej stronie tego ciekawego dukata z w. XVII, widnieje orzeł polski i pogoń litewska. Nas Polaków interesowały także monety kurlandzkie wybijane w czasie panowania królewicza polskiego, księcia Karola Saskiego (1758 — 1763). Przedstawiają one wierny portret tego księcia, a na stronie odwrotnej orla i pogoń.

Pomiędzy tu wystawionemi licznemi monetami miasta Rygi, aż 5 rozmaitych nosi z jednej strony: portret Stefana Batoroego w królewskiej koronie, ze strony zaś odwrotnej ówczesny herb Rygi, tak, jak go widzimy oddanym w dolnej halli Sukiennic krakowskich.

W bogatym zbiorze medali wystawiono tu pomiędzy innymi medal z 16 stulecia z portretem księżniczki Ann y kurlandzkiej, córki ukochanej ks. G o t a r d a K e t t l e r a, a małżonki księcia Alberta R a d z i w i ł ł a, oraz medal z wieku XVIII, wybity przez Jana Holc-
häu kra w Warszawie, na pamiątkę subsydyów pieniężnych, ofiarowa-
nych przez wierne księstwo kurlandzkie w r. 1744 Rzpltej polskiej,
jako swej lenney Pani.

Dostrzegłem w tymże zbiorze medal z XIX stulecia, odnoszący się do znanej osobistości polskiej, do założyciela muzeum numizmaty-
cznego w Krakowie, Emeryka C z a p s k i e g o i jego małżonki z do-
mu Meyendorff. Medal ten został wybity w r. 1879 ku uczczeniu uroczystości srebrnego wesela Emerykostwa Czapskich. Przedstawia on połączone herby Czapskich i Meyendorffów oraz datę uroczystości.

Do tego oddziału przyłączono wystawę dzieł, odnoszących się do tej gałęzi wiedzy, jak np. wydana w r. 1695 w Amsterdamie księ-
ga francuska p. t.: „*La science des médailles*“ i wiele innych. Tu też widzimy rzadkie dzieło łacińskie Jana Fryderyka hr. Sapięhy, wyda-
ne w Kolonii w r. 1730 p. t.: „*Adnotationes historicae de origine ordi-
nis Equitum Aquilae Albae*“, tudzież ogłoszoną w Berlinie księgę
Vossberga p. t.: „*Siegel des Mittelalters von Polen, Litauen, Pommern
und Preussen*“, i nakoniec wydaną pod moim osobistym kierunkiem
przez Eustachego Tyszkiewicza w r. 1871 w Rydze: „*Sammlung von
Medaillen welche sich auf die Republik Polen beziehen und von 1772—
1855 geprägt worden sind*“, oraz nieskończoną liczbę monografij o ro-
dach najrozmaitszych, poczynszy od najstarszych, a kończąc na naj-
nowszych.

Oprócz tego wystawiono w dziale ksiąg, mających związek po-
średni z literaturą genealogiczną, cały szereg dzieł przez Polaków
kreślonych, jak np.:

- 1) Dogiela „*Codex diplomaticus*“, tom V-y, wydany w Wilnie 1754' roku.
- 2) Marcelego Janeckiego „*Handbuch des Preussischen Adels*“ (Berlin, 2 tomy z r. 1892 i 1893).
- 3) Tegoż autora „*Preussens Schwertadel 1871—1896 ein genealogisches Handbuch*“ (Berlin 1897 r.).
- 4) Działyńskiego „*Collectanea vitam resque gestas J. Zamoyscii illustr.*“ (Poznań 1861 r.).
- 5) „*Lites ac res gestas inter Polones ordinemque Cruciferorum*“ tomów trzy, wydanych 1855 r. w Poznaniu.

6) Piekosińskiego „Rycerstwo polskie wieków średnich“, tomów dwa, Kraków 1896 r.

7) Żernickiego - Szeligi E. „*Der polnische Adel*“ (Hamburg, 1900 r.).

Nieopodal dostrzegamy w dziale „Literatury genealogicznej“ nader charakterystyczne druki weselne pod zbiorowym tytułem: „*Rigasche Hochzeitscarmina*“ (wystawione tu pod numerem 1662). Na tych niezdatnych wierszyskach mieszczan ryskich, uderzają każdego nazwiska, mające obecnie bardzo ustalone stanowiska w tak zwanych kołach arystokratycznych nad Bałtykiem.

Zauważyłem, że tym wszystkim rodom mieszczańskim, przy ich uszlachceniu, dodano zgłoskę *n*, która, w przekonaniu Niemców, dodaje nazwiskom pewnej dźwięczności. Jako bijące przykłady, przytaczam pieśń weselną, p. t.:

„*Fünfstimmiger Braut - Tanz auff das Hochzeitliche Ehr - und Freudenfest des Herrn Johannes Oetting und der Jungfer Catharine Nunte*“

i drugą takiejże treści, a której tytuł:

„*Las Beste in Riga auf des Herrn Brever mit der Jungfer Catharina Reuter Hochzeitfreude, entdeckt von Christiano Bornmann*“.

Wymienione wyżej nazwiska pisują się obecnie: von *Oettingen*, von *Dunten*, von *Brevern* i von *Reutern*. Zbiór ten, nader ciekawy, dawnych druków weselnych, mieszczan ryskich, wystawił tutaj zarząd Ryskiej Biblioteki miejskiej, przechowujący go starannie pomiędzy *unikatami*.

Przechodzę z kolei do działu przemysłu artystycznego, stojącego w związku z heraldyką.

IV.

Dział przedmiotów, stojących w związku z heraldyką, a wykonanych artystycznie, z metalu, drzewa, gliny, szkła, kości słoniowej, skóry, kartonu, papieru i t. p., liczył mnóstwo wystawców zagranicznych i nie mało krajowych.

Do tegoż działu włączono ordery najrozmaitsze, pomiędzy którymi nie brakło i polskich „*Orła białego*“ oraz „*Virtuti militari*“.

U widzów kurlandzkich wywoływał najrzewniejsze wspomnienia widok jedynego orderu kurlandzkiego „*Ordre de la reconnaissance*“,

co go był ustanowił „*in memoriam recuperatae Curlandiae*“, ksiązę Fryderyk Wilhelm Kttler (urodz. 1692 † 1711 r.) wyrastający dopiero z lat pachołących.

Order ten dzisiaj tak rzadki, nie przeżył pono założyciela, którego szlachetność i poświęcenie się dla kraju, dotąd bywają podziwiane. Ukochał on pierwszą, gorącą miłością, księżniczkę Karolinę z Wolfenbüttel, a mimo to pożegnał się z marzeniami osobistego szczęścia dla dobra kraju (którego stan istotnie był rozpaczliwym) i zadając gwałt swemu sercu, ożenił się w 19 roku życia z rosyjską księżniczką Anną. Wiadomo wszakże, jak nieszczęśliwie skończył się ten związek.

Obrzęd zaślubin odbył się na dworze nadnewskim z całą okazałością w dniu 23 listopada 1710 r. Odtąd następował bankiet po bankiecie, a na każdym z nich wino łało się strumieniami. Młodziuchny ksiązę nie przywykły do wybryków i libacyj popadł w chorobę. Chory już wyruszywszy w drogę, na początku stycznia następnego roku, dostał gwałtownej gorączki na pierwszej stacyi, oddalonej o mil 6 od Petersburga. Mimo to, pragnąc jak najprędzej powrócić do ojczyzny, już nazajutrz ruszył dalej; zaledwie jednak dojechał do następnej stacyi, tak go siły opuściły, że się położył, aby już nigdy nie powstać! Wyzionął ducha 21 stycznia 1711 r., zanim mógł ziścić nadzieje Kurlandyi i zebrać owoce poniesionej dla kraju ofiary. Kształt ustanowionego przez niego orderu *de la reconnaissance*, krzyż biały emaliowany o ośmiu narożnych gałeczkach złotych, w środku herb Kurlandyi z napisem u wierzchu: „*pour les honnêtes gens*“. Noszono go na czerwonej wstędze o brzeżkach srebrnych. Na mitawskiej wystawie heraldycznej występował ten biały kruk pod nr. 1772-m.

W pobliżu orderów wszelkich krajów europejskich i niektórych azjatyckich, rozłożono w panoplie zdobną w herby *broń ręczną i palną* (rusznice z hakami i bez haków, muszkiety o krzosowych zamkach i rurkach przeważnie ośmiobocznych, osadzonych w łożach ozdobnie kością słoniową lub perłową macią inkrustowanych, rusznice skałkowe, których rurki obracają się około osi, krucice o rurkach ośmiobocznych, ku wylotowi na płask rozszerzonych), *broń sieczną* najrozmaitszą (pałasze, szable, karabele, kordelasy, miecze regimentarskie) a nawet *armatę* bronzową z r. 1673, ozdobioną herbem rodu Sakenów.

Pomijam cenne przedmioty metalowe lub rzeźbione z drzewa, opatrzone w herby, a więc puhary, roztruchany, kubki, zastawy srebrne stołowe, meble, skarbnice, sepety, sepeciki, witraże dawne i nowe w stylach najrozmaitszych, oryginalne i kopiowane (pomiędzy nimi

10 starodawnych, oryginalnych, nadesłanych na tę wystawę aż z Szwajcaryi), szkła i kryształy, majoliki najróżnorodniejsze i t. d., a wspomnę o bogato złożonym puharze szklanym z przepięknie wyróżnionym herbem królewicza polskiego *Karola Saskiego*, jedynego księcia Kurlandyi i Semigalii, co miał prawo zasiadania na tronie obok króla Rzpltej i dawania tam swego doradczego głosu w sprawach dotyczących Polski, władcę powszechnie kochanego, który lubo nie długo, ale dzielnie rządził księstwem kurlandzkim, a następnie ożenił się z rodowitą Polką, starościanką Franciszką Krasińską.¹⁾

Dział ten wystawy stanowił główne pole do popisu dla wystawców zagranicznych, zwłaszcza z Szwajcaryi, z Czech, Austryi i Niemiec. Przygotowali oni w swych zagranicznych pracowniach niezliczoną moc przedmiotów najrozmaitszych, a zwłaszcza szkielek (szklaniec, kielichów, puharów i t. d.) z pięknie wykonanymi herbami: Behrów, Felkerzambów, Firksów, Fitinghofów, Keyzerlingów, Klopmanów, Korffów, Ludynghausów-Wolffów, Manteufflów, Medemów, Offenbergów, Osten-Sakenów, Pahlenów, Rahdenów, Roppów, Ukskullów, Ungern-Sternbergów etc, a które przez zwiedzających

¹⁾ Franciszka Krasińska, córka Stanisława Krasińskiego, starosty nowomiejskiego (nowo-korczyńskiego) i Anieli z Humieckich, wojewodzianki podolskiej, poślubiła w r. 1760 królewicza Karola, księcia kurlandzkiego. Po śmierci rodziców i po obiorze na tron polski Stanisława Augusta, opuszczona chwilowo przez małżonka, przemieszkowała w Warszawie, Krakowie, Częstochowie lub Opolu Śląskim. Pilnie i czynnie zajmowała się sprawami Konfederacyi Barskiej, z których powodzeniem łączyła nadzieję wyniesienia na tron polski swego męża. Wreszcie, na wezwanie małżonka, wyjechała do Saksonii, i przebywała naprzemian w Elsterwerdzie i Dreźnie. Sejm polski 1776 r. opatrzył ją, jako małżonkę królewicza, znacznym dochodem. Żywość swój zakończyła w Dreźnie w r. 1796. Córka jej, Marya, wyszła za Karola de Carignan, księcia Sabandyi. Na tle życia tej królewiczowej polskiej, która przeżyła cały swój żywot w nieustannych walkach z losem, osnuła Klementyna z Tańskich Hoffmanowa zajmującą powieść p. t.: „Dziennik Franciszki Krasińskiej w ostatnich latach panowania Augusta III pisany“. Wspominają o tej królewiczowej polskiej szczegółowo: Eustachy Tyszkiewicz w książce p. t.: „Źródła do dziejów Kurlandyi i Semigalii“ (Kraków, 1870), i Kazimierz Pułaski w pracy: „Z życia księżnej kurońskiej“ (Warszawa, 1890), do której są dodane: „Listy Franciszki z Krasińskich księżnej Kurońskiej do Adama Krasińskiego, biskupa kamienieckiego“ (1769 — 1772). Wspomina i wielu innych autorów polskich o tej interesującej, ale jeszcze niedość dokładnie znanej postaci.

wystawę po wielkiej części istotnie nabywane zostają, gdyż co chwila spotyka się tam napis: „s p r z e d a n e!” Były atoli w tymże dziale i takie przedmioty, których nabyć nie było można za żadną cenę, że tylko przytoczę zbiór kafel zielonych z XV stulecia z pięknymi ornamentacyami figuralnemi, jakie zdobiły u dołu herby dawnych panujących biskupów kurońskich i piltyńskich, porcelaną saską wystawioną przez Keyzerlingów, na której widniały wszędzie herby ostatnich książąt kurlandzkich, całą etażerę pełną sprzętów szklanych, porcelanowych i majolikowych, uzyskaną na tę heraldyczną wystawę z pałacu ordynackiego Manteufflów z Katzdangen, a także liczne herbami ozdobione porcelany ze zbiorów Roppów, Liwenów i innych zamożnych domów kurlandzkich.

Pomiędzy wyrobami ze skóry odznaczyły się wytwornym smakiem i artystycznym wykonaniem wspaniałe mozaiki skórzane słynnego mistrza-introligatora ryskiego, Haffelberga, zwłaszcza wystawiony przez niego herb Klopmanów, wykonany w różnobarwnej mozaice, do której tylko użyto skóry. Rozmiary herbu były: 60×40 centymetrów. Nie mniej imponowała widzom wykonana w pracowni tegoż mistrza-introligatora olbrzymia głowa łosia otoczona wieńcem dębowym (herb miasta Mitawy), a rżnięta ze skóry niefarbowanej. To arcydzieło zostało nabyte przez komitet wystawy za stokilkadziesiąt rubli i będzie użyte doteki z fotografiami wielkich rozmiarów a przedstawiającemi osobliwości mitawskiej wystawy heraldycznej. Tę ceną tekę składa komitet w hołdzie Jego C. W. Wielkiemu księciu Włodzimierzowi Aleksandrowiczowi, jako honorowemu prezesowi tej wystawy.

W dziale wyrobów kartonowych, introligatorów zagranicznych, odznaczały się kasety o niezliczonej liczbie wyłożonych aksamitem maluczkich płaskich szufladek, przeznaczonych na zbiory numizmatyczne. Kasety te, a także praktyczne pudła na zbiory sfragistyczne, wystawił zakład Teodora Schrötera z Lipska. Nie brakło tu i pudeł na biblioteczne kartki katalogu najnowszego systemu, a nawet na zbiory pocztówek. Był bowiem na tej wystawie i dział pocztówek heraldycznych, zarówno krajowych, jak zagranicznych. Pomiędzy zagranicznymi odznaczały się zbiory pocztówek heraldycznych Karola Oeringa z Monachium, Bachofena z Wiednia, O. Rojka z Berlina i Pawła Kohl'a z Chemnitz; krajowych zaś dostarczyły firmy Kluge'go z Rewla i Hübnera z Mitawy.

Estońskie Muzeum prowincjonalne nadesłało kilkanaście herbów rodowych landmistrzów Zakonu krzyżacko-inflanckiego, wykonanych, przed paruset laty, barwami akwarelowemi na papierze,

a ryski związek „Czarnogłowców“ (*Schwarzhaupter*)¹⁾ dostarczył kilkunastu herbów mieszczan ryskich, wykonanych również na papierze, ale tylko tuszem.

W tymże dziale wystawiono kilkadziesiąt dawnych i nowszych drzew i tabeli genealogicznych (*les 16 quartiers*) ozdobionych już to 8-miu, już 16-tu, 32 a nawet 64-ma herbami przodków po mieczu i kądzieli, wykonanymi najczęściej bardzo artystycznie, a więc już z tego względu należących do działy heraldyki w zastosowaniu do sztuki i przemysłu artystycznego.

Ciekawą była tabela tylko 16 herbami ozdobiona, a wykonana dla Fryderyka Jerzego Medema, dzierżawcy dóbr Rekowo na Białej Rusi, a syna Ottona Madema, dziedzica dóbr Liepen i Prawingen w księstwie kurlandzkim i Semigalskiem. Wykonaną była w XVIII stuleciu. Taką tabelę 16 przodków Gotarda Budberga, wykonaną w r. 1700, zdobiły herby Zyberków, Fittinghofów, Plattenbergów, Hatzfeldów, Manteuffłów, Denhoffów i Korffów, odmalowanych na płótnie farbami olejnymi, srebrem i złotem. Kurlandzkie archiwum rycerskie wystawiło w tymże dziale pergamin z wieku XVIII z herbami 16-tu przodków Mikołaja Manteuffla, dziedzica dóbr Essern, Tingern, Iwen i Lambertshof; pomiędzy tymi herbami wyróżniały się pięknym wykonaniem herby Platerów, Rozenów, Tyzenhauzów, Grothusów, Korffów i Firków. Wystawiono też uzyskaną z ordynacji Manteuffłów tabelę nader oryginalną, wykonaną w XVII stuleciu, w której wszystkie herby wyrobione są ze srebra *en repoussée* i połączone pięknie wyrzeźbionymi gałęziami dębowymi. Całość rozpięta na ogromnej ta-

¹⁾ To możne stowarzyszenie, sięgające wieków, nosi dotąd nazwę odwieczną „Schwarzhaupter“ (czarnogłowców), bo herb stowarzyszenia mieści w sobie głowę św. Maurycego, który, jako rodem z Etyopii, bywa wyobrażany w postaci murzyna. Związek ten składają mieszczanie bezzenni, posiadający własność nieruchomą w mieście. Takie stowarzyszenia „Czarnogłowców“ istniały od wielu stuleci w Rydze, w Dorpacie i innych miastach hanzeatyckich, lubo nad Bałtykiem przetrwały tylko w Rewlu i Rydze aż do dni naszych. O potędze tego mieszczańskiego związku w dawnej Rydze będzie mógł powziąć czytelnik niejaki wyobrażenie, dowiadując się, że niegdyś własnym kosztem kazał odlewać wspianiałe działa dla obrony miasta. Niektóre z nich, zdobne w płaskorzeźby (a dotąd przechowane w muzeum ryskiem) są tak wykwiłtnie odrobione, że wobec nich działa tegoczesne wywierają wrażenie wytworu najzupełniej barbarzyńskiego.

blicy szkarłatnem suknem opiętej. Tablica ta służyć miała niegdyś za epitafium, umieszczone w jednym z kościołów kurlandzkich.

A były w tymże dziale wystawione całe szeregi prawdziwych epitafiów, z powodu umieszczonych na nich ozdób heraldycznych. Te które nie dały się ruszyć z miejsca, wystawiono w dokładnych rysunkach lub zdjęciach fotograficznych.¹⁾ Pomiędzy innymi dostrzegłem tu wizerunek pomnika grobowego Jana Andrzeja Patrycego Nideckiego, biskupa Wendeńskiego (w latach 1583—1587), o którym tak piękne dzieło napisał profesor wszechnicy Jagiellońskiej D-r Kazimierz Morawski. Były tu także wystawione podobizny kamieni grobowych syndyka ryskiego Gotarda Wellinga i rajcy Jana Tastyusza, którzy wierność swą dla Rzpltej polskiej życiem przepłacili w czasie tak zwanych zaburzeń kalendarzowych w Rydze, do których przyłączył się jeszcze ruch mieszczaństwa przeciw radzie miejskiej. Ten ostatni silnie się rozwinął, wywołując wiele okrucieństw za czasów namiestnictwa księcia Jerzego Radziwiłła, którego stanowisko stawało się tutaj coraz cięższem. Gdy pierwsza gwałtowna burza ucichła, obadwa stronnictwa (mieszczaństwo i rada miejska) oskarżyły siebie wzajemnie przed królem Stefanem Batorym, który rozstrzygnął, że rada miejska ma zostać na swem dawnym stanowisku. Atoli znany demagog Marcin Gize zdołał wzniecić niechęć mieszczaństwa przeciw dwóm członkom rady miejskiej—Tastyuszowi i Wellingowi. Wzięło ich mieszczaństwo na torturę i zmusiło do uczynienia zeznań, żądanych przez rozjuszone popółstwo. Pomimo zakłęt i śmiałej obrony burmistrza, stronnictwo przeciwne przystąpiło niebawem do wydania wyroku śmierci na obu obwinionych, z których pierwszy Tastyusz, na rynku ryskim stracony został publicznie d. 27 czerwca 1586 r., a drugi Welling w d. 1 lipca tegoż roku.

Brakło w zbiorze epitafiów, znanej już z innych wystaw dokładnej kopii epitafium jednego z przodków polskiej gałęzi Brunnowów Mikołaja Brunnowa (dziedzica dóbr Pahzen i Islitz w Kurlandyi), przechowanej w ordynacyi Schöppingków w Bornesmünde. Epitafium to z wieku XVII (otoczone 16 pięknie z drzewa rzeźbionemi barwami i złotem pokrytymi herbami, wytwarzającemi zarazem tabe-

¹⁾ Za pomocą sztuki fotograficznej oddano tu także chorągiew cechową miasta Hildesheim, ozdobioną aż 35-ma herbami cechowemi. Chorągiew ta ma pochodzić z w. XVI, a jej reprodukcję fotograficzną oznaczono numerem 2,241 na tej wystawie.

łę genealogiczną, wykonaną z artyzmem roku 1677), znajduje się po dzień dzisiejszy dobrze zachowane w kościele parafialnym w Bowsku.

Tylko tyle o epitafiach, których tu wystawiono nieskończoną liczbę z czasów dawnych i nowszych, już to w oryginale, już to za pomocą zdjęć fotograficznych.

Najobfitszą była wystawa najróżnorodniejszych „*Ex libris*“, na których figurują zwykle herby i ozdoby heraldyczne. W jednej z komnat wystawiono nawet osobny zbiór ksiąg temu pozornie błahemu przedmiotowi wyłącznie poświęcony, a tworzący oddział cały pod nazwą: „*Die Ex libris-Literatur*“.

I nic to dziwnego, gdyż owe „*Ex libris*“ stanowiły w Mitawie osobną część wielkiej wystawy heraldycznej, podzielonej na trzy główne działy:

1. Heraldyka, sfragistyka i genealogia w znaczeniu naukowym i historycznym.
2. Heraldyka, sfragistyka i genealogia w zastosowaniu do sztuki i przemysłu artystycznego, i
3. *Ex libris*.

Najsłabszą stroną tej wystawy była strona dekoracyjna, na czem zresztą wartość naukowa całości nic zgoła nie traciła. Zastanawiać wszakże musiała widzów, bardziej wykształconych, ta okoliczność, że niewybredni sprawozdawcy dosyć nieudolnie na ogół redagowanych dzienników nadbałtyckich, właśnie tą stroną dekoracyjną pouczającej i nader udatnej wystawy heraldycznej mitawskiej tak dalece zdawali się być olśnieni, że niemal wyłącznie jej opisami łamy odnośnych dzienników pozapełniali.

Najbardziej im zaimponowały liczne chorągwie dekoracyjne, nadesłane na sprzedaż z berlińskiego zakładu Besserta i Nettelbeka z nieudolnie na nich wykonanymi herbami Felkerzambów, Hahnów, Liwenów, Manteufflów, Roppów, Stakelbergów, Ungern-Sternbergów i Wranglów. Była to zwykła spekulacja wystawców ogół mało obchodząca, a dla której w ten sposób usiłowano zrobić reklamę. Niemniej ochoczo rozpisywały się miejscowe niemieckie

dzienniki o wykonanych na prędce *a tempera* czterech szkicach niezbyt wielkich rozmiarów, przedstawiać mających turnieje pomiędzy rycerzami, na których dalmatykach i rzędach końskich jaśniały herby miejscowych rodów szlacheckich. Kartony te, umieszczone na ścianach sal, oczywiście w celach wyłącznie dekoracyjnych, jako i długie szeregi w tenże sposób i w tymże celu na prędce skleconych herbów miast dawnych hanzeatyckich, nie odznaczały się zgoła ani dobrym smakiem, ani nowym pomysłem dekoracyjnym.

Natomiast makaty z ratusza rewelskiego, wykonane w roku 1547, z wytkanym na nich herbem „*Danebrog*“, zarówno jak sztandar z r. 1758 z herbem królewicza polskiego Karola Saskiego, księcia Kurlandyi i Semigalii, z pięknym monogramem tego sympatycznego władcy, umieszczonym artystycznie na odwrotnej stronie dobrze zachowanego sztandaru—zasługiwały istotnie na zaznaczenie.

Kończąc to pobieżne sprawozdanie, wyznać musimy, że wystawa heraldyczna mitawska była nader pouczającą, bo dla każdego, co pragnął odnieść z niej korzyść, przedstawiała oczywiście wielką moc materiału naukowego. To też należy się najszczerze uznanie dla prezesa Sekcyi heraldyczno-sfragistycznej kurlandzkiego Towarzystwa naukowego, Aleksandra br. Rahdena, iście niezmqrdowanego pracownika w tej gałęzi [wiedzy—że urządzając pouczającą wystawę mitawską, upamiętnił w sposób najodpowiedniejszy jubileusz dziesięcioletniego istnienia „Sekcyi“, której dzielnie przewodniczy od dnia jej założenia.

GUSTAW MANTEUFFEL.

PIŚMIENNICTWO.

ALEKSANDER KRAUSHAR. Towarzystwo Królewskie Przyjaciół Nauk. Księga III. Czasy Królestwa Kongresowego. Czterolecie drugie 1820—1824. (Warszawa 1904).

Epoka drugiego czterolecia Towarzystwa Przyjaciół Nauk należy, zdaniem autora, do ważniejszych. U schyłku pomienionego okresu przenosi się ono do nowego, wspaniałego gmachu. W nowym przybytku cichej a owocnej pracy i wiedzy, gromadzi Towarzystwo cenne skarby pamiątek ojczystych, wzbogaca zbiory biblioteczne, numizmatyczne, archeologiczne i przyrodnicze ofiarnością całego kraju i jako symbol nieśmiertelności wiedzy i ducha ludzkiego, kładzie przed frontonem gmachu podwaliny do posągu nieśmiertelnego Kopernika. W życiu wewnętrznym Towarzystwa, pod wpływem równomiernego rozwoju młodego uniwersytetu królewskiego ujawnia się duch energii i dążność do zrównania się w dziedzinie odkryć i wynalazków naukowych, jak również w sferze twórczości literackiej, z postępującą coraz dalej i coraz bujniej umysłowością europejską. Roczniki Towarzystwa nie wypełniają się już całkiem numizmatyką, występują w nich po raz pierwszy nazwiska: Brodzińskich, Skarbków, Skrodzkich i Milego, mężów, którzy zaznaczyli swą działalność naukową pracami, nie pozbawionemi do dziś dnia wartości trwałej. Z umiłowaniem obraca się kronikarz owych czasów w gronie mężów, noszących nazwiska: Stasziców, Niemcewiczów, Lelewelów, Bentkowskich, Bandtków, Chodakowskich, Rakowieckich, Surowieckich i tylu innych, przysłuchuje się ich mowom, utrwalonym w notatkach protokółów posiedzeń, odczytuje ich poważne, głębokie, pełne miłości dla spraw naukowych referaty i przenosi się myślą do sali posiedzeń, w której rozbrzmiewały hasła, nawołujące społeczeństwo do pracy, do rządności, do opiekowania się dolą ludu, do pielęgnowania ideałów, miłości rzeczy i spraw ojczystych.

Posiedzenie majowe w r. 1820 wypełniła ciekawa sprawa rodowodu Kopernika, poruszona we Francji i w Anglii, z powodu fałszerstwa, jakiego się usiłował dopuścić pewien pruski medalier oznaczeniem w wydawnictwie Zbioru medali znakomitych uczonych europejskich, Duranda, iż Kopernik z pochodzenia swego był Niemcem i jako taki, na medalu był wyobrażony i podpisany. W r. 1819 bawili w Paryżu dwaj młodzi polscy uczeni, Krzyżanowski i Karczewski, którzy dowiedziawszy się o takim fałszerstwie, zwrócili się do Duranda z nagłym przedstawieniem, by oddał prawdzie sprawiedliwość należną i pruski medal Kopernikowy, ze zbioru wycofawszy, zastąpił medalem polskim, do czego potrzebnego funduszu sami byli gotowi dostarczyć. Durand uczynił owej prośbie zadosyć i polecił wybić medal na cześć Kopernika inny, z napisem właściwym, którego odbicie z brązu Krzyżanowski nadesłał właśnie w maju Towarzystwu, z opisem całego wypadku, podanym w języku angielskim do pisma, w Dublinie podówczas wychodzącego (*Liberalista*).

Jednocześnie z usiłowaniami patryotów skierowanemi za granicą w obronie narodowości Kopernika, w obliczu Europy, w Warszawie dawno już dojrzywał plan wyboru najodpowiedniejszego miejsca dla pomnika wielkiego astronoma. Duszą owego projektu był Staszic. On to powziął zamiar umieszczenia owego pomnika przed gmachem nowym Towarzystwa, jako symbol wiedzy polskiej z ubiegłych wieków, upostaciowany w osobie jednego z najznakomitszych uczonych, jakich ludzkość kiedykolwiek wydała i jakim się chlubić miała prawo. Chodziło tylko o wykonanie owego pomnika w sposób zamierzonemu wielkiemu celowi najodpowiedniejszy. W tej mierze badawczy umysł Staszica powziął inicjatywę szczęśliwą do czego trafny wyjątkowy podał mu pierwszą pobudkę. W owym właśnie czasie, Rząd krajowy, mając przyzwolenie Cesarza Aleksandra I, powziął zamiar wystawienia posągu księciu Józefowi Poniatowskiemu, na placu Saskim, w pośrodku, w miejscu na planie Warszawy Coriota oznaczonem. Do wykonania owego posągu powołano sławnego rzeźbiarza duńskiego Thorwaldsena, znanego dobrze polskiemu społeczeństwu. Kiedy bowiem w r. 1812 po ogłoszeniu w Warszawie konfederacji generalnej, sejm zamierzył upamiętnić słowa Napoleona, zwrócono się do Thorwaldsena z prośbą o wykonanie Karyatyd, któreby podtrzymywały tablicę marmurową z wykutymi słowami Napoleona. Zanim jednak artysta dzieło to wykończył, nastąpiła katastrofa i karyatydy pozostały bez nabywców. Zakupił je następnie rząd duński dla umieszczenia po bokach tronu na Christiansborgu. Staszicowi wybór Thorwaldsena wydał się najwłaściwszym dla wykonania posągu Kopernika. Towarzystwo przyswoiło sobie myśl powyższą i szło

tylko o to, czy Thorwaldsen podejmie się kierunku tej roboty i wiele całe dzieło kosztować będzie? Przybycie Thorwaldsena do Warszawy opóźnionem zostało, a tymczasem składki na pomnik wpływały.

W 1820 r. w łonie Towarzystwa ujawniło się także pewne roznamiętnienie i rozgoryczenie wywołane reskryptami o cenzurze z 1819 r. Reskrypta powyższe, kontrasygnowane przez ministra Stanisława Potockiego i Staszica, stały się źródłem niesnasek wewnętrznych i inwektyw, miotanych przeciw owym dygnitarzom przez opozycję. Wśród Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Staszic, Stanisław Potocki, Linde, Koźmian, Woronicz, Prażmowski, byli za cenzurą, zaś Niemcewicz, Lelewel, Krysiński, przeciw niej. Mimo to wewnętrzna gospodarka Towarzystwa szła trybem najnormalniejszym. W zaciszu swego mieszkania mógł Niemcewicz dogryzać Staszicowi jako mężowi stanu i miotać na niego na kartach swego pamiętnika srogie inwektywy. W obrębie gmachu na Kanoniach stawał się innym i innym stawał się dla niego Staszic, jako prezes grona naukowego. W rzędzie tych, którzy nie skąpili hołdów wielkiemu, pełnemu ofiarności obywatelowi, a których to hołdów wyrazem miał się stać niezadługo adres uznania, opatrzony podpisami wszystkich członków, na pierwszym miejscu bywał zawsze Niemcewicz.

W tymże roku, namiestnik Zajączek oświadczył Staszicowi, iż dawny dom Towarzystwa na Kanoniach może być kupiony przez rząd na użytek dworu królewskiego, co by ułatwiło wystawienie nowego gmachu, na który udzieloną by została pożyczka skarbową. Staszic porozumiał się z kolegami, przyjął propozycję i postanowił zażądać za dom 200,000 zł. p. W d. 28 września 1820 r. o godz. 2½ po południu na placu Akademycznym, w pobliżu św. Krzyża w Warszawie, zebrało się w komplecie grono członków Tow. Przyj. Nauk, gdzie Prezes Staszic założył kamień węgielny pod budowę nowego gmachu Towarzystwa. Godna jest uwagi ta okoliczność, że o tym ważnym fakcie ani jedno z pism ówczesnych nie uczyniło wzmianki. We wrześniu przybył do Warszawy Thorwaldsen. Towarzystwo zawarło z nim umowę, mocą której kawaler Thorwaldsen zobowiązał się ukończyć model żądany w przeciągu 1½ roku za wynagrodzeniem 2000 dukatów. Na uiszczenie należności słynnemu rzeźbiarzowi posiadało Towarzystwo niezbędny fundusz, lecz nie miało takowego na zapłacenie brązu do odlania statui, na marmur potrzebny na podstawę i na opłacenie transportu z Rzymu do Warszawy. Na opłacenie tych wszystkich kosztów Staszic ofiarował ze swego majątku sto tysięcy, w tym celu aby mąż wielki Kopernik, cześć dla siebie od swoich ziomeków otrzymał i zabezpieczony został od sąsiadów naszych, chcących go za swego ziomeka przywłaszczyć sobie. Towarzystwo zapomniaw-

szy o wszelkich urazach politycznych, postanowiło oceniać Staszica wyłącznie, jako dobroczyńcę i kierownika swojego, wyrażając mu swoje uczucia na piśmie.

W r. 1821 zalecono do wyboru na członka Towarzystwa Fryderyka Skarbka, młodego uczonego, który właśnie w r. 1820 wydał w dwóch tomach „Gospodarstwa narodowego elementarne zasady“ i od 1818 r. wykladał ekonomię polityczną w uniwersytecie warszawskim. Skarbk odebrawszy wychowanie w liceum warszawkiem, wyjechał do Paryża na studia w kolegium tamecznem i zanim w licznych utworach literatury powieściowej i dramatycznej dał się poznać jako umysł wytworny, wrażliwy na piękno estetyczne, zasłynął pracami naukowemi, drukowanemi w Pamiętniku Warszawskim, które nań uwagę Towarzystwa zwróciły. Mniej życzliwą dla młodego profesora uniwersytetu okazała się arystokracja miejscowa, a nawet własny teść Skarbka. Uważali oni, że przyjęciem godności „bakałarza“ poniżył hrabiowską koronę. Na szczęście, innego przekonania była rozsądna małżonka młodego uczonego. Skarbk i Brodziński, który także został członkiem Towarzystwa, reprezentowali żywioł rewolucyjny w owem uczonem gronie; wprawdzie uosabiali oni ów pierwiastek nie w znaczeniu wywrotowem, politycznem, lecz w znaczeniu aspiracyi do wprowadzenia żywiołów zachowawczych Towarzystwa na drogę postępu, inicjatywy energiczniejszej, zgodniejszej i z rozwojem pojęć ogólniejszych społeczeństw zachodnich i z aspiracyami młodzieży dojrzałszej.

Skarbk podniósł w pierwszym swym głosie znaczenie Towarzystwa, jako Rzeczypospolitej, której kardynalnem zadaniem jest oświecanie ludzkości sprawiedliwem postępowaniem, prawdą w naukach i dociekaniach naukowych a władzą przewodnią i kierowniczą—mądrości. Na takim szemacie zamierzył Skarbk osnuć pierwszą swoją przemowę na zgromadzeniu publicznem, ale nie przewidział, że większość członków, a głównie Staszic, nie zgodzi się na takie, nieco konwentem francuskim trąjące zasady. Na posiedzeniu d. 28 marca, gdy Skarbk czytał pierwszy rozdział swej rozprawy: O wpływie administracyi na oświecenie publiczne, będącej częścią obszernego dzieła, które właśnie w tym roku miało się ukazać w dwóch tomach p. t.: Gospodarstwo naukowe zastosowane, czyli nauka administracyi, ks. Staszic wyraził opinię, iż należy z rozprawy Skarbka wykreślić ustępy zbyt śmiałe „we względzie politycznym“. Na wniosek ten obecni zgodzili się. Nie będzie bez interesu dla pokolenia żyjącego rzucić okiem na owe zakazane przez cenzurę Staszica z przed 80 laty ustępy, by się przekonać, że z takimi frazesami, jakich hr. Skarbkowi podówczas wygłosić nie dozwolono, dziś niemal codziennie

w pismach peryodycznych spotkać się można, bez obawy zakłócenia nimi porządku publicznego. Mówiąc o Rzeczypospolitej naukowej, podnosi Skarbek jej zalety w słowach: „nie dumna potęgą i świetnością ani chciwa władzy, szerzy ona rządy swoje tam tylko, gdzie oświaty potrzeba i gdzie jej ustawom oświecona ludność się poddaje. Nie lęka się ona ani napadu licznych hord obskurantów, ani zabiegów zwolenników ciemnoty, silniejsza nad władzę, która mocarstwa obala lub znosi, utrzymuje się i rośnie w znaczeniu i powadze, wśród walk namiętności ludzkich, wśród zaburzeń i zagłady państw i narodów i t. d.“ Oprócz pewnej górnolotności stylu, niepodobna w powyższych inkryminowanych frazesach, dopatrzyć się jakichś tendencji szkodliwych, antypaństwowych. Lecz w epoce ogólnej reakcyi europejskiej, tego rodzaju opinie mogły być w rzeczy samej „nie na miejscu“ i przeciw nim to właśnie była skierowana Staszicowa cenzura.

Poruszona inicjatywą kanclerza Rumiancowa sprawa wydawnictwa Kodeksu Dogiela otrzymała w początkach maja 1821 r. nowy impuls w skutek ofiarowania materialnej pomocy przez Waleryana hr. Krasińskiego, jedyne w rodzie Krasińskich wyznawcy kalwińskiej wiary. Staszic zawiązał z kanclerzem korespondencyę a Rumiancow wyraził listownie nadzieję, że zbiór Dogiela przekaże potomności pamiątkę dyplomatycznych układów dawnego Królestwa Polskiego, „*auquel moi même, je m'honore d'appartenir par l'indigenat accordé a feu mon père*“. W tymże roku członkowie Towarzystwa ujrzeni medal srebrny przesłany Fryderykowi Skarbkowi przez Towarzystwo Umiejętności w Haarlem za rozprawę uwieńczoną, na temat: „Czy wielka ilość ubogich, stawających się ciężarem niektórych państw europejskich, może być słusznie przypisana ludności przewyższającej możność jej utrzymania i, gdyby tak było, podać sposoby najlepsze i najzgodniejsze z zasadą moralności i zdrowej polityki, zaradzające dalszemu postępowaniu ludności, ażeby środki do utrzymania życia wystarczały dla wszystkich mieszkańców“.

Pracowicie i pożytecznie przeszedł Towarzystwu r. 1822 a 5 października 1823 r. zgromadzili się członkowie po raz pierwszy w nowym domu na Krakowskim Przedmieściu. Inauguracya odbyła się bez żadnych wyjątkowych festynów i biesiad. Nie lubił Staszic manifestacyi hałaśliwych. Dla poważnych mężów nauki wszelki blichtr i pozory były rzeczą podrzędną. Unikali oni tak dobrze rozgłosu, że w dniu otwarcia nowego gmachu nie znajdujemy żadnej zgoła reporterskiej notatki w pismach czasowych ówczesnych. Gmach był stawiany przez utalentowanego Corazziego i stał się prawdziwą ozdobą miasta, a sale w nim przyozdobiono pamiątkami, które członkom Towarzystwa przypominały przeszłość i zachęcały ich do naukowej

pracy. Na roku 1823 kończy autor tom powyższy, a więc lat ośm pozostaje jeszcze do opisania. Istotnie w ciągu czterolecia drugiego które autor sumiennie opisał, działalność naukowa Towarzystwa wypełniała i rozszerzyła się na rozmaite dziedziny. W kierunku przyrodniczym zabłysnął Skrodzki, Dybek, Malcz, wśród wynalazców spotykamy się z dawnymi znajomymi: Sternem, Milem, nie wspominając już o historykach literatury, historykach politycznych, prawnikach lub ekonomistach. Dzieje Tow. Przyj. Nauk przedstawione w łączności z całym ruchem naukowym i politycznym krajowym, dają nam poczucie ówczesnej cywilizacyjnej atmosfery i rzucają na powyższą dobę światło bardzo cenne i pouczające.

Do dziejów czterolecia drugiego zakradło się parę drobnych opuszczeń, które rzetelnej wartości dzieła nie przynoszą ujmy. Pierwszem opuszczeniem jest brak w wyliczeniu prac Surowieckiego: Projektu oswobodzenia włościan, który został przez niego wydrukowanym w przededniu opublikowania Konstytucyi Księztwa Warszawskiego. Projekt powyższy idzie dalej w kierunku emancypacyjnym niż konstytucya w artykule 4 i dekreta Księcia Warszawskiego. Daje on też świadectwo trwałe i znakomite nie tylko umysłowi, ale charakterowi obywatelskiemu Surowieckiego. Wymieniając prace Aloizego Biernackiego, agronoma, autor opuścił również najwcześniejszą i najważniejszą ze wszystkich, p. t.: „O zamianie zaciągów na daniny zbożowe lub pieniądze“ (Wrocław, 1808). Biernacki pojmował, że zniesienie poddaństwa w Księztwie Warszawskim było jednym z najważniejszych ówczesnych wypadków, wzywał obywatelstwo ziemskie do uszczęśliwienia swych włościan i ostrzegał, że bez ich skutecznego przyczynienia się, wsie, do których fantazya poetów wzdycha, będą u nas długo jeszcze siedliskiem nędzy, niewiadomości i najwyższej obojętności moralnej, nie tylko na dobro publiczne, ale nawet i na szczęście osobiste. Procz tego Biernacki nie tylko broszurą swoją przyczynił się do podniesienia stanu rolnictwa w rodzinnym kraju. Za czasów bowiem Księztwa założył we własnej wiosce, Sulisławicach pod Kaliszem, szkołę rolniczą i ta funkcyjowała pozytywnie przez czas jakiś.

A. R.

GENERAL SZILDER. Cesarz Mikołaj I. Jego żywot i panowanie. Tom I. (z 252 ilustracjami, 1903).

Literatura historyczna rosyjska wzbogaconą została w roku bieżącym poważną pracą generała Szildera, pod powyżej przytoczonym tytułem. Autorowi nie było danem doczekać się wydania tomu pierwszego, swego obszernego dzieła, poświęconego panowaniu Mikołaja I. Przed śmiercią wydrukował jednakże w „Ruskiej Starinie“ wyjątki ze swej pracy p. t.: „Cesarz Mikołaj I i Polska“, z których to swego czasu zdawałem sprawę w łamach Biblioteki Warszawskiej. Tom I poświęcony żywotowi i panowaniu Mikołaja I, odznacza się temi samemi cennemi przymiotami, co i poprzednie dzieła Szildera, poświęcone panowaniu Pawła i Aleksandra I. Niezmierne bogactwo materiału, opowieść łatwa i zajmująca, rozumowanie proste, przekonywające, poczucie sprawiedliwości żywe, wolne od wszelkich tendencji, gości tak samo w tomie I, traktującym o Mikołaju I, jak gościło dawniej w pracach o Pawle i Aleksandrze I. Spotykamy się tak samo w tegorocznem wydawnictwie z dawnym przepychem wydawniczym, a jeżeli do tego dodamy, że sprawy i stosunki polsko-rosyjskie, traktuje Szilder z dawną bezstronnością i poczuciem sprawiedliwości, to chyba będzie dostatecznem, ażeby ostatnie dzieło tego pisarza zainteresowało nasze społeczeństwo.

Szilder skreślił żywot Mikołaja I nadzwyczaj szczegółowy i rozpoczynający się od kolebki. Przy jego narodzinach w r. 1796 wyjątkowo nie znajdowała się babka, Katarzyna II, ale za to później poświęcała mu szczególną troskliwość i uwagę. W korespondencji z Grimmem nadmieniała nieustannie o jakichś nadzwyczajnościach, które w malcu odkrywała. Imponowało to babce, że wnuk objawił wczesny gust do kaszki, że wszystkim śmiało w oczy patrzył, jednym słowem, znać było, że ów malec podbił serce babki i stał się dla niej wnukiem, pełnym nadzwyczajnej cudowności. Jedną z pierwszych nianiek-guwernantek była szkotka Lyon, która dziwnym zbiegiem okoliczności, znalazła się w Warszawie w r. 1794. Powstanie uliczne skierowane przeciwko Igelströmowi i wojskom rosyjskim nabawiło ją śmiertelnej trwogi i przypawiło o czasową utratę wolności. Opowiadając małemu chłopczykowi o straszliwych przejściach, których była świadkiem, zaszczerpiła ona w dzieciennym umyśle niechęć, uprzedzenie, jeżeli nie nienawiść do Polaków. Cesarz Mikołaj później niejednokrotnie powtarzał, że nie mógł się nigdy oswobodzić od wrażeń,

jakie na nim owe opowiadania miss Lyon sprawiły, choć jej samej nie złego się nie stało i wyszła cało, zarówno na ciele jak i na umyśle.

Wykształcenie odebrał W. Ks. Mikołaj nadzwyczaj staranne. Matka przewidując, że przyjdzie mu prawdopodobnie odegrać w Rosyi nadzwyczajną rolę nie pozwalała na najmniejsze zaniedbanie pod względem wychowania i wykształcenia i zapobiegała temu troskliwie, aby jednostronnie nie zajmowano młodzieńca wojskowością. W. Książęta Mikołaj wraz z Michałem oddawali się prawie wyłącznie bawieniu w żołnierzy i wyobrażali sobie że rubaszność i gruba natura jest nieodłączna od tego zawodu. Matka starała się wcześniej o to, ażeby owe młodzieńcze wyobrażenia nie pozostawiły jakiegoś niekorzystnego wpływu na ich charakter, zwłaszcza, że owe dziecinne bawienie się w żołnierzy dość często kończyło się niepożądanem starciem armii dziecinno-nieprzyjacielskich. Młody Mikołaj, ukończył nasamprzód tak zwane kursa gimnazyalne i w pracy objawiał dość staranności i poczucia obowiązku. Po ich ukończeniu musiał wysłuchać kursu uniwersyteckiego nauk i w epoce swego kształcenia się objawiał jedynie zdecydowany wstręt do łaciny, który go i później nie opuścił. Już jako Cesarz, wszystkie łacińskie książki z biblioteki w Ermitażu kazał usunąć, twierdząc, że są one jedynie niepożytecznym balastem.

W r. 1812 Mikołaj pragnął wstąpić do wojska i wziąć udział w narodowej wojnie przeciwko najeźdźcy. Matka zbyła chłodno jego prośbę, objaśniając go przy tej sposobności, że czekają go inne zadania w przyszłości. Niezaspokojony w swych patryotycznych aspiracjach, Mikołaj, zwrócił się z gorącą prośbą do swego starszego brata, cesarza Aleksandra; ten oszczędzając ambicje młodzieńcze, wytłómaczył mu zręcznie, że jeszcze czas właściwy nie nadszedł, ale wkrótce może odpowiedni moment nadejdzie. Mikołaj okazał bratu posłuszeństwo, ale wojna 1812 r. nie przestała go żywo zajmować. Założył się on z jedną z księżniczek o jednego rubla srebrem, że z nim się skończy rok 1812 ani jeden nieprzyjaciel nie pozostanie na obszarze Rossyi. Naturalnie, rubel wygrany, został mu uroczyście wypłaconym i stanowił dla niego wspaniałe trofeum w braku rzeczywistych, których mu osiągnąć niepozwolono.

W r. 1814, W. Ks. Mikołaj i Michał wyjechali za granicę, pod opieką sumienną i troskliwą generała Lamsdorfa. W Paryżu natrafili na czas, w którym rosyjskie mundury nie wzbudzały sympatycznego uczucia. Zwiedzając dom inwalidów, W. Ks. Mikołaj zapytał jednego z okaleczalnych-inwalidów, gdzie otrzymał owe liczne blizny, które pokrywają jego ciało. Zapytany odpowiedział, że pod Berezyną urządzili go tak kozacy, ale nie pozostał im dłużnym, upadli

razem z nim na śniegu, tylko że on powstał i przywłókł się do Francji jako inwalida. Gdy Mikołaj opowiedział swą przygodną rozmowę z owym weteranem, cesarzowi Aleksandrowi, tenże zapragnął go zobaczyć i zakomunikował mu wiadomość, że właśnie pozwolił wszystkim jeńcom francuskim w Rosji powrócić do swego rodzinnego kraju. Weteran ucieszył się bardzo z tej wiadomości, ale radził cesarzowi, aby o swem postanowieniu zawiadomił Napoleona, to otrzyma od niego stosowne podziękowanie. Zdumiony cesarz objaśnił weterana, że dzięki głównie jego wpływom, Burboni znajdują się na tronie Francji, czem wywołał z jego strony bolesne narzekania, że obdarzył Francję królem, który nie potrafi wsiąść na koń i że ostatecznie Francja nie może istnieć bez Napoleona. W r. 1815 wracając do Petersburga W. X. Mikołaj, zjechał się z cesarzem Aleksandrem w Berlinie i tam na obiedzie galowym obaj monarchowie oznajmili uroczyście współbiedniakom o następujących zaręczynach W. K. Mikołaja z Karoliną, córką Fryderyka Wilhelma III. Ślub wszelakoż odbył się dopiero w 1817 r., a oblubienicę do Rosyi przeprowadzał ojciec w towarzystwie księcia Wilhelma, późniejszego cesarza Wilhelma I. Do orszaku weselnego dodano generała Natzmera, którego sekretnem zadaniem było zebrać jaknajdokładniejsze wiadomości o stanie wojsk i fortyfikacji rosyjskich. Natzmer dał bardzo pochlebne świadectwo materyałowi żołnierskiemu, jaki posiadała armia rosyjska, co się jednak tycze generalitetu, to w nim dostrzegł poważne braki a o talencie i doświadczeniu Dybicza wcale nie nabral nadzwyczajnych wyobrażeń.

W r. 1820 zaszła wielka zmiana w życiu W. X. Konstantego. Rozwód jego z pierwszą małżonką został nareszcie w rodzinie cesarskiej postanowiony i cesarzewicz, jak tylko go otrzymał, wziął w zamku królewskim w Warszawie ślub z hrabianką Grudzińską, najprzód w prawosławnym, a potem w katolickim kościele w obecności czterech świadków, generałów Kuruty, Albrechta, Knorringa i Bagawuta. Oblubienica otrzymała od cesarza tytuł księżnej Łowickiej z predykatem Jej Światłości i wkrótce po ślubie wszyscy dostrzegli, że lew został najkompletniej poskromiony przez gołębicę. Ślub jednakże cesarzewicza z Polką i katoliczką, wpłynął na powzięcie przezeń stanowczego zamiaru wyrzeczenia się tronu na korzyść W. X. Mikołaja. Cesarzewicz zwierzał się niejednokrotnie z podobnych projektów w przyszłości W. X. Michałowi. Wszyscy jednakże, których do tajemnicy dopuszczał, nie ufali bardzo stanowczości cesarzewicza i zdawało im się, że w danej chwili jeszcze się rozmyśli. Gdy jednak ślub nastąpił, cesarzewiczowi zdawało się, że stracił prawo do zautania narodu i że małżonka stanowić będzie wiekui-

stą przeszkodę do tronu. Przeprowadziwszy też korespondencję z cesarzem Aleksandrem I, przesłał na jego ręce akt zrzeczenia się tronu narzecz Mikołaja w r. 1822. Cesarz postanowił akt ten pozostawić w tajemnicy. Wiedział o nim książę Wilhelm pruski, książę Oranii, Karamzin i kilka urzędowych osobistości, ale najlepszym dowodem, iż go trzymano w tajemnicy, jest to, że nie wiedział o nim Dybicz, który był w wielkich łaskach u cesarza Aleksandra. Akt zrzeczenia się tronu dano jednak w odpisach do przechowania Filaretowi, metropolicie moskiewskiemu, a w Petersburgu przechowała odpis rada państwa, senat i świątobliwy synod.

W r. 1824 W. X. Mikołaj był użyty przez króla pruskiego, swego teścia za rodzaj pośrednika do cesarza Aleksandra. Na dworze Berlińskim stały się wówczas dwa wypadki, które mocno poruszyły opinię miejscową. Fryderyk Wilhelm III ożenił się z hr. Harrach, katoliczką, której nadał tytuł księżnej Lignitz i hrabiny Hohenzollern. Jakkolwiek śluby królewskie były tylko morgantycznymi i nie zagrażały w niczem sukcesyi tronu, to jednakże ze względu na to, iż oblubienica była katoliczką, sfery dworskie zostały mocno zaniepokojone i starały się odwieść króla od zamiaru. Fryderyk Wilhelm III polecił Mikołajowi I aby uprzedził dobrze cesarza Aleksandra względem swych zaślubin i to też W. Księżciu udało się w zupełności. Drugi wypadek był jednak drażliwszej natury. Książę Wilhelm zakochał się w księżniczce Elżbiecie Radziwiłłównie i pragnął ją, jako osobę równego rodu (Ebenbürtig) pojąć w małżeństwo. Ponieważ późniejszy Fryderyk Wilhelm IV nie miał potomstwa, a więc Prussom, groził ten złowróżbny wypadek, że królową pruską mogła zostać w niedalekiej przyszłości polka i katoliczka. Postanowiono też na dworze pruskim poruszyć wszystko, aby podobną kombinację matrymonialną uniemożliwić. Tem bardziej trzeba było energicznie działać, gdyż na dworze pruskim istniało poważne stronnictwo, sprzyjające księżniczce Radziwiłłównie. Zdaje się nawet, że sam król nie bardzo był niechętnym podobnemu związkowi, a najpoważniejsi historycy prawa państwowego i prywatnego niemieckiego (Eichhorn) oświadczyli się za równorodnością Radziwiłłów z Hohenzollernami. W przeszłości mieli oni też wyraźne dowody na to, że zarzutu nierównorodności, Radziwiłłom, nie stawiano. Hohenzollern wziął dawniej Radziwiłłównę za prawowitą a nie morgantyczną małżonkę, tak samo jak i Radziwiłł pannę Hohenzollern. Dopiero późniejsze ustawy domu królewskiego pruskiego obostrzyły warunki równorodności w małżeństwie i skutkiem tego uznano związek księcia Wilhelma, z Elżbą Radziwiłłówną za niemożliwy. Król pruski spróbował jeszcze jednego środka, ażeby księcia Wilhelma prze-

konać o swej wyrozumiałości i dobrych chęciach względem niego. Prosił on cesarza Aleksandra, ażeby on adoptował księżniczkę Radziwiłłównę. Cesarz Aleksander odmówił królowi pruskiemu żądanej adoptacyi, ale zdaje się, nawet gdyby się zgodził na uczynioną propozycję nie byłby sporu ostatecznie załagodził, istniała bowiem szkoła prawników niemieckich, która utrzymywała, że adoptacja nie może zastąpić warunków naturalnych, czyli innemi słowy mówiąc, że księżniczka Eliza nie może w żaden sposób zostać królową pruską.

W r. 1825, podczas bytności swojej w Warszawie, cesarz Aleksander wynurzył się przed cesarzewiczem z zamiarami połączenia prowincyi dawniej do państwa polskiego należących z Królestwem Polskiem. Zamiary powyższe mają swoją osobną historję, która została uwzględnioną w dziele Szildera Aleksandrowi I poświęconem. Że cesarz Aleksander I, nosił się istotnie z podobną myślą dowodzą tego mowy, któremi sejmy Królestwa otwierał, a zwłaszcza pierwszy w r. 1818. Urzeczywistnienie obietnic, odkładane zawsze na przyszłość, zdradzało jednak pewną chwiejność w postanowieniach cesarskich. Aleksander przeczuwał, że opiuma narodu rosyjskiego będzie stanowczo przeciwną podobnemu połączeniu i Karamzin niedwuznacznie już to swemu monarsze wypowiedział. Naród rosyjski podzielał bezwiednie przekonanie Katarzyny II, która na propozycję Herzberga, aby przyjęła tytuł królowej polskiej, odpowiedziała, że nigdy tego uczynić nie może, albowiem nie zajęła ani piędzi ziemi polskiej, tylko dzielnice rdzennie ruskie i litewskie, które zachowały zawsze swoją odrębność i samodzielność od polskich. Przez czas pewien zamiar połączenia prowincyi litewsko-ruskich z Królestwem Polskiem osłabł w cesarzu Aleksandrze. Miało to miejsce około 1820 r. ale podczas ostatniego swego pobytu w Warszawie, Aleksander I, zadowolony z przebiegu sejm, kilkakrotnie dał poznać cesarzewiczowi, że pragnie dawne projekta urzeczywistnić, i w tym celu nadał korpusowi litewskiemu, barwy i hafty wojska polskiego. Cesarzewicz świadcząc później przed cesarzem Mikołajem I o powyższych rozmowach, dodawał nawet, że odbywały się one niekiedy w przytomności wyższych dygnitarzy cywilnych i wojskowych, tak, że nie były one wcale tajemnicą dla polskiego społeczeństwa.

Aleksander I, w ostatnich latach życia, powiadomiony był dokładnie o tajnych spiskach nurtujących w wojsku, a nawet w gwardyi rosyjskiej i dążących do niejasnych i nieokreślonych reform politycznych i społecznych. Cesarz Aleksander silnie był rozgoryczony i zniechęcony powyższemi objawami i niejednokrotnie objawiał zamiar cofnięcia się do życia prywatnego, przyczem zacisze wioskowe głązieś nad Renem przedstawiało dla niego szczególny

urok. Zanim jednak którykolwiek z zamiarów Aleksandra, zdołał się przyoblec w rzeczywistość, nastąpiła śmierć cesarza w Taganrogu w 1825 r. W Petersburgu W. X. Mikołaj, nie chcąc nic wiedzieć o aktach abdykacyi, utrzymywanych w tajemnicy, złożył natychmiast przysięgę na wierność cesarzewiczowi, a co więcej, usilnie namawiał radę państwa, ażeby bezwzględnie postępowała jego śladami. To samo co W. X. Mikołaj, uczynił generał Miłoradowicz z garnizonem Petersburga, a ponieważ, jak się ów generał wyrażał „60,000 bagnatów siedziało u niego w kieszeni“ zdawało się, że nikt się powyższemu przykładowi nie oprze i wszyscy bez wyjątku złożą przysięgę na wierność cesarzewiczowi. Zwłaszcza rozumowanie Miłoradowicza, które podzielał W. X. Mikołaj, było proste i ludzające. Ustawy zasadnicze, zdaniem Miłoradowicza, wskazywały wyraźnie kto po śmierci Aleksandra ma zostać cesarzem. Temu więc bezwzględnie należało złożyć przysięgę na wierność, nieturbując się o to, czy są w tajemniczy sposób przechowane jakieś dokumenta, zmieniające porządek sukcesyjny. Naprzód elementarny obowiązek, a później będzie dość czasu na odszukanie dokumentów i zastanowienie się: co czynić wypada.

Rada państwa, senat, synod, to jest wszystkie instytucje cesarstwa, które miały przechowane w odpisach dokumenta zrzeczenia się cesarzewicza, sankcyonowane przez Aleksandra I, zwlekały ze złożeniem przysięgi. Chciały one zyskać na czasie i doczekać się ze strony cesarzewicza, stanowczego oświadczenia, któreby rozwiązało wszelkie wątpliwości i wyjaśniło skomplikowaną sytuację. Przytem wszystkie powyższe instytucje miały za sobą niewątpliwy zwyczaj prawny. Do przysięgi na wierność monarsze, przystępowały wszystkie instytucje cywilne i wojskowe, nie wtedy, gdy się im to zdawało stosownem, ale wówczas, gdy manifestem zostały przez nowego cesarza wezwane. Otóż w tym wypadku cesarzewicz nie wezwał ich do złożenia sobie przysięgi na wierność ale wprost przeciwnie, powoławszy się na dawne zrzeczenie, oświadczył najkategoryczniej, że brata swego Mikołaja uważa za cesarza i jemu też łącznie z wojskami polskimi złożył przysięgę na wierność. Stanowczość cesarzewicza wpłynęła korzystnie na społeczeństwo petersburskie, a przedewszystkiem na władze państwowe i wojsko. Zanim jednakże W. X. Mikołaj zdołał ująć ster państwa w swe dłonie, wybuchnął spisek Dekabrystów, który szybko stłumiony został, energicznem wystąpieniem Mikołaja, kilkakrotnie życie swoje wystawiającego na poważne niebezpieczeństwo. Przebieg walk ulicznych, organizację samego spisku i głównejsze postacie dekabrystów, scharakteryzował generał Szilder gruntownie i wybornie. Cesarzewicz ludził się nadzieją,

wojska polskie pozostały wolnemi od wszelkiego udziału w spisku, pokazało się niestety, że tak nie było, ale w każdym razie udział powyższy był podrzędny i cesarzewicz nie przestawał dowodzić swojemu bratu, że polakom zupełnie o co innego chodzi, choćby należeli nawet pozornie do jakichkolwiek bądź spisków. U nich jedynie na myśli jest sprawa „nationalité“ i tylko w jej imieniu gotowi są spiskować do nieskończoności.

Szilder skreślił zaledwie pierwszy rok panowania Mikołaja I, a więc załatwił się w pełni jedynie z Dekabrystami. Autor odtworzył nam całe zachowanie się spiskowców przed sądem i opisał szczegółowo kaźń, jaka ich spotkała. Monarcha okazał się niewątpliwie dla nich surowym, ale uwzględniał sumiennie wszelkie okoliczności łagodzące i widocznem było, że pragnie być przede wszystkim sprawiedliwym. Zaraz po wstąpieniu na tron Mikołaj I, rozpoczął korespondencję z cesarzewiczem, aby mu wyjaśnić, jakie stanowisko zajmie w sprawie polsko-rosyjskiej. Cesarz pragnął kwestyę postawić jasno, otwarcie, aby z dziedziny polityki usunąć wszelkie nieokreślone i nieujęte nadzieje. Aleksander I, niedomówionemi obietnicami podtrzymywał w polakach nadzieję połączenia litewsko-ruskich dzielnic z Królestwem Polskiem, ale czując niechęć, jaką społeczeństwo rosyjskie żywi dla powyższej kombinacji politycznej, nigdy nie pomyślał na seryo o jej urzeczywistnieniu. Mikołaj I, tej niepewności i chwiejności w monarszych przekonaniach, chciał raz na zawsze tamę położyć. Nieokreślone i nie ujęte obietnice poprzednika, nieobowiązywały go do niczego. Wskrzeszone Królestwo Polskie, z jego organizacją państwową i stosunkiem do Rosyi, przyjmował, jako porządek prawno-polityczny, pozostawiony mu przez Aleksandra I i gotów był go z całą lojalnością zachować i utrzymać. Do pewnego stopnia przyrzekał Mikołaj I być zarazem Rosyaninem i Polakiem, ale po za granicami Królestwa Polskiego zapominał o swoim polskim charakterze i pragnął, ażeby polacy nie liczyli w tym kierunku na żadne ustępstwo. Cesarz Mikołaj przeczuwał, że taką lojalnością nie zdobędzie sobie popularności wśród mieszkańców Królestwa, ale też w gruncie rzeczy nie dbał o nią wcale, a nawet nie wiele sobie robił z uienawiści za to, że nie spełniał życzeń narodowych polskich, byle tylko przyznano mu, że stoi na gruncie obowiązującego prawa państwowego i jest sprawiedliwym. W owej korespondencji, która przez długi czas była tajemnicą stanu, Cesarzewicz stał po stronie poglądów Aleksandra I i przekonywał cesarza Mikołaja I, że polacy mają pewne prawo oczekiwać po nim spełnienia obietnic poprzednika. Faktycznie jednak cesarzewicz oddawał polakom nienajlepsze usługi. Nikt w Królestwie nie domyślał się, że kraj ma takie-

go rzecznika w najważniejszej i najdonioślejszej sprawie narodowej, wszyscy natomiast byli przekonani, że samoistność Królestwa jest mocno zagrożona i że cesarzewicz może jedynie doradzać swemu bratu zniesienie rządów konstytucyjnych w Królestwie. Cesarza Mikołaja I obchodziły żywo sprawy Królestwa Polskiego. Śmierć księcia namiestnika Zajączka odczuł głęboko i nazwał ją „une perte irréparable“, która go bardzo zasmuciła. Zajączek, zdaniem Szildera, należał do tych nielicznych mężów stanu polskich, którzy wytrwali wiernie w pragnieniu zbliżenia się do Rosyi i w chęci zgodnego, pokojowego z nią pożycia.

Z 252 ilustracyi, zdobiących Tom I-szy świetnego owego wydawnictwa, tylko jedna przypomina, że Mikołaj I był zarazem koronowanym królem polskim i że panował nad państwem wskrzeszonym przez swego poprzednika. Ilustracją ową jest podobizna, dość nawet szczęśliwa, księżnej Łowickiej. Zresztą spotykamy pustkę, a przecież należałoby sobie przypomnieć, że książę Zajączek był namiestnikiem cesarza Mikołaja I i że nie ubliżonoby w niczem wydawnictwu zamieszczając podobiznę generała, który w Thiersa dziele Konsulatowi i Cesarstwu poświęconem, figuruje w rzędzie tych, którym pod Berezyną wielka armia zawdzięczała ocalenie swego honoru i istnienia. Nie posuwam dalej moich wymagań, stwierdzam jedynie fakt, że podobne pomijanie spraw Królestwa Polskiego nie daje pełnego obrazu żywota i panowania cesarza Mikołaja. Z źródeł polskich poznał Szilder dwie prace: 1) pamiętniki generała Kołaczkowskiego i 2) pracę Lisickiego. Wielopolskiemu poświęconą. Zdaje się, że wiedzy historycznej odnoszącej się do owej epoki, nie należało na tak skąpem źródle ograniczać. Po za tem jednak, spotykamy się w Tomie I-szym ostatniej pracy generała Szildera, z tą samą wyrozumiałością i sprawiedliwością w sądzie, oraz przedmiotowością w badaniu stosunków rosyjsko-polskich, co i w pracach poprzednich. W tem dziele, zarówno jak i w poprzednich, panuje poszanowanie historycznej prawdy i żadna jednostronna tendencya, czy stronnicza namiętność nie znalazła do niego przystępu. W zamian za tak cenne przymioty, prace generała Szildera zdobędą sobie uznanie i po za granicami rosyjskimi, a przedwczesny jego zgon wywołał żal nie tylko w łonie rosyjskiego społeczeństwa. W postaci generała Szildera straciła literatura historyczna rosyjska, męża sprawiedliwego, badacza gruntownego i sumiennego.

A. R.

JÓZEF WISNIEWSKI: Współczesna liryka polska. (Sprawozdanie dyr. gimn. w Jaśle, r. 1993).

Autor zastrzega się z góry, że nie chodziło mu o wyczerpanie materiału; wobec sprzecznych sądów o dzisiejszej sztuce, pragnął „rozpatrzyć się gruntownie i beznamiętnie“ w najistotniejszych przejawach jej i przyczynić się do rozświetlenia tych przejawów. Na samym końcu swej pracy wyznaje, że sumiennie przetrzymał utwory wszystkich współczesnych poetów, korzystał ze wszystkich prac w tej materii u nas ogłoszonych, głównie zaś „ze znakomitego dzieła“ Ign. Matuszewskiego: „Słowacki i nowa sztuka,“ które mu najwięcej pomogło do „zsyntetyzowania odniesionych wrażeń.“ Rozprawę swą, wcale obszerną, bo na 61 stronach druku zwykłej ósemki, podzielił na dwie części: w pierwszej przeprowadza genealogię modernizmu, uważając Asnyka za pomost między naturalizmem a modernizmem, czyli neoromantyzmem, następnie wymienia różne objawy modernizmu, jak okultyzm, spirytyzm, buddyzm, satanizm, różne cechy, jak beznadziejny pesymizm, pragnienie nirwany, ból, wizjonerstwo, subiektywizm i indywidualizm, subtelność, uduchowienie, głębię psychiczną, kult piękna, przerafinowanie chorobliwe i monotonne, anormalność, sztuczność i ekscentryczne wyodrębnienie się od tłumu, rozbrat z etyką i czynnikiem społecznym; dalej nastrojowość, symbolizm; zachwyca się wirtuozostwem formy, porównuje modernizm z romantyzmem, usiłuje oczyścić najnowszą poezję z zarzutu kosmopolityzmu, wreszcie wymienia długi szereg obcych nazwisk: Baudelaire'a, Belgijczyków, Wagnera, Shelleya, Poë, Nowalisa, Böcklina, praerafaelitów, Ruskina, Nietzsche'go i t. d., oświadczając: „Z wszystkich tych źródeł piliśmy pełną piersią“ — ale stanęliśmy na własnym gruncie.

Cała ta część grzeszy brakiem ścisłości w definiowaniu, powierzchowną ogólnikowością i niemal zupełnie bezkrytycznym entuzjazmem dla modernizmu. To żadna zdobycz, że modernizm wyłonił się, jako konieczna reakcja z naturalizmu; lecz jak się wyłaniał, wśród jakich walk i wpływów, jakim ulegał i ulega przemianom i hasłom? Odpowiedź na te pytania, jasna i wyczerpująca, byłaby zasługą znaczną, ale wymagała gruntownego i pracowitego obeznania się z całym piśmiennictwem naszym i obcym ostatnich lat 20. Epiteta dodane do Asnyka: „wulkaniczny, kipiący, królewski, kryształowy, górny, bujny, mistyczny“ i t. d. — to próżna gadanina, podobnie jak

Owe „ziola, egzotyczne kwiaty, trawy, liany, skowronki, słowiki, orły i plejady kanarków,“ które autor widzi na naszym Parnasie. Jeżeli chodziło o oczyszczenie modernistów z zarzutu, że pograżyli się w „pessimizm wprost beznadziejny,“ że pragną nirwany, że są znużeni, znudzeni i rozpieszczeni: to takim oczyszczeniem nie jest odwołanie się na ból „nad wszystkim“ załamujący ręce i dziwne twierdzenie autora, że przez ten ból „nad wszystkim załamujący ręce“ ta poezya „jest taka droga i czysta.“ Należało owe bóle poddać krytycznej analizie i wykazać, że nie są one skarłale, niedołężne, zblazowane, że nie wypłynęły z nikczemnego zabójstwa ducha, któremu przez nadużycia moralne i fizyczne obcięło się skrzydła uczuć mocnych i mężnych. Są bóle pod względem estetycznym wstrętne.

„Wszyscy młodzi — pisze autor — to wizjonerzy, wpatrzeni w mistyczne jakieś potęgi. Dla tego nie trzebaby mieć duszy, aby takiej poezyi nie odczuć i nie ukochać.“ Ależ można odczuć, a nie ukochać! Wizjonerstwo zaś i mistycyzm nie uzasadniają pretensyi do panowania nad sercami ludzkiemi. Serca ludzkie zdobywają tylko ci, którzy czują i cierpią z ludźmi i do tego wizjonerstwa nie potrzeba. Nie wyjaśnia autor stosunku poezyi modernistycznej do realnego świata zjawisk: raz mówi o jej „zupełnem niemal zamknięciu oczu na rzeczywistość konkretną,“ drugi raz twierdzi, że najnowsza sztuka „nie zrywa z obserwacją realistyczną.“ Zarzut kosmopolityzmu, czyniony modernistom, nazywa „zupełnie niesłusznym,“ a popiera swoje twierdzenie śmiesznem w swej nadętej wyniosłości zdaniu: „Uskrzydłony mistycyzm jest zbyt wyniosły, by miał zawierać pakt z przyziemnym światem!“ Przyznajemy się, że dla nas, prostaków, ten pityjskim tonem wygłoszony argument wydaje się... naiwnym. Szkoda, że porównanie modernizmu z romantyzmem wypadło tak pobieżnie, mogło bowiem być pouczającym; za błąd również trzeba uważać, że ustęp o źródłach obcych nie znalazł organicznego związku z wyluszczeniem genezy modernizmu.

Część drugą rozprawy, znacznie słabszą jeszcze, poświęca autor wyliczeniu całego szeregu najnowszych naszych poetów. Dzieli ich wszystkich na fantastyczne grupy i zaopatruje szeregami ogólnikowych epitetów. A więc do grupy „Na starą nutę“ należą: poważny Faleński, „czysty, jak łza,“ Gomulicki, wdzięczny, miękki i bardzo „przyjemnie kołyszący“ Or—ot, typowy epigon romantyzmu K. Gliński, bezwybuchowy Cz. Jankowski, „zbyt wielki realista, by olśnić lub zachwycić“ St. Rossowski, zbliżający się do młodych St. J. Wierzbicki, nieczuły na nowe kierunki L. Rydel, wyczelowany parnasista K. Górski i t. d. W grupie „Qui amant“ wymienieni: kobieta-Tyrteusz M. Konopnicka, żywiolowy i rozpęta-

ny Fr. H. Nowicki, namiętnego temperamentu i wichrowy A. Niemojewski, „silny gigant-duch, syn ziemi, wielki nad wielkie, potężny” i t. d. Jan Kasprowicz; śpiewak podkarpackiej ziemi, Orkan. W grupie: „K r u k p e s s y m i z m u. E v o e B a c c h e !” znalazł się—rzecz szczególna—tylko Przerwa-Tetmajer. Nie brak zato „C z c i c i e l i p i ę k n a.” Na czele Miriam, zaopatrzone całą armią epitetów, jak „prosty, świetlany, czasem wzniosły, poważny, głęboki, czasem blady, mało porywający, pełen rozważli, erudyta, pełen smaku, nieporównany wirtuoz, analityk, refleksjonista, chłodny czasem i t. d., i t. d. Antoni Lange, wirtuoz, oddający nastroje niejasne, nieuchwytny, symboliczne, mgliste, miękkie, sielskie, idylliczne; czasem wątpliwy, czasem ufający, tęskny, podniosły, marzycielski i t. d. Jerzy Żuławski, „urodzony” pesymista, „prawdziwy” panteista, „wielki” refleksjonista, „zbyt mało” liryczny, a jednak „ogromny” entuzjasta, „zbyt patosowy,” ale „zawsze” twórca niepopolity... Zofia Jankowska, „nienjęta,” „nieuchwytna,” „mglista, wytworna, melancholijna, kołysząca, upajająca, odurzająca, oszalamiająca. Ludwik Szczepański, który byłby podobny do trubadura, gdyby nie „zgrzyt,” ten zaś „zgrzyt” świadczyłby o przesycie i znużeniu, gdyby nie „energiczne nie!” Tu zaliczeni także: „mgławicowy fantasta-symbolik” Jellenta, „wirtuoz zawsze zdala od ziemi i jej praw” Brzozowski, „krytyk-impresjonista, nirwany pragnący” Sten. Komornicka, która „pragnie i gardzi,” najbardziej zaś pragnie „zrzucić pęta ciała,” a ponieważ „biedna” nie może, więc „błądzi;” „znużone i blade dziecko wieku,” bolesny i nieuleczalny Perzyński; cierpiący na przeczulicę nerwów, w czarnej rozpaczce pogrążony, „typowy” indywidualista, mglisty, chaotyczny, czasem ciemny, ale „miły,” gdy się uśmiechnie, Mirandolla: odznaczająca się „pulsacją krwi” Zawistowska; wirtuoz i nastrojowiec pełen melancholii Dębski, „łkająca trochę gorzko,” z „bezsilną” duszą—Wolska; melancholii pełen nastrojowiec, wirtuoz, także z „bezsilną” duszą Wyrzykowski; mistyczny Wolski; „wrażliwy” nastrojowiec — Lieder; niezbyt lotny nastrojowiec — Szukiewicz; „czysty” nastrojowiec—Pietrzycki; „poeta-dziecko”—Zbierzchowski; „wesoły” nastrojowiec—Adamowicz; „zatoniona w mgłach”—Ostrowska; „płaczący rzewnie”—Łada.

Rzecz dziwna, że najczęściej powtarzają się przymiotniki: mglisty, ciemny, łzawy, oderwany od ziemi, gardzący życiem—ale zawsze w znaczeniu najwyższych pochwał. Gdyby one były prawdziwe, to byłoby i dla nich i dla społeczeństwa pożyteczne — odprawić te „mgliste,” „płaczące” i „pragnące nirwany” dzieciątka do pracy w pocie czoła, aby przestały tak kwilić nad sobą, a nabyły więcej hartu, oraz wiary w sens życia. Sądzimy jednak, że autor w naj-

lepszey myśli przeholował i nie wyświadczył żadnej usługi uwielbianym poetom. Dalszą etyką jest *Dekadentyzm*: tu mieści się Przybyszewski, który wszystkie grzechy swej poezyi, nawet kosmopolityzm, okupił czarującem arcydziełem „Nad morzem:“ tu należy także Sterling, Pieńkowski i Lewandowski. Wreszcie pod napisem *Moc* znajdujemy Daniłowskiego, Staffa i Micińskiego. Na końcu, już bez etykiety, z domyślną chyba „P i ł a t w e r e d o“ — Edward Porębowicz!

M. MAZANOWSKI.

EL (KAZIMIERZ LASKOWSKI). *Melodye*, Warszawa, Gebetner i Wolff, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1903, 12^o str. 200, cena rb. 1.

Znanym jest piosenkarzem p. Laskowski i lubionym. Podoba się nuta śpiewna, raz tęskna, to znowu dziarska i zadzierzysta jego piosenek; podoba się łagodny półcień tęsknoty, podzwaniającej niekiedy w jego śpiewkach; chwyta za serce gorąca miłość ludu, którego rytmikę, obrazowanie, mowę nawet potrafi El tak doskonale naśladować. A przedewszystkiem wprowadza w podziw nadzwyczajna, wprost niebywała łatwość wierszowania. To jest właśnie jeden z najcelniejszych przymiotów Ela, ale to jest zarazem jego wada.

Nieraz też błahe są przedmioty piosenek „miejskich“, brukowych. Już bo El mieszczuchem nigdy nie zostanie! urodził się na wsi, wśród ludu, który, jak mówi, był jego „jedynem kochaniem“ i tam w karczynie, w zawisistej czapce baraniej i w tym pasie z kółeczkami czuje się jak u siebie, ale na „miastowego“ w krótkim spancerku i czapeczce z daszkiem nie zdał się wcale. Zostawiłby to lepiej takim łykom, jak Or-Ot, jak Gomulicki, których też w znacznej mierze naśladuje, jak w wierszykach, niezbyt udatnych, o expodsędku, o studencie-prawniku, o dwu szewcach, Rochu i Marku, o zabawach tanecznych w różnych lokalach jakiejś kamienicy warszawskiej.

Nie światowy to człowiek i damom łakoci wierszowanych rzucać nie umie, jak Asnyk, którego tu sobie obrał za mistrza; utwory jego erotyczne za mało mają czaru poezyi, aby opromienić to, co jest brzydkie, za mało też siły namiętności, coby nam kazała zapomnieć o brzydocie! A niech no zacznie stylizować te dusery, gotów przerazić spokojną warszawiankę takimi zwrotami, jak „podrobionych uczuć czek“, lub „twych źrenic kapitele“.

Ale to darmo! El „szlifbrukiem“ ani bawidamkiem salonowym nigdy nie zostanie! Jego dziedzina to pola szerokie, potoki srebrzyste, chaty niskie i zgrzebne odzienie. Nic to, że jego Lore-Ley kąpie się raz na rok, a myje raz w tygodniu, a od przodownicy Marysi w żniwa pot ciecze po gorsecie—tu te efekty naturalistyczne są zupełnie na miejscu. I tu dopiero El jest w swoim żywiole, i tu talent jego jaśniejnie prawdziwie. Słuchaćby tylko jego piosenek, oto pierwszą z brzegu.

Za orle skrzydła
 Sławy mgłę!
 Za ugwiażdżone tło rozbrzasków!
 Nie dałbym jednej;
 Grudki! nie!
 Rodziny piasków!

Albo tej innej, tak przedziwnej w swojej melodyjności:

Chcesz piosenek mych, dziewczyno!
 Mych piosnek chcesz?
 Oczkiem swem skrzysz!
 Popłyną!
 Że choć garścią bierz
 Malino!
 Że choć garścią bierz!
 Zerknij ładnie z pod fartuszka
 Aż do serca wskroś!
 A zaśpiewam coś do uszka!
 Tylko zerknij z pod fartuszka,
 Aż wgłęb serca! wskroś!

Ale więcej ich jest; nie sposób wszystkich przytoczyć. Musiałoby się tylko pod każdą piosenkę melodyę podłożyć, a poszłaby po rosie.

Sympatyczny talent p. Laskowskiego, tak żywo przypominający naszych „lirników“ i „teorbanistów romantycznych, rozwijały się o wiele pomyślniej i o wiele piękniejsze dawały owoce, gdyby rymowanie—nie przychodziło mu z taką łatwością. A co będzie, jeśli prócz nuty nic nie zostanie ni dla serca, ni dla wyobraźni? Powinien autor „Piosenek“ gorąco wziąć do serca tę starożytnych Rzymian przestrożę: *non multa sed multum*, nie wiele, ale dobrze. P. Laskowski nadużywa łatwości wierszowania, czaruje nią słuchaczy, nie troszcząc się nieraz, by wartość piosenki godna była formy. On zawsze

i wszędzie, w każdej okoliczności życia gotów rymować, niema przedmiotu, któryby nie potrafił przyodziać w skoczną nutę krakowiaka; nie jest za blahe, za małe, za prozaiczne dla jego skrzypicy. O czem kto inny napisze sążnisty artykuł wstępny, lub wabny lekkością stylu felieton, to u Ela składa się niby samo od niechcienia w dźwięczne rysy i układa się symetrycznie w rytm kujawiaka. Wierzmy chętnie, że gdyby p. Laskowski pisał wierszem notatnik terminowy w „Kuryerze” lub ceny targowe i cedulę, czytalibyśmy z przyjemnością, bo te śpiewki byłyby tak melodyjne!

Czy na Nowy Rok, czy na adwent, czy na Zaduszki lub na Boże Narodzenie, czy z powodu jakiegoś balu dobroczynnego, czy też nadchodzącej „fatalnej czternastki“, El zawsze ma gotową piosenkę. Imieniny Prusa nadejdą, czy staremu Kostrzewskiemu wypadnie coś przyjemnego powiedzieć, czy wreszcie zdarzy się jubileusz Konopnickiej, El zawsze ma w zanadrzu piosenkę. A zawsze zgrabną, i miłą, i śpiewną. Ale często bez treści.

HENRYK GALLE.

WACŁAW GAŚIOROWSKI. Rok 1809, powieść historyczna z epoki napoleońskiej, tom I i II, Lwów, nakładem „Słowa Polskiego“, 1903, 8 o, str. 364 i 268.

Utwory napoleońskie p. Gaśiorowskiego, roszczą sobie pretensye do miana wielkich obrazów doniosłych wypadków historycznych; pretensya to niczem nieuzasadniona. Powieści bowiem historyczne autora „Pigularza“ możemy uważać jedynie za mniej więcej udane ilustracye ważniejszych momentów epopei napoleońskiej. I pod tym względem „Rok 1809“ w niczem nie odrodził się od swoich poprzedników: „Huraganu“, „Kajetana Stuarta“ i „Rapsodów napoleońskich“. Talent p. Gaśiorowskiego wcale tu nie postąpił, owszem, najwidoczniej wyczerpał się doszczętnie już w „Huraganie“, bo w niniejszej powieści nie dał nic takiego, czegoby w tamtych utworach nie było. A więc akcyę zmyśloną, osnuwającą się, jak tam, około jakiegoś bohaterskiego młodzieńca, jak w „Huraganie“ Gotartowskiego, pełną przygód nadzwyczajnych i niebezpiecznych; a więc obok tego tło dziejowe, wielkie wypadki owoczesne, Raszyn, wkroczenie Austryaków do Warszawy,

zajęcie Galicyi przez wojska polskie, wreszcie bitwę pod Wagram, gdzie Polacy, pozostający pod rozkazami Napoleona, walczyli przeciw Polakom z szeregów austryackich. I na tem się kończy. Ostatniego aktu tej tragedyi dziejowej, któryby stanowił właściwe rozwiązanie powieści, przyłączenia Galicyi do Księstwa Warszawskiego niema tu wcale. Powieść więc nie kończy się, ale urywa. Wogóle budowa utworu bardzo niedoleżna. Z początku rzecz zaciekawia; zawiązek jest dość zręczny, akcja toczy się wartko, coraz szersze zatacza kręgi, ale wyczerpuje się już w końcu drugiego tomu. Dalsze więc przygody bohatera są już piętnieniem nadzwyczajności i niespodzianych efektów, luźnie związanych. I tu jednak akcja nie wyczerpuje się, bo koniec powieści pozostawia nas w niepewności co do dalszych losów bohatera. Mogła się więc powieść skończyć o tom wcześniej, lub o dwa tomy później, dowolnie.

Przytem dwa pierwiastki zasadnicze utworu: akcja dziejowa i akcja zmyślona, nie są związane dość zręcznie, wielkie wypadki historyczne wydają się dowolnie doczepionymi do intrygi, a traktowane rozwlekłe i drobiazgowo, stanowczo wychodzą po za ramę koniecznego tła dziejowego, przyćmiewają swoim ogromem i bohatera i jego losy.

Gdybyż jeszcze te wypadki były odtworzone artystycznie! Obrazy dziejowe p. Gąsiorowskiego posiadają jeden tylko warunek twórczości, żywość, ale brak im zupełnie niezbędnej malowniczości. Te bitwy, których tyle we wszystkich tych powieściach napoleońskich, tak płaskie i bezbarwne, a wszystkie do siebie podobne, a żadna z nich nie czaruje wyobraźni, nie uplastycznia wypadków dziejowych.

Wreszcie, postacie epizodyczne są tu kubek w kubek te same, co w „Huraganie“: stare wiarusy, ze złotem sercem, tubalnym głosem, siarczystem przekleństwem na ustach, o nieustraszonej odwadze i rubaszości obrazowej. To już poprostu przerasta w manierę.

„Rok 1809“, jak i „Huragan“, czyta się mimo to wszystko z zajęciem, bo sam przedmiot jest tak świetny i tak drogi każdemu sercu.

HENRYK GALLE.

MARYA KONOPNICKA: Na jagody! Książeczka leśna. Warszawa. Nakładem J. Lisowskiej.

Literatura dla dzieci, na ogół biorąc, jest u nas rozwinięta dość słabo. Przyczyna tego wiąże się niewątpliwie ze znamienym dla naszych stosunków faktem uchylania się wszystkich wybitniejszych talentów pisarskich od tej pracy, uważanej za niewdzięczną. Nie przesądzam w tej chwili, o ile to jest słuszne, lub nie. Zaznaczam jedynie, że wybitni poeci i wybitni powieściopisarze nie zniżają u nas swej twórczości do poziomu świata dziecięcego, a jeżeli to robią, to niezmiernie rzadko. Takim rzadkim wyjątkiem wśród grona pisarzy współczesnych jest Marya Konopnicka, która w bogatym dorobku swoim, obok arcydzieł takich, jak „Pan Balcer w Brazylii” i ostatnie utwory włoskie z cyklu „Italia”, ma cały szereg drobnych książeczek, pisanych specjalnie dla dzieci.

Może to, że poetka jest kobietą i matką, pozwala jej rozumieć i kochać świat dziecięcy lepiej od innych, może zaś tylko prawdziwy i przedziwny jej talent, obejmujący wszystko, i na tem polu bez trudu odbywa pochód zwycięski, dość, że utwory Konopnickiej dla dzieci wysunęły się od lat kilku na czoło naszej literatury „gwiazdkowej”, i budzą za każdym ukazaniem się swoim szczere zadowolenie rodziców i — naturalnie — ogromny zachwyty wśród dzieci.

Konopnicka, jak mało kto, umie do nich przemawiać, umie im opowiadać, umie wejść w ich świat i wspólnie z nimi oglądać tam rozmaite dziwy, tłumacząc je przystępnie i właściwie. A czyni to wszystko przy pomocy pięknego, potoczystego wiersza, który płynie z pod jej pióra z niezmierną łatwością.

Oto jak poetka zaczyna swoją „Książeczkę leśną”:

„Tuż nad Bugiem, z lewej strony, stoi wielki bór zielony. Noc go kryje skrzydłem kruczem, świt otwiera srebrnym kluczem, a zachodu łuna złota, zatrząskuje jasne wrota. Nikt wam tego nie opowie, moje panie i panowie jakie tam ogromne drzewa, ile ptaszyn na nich śpiewa, jakie kwiatów cudne rody, jakie modre w strugach wody, jak dąb w szumach z wichrem gada, jakie bajki opowiada“ itd.

Tak równo, gładko i pięknie, toczy się cała opowieść, mająca za temat przygody małego Janka, który wybrał się do boru po jagody i tam spotkał „króla jagodowego“, Krasnoludka, który mu państwo swoje pokazał, zapoznał go z królewietami i wtajemniczył w cuda boru.

Cała rzecz, doskonale utrzymana w tonie, robi wrażenie niezmiernie miłe, co, w połączeniu z udatnemi i starannie wykonanemi ilustracyami, składa się na całość wprost wyjątkowo ładną. Mimowoli też nasuwa się pod pióro uwaga, że tak właśnie należy pisać i wydawać książki dla dzieci, o ile mają one odpowiadać swojemu celowi, t. j. łączyć piękne z pożytecznym, kształcić smak dobry i rozwijać umysł.

Z. D.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Czytelnicy nasi pamiętają niewątpliwie to, co przed kilku miesiącami pisaliśmy na tem miejscu o stosunku prasy warszawskiej do prowincyi. Oстрым naszym uwagom ówczesnym nie zaprzeczono z żadnej strony, co poniekąd stanowić może dowód bardzo pocieszającego faktu, że prasa poczuwała się do winy w tym względzie. Czy tak było istotnie? tego nie przesadzamy, z niekłamaną jednak radością notujemy obudzenie się w dziennikarstwie warszawkiem świadomości potrzeby poważnego, publicystycznego traktowania spraw prowincjonalnych, świadomości, która wieje z ogłoszonej w pierwszych dniach stycznia r. b. ankiety „Kuryera Warszawskiego“. Z artykułu, poświęconego przez redakcyę tej sprawie, dowiadujemy się, że „Kuryer Warszawski“, celem lepszego poznania potrzeb prowincyi, organizuje szeroką akcyę wywiadowczą.

Warszawa—czytamy w zapowiedzi ankiety—koncentruje całą niemal uwagę publicystyki i kół, chętnych do podejmowania pracy społecznej, oraz wszystkie nasze wysiłki kulturalne. Wskutek tego Warszawa poniekąd dostraja się, zarówno w postaci zewnętrznej, jak swemi instytucyami, do poziomu wielkich miast europejskich. Co innego prowincya. Miasta gubernialne i powiatowe pozbawione są bruków, światła, kanalizacji, wody, dobrej komunikacyi, czystych hotelów, tanich kąpeli, szpitalów, przytułków, ochron, służby zdrowia. Miasteczka zaś toną w błocie i ciemnościach, mają wodę zatrutą, domy na poły zrujnowane, dachy dziurawe, okna powybijane, ulice, rojące się od krów i świu, rynki zagnojone. Produkty spożywcze są sprzedawane w obrzydłych sklepach, stragany stoją na nwozie, pieczywo, wygniecione rękami setek spożywców, piekarnie, urządzone razem z sypialniami, łaźnie zakażone, kąpiele, oblażłe robactwem, mięso o podejrzanem pochodzeniu, piwo skwaśniałe, mleko niepewne, pomoc lekarska w ręku felczerów i owczarzów, szpitalów brak, ochronek brak, przytułki na cmentarzach, cmentarze w środku miasta i t. d. Na tem tle rojowisko ludności niechlujnej, bladej

i wynędznialej, zacofanej i ciemnej, do której niema przystępu żadna chęć uczynienia życia lżejszem, jaśniejszem i bardziej ludzkim. Tak wygląda prowincya miejska.

A wieś?

Wieś ma pozory lepsze, ale treść taką samą. I tu brak elementarnych instytucyj kulturalnych, ekonomicznych i fachowych, i tu zacofanie ukazuje swoje straszne oblicze.

W tak opłakanych warunkach istnienia inteligencya usycha; ludzie, pragnący wygodniejszego życia, unikają prowincyi, reszta zaś pogrąża się w apatycznym, mechanicznem zarobkowaniu, nie widząc żadnych sposobów polepszenia położenia.

W ostatnich kilku latach widzimy jednak znamiona pewnej reakcyi przeciw obecnemu stanowi rzeczy. Najpierw ruszyły się inteligentne żywioły wiejskie, mówiąc prościej—rolnicy. Jęli się oni bardzo energicznie, z uznania godną sprawnością, do zakładania spółek rolniczych i handlowych stowarzyszeń współdzielczych. W instytucjach tych rozwinęli dzielną akcyę, mającą na celu podniesienie fachowe i ekonomiczne swego zawodu. Z wielką czujnością strzegli swego obowiązku podnoszenia wytwórczości krajowej, wysyłając delegatów na zjazdy ogólniejsze, badając stosunki rolnicze w krajach o wyższej kulturze, informując sfery miarodajne o potrzebach wsi. I włościanie nie pozostali za tym ruchem zbyt daleko w tyle. Rozwija się wśród nich i wykształcenie zawodowe, i popęd do pracy spółkowej, mającej na uwadze wzrost wypłodności ziemi, ułatwienia handlowe i rozszerzenie pojęć o racjonalnej gospodarce. Nawet na obszernem polu oświaty, komunikacyi i instytucyj humanitarnych szerzą się dowody, że wieś nasza pragnie podnieść swój stopień cywilizacyjny i potrzeby swe w sposób wyższy zaspakajać. Co się tyczy większych miast prowincjonalnych, nie czynią one tyle, ile powinny, niemniej wszakże i tam znać pewien ruch. Łódź, Płock, Częstochowa, Lublin, Radom i inne podejmują cały szereg robót publicznych, że wymienimy np. oświetlenie i kanalizacyę, organizują instytucye kredytowe, starają się o rozwój instytucyj społecznych.

Wymowny wyraz temu obudzeniu się inteligencji prowincjonalnej dał odbyty w kwietniu r. ub. zjazd higieniczny, który zgromadził bardzo znaczną liczbę członków Tow. higienicznego z pośród lekarzy i inżynierów, aptekarzy, ziemian i innych. Referaty były celowe i pełne treści, zupełnie pozbawione cech przygodności, a narady ujawniły czujność członków zjazdu na potrzeby prowincyi, oraz dokładną ich znajomość.

Można tedy śmiało powiedzieć, że stoimy teraz w obliczu bardzo poważnych zagadnień, obchodzących terażniejsze i przyszłe pokolenia w najwyższym stopniu. Oceniając to, redakcja „Kuryera Warszawskiego“ przyznaje w imieniu publicystyki polskiej, że nie zawsze jest ona w możności należycie spełnić ciężące na niej zadania informacyjno-doradcze, zwłaszcza, kiedy chodzi o aktualne sprawy bieżące.

„Brak poważnych sił współpracowniczych na prowincyi, trudność zebrania materyałów statystycznych, pewna zamkniętość prowincjonalnych ruchów społecznych, oddalenie od wielu okolic kraju—te i tym podobne przyczyny sprawiają, że o życiu prowincjonalnem dochodzą nas tylko wiadomości ułamkowe i przeważnie z fali powierzchniowej zebrane. Wewnętrzna treść tego życia i jego ruch istotny, tak samo, jak świeży, na gorącym uczynku schwytywany rozwój stosunków, usuwają się często z pod naszej uwagi—zaznacza redakcja „Kuryera“ i oświadcza, że, pragnąc temu zaradzić „umyśliła zetknąć się osobiście z życiem prowincyi“.

Jestto postanowienie zupełnie zgodne z tem, do czego doszliśmy omawiając tę sprawę przed kilku miesiącami w naszej „Kronice“ i dlatego prawdziwie nas cieszy fakt, że ten postulat, nie tylko znalazł odgłos, ale w tak krótkim stosunkowo przeciągu czasu ma widoki na urzeczywistnienie.

Zobaczmy teraz, jak redakcja „Kuryera“ zamierza zabrać się do rzeczy?

„W ciągu roku bieżącego—czytamy w dalszym ciągu artykułu „Czego potrzebuje prowincya?“—do wszystkich większych miast w Królestwie, jak gubernialne oraz przemysłowe (Łódź, Częstochowa, Sosnowiec i inne) będziemy wysyłali kolejno specjalnych delegatów, którzy bezpośrednio, z ust głównych przedstawicieli życia gospodarczego, społecznego i umysłowego miejscowego zaczerpną dane i informacje o stanie i potrzebach bieżących miasta i okolicy. Przedstawiciel rolników powie nam o potrzebach rolnictwa, przedstawiciel instytucji kredytowej—o potrzebach kredytowych, lekarz i aptekarz—o higienie, inżynier i przemysłowiec—o komunikacyach, duchowieństwo i inteligencja miejscowa—o moralności, rzemieślnik—o rzemiośle i t. d. W ten sposób liczymy na to, że dowiemy się z ust najkompetentniejszych i najbardziej zainteresowanych żywej, bezpośredniej prawdy.

Każdy z delegatów naszych, po powrocie z wycieczki swojej, zda z niej sprawę przed czytelnikami „Kuryera“ w jednym referacie, aby całość miejscowych potrzeb oraz ich współzależność uwidoczniły się łatwo i wyraźnie. Spodziewamy się, że wywiady naszych dele-

gatów, którzy, nie potrzebujemy chyba nadmienić, kierować się będą zupełną bezstronnością, spotkają się z życzliwym poparciem inteligencji miejscowej, a w ten sposób będzie załatwiona część ciążącego na nas obowiązku publicystycznego i spełniona część informacyjnej pracy publicznej, bez której żadna szersza akcja społeczna udać się nie może“.

Na pierwszy ogień ankiety wybrano Łódź, jako miasto „wielkie i rozwijające się energicznie, a ciążące swym wpływem i znaczeniem na naszym gospodarstwie ekonomicznem“. Później pójdą kolejno: Lublin, Radom, Kalisz, Kielce, Siedlce, Płock, Łomża, Piotrków, Suwałki oraz Częstochowa, Sosnowice, Pabjanice i t. d. „Nadto—dodaje „Kuryer“—gdyby się w toku pracy okazało, że ta lub inna okolica, ze względu na postępujący ruch życiowy lub, przeciwnie, ze względu na szczególne zaniedbanie, wymaga zwrócenia na nią uwagi publicznej, nie zawahamy się, bez względu na połączone z tem koszta i trudy, wydelegować tam naszego współpracownika, aby rzeczy zbadał i o nich w „Kuryerze“ zdał sprawę.

Tak się przedstawia w zarysach projekt „Kuryera“. Szczegóły będą się kwalifikowały do omówienia dopiero po próbie praktycznej, która, jak to zaznaczono powyżej, ma być dokonana na Łodzi. Do tego też czasu wstrzymujemy się z oceną taktyki, proponowanej przez inicjatorów tej ciekawej, niewątpliwie pouczającej, ważnej i pilnej ankiety.

Trudno jednak nie podkreślić, że sama myśl jest wyśmienitą i że umiejętne jej wcielanie w życie może się okazać w skutkach swoich bardzo doniosłe. Oczywiście, wszystko zależy od wykonania. Dobrze jest atoli, że wykonania tego podejmuje się pismo tak zasobne w środki materialne, jak „Kuryer“, pismo, dla którego ani wybór odpowiednich współpracowników, ani pokrycie bądź coby bądź znacznych kosztów z ich wysyłaniem na prowincję związanych, nie stanowi trudności. Kładziemy na to nacisk dlatego, że, o ile wywiady mają istotnie sięgać do gruntu kwestyi, a unikać, tak znamiennej dla naszej publicystyki współczesnej, powierzchowności w ocenie wszelkich faktów i zjawisk życia, czy to społecznego, czy ekonomicznego, o tyle—wywiady te nie mogą być dorywczeni. Napisać referat o potrzebach Piotrkowa, dajmy na to, lub Suwałk, to nie znaczy pojechać tam na kilkanaście godzin, rozpytać się jednego, drugiego i trzeciego obywatela o to i o owo, zjeść obiad w restauracyi i wypić kieliszek szampana za „powodzenie i rozkwit prowincyi“, ale to znaczy wysłać tam inteligentnego i wytrawnego publicystę, najmniej na tydzień, do dwóch tygodni czasu, dać mu możność rozpatrzenia się w stosunkach miejscowych, ogarnięcia ich i zbadania nie za pośred-

nictwem obcesowo i po dziennikarsku prowadzonej rozmowy wywiadowczej, poczynającej się od stereotypowego pytania: jakie jest pańskie zdanie o tem? ale za pomocą poważnych rozpraw nie tylko z ludźmi, zajmującymi naczelne stanowisko, lecz i z obywatelami, którzy znają potrzeby swego miasta, powiatu, gubernii z bezpośrednio zetknięcia się z życiem, z przedstawicielami tego życia w rozmaitych dziedzinach. Słowem — potrzeba tu „studyować“ — a studia zawsze dużo kosztują.

Z przytoczonego programu ankiety wynika wszakże, że redakcja „Kurjera“ zdaje sobie z tego sprawę i że nie będzie szczędziła zachodu, starań i kosztów, aby należycie z zadania się wywiązać. Przedwczesne też wydają nam się wszelkie w tym względzie wątpliwości, głoszone przez niektóre pisma prowincjonalne. Owszem, dyskusya w tej mierze jest pożądana i konieczna, ale należy poczekać na wyniki. Z obietnicy i zapowiedzi nie sędzi się jeszcze faktu. Czekajmy więc cierpliwie.

*

*

*

Ze strony dobrze obznajmionej ze sprawami Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego otrzymujemy następujące objaśnienie:

W kronice miesięcznej grudniowego zeszytu „Biblioteki Warszawskiej“ (str. 615) była omawiana sprawa projektu reorganizacji Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Rzecz sama, oparta na artykule p. H. W., ogłoszonym w „Gazecie Polskiej“, zawiera wiele trafnych uwag i wniosków; poprzedzona jest wstępem, z którego czytelnik łatwo może przyjść do przekonania, że projekt reorganizacji, na zniesieniu Dyrekcyj Szczegółowych oparty, wyszedł od władz Tow. Kredyt. Ziemskiego i że losy jego wyłącznie od tychże władz zależą.

Tak bynajmniej nie jest.

Możemy zapewnić,—a staraliśmy się zebrać w tej mierze dokładne informacye,—że w gronie członków władz naczelnych Tow. Kred. Ziemsk. nie ma nikogo, ktoby nie był głęboko przeświadczony, że wprowadzenie jakichkolwiek zmian w organizacji Towarzystwa, jest obecnie bardzo nie na czasie.

Wszak w roku zeszłym Towarzystwo zyskało prawo udzielania pożyczek dodatkowych na podstawie nowych przepisów taksowych

o podwyższonej taryfie. Wyczerpane kilkoletnim nieurodzajem i spadkiem cen gospodarstwa rolne znalazły się w wielkiej potrzebie nowego zasilenia kapitałem. Mnóstwo też stowarzyszonych występuje z żądaniem nowych taks i pożyczek dodatkowych. Wyteżona praca około zadosyćuczynienia tym żądaniom zatrudnia wszystkie siły w Towarzystwie pracujące.

Dyrekcye Szczegółowe i Dyrekcya Główna zawałone są robotą. Wprowadzenie jakichkolwiek zmian w ustroju Towarzystwa, a cóż dopiero tak daleko idących, jak te, któreby wynikły ze zniesienia Dyrekcji Szczegółowych, musiałoby oczywiście zatamować całą tę czynność. Byłoby to klęską dla stowarzyszonych, a dla wielu z nich—usuwaniam ostatniej deski ratunku.

Już ta jedna okoliczność musiałaby powstrzymać każdego z członków władz T. K. Z. od występowania z projektem reorganizacji. A są przecież i inne względy, że przytoczymy choćby tylko znaną wrażliwość giełd, krajowych i zagranicznych, na wszelkie zmiany w ustroju instytucyj, których walory pojawiają się na rynkach pieniężnych. Obawiać się należy, że w epoce przyśpieszonej i silnie zwiększonej emisji listów zastawnych T. K. Z., reorganizacja tegoż wpłynęłaby niepomysłnie na kurs jego listów zastawnych, powodując dotkliwą stratę dla stowarzyszonych.

O tem wszystkim wiedzą dobrze członkowie władz T. K. Z., którzy, sami będąc stowarzyszonymi, mają te same co oni interesa i powołani są do tego, aby interesów tych bronić.

Zapewnić też możemy, że omawiany obecnie w prasie projekt reorganizacji, ani w łonie władz T. K. Z. nie powstał, ani przez żadnego z członków tych władz zapoczątkowany nie był. A jeżeli ogólne zebrania Dyrekcji Główniej i Komitetu Towarzystwa wezwały w sierpniu czynną obecnie delegacyę do sprawy projektu zmian w ustroju władz Towarzystwa, było to wynikiem polecenia p. Ministra Finansów.

Praca delegacji, o której mowa, jest bardzo trudna i obszerna wymaga ona wszechstronnego a gruntownego wystudyowania przedmiotu, przyczem, rzecz prosta, pożytek i dogodność stowarzyszonych przedewszystkiem brane być muszą pod uwagę.

Jakie będą ostateczne wyniki prac delegacji, przewidzieć obecnie trudno. To tylko pewna, że ostateczna decyzja w tym przedmiocie zależeć będzie nie od władz Tow. Kred. Ziem., ale od władz centralnych i instytucyj prawodawczych państwa Rosyjskiego.

*

*

*

Świat prawniczy francuski przygotowuje się w roku bieżącym do święcenia setnej rocznicy „Kodeksu Napoleona“. Zbytecznem byłoby przypominać tutaj, jak wielką rolę kodeks ten odegrał we Francyi i w całej Europie i jaką dziś jeszcze odgrywa. Dość powiedzieć, że to jakby nowożytny *Pandecta*, na których, jak na zrębie, opierają się prawodawstwa teraźniejsze i na których opierać się będą—przyszłe.

To gotujące się „święto prawnicze“ obchodzi nas bardzo blisko z tego względu, że za cztery lata i u nas Kodeks Napoleona doczeka się setnej rocznicy swego wprowadzenia (1808—1908). Czy rocznicę tę uczymy?

Uczynić to należałoby i w tym właśnie duchu przemawia jeden z najpoważniejszych prawników naszych, mecenas p. Karol Dunin, nawołując na łamach „Gazety Warszawskiej“ ogół sił prawniczych polskich do poparcia projektu, który powstał w gronie osób, skupionych dookoła redakcyi „Gazety Sądowej“:

„Postanowiono zorganizować wydawnictwo zbiorowe prac, Kodeksowi Napoleona poświęconych. Rzecz jasna, że ani forma, ani rozmiary tego wydawnictwa dziś jeszcze przewidzieć się nie dają, zależeć to bowiem będzie głównie od dobrej woli prawników, do której się niniejszem odwołujemy. Na początek obmyślimy pewną sumę tematów, których opracowanie w całości lub w części, przez pojedyncze osoby lub zbiorowo, uważamy za potrzebne. Samo się przez się rozumie, że tematy te nie wyczerpują wszystkiego, co byłoby pożądane, i dlatego nie powinny one krępować autorów. Każda praca, choć w nich nie przewidziana, byle tylko pod ogólny plan podpadała, będzie z wdzięcznością do wydawnictwa przyjęta. Tematy zaś, o których mowa, są następujące:

- 1) Opracowanie zbiorowemi siłami komentarza do kodeksu Napoleona.
- 2) Historia kodeksu Napoleona u nas, a mianowicie dzieje jego wprowadzenia oraz zmiany, jakim z biegiem czasu uległ.

3) Historia kodeksu Napoleona we Francji, a ile to możliwe i w innych krajach, w których obowiązywał.

4) Bibliografia kodeksu Napoleona we Francji, a ile to możliwe i w innych krajach.

5) Zestawienie przepisów dawnego prawa polskiego, oraz praw obcych, które na terytorium Królestwa Polskiego obowiązywały, z zasadami Kodeksu Napoleona.

6) Porównanie Kodeksu Napoleona z nowszymi prawodawstwami obcemi, oraz projektami do praw (rosyjski, węgierski, szwajcarski).

7) Jurysprudencja do Kodeksu Napoleona u nas z zaznaczeniem ważniejszych różnic między nią a francuską.

8) Wpływ Kodeksu Napoleona na stan społeczny i ekonomiczny kraju.

9) O zasadach ogólnych Kodeksu Napoleona.

10) Porównanie obowiązującego u nas kodeksu handlowego z przepisami tego kodeksu w tym kształcie, w jakim obecnie obowiązują one we Francji“.

Jak się dowiadujemy z dalszej treści cytowanego artykułu, niektóre z tych tematów znalazły już ochotników, co jednak nie przeszkadza w wolności wyboru obszerniejszemu kołu pracowników, gdyż prace mogą być dokonywane siłami zbiorowemi. Między innymi prof. Holewiński, najznakomitszy nasz cywilista, przyobiecwał opracować wstęp historyczny do wykładu kodeksu.

Pragnący uczestniczyć w tej pamiątkowej i zarazem pomnikowej pracy proszeni są o zawiadomienie redakcyi „Gazety Sądowej“ (ulica Włodzimierska № 14), jaki obierają sobie temat.

Nie wątpimy, że prawnicy nasi, rozumiejąc doniosłość chwili, tudzież pożytek, płynący z opracowania powyższych tematów, nie będą obojętni na wezwanie p. Dunina i przyczynią się do zapewnienia wydawnictwu jaknajwiększej powagi i wartości naukowej.

Czasu jest dużo, idzie więc tylko o dobrą wolę.

*

*

Niedawno pisaliśmy na tem miejscu o działalności Towarzystwa dla popierania nauki polskiej we Lwowie. Obecnie powracamy do tej niezwykle potrzebnej i pożytecznej instytucji z powodu doniosłego projektu, z jakim zarząd jej wystąpił. Projekt ten — to zakładanie bibliotek prowincjonalnych po znaczniejszych miastach Galicyi, jak Tarnów, Rzeszów, Przemyśl, Tarnopol, Stanisławów, Kołomyja, których ludność sięga 30—40 tysięcy.

Odezwa, podpisana przez profesorów Antoniego Małeckiego i Oswalda Balzera, tudzież przez p. Przemysława Dąbkowskiego, jako sekretarza Towarzystwa, tak uzasadnia tę piękną i obywatelską myśl:

„Biblioteki są warunkiem utrzymania i rozwoju naukowości w danej miejscowości, i co ważniejsza jeszcze, warunkiem podniesienia poziomu umysłowego całych, szerokich kół inteligencji, jaka się w miejscowościach tych gromadzi. Na ogół biorąc, są biblioteki publiczne źródłem i ogniskiem, a zarazem rozsadnikiem kultury i cywilizacji. To też zagranicą, z trafnem zrozumieniem doniosłości tej sprawy, biblioteki publiczne utrzymywane są nietylko w stolicach państw i krajów, ale także w pomniejszych miastach departamentowych, kantonalnych, obwodowych i t. p.—u nas pod tym względem: wszystko jeszcze pozostaje do zrobienia“.

W uznaniu tej potrzeby Towarzystwo podjęło myśl stopniowego urządzenia i zakładania bibliotek prowincjonalnych, a zdając sobie sprawę z całej powagi tego przedsięwzięcia i z wielkich kosztów, które powolne nawet jego urzeczywistnienie za sobą pociągnie, zwraca się o pomoc do społeczeństwa w następujących słowach:

„Towarzystwo dla popierania nauki polskiej postanowiło wziąć inicyatywę w gromadzeniu materiału książkowego dla przyszłych bibliotek prowincjonalnych i odwołuje się niniejszem do poczucia obywatelskiego wszystkich, do poparcia całego społeczeństwa, upraszając o nadsyłanie na swe ręce darów w książkach i innych przedmiotach bibliotecznych. Zwraca się tedy do instytucji i towarzystw naukowych, do redakcyj czasopism i dzienników, do księgarzy, wydawców, nakładców i autorów, z usilną prośbą o nadsyłanie ogłoszonych już lub później ogłaszać się mających druków i publikacyj; zwraca

się wreszcie do wszystkich z prośbą o datki w książkach, jakimi rozporządzają, a które pragnęliby przeznaczyć na cel powyżej wskazany.

I niema rodzaju książki czy wydawnictwa, któreby się do naszego zbioru nie przydały: czy to publikacje zbiorowe, czy encyklopedye, czy słowniki, czy zbiory praw lub wykazy statystyczne, roczniki pism czasowych czy dzienników, książki ściśle naukowe lub popularne, podręczniki systematyczne lub monografie, utwory belletrystyczne jakiegokolwiek treści, podręczniki szkolne dawniejsze i nowsze, książki dla młodzieży, sprawozdania o działalności rozmaitych instytucyj, broszury jakiegokolwiek treści, nawet pisma ulotne i t. p. Ze względu, że mamy na myśli założenie większej ilości bibliotek, przeto, o ile to jest rzeczą możliwą, dary większej ilości egzemplarzy (6—8) tego samego dzieła byłyby nam ze wszechmiar pożądane. Obok druków przyjmować też będziemy z wdzięcznością, przeznaczając je dla tego samego celu, dary w innych przedmiotach, gromadzonych zazwyczaj w bibliotekach, jak: atlasy i mapy geograficzne, rękopisy, dokumenty, stare pieczęcie, monety, modele, sztychy i t. p.

Wszelkie przedmioty, nadsyłane do naszego zbioru, będą inventaryzowane; wiadomość o otrzymanych darach podawać będziemy corocznie w sprawozdaniach T-wa, o ile to zaś będzie możliwe, także w krótszych odstępach czasu za pośrednictwem dzienników.

Na żądanie przesyłamy osobom, zajmującym się bliżej tą sprawą, obszerny memoriał, wyjaśniający szczegółowo potrzebę zakładania bibliotek prowincjonalnych, oraz środki, do urzeczywistnienia tego celu zmierzające.

Przeświadczeni o wielkiej doniosłości sprawy, ufni, że przy dobrej woli i wytrwałości wytknięty cel da się urzeczywistnić, zwracamy się raz jeszcze z usilną i gorącą prośbą o wszechstronne poparcie naszych usiłowań“.

Przesyłki adresować należy: Lwów, archiwum Bernardyńskie.

*

*

*

W naszym życiu ekonomicznem coraz śmielej i głośniej rozlega się hasło kooperacyi. Nie jest to hasło nowe i na zachodzie oddawna już wydało ono owoce bardzo doniosłe, u nas wszakże ruch koopera-

cyjny, acz datuje się od dość dawna, nie poczynił jeszcze wielkich postępów i w ostatnich dopiero latach wszedł na drogę prawidłowego rozwoju. Obecnie jesteśmy więc jakby w chwili przełomowej, która wysuwa na czoło kwestyj bieżących pytanie: co już na polu kooperacji zrobiono, co zaś do zrobienia pozostało?

Na pierwszą część tego pytania otrzymaliśmy już poniekąd odpowiedź od obradującej niedawno „Komisyi kooperacyjnej“, powołanej przez Zarząd Warszawskiego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu do rozpatrzenia zagadnień, związanych z rozpowszechnieniem u nas idei współdzielczości, na zasadzie odpowiedzi na rozesłane w tej materji kwestyonaryusze do przedstawicieli wszystkich instytucyj tej kategorii w kraju. Wyrażono tam również szereg bardzo interesujących postulatów na przyszłość. Dowiedzieliśmy się np., że na 53 stowarzyszenia pożyczkowo-oszczędnościowe, funkcjonujące obecnie w kraju, tylko trzy: w Ostrowcu, w Klimontowie i w Ostrowiu korzystają z prawa rozciągania swej działalności poza obręb miast, w których mają swoją siedzibę, inne zaś mają teren działania ściśle ograniczony, co tamuje ich rozwój, wobec czego należy stanowczo dążyć do zniesienia tych ograniczeń.

Rozprawy te, ze wszechmiar ciekawe, znane są zresztą z obszernych i wyczerpujących sprawozdań dziennikarskich — nie będziemy więc rozwodzili się nad niemi. Pragniemy natomiast, korzystając ze sposobności i z ogólnego zainteresowania się ruchem współdzielczym, zapoznać czytelników z pokrewną dziedziną życia ekonomicznego w Galicyi, która na tem polu osiągnęła już rezultaty bardzo poważne. Czynimy to zaś w tym celu, aby z jednej strony dostarczyć trochę materiału porównawczego, z drugiej — wskazać na pewne znamienne cechy stowarzyszeń tamtejszych. I jedno i drugie powinno być przez nas uwzględnione, może to nam bowiem wskazać drogi właściwe odrazu i uchroni od pomyłek i doświadczeń na własną rękę w przyszłości.

Z ostatniego „Rocznika statystycznego stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych w Galicyi“ dowiadujemy się, że od roku 1873, t. j. od wprowadzenia w życie ustawy normalnej o stowarzyszeniach, zarejestrowano tam w sądzie handlowym stowarzyszeń: kredytowych 1009, innych 262, razem 1271, z tego w roku 1902 istniało: kredytowych 846, innych 118, razem 964. Są to cyfry bardzo pokaźne i świadczą, że ruch współdzielczy nie tylko przyjął się zupełnie na gruncie galicyjskim, ale znakomicie zdolał się już rozkrzewić. Zobaczymy teraz, jak te stowarzyszenia przedstawiają się pod względem swojej siły ekonomicznej. Z pracowicie poczynionych zestawień statystycznych dowiadujemy się, co następuje:

Liczba członków wynosiła z końcem roku 1902 u stowarzyszeń kredytowych wogóle 478,954, zaś u wytwórczych i handlowych 9,352.

Udziały członków wynoszą: u stowarzyszeń kredytowych wogóle 24,635,225 koron, u stowarzyszeń wytwórczych i handlowych 2,751,332 kor., w przecięciu zaś przypada na jedno stowarzyszenie kredytowe 32,000 kor., a na jednego członka 51 kor., na jedno zaś stowarzyszenie wytwórcze i handlowe—32,000 i 294 kor. na jednego członka.

Tu należy zwrócić uwagę na fakt charakterystyczny. Do istniejącego we Lwowie związku stowarzyszeń należy tylko 140 stow. kredytowych i 27 wytwórczych—pozostałe dzielą się pomiędzy a) patronat dla spółek oszczędności i pożyczek syst. Raiffeisena przy wydziale krajowym; b) *Ruski sojuz* (związek) *kredytowy*, która skupia wokoło siebie stowarzyszenia ruskie, udziela im kredytu, względnie wyjednywa go w Banku Krajowym i wykonywa nad nimi kontrolę i c) Powszechny związek, na własnej pomocy opartych galicyjskich stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych. Są to przeważnie stowarzyszenia żydowskie, z których wiele nadto stoi poza obrębem tej organizacji.

Co do bliższych szczegółów, które zawiera w tym kierunku omawiany rocznik statystyczny, to godzi się zwrócić uwagę na fakt następujący: na ogólną liczbę 679 stowarzyszeń kredytowych systemu Schulzega, jest wyznaniowo-żydowskich 440, czyli prawie $\frac{2}{3}$. Geograficzne ich rozmieszczenie wskazuje, że ilość ich w pewnej okolicy stoi w prostym stosunku do ubóstwa i niskiej kultury ludności wiejskiej. Tak np. w Stanisławowie jest ich 20, w Kołomyi 11, w Przemysłu 11, w powiecie Kosowskim 12, w małych miasteczkach, jak Podhajce, Husiatyn, Skała, Gliniany—po 6—8. Rozsiadliły się więc one głównie w najuboższych, wschodnich powiatach.

Uczyniwszy tę dygresyę, która nam pomoże w następstwie do należytego oświetlenia pewnych cyfr, powracamy do przedmiotu.

Uderzy nas zaraz pierwsze porównanie stowarzyszeń, należących do związku lwowskiego z nienależącymi do tej organizacji. Mianowicie, mieliśmy cyfry ogólne udziałów członków w stowarzyszeniach. Otóż dla stowarzyszeń związkowych cała ta rzecz wygląda nieco inaczej. Kapitał udziałowy w 140 stow. kredytowych, należących do związku, wzięty osobno, sięga 10,000,000 kor., a zatem na jedno stowarzyszenie przeciętnie wypada 70,000 kor., zaś na 1 członka tylko 49 kor. Przejdźmy jednak do dalszych pozycji.

Fundusz rezerwowy wynosi u stowarzyszeń kredytowych 3,000,000 kor., u innych 500,000 kor., z tego u stowarzyszeń związkowych 4 miliony. W stowarzyszeniach związkowych wytwórczych i handlowych wynosi on $1\frac{1}{2}$ mil. kor.

Tu może najjaskrawiej występuje różnica pomiędzy gospodarką stowarzyszeń należących do związku, a stojących poza jego obrębem. Tamtym—nie zależy na rezerwie.

Idźmy jeszcze dalej.

Kapitał własny stowarzyszeń kredytowych wynosi razem 33 mil. kor., czyli przeciętnie wypada na jedno stowarzyszenie 43,000 kor., a na jednego członka 69 kor. Kapitał własny zaś stow. kredyt. związkowych wynosi 13¹/₂ mil. kor. czyli przeciętnie na jedno stowarzyszenie 97,000 kor., a na jednego członka 64 kor.

Wkładki oszczędności u towarzystw kredytowych przedstawiają sumę 94 mil. kor., czyli w przecięciu wypada na jedno stowarzyszenie wkładek 123,000 kor. Wkładki oszczędnościowe u stow. związkowych wynoszą 44 mil. kor., a przeciętna na jedno stowarzyszenie wynosi 310,000 kor.

ponad 1,000,000 kor. miało składek 9 tow. związk. a 4 niezwiązk.

500,000—1 mil.	16	12
200,000—500,000	42	31
100,000—200,000	20	61
50,000—100,000	20	84
10,000—50,000	26	170
nżej 10,000	5	51

Nie trzeba dodawać, że zestawienie to jest bardzo pouczające.

Inne długi towarzystw kredytowych wynoszą ogólną sumę 25 mil. kor. (w tem związkowe 8 mil.). Cały kapitał obcy w towarzystwach kredytowych wynosił ogółem 119 mil. kor., u związkowych 52 mil., a u wytwórczych i handlowych 8 mil. kor. Stosunek tego kapitału do własnego przedstawił się u towarzystw kredytowych wogóle, jak 3,49 : 1 (u związkowych jak 3,09 : 1).

Stan pożyczek, udzielanych przez towarzystwa kredytowe, nie biorąc w rachunek tych, które nie nadeszły zamknięć, wynosił ogółem 138 mil. kor. Stan pożyczek u stow. związkowych wynosi 58¹/₂ mil. kor. Stan kredytów, przez inne stowarzyszenia udzielonych, wynosi 4 mil. kor.

Suma kredytu udzielonego wynosi ogółem 210 mil. kor., w tem stowarzyszenia związkowe udzieliły pożyczek 87 mil. kor.

Zapas towarów u stow. wytwórczych i handlowych wynosi 3 mil. kor. i urósł u stow. związkowych o 45⁰/_o.

Sprzedaż towarów i produktów wynosi wogóle 9 mil. kor., w czem u związkowych stow. 7 mil. kor.

Czysty zysk u ogółu stowarzyszeń kredytowych wynosi 2 mil. kor., zaś u związkowych stowarzyszeń 788,500. Czysty zysk stanowi ogółem 1,18⁰/_o, a u związkowych 1,16⁰/_o kapitału obrotowego.

Wysokość zaś dywidendy od udziałów wskazuje następująca tabelka:

Nie wykazało wcale zysku	5 stow. związk.	a 79 niezwiązkowych
1% dywidendy udzieliło	—	1
od 2—4%	12	21
od 4—5%	22	35
od 5—6%	47	60
od 6—8%	29	73
od 8—10%	6	44
ponad 10%	—	2
żadnej dyw. nie wykazało	19	114
nie nadesłało bilansów	—	85

Czysty zysk innych kategorii stowarzyszeń wynosi 304,000 kor., z tego na stow. związkowe przypada 138,490 kor.

Stopa procentowa od wkładek oszczędności i na rachunek bieżący u stowarzyszeń kredytowych związkowych mieści się w granicach 3—6%, u stowarzyszeń niezwiązkowych w granicach 3—8%.

Stopa procentowa od pożyczek, członkom udzielanych, jest bardzo rozmaita, w stowarzyszeniach związkowych waha się ona między 7%—8% i tylko w 6 wypadkach przekracza tę normę, mianowicie 3 stow. pobierają 8½% i 3 pobierają 9%, w stowarzyszeniach zaś niezwiązkowych wysokość jej dochodzi do 12, mianowicie 36 stowarzyszeń pobiera 9%, 49 stow.—10%, 5 stow.—11% i 3 stow.—12%.

Tak się przedstawia w ogólnym zarysie ruch na polu kooperacji ekonomicznej w Galicyi. Jeżeli się baczniej w cyfrach przytoczonych powyżej rozejrzemy, to spostrzeżemy łatwo, że dobre jego strony polegają na zdrowej gospodarce, nad którą czuwa związek, zle—na zbyt niemiernym rozkrzewieniu się stowarzyszeń żydowskich, które wylamują się z pod wszelkiej kontroli, a są najczęściej stowarzyszeniami kilku bogatych jednostek, które pod postacią fikcyjnie lokowanych oszczędności obracają swojemi kapitałami i, jak to widzieliśmy, mają po 9 i 10% od nich. Objaw to bardzo smutny. Tem jaśniej jednak na tem tle zarysowuje się pożyteczna działalność związku stowarzyszeń, instytucji, która i u nas jaknajrychlej powstać powinna, a za której utworzeniem wypowiedała się także i komisya Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Tylko bowiem jednolity ustrój i wytrawna kontrola mogą ruchowi współdzielczemu zapewnić zdrowe formy rozwoju na przyszłość.

Mamy przed sobą odezwę istniejącej przy Warszawskiem Towarzystwie muzycznym sekcji im. Moniuszki. W odezwie tej jest mowa o tem, co uczyniono dotychczas dla utrwalenia pamięci „mistrza pieśni polskiej”. Na szczególniejsze podniesienie zasługuje tu powzięta przed dwoma laty uchwała utworzenia przy Towarzystwie muzycznym stypendyum szkolnego dla potomków Moniuszki, łącznie z nagrodami konkursowemi jego imienia dla muzyków polskich.

W tym celu Warszawskie Towarzystwo muzyczne aktem darowizny z d. 23 maja 1902 r. ofiarowało czysty dochód z przedsięwziętych wydawnictw utworów muzycznych zmarłego kompozytora, w wysokości nie przenoszącej 10,000 rb. na utworzenie funduszu, od którego procent przeznaczają się na wypłatę stypendyum i nagród konkursowych imienia St. Moniuszki.

Na te nagrody konkursowe przeznaczają się wszelkiego rodzaju środki, powstałe: a) z niewydatkowanego w którymbądź roku stypendyum; b) wskutek pozbawienia stypendysty prawa do otrzymania oszczędności zarówno z powodu pozostawienia go na rok drugi w tej samej klasie lub na tym samym kursie, jakoteż z powodu niukończenia przez niego zakładu naukowego wyższego; c) z dochodu od wylosowanych papierów procentowych, w których przechowywa się fundusz stypendyalny; d) z ofiar dobrowolnych członków Towarzystwa muzycznego Warszawskiego na powiększenie funduszu imienia St. Moniuszki i e) z innych, nieprzewidzianych dochodów funduszu.

Przy określeniu prawa pierwszeństwa kompozytorów do otrzymania nagrody konkursowej imienia Moniuszki, utwory muzyczne co do charakteru swego grupują się w następującym porządku: symfoniczne, kameralne, religijne, operowe, kantaty i pieśni jednogłosowe i wielogłosowe. Teksty utworów religijnych winny być polskie lub łacińskie, zaś teksty innych utworów wyłącznie polskie. Bliższe warunki podziału, wysokości i sposobu wypłaty nagród konkursowych, w każdym oddzielnym wypadku, określa i ogłasza komitet Tow. muzycznego. Wysokość jednej nagrody konkursowej nie powinna przewyższać 1,000 rb.

Gdyby Warszawskie Towarzystwo muzyczne istnieć przestało, w takim razie powinno przełać cały ten fundusz, zgodnie ze swą ustawą, przed zwinieniem Towarzystwa, razem z aktami i wszelkimi rachunkami—innej, odpowiedniej instytucji muzycznej polskiej w Warszawie, z warunkiem ścisłego przestrzegania i wykonania wszystkich powyżej wyszczególnionych przepisów.

Obok tego funduszu, w odezwie omówiono drugą jeszcze ważną sprawę, mianowicie sprawę budowy grobu dla Moniuszki na cmentarzu Powązkowskim.

Dowiadujemy się, że magistrat miasta Warszawy w odezwie na imię Towarzystwa z dnia 22 września 1903 roku udzielił przychylniej decyzji na kupno placu na cmentarzu Powązkowskim dla wybudowania na nim grobu dla Moniuszki. „Za zgodą piśmienną wszystkich jego dzieci—cytujemy—sekcya starała się, aby nowy grób mógł stanąć w miejscu, dostępnem dla pragnących odwiedzać miejsce spoczynku genialnego pieśniarza, o ile możności w bliskości kościoła. Jakoż przy łaskawem poparciu i życzliwości osób, wpływających na przebieg starań, nabyty został na imię Towarzystwa muzycznego plac w oddziale 9, rzędzie 3, N^o 68, 69, 70 oznaczony, przy głównej alei cmentarza, z tyłu kościoła. Jestto istotnie miejsce najlepsze, jakie wynaleźć się dało w tej części, dla wybudowania grobu z pomnikiem, mającego stanowić całość poważną, artystyczną

W grobie tym, zgodnie z życzeniem rodziny, spoczną obok zwłok mistrza i zwłoki oddanej mu za życia najwierniejszej towarzyszki i żony ś. p. Aleksandry Moniuszkowej. Sekcya żywi głęboką ufność, że wśród tysięcy wielbicieli muzy Moniuszkowskiej znajdują się tacy, którzy dopomogą jej staraniom o uzyskanie środków na budowę grobu i pomnika. Oczywiście, nie może być mowy o stawianiu kosztownego mauzoleum, na jakie Moniuszko zasłużył sobie, ale czego sekcya podjąć się nie może, mając dużo jeszcze innych ważnych potrzeb. Pragnie jedynie, aby grób miał, jak wyżej powiedziano, wygląd poważny, artystyczny. W tych granicach sekcya ogranicza potrzebny na to fundusz do rubli 5,000“.

Tyle słów odezwy. Polecamy obie te sprawy gorąco uwadze naszych czytelników.

I jeszcze jedna odezwa.

Nadesłał nam ją z daleka „Komitet założenia polskiej akademii artystycznej w Rzymie“, zawiązany pod prezydencją znanego rzeźbiarza, p. Tadeusza Rygięra.

Czytamy tam, co następuje:

„Wybitnie zaznaczający się ostatniemi czasy ruch artystyczny w społeczeństwie polkiem chlubnie świadczy o silnym rozwoju najmłodszego pokolenia. Młodzież nasza, w zwartym szeregu, z zapałem wdiera się po stromej, ciernistej drodze sztuki, pragnąc przebojem dopiąć jej szczytów. By rozwinąć i wysubtelnić ideał piękna, dąży ku środowiskom zachodniej kultury, gdzie kształci się w trudzie i znoju—czasem „o chłódzie i głódzie“. Marzeniem artystów całego świata jest najstarsze i najpotężniejsze ognisko piękna — Rzym. Wieczne miasto, od dwóch tysięcy lat dzierżące berło sztuki, jest nie tylko wielkim skarbcem arcydzieł ludzkiego geniuszu, ale poniekąd gorącą kuźnią talentów, zewsząd idących ku złocistym jego murom—ożywczą krynicą natchnień dla budzących i preradzających się duchów artyzmu. Odczuły to i zrozumiały ludy romańskie, a po nich germańskie, bo niosąc pomoc spragnionym Rzymu artystom swoim, założyły własne akademie, w których miejsca są najwyższą nagrodą, tęsknotą serc młodych. I te akademie już obchodzą uroczyste stu-letnie rocznice swego istnienia — i są dobrą opatrnością rodaków. Tylko my—polacy—nie mamy tam własnej świątyni.

Ale czas i na nas przychodzi. W łonie rzymskiej kolonii polskiej ta myśl się zrodziła i to ma się urzeczywistnić. Związało się grono ludzi, jednym pragnieniem przejęte, jedną ideą spojone—i dąży do ściśle wytkniętego celu, a tym celem: Polska akademii artystyczna w Rzymie.

Akademia, w najszerszem pojęciu tego wyrazu, wyposażona w następujące instytucje:

- 1) Bezpłatny pensjonat dla utalentowanych artystów.
- 2) Wzorowe pracownie z wszelkimi środkami do studyów.
- 3) Wieczorna sala rysunkowa t. zw. sala aktu akademickiego.
- 4) Doborowa biblioteka dzieł z zakresu sztuki i archeologii.
- 5) Czytelnia pism polskich i zagranicznych.

6) Sala zebrań dla ziomków, przebywających stale lub czasowo w Rzymie.

Oto myśl, od kilku lat błakająca się wśród rzymskiej kolonii polskiej—teraz wybije godzina czynu. W imię świętych praw sztuki zwracamy się do opatrności serc bratnich! Wszelkie dary, wielkie czy małe, zbliżą nas do ideału, co technieniem odrodzenia spływa ku nam z kopyły Piotrowej“.

Po tem górnem wezwaniu następuje wyjaśnienie, że ofiarodawcy, którzy złożyli 10,000 rub i, otrzymują tytuł członka założyciela i biust, umieszczony w sali zebrań Akademii. Ofiarodawcy, którzy złożyli 1,000 rubli, otrzymują tytuł członka honorowego i będą imiennie umieszczeni na tablicy pamiątkowej w sali zebrań Akademii. Wszyscy inni ofiarodawcy z tytułem członków rzeczywistych będą wpisani do pamiątkowej księgi Akademii.

Kto pragnie zatem i może—niech popiera tę myśl śmiałą.

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

— PAMIĘTNIK LITERACKI, czasopismo kwartalne, poświęcone historii i krytyce literatury polskiej, rozwija się doskonale pod staranną redakcją pp. Gubrynowicza i Porębowicza. Czwarty zeszyt drugiego rocznika zawiera ciekawą rozprawę Bron. Gubrynowicza: „Romans w Polsce za czasów Stanisława Augusta“ i W. Bruchnalskiego studjum historyczno-literackie p. t.: „Mickiewicz — Niemcewicz“. W „Materiałach“ znajdujemy nieznaną wiersz Słowackiego, ogłoszony przez Czubkai „Albumy Delfiny Potockiej“ przez Tad. Pinięgo. Obity jest dział „Notat“. Wśród „Recenzyj i Sprawozdań“ zwraca uwagę obszerna recenzja dzieła Creizenacha: „Geschichte des neueren Dramas“, Przegląd prac najnowszych o Słowackim, recenzje dzieł Feldmana i Grabowskiego, przez Chmielowskiego i w. in.

Zdawałoby się, że czasopismo, oddane wyłącznie sprawom literatury naszej, w którym dział historyczny i krytyczny reprezentują takie nazwiska, jak: Brückner, Chmielowski, Chrzanowski, X. Fijałek, W. Hahn, Pini, Czubek, Dobrzycki, Porębowicz — powinno cieszyć się powszechnem poparciem inteligentnego ogółu, zwłaszcza wobec bardzo przystępnej ceny. Ze smutkiem prawdziwym dowiadujemy się, że „Pamiętnik Literacki“ ma np. w całej Warszawie zaledwie 50 (wyraźnie: pięćdziesięciu) prenumeratorów, i że egzystencją swą zawdzięcza obecnie ofiarności szlachetnej kilku osób dobrej woli i obywatelskiego serca.

Narzekamy nieraz — i słusznie, na brak zdrowej myśli krytycznej u nas, na to, że publiczność idzie na lep powierzchownych, felietonowych pochwał lub nagan, ale skoro są organy fachowe krytyki historycznej, lub literackiej, jak „Kwartalnik Historyczny“, lub „Pamiętnik Literacki“ — to, zamiast otoczyć je trwałą opieką, pozwalamy tym pismom zanikać, lub więdnąć, dla braku poparcia. A przecież wydatek sześciu rubli na rok cały nie zmniejszyłby chyba frękwencyi Filharmonii, Opery — i Bristolu.

— „KSIĄŻKA“, miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej, podaje w ostatnim numerze zeszl rocznym bardzo ciekawy przegląd piśmiennictwa polskiego za trzyletni okres istnienia pisma. Charakterystykę piśmiennictwa filozoficznego dają Ad. Mahrburg, matematycznego S. Dickstein, astronomii M. Ernst, fizyki S. Kramsztyk, chemii K. Jabłczyński, geologii J. Lewiński, nauk antropologicznych L. Krzywicki, Dzieje języka i literatury polskiej za r. 1901 — 1903 omawia A. Brückner, Historią Polski St. Suchecki, Prawo S. Posner, Ekonomię społeczną St. A. Kempner, Socyologią H. Krauz, Medycynę i higienę dr M. Jakowski, Poezyę W. Gostomski, Powieść polską H. Galle, Literaturę dramatyczną Wł. Bukowiński, Literaturę tlómaczoną Wł. Jabłonowski.

Z zamierzonego programu brakło tylko pięciu artykułów: o biologii, historii powszechnej, pedagogice, piśmiennictwie ludowem i czasopismach. Ale to, cośmy już otrzymali, jest bardzo ciekawe i pouczające. Myśl „Książki“ skreślenia takich obrachunków działalności na różnych polach nauk należy powitać z wielkiem uznaniem i wdzięcznością.

BIBLIOGRAFIA.

ARCHEOLOGIA. — LUDOZNAWSTWO.

Stanisław Ciszewski: Ognisko. Studium etnologiczne. Kraków. Nakł. Akad. Umiej., 1903, Warszawa, Gebethner i Wolff, str. VII + 238. Cena rb. 2,50.

Witold Schreiber; Twórcy Bogów. Z tajemnic i wierzeń ludów pierwotnych. Z 78 ilustracyami w tekście. Lwów. Nakł. Księgarni Polskiej B. Polonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka. 1904. str. 358.

Światowit. Rocznik, poświęcony archeologii przeddziejowej i badaniom pierwotnej kultury polskiej i słowiańskiej, wydawany przez Erazma Majewskiego. T. V, 1904. 506 ilustracyi w tekście i XI tablic. Warszawa. Skład główny w księgarni J. Fiszera, 1904. Cena rb. 2,50. Str. 109 + (113 — 268).

Wisła. Miesięcznik, poświęcony krajoznawstwu i ludoznawstwu. 1903. Listopad — Grudzień. Warszawa. Księgarnia J. Fiszera. *Treść zeszytu 6-go*: Józef Grajner: Notatki o wsi Topoli (powiat Łęczycki); Ignacy Sadkowski: Szlachta drobna w powiatach Płońskim i Płockim; Aleksandra Rumelówna: Z mili kwadratowej obszaru nad rzeczką Kosówką; Maryan Wawrzeniecki: Budownictwo i zdobnictwo ludowe (z rysunkami); Wandalin Szukiewicz: Krzyże zdobne w gub. Wileńskiej (z 4-ma tablicami); Stanisław Ptaszycycki: Powieść u nas przed laty

trzystu; Dr Franciszek Krček: Na marginesie „Księgi przysłów“ S. Adalberga; Witowt: Baśni z pow. Radzyńskiego. — Poszukiwania: Pojęcia prawne ludu. Przyczynek Józefa Nakoniecznego; XVII. Sobótka (R. Oreczykowski); XX. Szwedzi, Tatarzy, Turcy (A. Rumelówna). — Sprawozdania i krytyka: Przegląd książek.

NAUKI ŚCISŁE. — PRZYRODA.

Dr Ludwik Bruner: Zasady chemii. Kraków. Nakł. D. E. Friedleina. Warszawa. E. Wende i Sp., 1903, str. 162 + 2 tablice + 2 nlb.

S. Dickstein: Wiadomości matematyczne. T. VII. Zeszyt 5 — 6. *Treść*: S. Dickstein: Jan Joachim Livet (1783 — 1712); P. Duhamel: Ewolucya mechaniki — ciąg dalszy (przekład). III. Teorya mechaniczna ciekła i elektryczności; M. T. Huber: Z teoryi zgięcia belki prostokątnej na podstawie „prawa potęgowego“; R. Merceki: Cykl słoneczny S. Newcomba. — Miscellanea. — Przegląd literatury. — Bibliografia. — Kronika. — R. Merceki: Z obserwatorium im. Jędrzejewicza w Warszawie.

Dr Adam Langie; Popularna hygiena wzroku. Z przedmową prof. *Gulezowskiego*. Kraków. D. E. Friedlein. Warszawa. E. Wende i Sp. 1903. Str. 212.

H. A. Lorentz: Poglądy i teorye fizyki współczesnej. (Ruchy widoczne i niewidoczne). Szeregi odczytów. Z upoważnienia autora przełożył dr St. *Tolłoczko*, doc. Uniw. Jagiel. Warszawa. Nakład księg. E. Wende i Sp. 1904. Str. 288.

A. Seignette: Zwierzęta epok ubiegłych. Przełożył Jan *Lewiński*. Z 167 rycinami w tekście. Warszawa. Nakł. E. Wende i S-ka. 1904. Str. 134.

Dr A. Sempolowski: Wynik prac i doświadczeń (1902 — 1903) przez Stację doświadczalną w Sobieszynie. Warszawa, 1903, str. 196. Trzy fototypy.

Józef Słowikowski, magister nauk matem.-fiz., inżynier: Znaczenie figur Kopernika i Keplera w przyrodzie, nauce i technice. Tablic XVI z kolorowemi figurami. Warszawa. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. 1903, str. XII + 125.

P E D A G O G I A.

Ellen Key: Stulecie dziecka. Przekład Izy Moszczeńskiej. Nakł. Księgarni Naukowej, str. VIII + 228.

Janina Mortkowiecowa: Wychowanie estetyczne. Warszawa, 1904, G. Centnerszwer i S-ka, str. 74.

EKONOMIA POLITYCZNA. — SPRAWY SPOŁECZNE.

Sj. A. Kemper: Józef Supiński. Notatki z powodu setnej rocznicy urodzin. Warszawa. Nakł. księg. E. Wende i Sp. Cena 30 kp., str. 16.

Stefan Kozłowski: Zasady kooperacji wobec naszych Spółek i Stowarzyszeń. Kielce, 1904. str. 33 + II.

Hans Leuss: Z więzienia pruskiego. W przekładzie i z przedmową Włodzim. Trąpczyńskiego. Warszawa, 1904, (Bibl. Dz. Wybor.), str. 151.

Władysław Żukowski: Przesilenie w przemyśle żelaznym. Warszawa, 1903. Skład główny w księg. E. Wende i Sp., str. 54.

HISTORIA. — HISTORIA LITERATURY.

L. Gumpłowicz: Psychologia dziejopisarstwa. Odbitka z „Krytyki“, 1903. Kraków. Nakł. Redakcyi. 1903, str. 29. Warszawa, E. Wende i Spółka.

Waleryan Krasieński: Zarys dziejów powstania i upadku Reformacji w Polsce. Tłóm. z angielskiego. Wydał Jul. Bursche. I Pastor Warszawski. T. II, cz. I. Warszawa. Nakł. „Zwiastuna Ewangelicznego“. 1904. Skład główny w księg. W. Mietkego, str. VI + 252.

Ks. Piotr Skarga: Kazania sejmowe. Z przedmową Ignacego Chrzanowskiego. T. I. Str. 136 + 130. Warszawa, 1903. „Biblioteka dzieł chrześcijańskich“. Grudzień, 1903. Administracya w księgarni Gebethnera i Wolffa.

Helena Witkowska: Historia ustroju Polski w zasysiu w trzech częściach. Warszawa. 1904. Skład gł. w Księgarni Naukowej, str. II + 164 + II.

POEZJA. — POWIEŚCI.

Wilh. Feldmann: Wybór „Młodej Polski“. Wydanie drugie. Kraków. Nakł. D. E. Friedleina. Warszawa. E. Wende i Sp. 1903, str. VIII + 382.

Maxym Gorkij: Chan i jego syn. — Dwudziestu szczęściu i jedno. — Zaubrina. — Przyjaciele. — Na stepach. — Dwaj złodzieje. — O Dyable. — Przekład Stan. Milkowskiego. Kraków. D. E. Friedlein. Warszawa. E. Warszawa. E. Wende i Sp., 1903, str. 96.

K. M. Górski: Wierszem. 1885 — 1893. Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa, 1904, str. 147.

Zygm. Kaczkowski: Olbrachtowi rycerze. Powieść z przedmową W. Jablonowskiego. Warszawa. 1904. „Bibl. dz. wybor.“, № 310—312, str. 187 + 159 + 176.

Józef Dunin-Karwicki: Z moich wspomnień. T. IV, str. XI + 252: Warszawa. Nakład A. G. Dubowskiego. Marszałkowska, 91. Cena rb. kop. 50.

Maciej hr. Kubiński: Ironia pozorów. Powieść. Warszawa. Jan Fiszer. 104, str. 427.

L. Michaud D'Humiac: Wielkie Legendy ludzkości. Przekład Cecylii Walewskiej. Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa, 1904. Bezpłatny dodatek dla prenumeratorów „Tygod. Ilustr.“. Biblioteka „Tygodn. Ilustr.“, № 1, str. 156.

Ada Negri: Niedola. Burze. Przekład M. Konopnickiej. Wydanie drugie. Warszawa. 1904, Nakł. Gebethnera i Wolffa, str. 216.

William Ritter: Le cycle de la Nationalité. Fillette Slovaque. Roman. Paris, Société du Mercure de France. MCMIII. Str. 349.

L. Rygier: Hańba dusz. Powieść. Teodor Paprocki i S-ka. Nowy Świat, № 37, 1904.

Stefan Żeromski: Popioły. Powieść z końca XVIII i początku XIX wieku. Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa, 1904. Tom I, str. 383. Tom II, str. 406, Tom III, str. 396.

S Z T U K A.

Kazimierz Mokłowski: Sztuka ludowa w Polsce. Część I. Dzieje mieszkań ludowych. Część II. Zabytki sztuki ludowej. Lwów. Nakł. księgarni H. Altenberga 1903, str. nb. 10 + 552. — 374 rycin w tekście.

Dr Stanisław Tomkowski: Style w architekturze kościelnej (szczególnie w byłej Polsce). Odbit. z „Encyklop. Kościel.“. Warszawa. 1903. Str. 51. Druk Fr. Czerwińskiego, Krak. Przedm. 2.

SZTUKA POLSKA, Malarstwo. Drugi zeszyt tego wspaniałego wydawnictwa zawiera: 1) Axentowicza: Studium portretowe (tekst M. Olszewskiego); 2) Jana Stanisławskiego: Lato (tekst J. Kleczyńskiego); 3) Tichy'ego: Pogrzeb (tekst W. Mitarskiego); 4) L. Wyeczółkowskiego: prof. Rydygier (tekst Ad. Cybulskiego). Skład w księgarni E. Wende i Sp. Prenumerata roczna rb. 12. Zeszyt rb. 1,50.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

Wyszedł z druku zeszyt VIII, t. 6 „Herbarza Polskiego“, wydawanego przez Adama Bonieckiego, zawierający nazwiska od „Górscy“ do „Goślicy“.

Lekarz. Pismo popularno-lekarskie, poświęcone higienie i t. d. Rok I, № 1, Str. 24. Redaktor J. Brunner.

Listek. Miesięcznik, poświęcony miłośnikom kart pocztowych ilustrowanych, Redaktor Albin Juriewicz.

Rzemieślnik polski. Kalendarz na r. 1904. Cena kop. 40. Skład główny w drukarni W. Maślankiewicza. ul. Jerozolimska № 21, str. XXIV + 268 35.

Wieczory Rodzinne rozpoczęły rok dwudziesty piąty istnienia. № 1 r. b. zawiera naczelny wiersz Deotymy, artykuł przyrodniczy Edmunda Jankowskiego, powieść historyczną z czasów Krzywoustego „Psie pole“ Trampczyńskiego, oraz krótki szkic historii pisma p. t. „XXV“. W dodatku dla mniejszych dzieci na wyróżnienie zasługuje dalszy ciąg opowiadań z historii naszej pióra Zofii Bukowiekiej.

Poradnik językowy, miesięcznik, poświęcony poprawności języka, wydawany pod redakcją Romana Zawilińskiego, rozpoczął rok czwarty istnienia. Nie zmieniając w zasadzie programu, przed trzema laty nakreślonego, i w toku tych lat trzech rozwijanego, daży Redakcyja do

ulepszenia wszystkich działów „Poradnika“ i możliwego powiększenia jego objętości w miarę nagromadzenia się materiału. W tym celu zaprosiła do stałego współpracownictwa prof. A. A. Kryńskiego z Warszawy, prof. d-ra Stanisława Dobrzyckiego z Fryburga (szwajcarskiego) i prof. A. Passendorfera ze Lwowa i stara się będzie: 1) o rozszerzenie odpowiedzi na zadawane pytania, 2) o ożywienie „Roztrząsań“, 3) o dopełnienie „Pokłosia“ przez uwydatnienie nietylko błędów, ale i nowych o pięknych wyrazów i zwrotów, użytych przez autorów, 4) o sprawdzenia treściwe z najnowszych zdobyczy naukowych w dziedzinie językoznawstwa polskiego, wreszcie 5) o poruszenie pytań, związanych z pisownią polską, a wnikających głęboko w istotę języka. Podejmie również rewizję językową książek szkolnych w miarę przygotowanego materiału.

Warunki prenumeraty niezmienione, a niesłychanie niskie, powinnyby niejednego zachęcić do przedpłaty; dotąd uzyskał wydawca zaledwie tyle, że pokrywa koszty wydawnictwa. Przedpłata (Księg. E. Wendego) na rok cały wynosi w Warszawie rb. 1 kp. 50 (z przesyłką pocztową rb. 1,80).

SPROSTOWANIE.

W zeszycie styczniowym „Biblioteki“ na str. 2 w wierszu drugim od góry, zamiast: „Stwarzali dzieła rozkoszy na ziemi“, czytać należy: „stwarzali w dziełach rozkoszy na ziemi“.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA

ADAM hr. KRASIŃSKI.